

OBRAZKOWY

KALENDARZ „ROLI“

NA ROK 1912.

IKÓW

wi małych, in-
iejszą jest

S OLNICZY
W E LWOWIE.

SYNDYKAT ROLNICZY jako największe przedsiębiorstwo handlowo-rolnicze w kraju, może członkom dostarczać **wszelkich maszyn rolniczych** (ręcznych, konnych i motorowych) **nawozów, nasion i węgli.**

Członkowie Syndykatu (udział sto koron płatny ewentualnie ratami) korzystają z osobnych opustów.

SPÓŁKI HANDLOWO-ROLNICZE I KÓŁKA ROLNICZE pokrywają w Syndykacie zapotrzebowanie swojej klienteli pod najkorzystniejszymi warunkami.

Adres: SYNDYKAT ROLNICZY, Kraków, Plac Szczepański 6.

Adres: SYNDYKAT ROLNICZY, Lwów, ulica Kościuszki 14.



OBRAZKOWY KALENDARZ „ROLI"

NA ROK 1912.

RUCHOME ŚWIĘTA.

Obrządku rzymskiego.

Niedziela Starozapustna . . .	4 Lutego.
Popielec	21 Lutego.
Wielkanoc	7 Kwietnia.
Uroczys. św. Józefa, Patr. kość. Powsz. w niedz. 3 po Wielk.	28 Kwietnia.
Wniebowstąpienie Pańskie . .	16 Maja.
Zielone Świątki	26 Maja.
Niedziela Św. Trójcy	2 Czerwca.
Boże Ciało	6 Czerwca.
Urocz. Ś. Jana Chrzc. w niedz. przed SS. Piotr. i Pawłem .	23 Czerwca.
Niedziela 1 Adwentu	1 Grudnia

Obrządku greckiego.

Nedila Miasopistna	29 Stycznia.
Pist Wełyki	6 Lutego.
Pascha Chrysta	25 Marca.
Woznesenie Hospod.	3 Maja.
Soszestwije S. Ducha	13 Maja.
Tyło Chrysta	24 Maja.
Petriuki Nedil 3	10 Czerwca.
Nedila 1 Adwentu	2 Grudnia.

SUCHEDNI.

Wiosenne d. 28 Lutego, 1 i 2 Marca. — Letnie d. 29 i 31 Maja i 1 Czerwca. — Jesienne d. 18, 20 i 21 Września. — Zimowe d. 18, 20 i 21 Grudnia.

Mięsopustu, licząc od Nowego Roku, będzie 7 tygodni i 1 dzień. — Ruskiego zaś Mięsopustu niedziel 5. — Wielkanoc ruska przypada razem z rzymską.

KALENDARZ ŻYDOWSKI NA ROK 5672—5673.

20 Stycznia 1911	1 Szebat 5.672.	
19 Lutego	1 Adar.	
29 »	11 »	Post Estery.
3 Marca	1 »	Purim.
4 »	15 »	Suszan-Purim.
19 »	1 Nizan.	
5 Kwietnia	15 »	**Początek Paschy.**
6 »	16 »	**Drugie św. Paschy.**
11 »	21 »	**Siódme ś. Paschy.**
12 »	22 »	**Ósme św. Paschy.**
18 »	1 Ijar.	
5 Maja	18 »	Lag-Bojmer.
17 »	1 Siwan.	
22 »	6 »	**Zielone Święta.**
23 »	7 »	» »
16 Czerwca	1 Tamuz.	
2 Lipca	17 »	Zd. św. (post.).
15 Lipca	1 Abh.	
23 »	9 »	Spal. świąt. (post).
14 Sierpnia	1 Elul.	
12 Września	1 Tiszri,	**Nowy Rok 5673.**
13 »	1 »	**Drugie ś. N. R.**
15 »	4 »	Post Gedalje.
21 »	10 »	**Święto Pojedn.**
26 »	15 »	**Kuczki.**
27 »	16 »	»
2 Października	21 »	**Swięto palm.**
3 »	22 »	**Koniec Kuczek.**
4 »	23 »	**Radość z prawa.**
12 »	1 Marcheszwan.	
11 Listopada	1 Kisiew.	
5 Grudnia	25 »	Pośw. świątyni.
11 »	1 Tebet.	
20 »	10 »	Oblęż. Jer. (post).

(Spis rzeczy na ostatniej stronie kalendarza).



PAMIĘTNIK:

STYCZEŃ ma dni 31.

Dni	Święta Rzymskie.	Święta Ruskie.
1 P.	**Nowy Rok. Obrzezanie P. J.**	19 **HRUDEŃ 1911.** Won.
2 W.	Makarego w. i Martyniana b.	20 Ihnatia ep. mucz.
3 S.	Genowefy p. i Daniela m.	21 Julianyi m.
4 C.	Tytusa b. w. i Eugeniusza. 🌕	22 Anastazyia m.
5 P.	Telesfora pm. i Emiliany p.	23 Mucz. 10 w Kr.
6 S.	**Zjaw. Pańskie. Trzech Króli.**	24 Wihil. do Rożdest.
	Ewang. ś. Łuk. r. 2. O P. Jezusie 12-letnim w kościele.	
7 N.	**1 po 3. Kr.** Juliana i Lucyan.	25 **Rożdżestwo Chrysta**
8 P.	Seweryna i Maksyma bw.	26 **Sobor Pr. Bohor**
9 W.	Marcyany i Witalisa mm.	27 **Stefana mucz.**
10 S.	Agatona p. i Wilhelma b. w.	28 2 tys. mucz.
11 C.	Hygina p. m. i Honoraty. ☾	29 14 tys. ubit. Mład.
12 P.	Arkadyusza i Tacyany mm.	30 Anysyi pr.
13 S.	Weroniki p. i Leoncyusza.	31 Mełanyi Rymlanki.
	Ewang. ś. Jana r. 2. O godach w Kanie Galilejskiej.	
14 N.	**2 po 3 Kr. Im. Jezus.** Hilarego.	1 **1 JANWAR 1912. N. R.**
15 P.	Pawła I pustelnika.	2 Silwestra
16 W.	Marcella pm. i Włodzimierza.	3 Małachia pror.
17 S.	Antoniego op. wyzn.	4 Sob. 70 Ap.
18 C.	Stolicy ś. Piotra w Rzymie.	5 Fteopempta mucz.
19 P.	Ferdynanda w. i Henryka. 🌑	6 **Bohojawł. Hospod.**
20 S.	Fabiana i Sebastyana mm.	7 Sobor S. Joana.
	Ew. ś. Mat. r. 8. O uzdrow. trędowatego i sługi setnika.	
21 N.	**3 po 3 Kr. S. Rodziny.** Agn.	8 **N. po Proświszcz.** H.
22 P.	Wincentego i Anastaz. mm.	9 Połyjewkta mucz.
23 W.	Zaślub. NMP. Raymunda w.	10 Hryhoria.
24 S.	Tymoteusza b. m.	11 Fteodosya prep.
25 C.	Nawrócenie św. Pawła Ap.	12 Tatyanny mucz.
26 P.	Polikarpa bm. i Pauli wd.	13 Jermyła mucz.
27 S.	Jana Złotoust. b. w. d. k. ☽	14 SS. Otec w Synai.
	Ewang. ś. Mateusza r. 8. O uciszeniu burzy na morzu.	
28 N.	**4 po 3 Kr.** Waler. i Juliana.	15 **N. Mytar. i Farys.**
29 P.	Franciszka Sal. i Sabiniana.	16 Petra ap.
30 W.	Martyny i Hiacynty pm.	17 Antonya Wełyk.
31 S.	Piotra Nolask. i Marceli wd.	18 Aftanasya.

Zmiany księżyca.

🌕 Pełnia	d. 4,	2 g.	30 m.	pop.
☾ III. Kwad.	d. 11,	8 g.	43 m.	przedp.
🌑 Nów	d. 19,	12 g.	10 m.	pop.
☽ I. Kwadra	d. 27,	9 g.	46 m.	przedp.

Przepowiednie na Styczeń.

Styczeń przeważnie mroźny. Z początku silne mrozy przy ładnej pogodzie. Od czasu do czasu przymrozki. Od 23 do końca miesiąca czas zmienny z śnieżnymi opadami.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.



PAMIĘTNIK:

LUTY ma dni 29.

Dni	Święta Rzymskie.	Święta Ruskie.
1 C.	*Wig.* Ignac. bm. i Brygidy p.	19 Makarya prep.
2 P.	**Oczyszcz. NMP.** Felicyana.	20 Jeuftymia Weł.
3 S.	Błażeja bm. i Ansgarego. 🌕	21 Maxyma prepod.
	Ewang. ś. Mateusza r. 20. O robotnikach we winnicy.	
4 N.	**Starozap.** Andrzeja i Weron.	22 **N. o Błudnom Syni**
5 P.	Agaty panny m.	23 Kłymenta m.
6 W.	*Modl. P. J. w Ogr.* Doroty p.	24 Ksenyi prepod.
7 S.	Romualda op. wyzn.	25 Hryhorya błoh.
8 C.	Jana z Maty w. i Cyryaka m.	26 Xenofonta prepod.
9 P.	Apolonii pm. Cyryla i Nicef.	27 Joana Złotoust.
10 S.	Scholastyki p. i Wilhelma. ☾	28 Jefrema prepod.
	Ewang. ś. Łuk. r. 8. O siejbie nas. słow. Boż. i słuchaj.	
11 N.	**Męsop.** Zjaw. NMP. w L.	29 **N. Miasop.** Ihnatia
12 P.	Modesta i Eulalii mm.	30 **Trech Swiat**
13 W.	*Wspom. Męki P.* Jul. i Katarz.	31 Kyra i Joana.
14 S.	Walentego kapłana m.	1 **FEWRAŁ.** Tryfona
15 C.	Faustyna m. i Georgii p.	2 **Stritenie Hospod.**
16 P.	Juliany p. m.	3 Symeona Bohopr.
17 S.	Aleksego Falkoner. wyzn.	4 Isydora prepod.
	Ew. ś. Mat. r. 18. P. J. przepowiada Mękę i leczy ślepego.	
18 N.	**Zapustna.** Symeona i Flaw. 🌑	5 **N. Syr.** Ahaftyji m.
19 P.	Konrada w. i Mansweta bw.	6 **Pist Wełyki.** Wukoła.
20 W.	*Słupa biczow.* Leona i Zen.	7 Parftenya prepod.
21 S.	*Popielec.* Fortunat. i Eleonor.	8 Fteodora mucz.
22 C.	Stolicy ś. Piotra w Antyoch.	9 Nykyfora mucz.
23 P.	*Cier. Kor. P. J.* Piotra Dam.	10 Charłampia mucz.
24 S.	Sergiusza bw. i Modesta m.	11 Własya m.
	Ew. ś. Mat. r. 4. O poście i kuszeniu P. Jezusa.	
25 N.	**1 Postu.** Macieja ap. ☽	12 **N. 1 P.** Mełetya ar.
26 P.	Zygfryda b. i Wiktora m.	13 Martyniana.
27 W.	Aleksandra i Małgorz. z K.	14 Awksentia prepod.
28 S.	*Such.* Juliana m. i Leandr.	15 Onysyma ap.
29 C.	Romana op. i Teofila m.	16 Pamfyła mucz.

Zmiany księżyca.

🌕 Pełnia	d. 3,	12 g.	58 m.	przedp.
☾ III. Kwad.	d. 10,	1 g.	51 m.	przedp.
🌑 Nów	d. 18,	6 g.	44 m.	przedp.
☽ I. Kwadra	d. 25,	8 g.	27 m.	pop.

Przepowiednie na Luty.

Luty przeważnie posępny i ponury. Od 1 do 3 pochmurno, następnie mroźno. Od 7 odwilż, która trwa do 17; w czasie odwilży poczyna śnieg padać. Po 18 zimno przejmujące do końca miesiąca.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.



PAMIĘTNIK:

MARZEC ma dni 31.

Dni	Święta Rzymskie.	Święta Ruskie.
1 P.	*Such. Włócz. i Gw.* Albina.	17 Fteodora.
2 S.	*Such.* Heleny wd. i Simplic.	18 Lwa papy Rym.
	Ewang. ś. Mat. r. 17. O przemienieniu P. Jezusa.	
3 **N.**	**2 Postu.** Kunegundy p. 🌕	19 **N. 2 P.** Archyppa
4 P.	Kazimierza w. i Lucyusza p.	20 Lwa epis.
5 W.	Przen. ś. Wacł. i Gerazyma.	21 Tymofteja.
6 S.	Marcyana, Kolety i Felicyty.	22 SS. Mucz. w Ewhen.
7 C.	Tomasza z Akw. w. dk.	23 Połykarpa jep. m.
8 P.	*Całunu P. J.* Jana Bożego w.	24 Obriz. Hł. Joana K.
9 S.	Franciszki Rzym. wd.	25 Tarasja archiep.
	Ewang. ś. Łuk. r. 13. O uzdrowieniu opętan. niemego.	
10 **N.**	**3 Postu.** 40 Męcz. i Makar. 🌗	26 **N. 1 P.** Porfyrya.
11 P.	Konstantyna w. i Sofron. bw.	27 Prokopia.
12 W.	Grzegorza W. pwdk.	28 Wasyłyia prep.
13 S.	Katarz. Bonon. i Krystyny.	29 Kasijana.
14 C.	Leona bm. i Matyldy król.	1 **MART.** Ewdoksiji.
15 P.	Klemensa w. i *5 Ran P. J.*	2 Fteodota mucz.
16 S.	Hilarego bm. i Tacyana m.	3 Jewtropia m.
	Ewang. ś. Jana r. 6. O nasyceniu 5 tysięcy mężów.	
17 **N.**	**4 Postu.** Patryc. i Gertrudy.	4 **N. 4 P.** Harasyma
18 P.	Gabryela i Cyryla jeroz. 🌑	5 Konona mucz.
19 W.	Józefa Obl. N. M. P.	6 SS. 42 Mucz.
20 S.	Eufemii i Teodozyi mm.	7 Wasyłyia mucz.
21 C.	Benedykta op. i Filemona m.	8 Fteofyłakta.
22 P.	*Krwi P. J.* Katarzyny Szw.	9 SS. 40 Muczennyk.
23 S.	Wiktoryana i Pelagii mm.	10 Kondrata m.
	Ewang. ś. Jana r. 8. P. J. uchodzi z kośc. przed ukam.	
24 **N.**	**Męki Pańskiej.** Tymot. i Szym.	11 **N. 5 P.** Sofronia
25 **P.**	**Zwiastowanie NMP.** Kwiryn.	12 Fteofana prepod.
26 W.	Dyzmy i Teodora b. 🌓	13 Nykifora.
27 S.	Jana Damasc. wdk. i Lidyi.	14 Wenedykta.
28 C.	Jana Kap. w. i Sykstusa p.	15 Ahapia mucz.
29 P.	*7 Bol. NMP.* Wiktoryna m.	16 Sawyna mucz.
30 S.	Kwiryna i Jana Klimaka.	17 Ałeksia prep.
	Ewang. ś. Mat. r. 21. O tryumf. wjeździe P. J. do Jerozol.	
31 **N.**	**Palmowa.** Balbiny i Kornelii.	18 **N. 6 P. Cwitonosna.**

Zmiany księżyca.

🌕 Pełnia	d. 3, 11 g.	42 m.	przedp.
🌗 III. Kwad.	d. 10, 8 g.	56 m.	pop.
🌑 Nów	d. 18, 11 g.	9 m.	pop.
🌓 I. Kwadra	d. 26, 4 g.	2 m.	przedp.

Przepowiednie na Marzec.

Marzec przeważnie zmienny, szczególniej w pierwszej połowie. Od 16 do 25 częste deszcze, poczem wypogadza się. Byłby to znak urodzajnego roku.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.



PAMIĘTNIK:

KWIECIEŃ ma dni 30.

Dni	Święta Rzymskie.	Święta Ruskie.
1 P.	*Wielki.* Macierz. NMP. 🌕	19 Chrysanta
2 W.	*Wielki.* Franc. w. i Teodozyi.	20 Joana prep.
3 S.	*Wielka.* Ryszarda i Maryi eg.	21 Jakowa.
4 C.	*Wielki Czwartek.* Izydora.	22 *Czet. wełyk.* Wasył.
5 P.	*Wielki Piątek.* Winc. i Ireny.	23 **Piatok wełyk.** Nikon.
6 S.	*Wielka Sobota.* Celest. i Jul.	24 *Sub. wełyka.* Zach.
	Ewang. ś. Marka r. 16. O zmartwychwstaniu P. J.	
7 **N.**	**Wielkanoc. Zmartw. P. J.** Rufina.	25 **Woskresenie Chrysta**
8 **P.**	**Wielkanocny.** Dyoniz. i Mak.	26 **Ponediłok switłyj.**
9 W.	Hug., Marcell. i Maryi Kl. ☾	27 **Wtorek switłyj.** Matr.
10 S.	Ezechiela pr. i Makar. b.	28 Iłariona pr.
11 C.	Leona p. w. d. k.	29 Marka prep.
12 P.	Zenona bm. i Juliusza pw.	30 Joana Łyst.
13 S.	Hermenegilda kr. m. i Max.	31 Ipatia.
	Ewang. ś. Jana r. 20. O ukaz. się P. J. Ap. i ustan. S. Pok.	
14 **N.**	**Biała. 1 po W.** Justyna i Tyb.	1 **APRIŁ. N. 2 po W.**
15 P.	Anastazyi m. i Wiktoryna.	2 Tyta prepod.
16 W.	Urbana, Julii i Lamberta.	3 Nykity prep.
17 S.	Aniceta pm. i Roberta w. 🌑	4 Josyfa prep.
18 C.	Apolloniusza i Amideusza.	5 Fteoduła m.
19 P.	Tymona dyak. i Leona IX p.	6 Jewtych ep.
20 S.	Wiktora, Antonina i Agn.	7 Hrehor.
	Ewang. ś. Jana r. 10. P. Jezus dobry pasterz.	
21 **N.**	**2 po W. Grobu P. J.** Anzelma.	8 **N. 3 po W.** Irydion.
22 P.	Sotera p., Leona i Teodora b.	9 Jewpsychija.
23 W.	Wojciecha arc. i Jerzego m.	10 Terentija.
24 S.	Fidelisa m. i Bony p. ☽	11 Antypy.
25 C.	† Marka Ew. i Ermina bw.	12 Wasylija.
26 P.	NMP. Dobr. Rady i Marcellin.	13 Artemona jep.
27 S.	Anastaz. p., Teofila i Zyty.	14 Martyna prep.
	Ewang. ś. Jana r. 16. O smutku i radości chrześcian.	
28 **N.**	**3 po W. Urocz. S. Józefa P. K. P.**	15 **N. 4 po W.** Arystar.
29 P.	Piotra m. i Roberta op.	16 Ahapii m.
30 W.	Katarzyny Sen. i Maryana.	17 Symeona.

Zmiany księżyca.

🌕 Pełnia	d. 1,	11 g.	5 m.	pop.
☾ III. Kwad.	d. 9,	4 g.	24 m.	pop.
🌑 Nów	d. 17,	0 g.	40 m.	pop.
☽ I. Kwadra	d. 24,	9 g.	47 m.	przedp.

Przepowiednie na Kwiecień.

Kwiecień przeważnie chłodny, bo aż do 14 — 15 i 16 szron. Od 17 do 24 deszcze spokojne, poczem wypogadza się i odciepla znacznie.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.



PAMIĘTNIK:

MAJ ma dni 31.

Dni		Święta Rzymskie.	Święta Ruskie.
1	S.	Filipa, Jakóba ap. i Zygm. ○	18 Joana prep.
2	C.	Atanazego bwdk.	19 Joana weł.
3	P.	Znal. Krzyża ś. Aleksandra	20 Fteodora prep.
4	S.	Floryana m. i Moniki wd.	21 Januaria m.
		Ewang. św. Jana r. 16. O opiece Ducha ś. nad Kościołem.	
5	**N.**	**4 po W** Piusa V. pw.	22 **N. 5 po W.** Fteodor.
6	P.	Jana w oleju i Heliodora.	23 Heorhia mucz.
7	W.	Domiceli i Benedykta pw.	24 Sawwy.
8	**S.**	**Stanisława bisk. krak. męcz.**	25 Marka ap.
9	C.	Grzegorza z Naz. bwdk. ☾	26 Wasyłyja.
10	P.	Izydora roln. i Antonina bw.	27 Symeona jep.
11	S.	Mamerta b. w. i Franc. Hier.	28 Jasona ap.
		Ewang. ś. Jana r. 16. O modlitwie.	
12	**N.**	**5 po W.** Pankrac. i Nereusza.	29 **N. 6 po W.** 9 mucz.
13	P.	† Serwacego b. w.	30 Jakowa ap.
14	W.	† Bonifacego i Justyny mm.	1 **MAI.** Jerem.
15	S.	† Zofii z 3 c. Cecyl. i Jana S.	2 Aftanazya W.
16	**C.**	**Wniebowstąpienie P. J.** Jana ●	3 **Woznesenije.**
17	P.	Paschalisa i Brunona b. ww.	4 Pełahyi mucz.
18	S.	Feliksa, Eryka i Wenantego.	5 Iryny m.
		Ewang. ś. Jana r. 15. O działaniu Ducha św.	
19	**N.**	**po Wnieb.** Piotra Cel. pw. Iw.	6 **N. 7 po W.** Jowa.
20	P.	Bernardyna S. i Teodora	7 Kresta.
21	W.	Tymoteusza i Wiktora mm.	8 Joan. Boh.
22	S.	Faustyna, Julii i Heleny.	9 Pren. m. Nykołaja.
23	C.	Andrzeja Bob. m. i Juliana ☽	10 Symeona.
24	P.	NPM. Wspomożenia wiern.	11 Mokija.
25	S.	*Wigil.* Grzegorza i Urban. pp.	12 Jepyfania jep.
		Ew. ś. Jana r. 14. O zesł. Ducha ś. i ufności w Bogu.	
26	**N.**	**Zesłanie Ducha ś.** Filipa w.	13 **Sosz. ś. Ducha.**
27	**P.**	**Świątecz.** Bedy wdk. i Jana	14 **Pr. Trojcy.**
28	W.	Augustyn. Emila i Lucyan.	15 Pach. W., Amosa.
29	S.	*Such.* Mar. Magd. i Teodozyi.	16 Fteodora ośw.
30	C.	Feliksa p. Anastazego i Ferd.	17 Andronika.
31	P.	*Such.* Anieli i Petron. pp. ○	18 Fteodota mucz.

Zmiany księżyca.

○ Pełnia	d. 1, 11 g.	19 m.	przedp.
☾ III. Kwad.	d. 9, 10 g.	56 m.	przedp.
● Nów	d. 16, 11 g.	14 m.	pop.
☽ I. Kwadra	d. 23, 3 g.	11 m.	pop.
○ Pełnia	d. 31, 12 g.	30 m.	przedp.

Przepowiednie na Maj.

Maj przeważnie piękny i ciepły. Od 6 do 9 nieco oziębia się i wiatry. Od 10 do bardzo ciepło, pogodnie i sucho. 19 zachmurza się, około 24 trzydniowe ciepłe deszcze, poczem pogoda do końca.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.



PAMIĘTNIK:

CZERWIEC ma dni 30.

Dni	Święta Rzymskie.	Święta Ruskie.
1 S.	*Such.* Jakóba bw. i Fort. w.	19 Patrykija
Ew. ś. Łuk. r. 6. O miłosierdz. — ś. Mat. r. 28. O rozesł. Ap.		
2 **N.**	**1 po Sw. Trójcy S.** Marcelina.	20 **N. 1 po Wsich S.**
3 P.	Erazma i Pauli p. mm.	21 Konstantyna.
4 W.	Franciszka w. i Saturniny	22 Wasyłyja.
5 S.	Bonifacego bm. Faust. i Zen.	23 Michaiła pr.
6 **C.**	**Boże Ciało.** Norb. i Pauliny	24 **Tyło Chrysta.**
7 P.	Roberta op. i Sabiniana.	25 Obr. hł. sw. Joana.
8 S.	Medarda i Wilhelma bw. ☾	26 Karpa ap.
Ewang. ś. Łuk. r. 14. O wezwaniu na wielką wieczerzę.		
9 **N.**	**2 po Sw.** Felicyana i Pelagii	27 **N. 2 po S.** Fterap.
10 P.	Małgorzaty kr. wd. i Amanc.	28 Nykyty ep.
11 W.	Barnaby ap. i Jolanty	29 Teodozyi.
12 S.	Jana w. i Onufrego pust.	30 Izaakija.
13 C.	Antoniego z Padwy wyzn.	31 Jeremia ap.
14 P.	*Serca Jezus.* Bazylego bwdk.	1 **IJUN.** Justyna.
15 S.	Wita, Modesta i Germany 🌑	2 Nykyfora p.
Ewang. ś. Łuk. r. 15. O zgubionej owcy i drachmie.		
16 **N.**	**3 po Sw. Pośw. K. K.** Benona.	3 **N 3 po S.** Mukiłian.
17 P.	Adolfa b. i Hipacego w.	4 Mytrofana patr.
18 W.	Marka i Marceliana mm.	5 Doroftyja
19 S.	Juliany Falk. Gerw. i Prot.	6 Wysaryona prep.
20 C.	Sylwerego i Florentyny p.	7 Fteodota.
21 P.	Alojzego Gonz. i Euzeb. ☽	8 Fteodora jep.
22 S.	Paulina b. i Innocent. p. ww.	9 Kyryła.
Ewang. ś. Łuk. r. 5. O cudownym połowie ryb.		
23 **N.**	**4 po Sw. Urocz. ś. Jana Chrz.** Zen.	10 **N. 4 po S.** Tymoft.
24 P.	Fausta i Firmina mm.	11 Warftołomea ap.
25 W.	Wilhelma op. i Febronii pm.	12 Onufria.
26 S.	Jana i Pawła braci mm.	13 Akiłyny.
27 C.	Władysława kr. wyzn.	14 Ełyseja pr.
28 P.	*Wigil.* Leona II. p. i Ireneusza	15 Amosa pr.
29 **S.**	**Piotra i Pawła Apostołów.** 🌕	16 Tychona prepod.
Ewang. ś. Mat. r. 5. O sprawiedliwości chrześc.		
30 **N.**	**5 po Sw.** Lucyny i Emilian.	17 **N. 5 po S.** Manuiła.

Zmiany księżyca.

☾ III. Kwad.	d. 8,	3 g.	36 m.	przedp.
🌑 Nów	d. 15,	7 g.	24 m.	przedp.
☽ I. Kwadra	d. 21,	9 g.	39 m.	pop.
🌕 Pełnia	d. 29,	2 g.	34 m.	pop.

Przepowiednie na Czerwiec.

Czerwiec przeważnie zmienny i stosunkowo chłodny. Z początku do 9 pogoda i ciepło, od 10 do 12 deszcze, 13 pięknie się wypogadza, na krótko, 15 deszcze aż do 20, do końca pochmurno i chłod.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.



PAMIĘTNIK:

LIPIEC ma dni 31.

Dni	Święta Rzymskie.	Święta Ruskie.
1 P.	Rumolda bm. i Teobalda.	18 Łeontija, Ipatia.
2 W.	Nawiedz. N. P. M. i Ottona.	19 Judy Ft.
3 S.	Anatola i Heliodora bb. ww.	20 Meftodia jep.
4 C.	Teodora i Udalryka bbww.	21 Julijana m.
5 P.	Antoniego w. i Filomeny p.	22 Jewsewia jep.
6 S.	Izajasza pr. i Dominiki p.	23 Ahrypiny mucz.
	Ewang. ś. Marka r. 8. O nasyceniu 4 tys. ludzi.	
7 N.	**6 po Św. Jana Dukl.** Cyryla ☾	24 **N. 6 po S. Rożd. s. Joa.**
8 P.	*Najdr. Krwi P. J.* Elżbiety.	25 Fewronyi prep.
9 W.	Weroniki p. i Mikoł. z tow.	26 Dawyda.
10 S.	7 Br. mm., Januar., Amalii.	27 Sampsona pr.
11 C.	Piusa pm., Pelagii i Sabina.	28 Kyra i Joana.
12 P.	Jana Gwalb., Feliksa i Marc.	29 **Petra i Pawła.**
13 S.	Małgorzaty p. i Anakleta p.	30 Sob. SS. Apost.
	Ewang. św. Mat. r. 7. O strzeżeniu się fałsz. proroków.	
14 N.	**7 po Św.** Bonawentury b. 🌑	1 **JUŁYJ. N. 7 po S.** s. Otec
15 P.	Rozesł. Ap. Henryka i Daw.	2 Położ. ryzy pr. B.
16 W.	NPM. Szkapl. Andrz. Bened.	3 Jakynfta.
17 S.	Aleksego w. i Marceliny p.	4 Andreia ar.
18 C.	Szymona z Lip. i Kamilla w.	5 Aftanazya.
19 P.	Wincentego à Paulo w.	6 Łukiji i Łukija.
20 S.	Czesława i Hieronima ww.	7 Ftomy pr.
	Ewang. ś. Łuk. r. 16. O roztropnym włodarzu.	
21 N.	**8 po Św.** Praks. i Daniela. ☽	8 **N. 8 po S.** Prokop.
22 P.	Maryi Magdaleny i Teofila	9 Pankratija.
23 W.	Apolinarego i Liborego bb.	10 SS. 45 M., Antonija.
24 S.	Krystyny i Franc. Solan. w.	11 Jewtymyi mucz.
25 C.	Jakóba Apost. i Krzysztofa	12 Prokła m.
26 P.	Anny wd. i Szymona pustel.	13 Sobor. arch. Hawr.
27 S.	Pantaleona, Aurelii i Natalii.	14 Akyły ap.
	Ewang. ś. Łuk. r. 19. O płaczu P. J. nad Jeroz. i wyp. przek.	
28 N.	**9 po Św. Kuneg kr. p.** Wiktora.	15 **N. 9 po S.** Kyryaka.
29 P.	Marty, Feliksa i Olawa kr. 🌕	16 Aftynohena.
30 W.	Abdona i Julity mw.	17 Martyny.
31 S.	Ignacego Loyoli i Heleny m.	18 Jemyłyana.

Zmiany księżyca.

☾ III. Kwad.	d. 7,	5 g.	47 m.	pop.
🌑 Nów	d. 14,	2 g.	13 m.	pop.
☽ I. Kwadra	d. 21,	6 g.	18 m.	przedp.
🌕 Pełnia	d. 29,	5 g.	28 m.	przedp.

Przepowiednie na Lipiec.

Lipiec dość burzliwy. Do 5 panują burze przejściowe. Od 6 do 20 częste deszcze, od czasu do czasu z burzami; przy końcu miesiąca wypogadza się i pogoda trwa do końca.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.



PAMIĘTNIK:

SIERPIEŃ ma dni 31.

Dni	Święta Rzymskie.	Święta Ruskie.
1 C.	Piotra w okow. i Justyna m.	19 Makryny.
2 P.	NMP. Anielsk. i Alfonsa Lig.	20 Iłyi pror.
3 S.	Znal. św. Stefana i Lidyi.	21 Symeona pr.
	Ewang. ś. Łuk. r. 18. O faryzeuszu i celniku.	
4 **N.**	**10 po Św.** Dominika i Jana.	22 **N. 10 po S.** Maryi M.
5 P.	NMP. Snież. i Oswalda kr.	23 Trofyma mucz.
6 W.	Przem. P. J. Sykstusa. ☾	24 Borysa.
7 S.	Kajetana w. i Donata bm.	25 Uspen. św. Anny.
8 C.	Cyryaka m. i Mirona bw.	26 Jermołaja.
9 P.	Romana żołn. i Juliana m.	27 Pantajłemona m.
10 S.	Wawrzyńca dyak. i Pauli m.	28 Prohora ap.
	Ewang. ś. Marka r. 8. O uzdrowieniu głuchoniemego.	
11 **N.**	**11 po Św.** Tyburc., Zuz. i Fil.	29 **N. 11 po S.** Kałyn.
12 P.	Klary p. i Hilaryi m. 🌑	30 Syły apost.
13 W.	Jana Berchm. w., Hipolita.	31 Jewdokyma.
14 S.	*Wigil.* Euzeb. i Atanazyi.	1 **AWGUST.** Proizs.
15 **C.**	**Wniebowzięcie N. Maryi P.**	2 Stefana mucz.
16 P.	Rocha w. i Tarsycyusza m.	3 Isaakya prep.
17 S.	Liberata op. m. i Juliany.	4 Sedmy Otrokov.
	Ewang. ś. Łuk. r. 10. O miłosiernym Samarytaninie.	
18 **N.**	**12 po Św. Jacka Odrow.** Agap.	5 **N. 12 po Św.** Jewsyh.
19 P.	Juliusza m. i Maryana w. ☽	6 **Preobr. Hospod.**
20 W.	Bernarda wdk. i Samuela.	7 Dometria.
21 S.	Joanny Franciszki Chantal.	8 Jemełyana.
22 C.	Tymoteusza i Hipolita mm.	9 Mafteja m.
23 P.	Filipa Benic. w. i Apolinar.	10 Laurentya.
24 S.	Bartłomieja apost.	11 Jewpła mucz.
	Ewang. ś. Łuk. r. 17. O uzdrowieniu 10 trędowatych.	
25 **N.**	**13 po Św. Serca NMP.** Ludwika.	12 **N. 13 po S.** Fotya m.
26 P.	Zefiryna p. i Wiktora mm.	13 Maksyma prep.
27 W.	Józ. Kalas. Przen. S. Kaz. 🌕	14 Michea.
28 S.	*NPM. Jasnogórs.* Augustyna.	15 **Uspenye Bohor.**
29 C.	Scięcie św. Jana i Sabiny m.	16 Nerukotworen Ob.
30 P.	Róży Lim. p. Feliksa m.	17 Myrona.
31 S.	Rajmunda w. i Paulina bm.	18 Flora i Ławra m.

Zmiany księżyca

☾ III. Kwad.	d. 6,	5 g.	18 m.	przedp.
🌑 Nów	d. 12,	8 g.	58 m.	pop.
☽ I. Kwadra	d. 19,	5 g.	57 m.	pop.
🌕 Pełnia	d. 27,	8 g.	59 m.	pop.

Przepowiednie na Sierpień.

Sierpień przeważnie gorący. Do 3 upały. Od 4 do 17 zmienna pogoda. Od 18 do końca miesiąca powracają znowu upały.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.



PAMIĘTNIK:

WRZESIEŃ ma dni 30.

Dni	Święta Rzymskie.	Święta Ruskie.
	Ewang. ś. Mat. r. 6. O służbie dwom panom.	
1 N.	**14 po Św. Joach. w.** Bronisł.	19 **N. 14 po S.** Andrea.
2 P.	Stefana kr., Diomed. i Julian.	20 Samuela pror.
3 W.	Eufemii i Zenona mm.	21 Ftadeda.
4 S.	Rozalii Paler. i Róży Wit. ☾	22 Ahaftonyka.
5 C.	Wawrzyńca bw. i Makarego.	23 Łuppa m.
6 P.	Zacharyasza pr. i Eugeniusza	24 Jewtychia mucz.
7 S.	Anastazego i Reginy p. mm.	25 Warftołomea ap.
	Ewang. ś. Łuk. r. 7. O wskrzeszeniu młodz. z Naim.	
8 N.	**15 po Św. Narodz. NMP.** Hadr.	26 **N. 15 po S.** Adryana
9 P.	Gorgoniego i Sergiusza pw.	27 Pymona prep.
10 W.	Mikołaja w. i Pulcheryi p.	28 Moysea m.
11 S.	Prota, Jacka mm. i Teod. 🌑	29 Usiknow. Hławy.
12 C.	*Im. Maryi.* Waleryana m.	30 Ałeksandra.
13 P.	Filipa męcz. i Amata bw.	31 Poł. poi. Pr. Bohor.
14 S.	Podwyższenie Krzyża św.	1 **SENTIABR.** Symeon.
	Ewang. ś. Łuk. r. 14. O uleczeniu opuchłego w szabat.	
15 N.	**16 po Św. 7 Bol. NMP.** Nikom.	2 **N. 16 po S.** Mamant.
16 P.	Kornel. p., Cypr. i Eufemii.	3 Anftyma mucz.
17 W.	Piętna S. Franc. Kolumby	4 Wawyły.
18 S.	*Such.* Józefa z K. w. i Iren. ☽	5 Zacharya.
19 C.	Januarego bm. i Konstancyi.	6 Wosp. cz. Mar.
20 P.	*Such.* Eustach. i Zuzanny m.	7 Makarya.
21 S.	*Such.* Mateusza a. e. Ifigenii.	8 **Rożdż. Bohor.**
	Ewang. ś. Mat. r. 22. O największem przyk. miłości.	
22 N.	**17 po Św.** Tomasza z Will. b.	9 **N. 17 po S,** Joakima.
23 P.	Lina p. m. i Tekli pm.	10 Mynodora prep.
24 W.	NPM. Wykupu. Gerarda b.	11 Fteodory p.
25 S.	Ładysława z Gieln. i Aurelii.	12 Awtonoma.
26 C.	Cypryana i Justyny mm. 🌕	13 Kornyła.
27 P.	Przenies. ś. Stan., Kosmy i D.	14 **Wozn. s. Kresta.**
28 S.	Wacława m. i Eustochii p.	15 Nykity mucz.
	Ewang. ś. Mat. r. 9. O uzdrowieniu paralityka.	
29 N.	**18 po Św.** Michała archan.	16 **N. 18 po S.** Josafata
30 P.	Hieronima wdk. i Zofii wd.	17 Sofiji mucz.

Zmiany księżyca.

☾ III. Kwad.	d. 4,	2 g.	23 m.	pop.
🌑 Nów	d. 11,	4 g.	49 m.	przedp.
☽ I. Kwadra	d. 18,	8 g.	55 m.	przedp.
🌕 Pełnia	d. 26,	0 g.	34 m.	pop.

Przepowiednie na Wrzesień.

Wrzesień przeważnie pogodny. Do 6 pięknie a nawet gorąco; od 7 do 11 miejscami deszcze i burze, poczem znowu pięknie, aż do końca miesiąca.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.



PAMIĘTNIK:

PAŹDZIERNIK ma dni 31.

Dni	Święta Rzymskie.	Święta Ruskie.
1 W.	Remig. Julii i Sewera w.	18 Ewmanija.
2 S.	Aniołów Stróżów, Teofila m.	19 Trofyma m.
3 C.	Gerarda op. i Kandyda m. ☾	20 Eustachia.
4 P.	Franciszka Serafickiego.	21 Konrada ap.
5 S.	Placyda i Flawii p. mm.	22 Foky mucz.
	Ewang. ś. Mat. r. 22. O szacie godowej.	
6 **N.**	**19 po Św. NMP. Róż.** Brunona.	23 **N. 19 po S.** Zacz. s. J.
7 P.	Birgity wd., Marka i Justyny	24 Ftekły mucz.
8 W.	Laurencyi i Pelagii pok.	25 Jewrosyny.
9 S.	Dyonizego z tow. i Ludwika	26 Jana Boh.
10 C.	*Zwyc. pod Choc.* Franc. B. ●	27 Kałystrat.
11 P.	Firmina bw. i Zenajdy.	28 Charytona prep.
12 S.	Maksymiliana bm. i Eustach.	29 Kyriaka prepod.
	Ewang. ś. Jana r. 4. O uzdrowieniu syna królika.	
13 **N.**	**20 po Św. Winc. Kadł.** Edwarda.	30 **N. 20 po Sw.** Hryhor.
14 P.	Kallista pm. i Fortunaty.	1 **OCTIABR** † Pokr. B.
15 W.	Jadwigi wd., Teresy p.	2 Kypryana.
16 S.	Saturnina m. i Florentyna.	3 Dyonysya.
17 C.	Wiktora bw. i Małgorzaty p.	4 Jerofteja.
18 P.	Łukasza ewang. i Tryfonii. ☽	5 Charytyny mucz.
19 S.	Piotra z Alk. i Pelagii p.	6 Ftomy apost.
	Ewang. ś. Mat. r. 18. O słudze niemiłosiernym.	
20 **N.**	**21 po Sw. Jana Kant.** Ireny.	7 **N. 21 po S.** Sergia.
21 P.	Urszuli z tow. i Hilaryona.	8 Pałahyi m.
22 W.	Filipa b. i Korduli p. mm.	9 Jakowa.
23 S.	Teodora, Ignac. i Seweryna.	10 Jawłamp.
24 C.	Rafała arch. i Fortunata.	11 Fyłypa m.
25 P.	Chryzanta, Daryi, Kryspina.	12 Tarasia.
26 S.	Ewarysta, Lucyana, Fulk. ○	13 Karpa i Papyła.
	Ewang. ś. Mat. r. 22. O monecie czynszowej.	
27 **N.**	**22 po Sw.** Sabiny, Iwona.	14 **N. 22 po S.** Parask.
28 P.	Szymona i Tadeusza ap.	15 Ewtymija.
29 W.	Zenobiusza m. i Narcyza b.	16 Łonhyjana.
30 S.	Alfonsa Rodryc. i Gerarda.	17 Osyi pr.
31 C.	*Wigil.* Lucylli m. i Antonina.	18 Łuki ap.

Zmiany księżyca.

☾ III. Kwad.	d. 3,	9 g.	48 m.	pop.
● Nów	d. 10,	2 g.	41 m.	pop.
☽ I. Kwadra	d. 18,	3 g.	6 m.	przedp.
○ Pełnia	d. 26,	3 g.	30 m.	przedp.

Przepowiednie na Październik.

Październik posępny i pochmurny. Do 9 niestała pogoda; od 10 do 13 deszcz; od 14 do 18 pochmurno, do końca miesiąca nocy pochmurne i chłodne, dni jasne i cieplejsze.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.



PAMIĘTNIK:

LISTOPAD ma dni 30.

Dni		Święta Rzymskie.	Święta Ruskie.
1	P.	**Wszystkich Świętych.** Marc.	19 Joiła pror.
2	S.	*Dzień Zaduszny.* Wiktor. ☾	20 Artemia m.
Ewang. ś. Mat. r. 9. O uzdr. córki Jaira i chor. niewiasty.			
3	**N.**	**23 po Św.** Huberta, Sylwii.	21 **N. 23 po S.** Iłariona.
4	P.	Karola Bor. bw. i Modesty p.	22 Awerkija jep.
5	W.	Zachar. i Elżbiety.	23 Jakowa.
6	S.	Leonarda w. i Feliksa m.	24 Arefty m.
7	C.	Amaranta m. i Florentego b.	25 Markyana.
8	P.	Sewera i Wiktoryna mm.	26 **Dymytrya mucz.**
9	S.	Teodora żołn. i Ursyna w. 🌑	27 Nestora mucz.
Ew. z N. 5 po 3 Kr. ś. Mat. r. 13. O kąkolu między pszenicą.			
10	**N.**	**24 po Sw. Opieki NMP.** Andrz.	28 **N. 24 po S.** Terent.
11	P.	Marcina b. w. i Felicyana m.	29 Anastazyi mucz.
12	W.	5 Br. MM. Chrystyana.	30 Zynowija.
13	S.	Dydaka w. i Eugeniusza b.	31 Stachya.
14	C.	Jozafata i Hipacego bbmm.	1 **NOJABR.** Kosmy.
15	P.	Gertrudy p. i Leopolda w.	2 Akindina.
16	S.	Edmunda bw. Otmara op. ☽	3 Akefimy.
Ew. z N. 6 po 3 Kr. ś. Mat. r. 13. O ziarnie gorcz. i kwasie.			
17	**N.**	**25 po S. Stan. Kostk.** Salomei p.	4 **N. 25 po S.** Joannyk.
18	P.	Romana m. i Odona op.	5 Hałaktijona mucz.
19	W.	Elżbiety wd., Poncyana p.	6 Pawła.
20	S.	Feliksa Walez. i Edmunda.	7 Jerona.
21	C.	Ofiarow. NMP. i Alberta b.	8 **Mychaiła arch.**
22	P.	Cecylii pm. i Filemona m.	9 Onysifora mucz.
23	S.	Klemensa pm. i Lukrecyi p.	10 Erasta apost.
Ew. św. Mat. r. 24. O znak. poprz. zburz. Jeroz. i sąd pow.			
24	**N.**	**26 ost. po Sw.** Jana w., Flor. 🌕	11 **N. 24 po S.** Myny m.
25	P.	Katarzyny pm. i Erazma m.	12 Josafata.
26	W.	Sylwestra op., Konrada b.	13 Joanna.
27	S.	Waleryana i Maksyma bbw.	14 Fyłypa.
28	C.	Florencyana i Grzegorza pw.	15 Hurya i Sam.
29	P.	Saturnina m. i Illuminaty.	16 Maftea jewang.
30	S.	Andrzeja ap. i Justyny.	17 Hryhorya jep.

Zmiany księżyca.

☾ III. Kwad.	d. 2,	4 g.	38 m.	przedp.
🌑 Nów	d. 9,	3 g.	5 m.	przedp.
☽ I. Kwadra	d. 6,	11 g.	43 m.	pop.
🌕 Pełnia	d. 24,	5 g.	12 m.	pop.

Przepowiednie na Listopad.

Listopad przeważnie wietrzny. Do 8 pogoda i wiatry; od 9 do 12 deszcz; od 12 do 17 prawie stała pogoda: od 18 do 24 naprzemian deszcz, wiatr, śnieg; do końca miesiąca pochmurno i chłodno.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.



PAMIĘTNIK:

GRUDZIEŃ ma dni 31.

Dni	Święta Rzymskie.	Święta Ruskie.
	Ewang. ś. Łuk. r. 21. O znakach sądu powszechnego.	
1 N	**1. Adw.** Elig. b., Natalii. ☾	18 **N. 27 po S.** Płatona.
2 P.	Bibiany, Pauliny i Aur.	19 Awdya pror.
3 W.	Franciszka Ksaw. i Hilaryi.	20 Prokła.
4 S.	*Post.* Barbary pm., Piotra b.	21 **Wowed. Bohorod.**
5 C.	Anastazego i Kryspiny mm.	22 Fyłymona.
6 P.	*Post.* Mikołaja b. i Leoncyi.	23 Amfyłochia.
7 S.	*Wigil.* Ambrożego bwdk.	24 Jekataryny mucz.
	Ewang. ś. Łuk. r. 1. O poselstwie archanioła Gabriela.	
8 **N.**	**2 Adw. Niepokal. Pocz. NMP.** ●	25 **N. 28 po S.** Kłyment.
9 P.	Leokadyi i Waleryi.	26 Ałypija prepod.
10 W.	NMP. Loret. i Julii pm.	27 Jakowa.
11 S.	*Post.* Damazego pw. i Sabin.	28 Stefana mucz.
12 C.	Aleksandra i Dyonizyi m.	29 Paramona.
13 P.	*Post.* Łucyi, Otylii i Eugen.	30 Andreja mucz.
14 S.	Izydora m. i Spirydyona.	1 **DEKABR.** Nauma.
	Ewang. ś. Jana r. 1. O poselstwie żydów do ś. Jana Chrz.	
15 **N.**	**3 Adw.** Wiktora, Waleryana.	2 **N. 1 Adw.** Awwak.
16 P.	Euzebiusza i Albiny mm. ☽	3 Sofonija pror.
17 W.	Łazarza b. i Olimpii wd.	4 Warwary.
18 S.	*Such.* Oczekiwanie NMP.	5 Sawwy op.
19 C.	Tymot. Urbana p. i Fausty	6 **Nykołaja czud.**
20 P.	*Such.* Bogumiła i Juliusza	7 Amwrosya jep.
21 S.	*Such.* Tomasza ap. i Sewer.	8 **Zacz. Boh.**
	Ew. ś. Łuk. r. 3. O przygot. ludzi na przyjęcie Zbawcy.	
22 **N.**	**4 Adw.** Zenona ż. i Honorat.	9 **N. 2 Adw.** Patapija.
23 P.	Wiktoryi i Migdona mm.	10 Myny Jermoh m.
24 W.	*Wigil.* Adama i Ewy. ○	11 Danyiła.
25 **S.**	**Boże Narodzenie.**	12 Spyridona.
26 **C.**	**Stefana pierwszego męczennik**	13 Ewstratia.
27 P.	Jana apost. ewangel.	14 Ftyrsa mucz.
28 S.	Młodzianków i Wiktora.	15 Jełewterya jep.
	Ew. ś. Łuk. r. 2. O objaw. P. J. Symeonowi i Annie pr.	
29 **N.**	**1 po Boż. Nar.** Tom. bm., Daw.	16 **N. 3 Adw.** Ahhea.
30 P.	Sabina i Eugeniusza bb. ☾	17 Danyiła pror.
31 W.	Sylwestra pw. i Melanii mł.	18 Sewastyana.

Zmiany księżyca.

☾ III. Kwad.	d. 1,	12 g.	5 m.	pop.
● Nów	d. 8,	6 g.	7 m.	pop.
☽ I. Kwadra	d. 16,	9 g.	6 m.	pop.
○ Pełnia	d. 24,	5 g.	30 m.	przedp.
☾ III. Kwad.	d. 30,	9 g.	12 m.	przedp.

Przepowiednie na Grudzień.

Grudzień przeważnie zimny. W pierwszym tygodniu śnieżno, w drugim wichury, w trzecim przymrozki, zaś w ostatnim silne mrozy i wiatry.

Zapiski rachunkowe.

Dnia	PRZEDMIOT	Dochody		Wydatki	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.

Schematyzm kościelny.

Papież 264-ty

Jego Świątobliwość Pius X.,

Namiestnik Jezusa Chrystusa i Następca Księcia Apostołów; Patryarcha Zachodu, Prymas Włoch, Arcybiskup i Metropolita prowincyi rzymskiej, Biskup Rzymu, Głowa widzialna całego Kościoła, władca udzielny w dobrach i posiadłościach doczesnych Stolicy św. Nazwisko rodzinne Józef Sarto, ur. w Riese 2-go czerwca 1835, wybrany Papieżem 4-go sierpnia, koronowany 9-go sierpnia 1903 r.

Arcybiskupi i biskupi w Galicyi.

Kraków. Stolica nieobsadzona.
Ks. Anatol Nowak, biskup tyt. irenopolski, scholast. kat. krak Sufragan.

Lwów. Ks. Józef Bilczewski, Arcybiskup-metropolita obrz. łac., Dr Teol., asystent tronu papieskiego, człon. austr. Izby panów i Sejmu kraj., rzecz. tajny radca.
Ks Dr Władysław Bandurski, biskup tyt. cydoński, Sufragan lwowski obrz. łać.
Ks Józef Teodorowicz, Arcybiskup-metropolita ormiańsko-katolicki, członek austr. Izby panów, Sejmu kraj. i Rady szkolnej krajowej.
Ks. Andrzej ze Szeptyc Szeptycki, zak. Bazylianów, Arcybiskup-metropolita obrz. grecko-kat., członek austr. Izby panów i wicemarszałek Sejmu kraj, rzecz. tajny radca.

Przemyśl. Ks. Józef Pelczar, Biskup obrz. łac., Dr Teol., asystent tronu pap., prałat dom. Jego Świąt., członek Sejmu krajowego.
Ks. Karol Fischer, Biskup tyt. malleński, kan. kat. przemyski, Sufragan obrz. łac.
Ks. Konstantyn Czechowicz, Biskup obrz. gr.-kat., asystent tronu pap. i prałat dom. J. Świąt., członek Sejmu kraj., oraz austr. Izby panów.

Tarnów. Ks. Leon Wałęga, Biskup, Dr św. Teol., członek Sejmu krajowego.

Stanisławów. Ks. Grzegorz Chomyszyn, Biskup ob. gr.-kat., członek Sejmu kraj.

Pod zaborem rosyjskim.

1) w Królestwie Kongresowem:

Arcybiskup-metrop. warszawski: **Ks. Wincenty Teofil Chościak Popiel.**
Sufragan warszawski: **Ks Kazimierz Ruszkiewicz,** biskup tyt. beryssenski.
Sufragan łowicki: nieobsadzone.
Biskup kielecki: **Ks. Augustyn Łosiński.**
Biskup kujawsko-kaliski: **Ks. Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki.**
Biskup płocki: **Ks Antoni Nowowiejski.**
Biskup lubelski: **Ks. Franciszek Jaczewski.**
Biskup sandomierski: **Ks. Maryan Ryx.**
Biskup sejneński: **Ks. Antoni Karaś.**
Sufragan sejneński: nieobsadzone.
Biskup podlaski czyli janowski: nieobsadzone.
Biskup chełmski obrz. gr.-rus.: nieobsadzone.

2) na Litwie i Rusi:

Arcybiskup metrop. mohilewski: **Ks. Wincenty Kluczyński.**
Sufragan mohilewski: **Ks Jan Cieplak.**
Biskup wileński: **Ks. Edward bar. Ropp.**
Biskup żmudzki: **Ks. Caspar Felicyan Cyrtowt.**
Sufragan żmudzki: nieobsadzone.
Biskup łucko-żytomierski: nieobsadzone.
Sufragan łucko-żytomierski: **Ks. Longin Żarnowiecki.**
Biskup miński: nieobsadzone.
Biskup tyraspolski: **Ks Józef Kessler.**
Sufragan tyraspolski: nieobsadzone.
Biskup kamieniecki: nieobsadzone.

W zaborze pruskim.

Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański: nieobsadz.
Sufragan poznański: **Ks. Edward Likowski,** biskup tyt. aureliopolski.
Sufragan gnieźnieński: **Ks. Kloske.**
Biskup warmiński: **Ks. Andrzej Thiel.**
Sufragan warmiński: **Ks. Edward Hermann,** biskup tyt. cybistryjski.
Książę-biskup wrocławski: **Ks. kard. Jerzy Kopp.**
Sufragan wrocławski: **Ks. Henryk Marx,** biskup tyt. kolesseński.
Biskup chełmiński: **Ks. Aug. Rosentreter.**
Sufragan chełmiński: **Ks. Jan Klunder,** biskup szlimbryjski.

Biskupi Polacy żyjący:

Ks Karol Hryniewiecki, tytul. arcybiskup pergeński, b. wileński, kan. metr. lwowski.
Ks. Władysław Michał Zaleski, arcybiskup tyt. tebański, delegat apost. Indyj wschod.
Ks. Franciszek Albin Symon, arcybisk. tyt. attalijski, b. biskup płocki.
Ks. Soter Ortyński, z zakonu OO. Bazylianów, biskup dla ruskich wychodźców w Ameryce.
Ks. Paweł Rhode, biskup polski dla Stanów Zjednoczonych.
Ks Stefan Denisewicz, bisk. tyt. klaudyopolski, mieszka w Petersburgu.



Poczet książąt i królów polskich od roku 550 do 1795.

Polska przedhistoryczna.

	rok
Lech I. (jak przypuszczają)	550
Krakus	700
Lech II.	730
Wanda	740
Przemysław zwany Leszkiem I.	760
Leszek II.	794
Leszek III.	810
Popiel I.	825
Popiel II.	840
Piast	842

Piastowie pogańscy.

Ziemowit	861
Leszek IV.	892
Ziemomysł	921

Polska pierwszych królów.

Mieczysław I.	962—992
Bolesław I. Chrobry	992-1025
Mieczysław II. Gnuśny	1025—1034
Bezkrólewie.	
Kazimierz I. Odnowiciel	1040—1058
Bolesław II. Śmiały	1058—1079
Władysław Herman	1079 1102
Bolesław III. Krzywousty	1102-1138

Polska w podziałach.

	rok
Władysław II.	1138-1146
Bolesław IV. Kędzierzawy	1145—1173
Mieczysław III. Stary	1173—1177
Kazimierz II. Sprawiedliwy	1177—1194
Mieczysław Stary (powtórnie)	1194-1202
Władysław Laskonogi	1202-1206
Leszek Biały	1206-1227
Bolesław V. Wstydliwy	1227—1279
Leszek Czarny	1279—1288
Bezkrólewie.	
Przemysław I.	1295 (7 mies.)
Władysław Łokietek	1296—1300
Wacław Czeski	1300—1305
Władysław Łokietek (powtórnie)	1305—1333

Ostatni Piastowie.

Kazimierz III. Wielki	1333—1370
Ludwik węgierski	1370—1382
Bezkrólewie.	
Jadwiga	1384—1386

Jagiellonowie.

Władysław Jagiełło	1386—1434
Władysław Warneńczyk	1434—1444
Kazimierz IV. Jagiellończyk	1444—1492
Jan Olbracht	1492—1501
Aleksander	1501 1506
Zygmunt I. Stary	1506—1548
Zygmunt II. August	1548—1572

Królowie obieralni.

Henryk Walezy	1574 (5 mies.)
Stefan Batory	1576—1586
Zygmunt III. Waza	1586—1632
Władysław IV. Waza	1632—1648
Jan Kazimierz Waza	1648—1668
Michał Korybut Wiśniowiecki	1668—1673
Jan III. Sobieski	1674—1696
August II. Sas	1697—1733
Stanisław Leszczyński	1706—1709
August III. Sas	1733—1763
Stanisław August Poniatowski	1764—1795



Genealogia austryackiego Domu panującego.

(Ród Habsbursko-Lotaryński).

Franciszek Józef I. (Karol). Cesarz Austryi, Apostolski król Węgier i t. d., urodz. w Wiedniu (Schönbrunn) d. 18. sierpnia 1830, objął rządy 2. grudnia 1848 r., po zrzeczeniu się tronu swego stryja, cesarza Ferdynanda I. i zrzeczeniu się następstwa tronu swego ojca arcyksięcia Franciszka Karola. Koronowany królem Węgier w Budapeszcie 8. czerwca 1867. Ożenił się d. 24. kwietnia 1854 z

Cesarzową † **Elżbietą**, (Amalią, Eugenią), córką Jego kr. Wysokości Maksymiliana, księcia bawarskiego. Najwyższa protektorka orderu gwiazdy krzyżowej, najwyższa protektorka szlacheckiego damskiego instytutu „Mariaschul" w Bernie i t. d., ur. 24. grudnia 1837 r. w Posenhofen, ukoronowana jako królowa Węgier d. 8. czerwca 1867 r., zamordowana przez anarchistę d. 10. września 1898 w Genewie.

Dzieci:

1. † **Zofia** (Fryderyka, Dorota, Marya, Józefa) ces. księż. arcyks. austryacka i t. d., ur. w Wiedniu 5. marca 1855 r., um. w Budapeszcie d. 29. maja 1857 r.

2. **Gizela** (Ludwika, Marya), cesar. księż. i arcyks. austr. i t. d., urodz. 12. lipca 1856 w Laksenburgu, zaślubiona d. 20. kwietnia 1873 r. **Leopoldowi**, ks. bawar., właść. 7 pułku artyleryi, ur. 9 lutego 1846.

3. † **Rudolf** (Franciszek, Karol, Józef. ces. i kr. następca tronu, królewicz węg. i t d, arcyks. austr., c. i kr. marszałek porucznik, jener. inspektor c. i kr. piechoty, urodz. w Laksenburgu d. 21. sierpnia 1858, ożenił się w Wiedniu 10. maja 1881 r.; um. 30, stycznia 1889.

Małżonka: **Stefania** (Klotylda, Ludwika, Hermina, Marya, Karolina), córka Jego kr. Mości Leopolda II., króla Belgii, ur. 21. maja 1864 r.. wdowa od d. 30. stycznia 1889, zaślubiona powtórnie 22. marca 1900 hr. Elemerowi Lonyay.

Córka: **Elżbieta** (Marya, Henryka, Stefania, Gizela), arcyks. austr., ur. 2 września 1883 r., zaślubiona d 23. stycznia 1902 ks. Windischgrätzowi.

4. **Marya Walerya** (Matylda, Marya), arcyks. austr., ur. 22. kwietnia 1868 w Budapeszcie, zaślubiona 31. lipca 1890 arcyksięciu **Franciszkowi Salwatorowi**, c. i kr. marszałkowi porucz. i komendantowi dywizyi kawaleryi w Wiedniu, ur. 21. sierpnia 1866.

Dzieci: 1 **Elżbieta** (Franciszka, Marya, Karolina, Ignacya), ur. 27 stycznia 1892.
2) **Franciszek** (Karol, Salwator, Marya, Józef, Ignacy, ur. 17. lutego 1893.
3) **Hubert** (Salwator), ur. 30. kwietnia 1894.
4) **Jadwiga** (Marya Immakulata), ur. 24 września 1896.
5) **Teodor** (Salwator), ur. 9. października 1899.
6) **Gertruda** (Marya, Gizela). ur. 19 listopada 1900 r.
7) **Marya Teresa,** urodzona 19. listopada 1901.
8) **Klemens** (Salwator), urodz. 6. paźdz. 1904.
9) **Matylda Marya,** urodz. 9. sierpnia 1906.

Bracia Cesarza.

1) † **Maksymilian I.** (Ferdynand, Józef) urodzony 6. lipca 1832, przyjął koronę Meksyku 10. kwietnia 1864; umarł dn. 19. czerwca 1867.

Wdowa po nim **Karolina**, córka † Leopolda I. króla Belgii, urodz. 7. czerwca 1840, zaślubiona 27. lipca 1857 roku, wdowa od 19. czerwca 1867.

2) † Arcyksiążę **Karol Ludwik** (Józef, Marya) jenerał kawaleryi i właściciel 7 go pułku ułanów, ur. 30. lipca 1833, um. 19. maja 1896 r., zaślubiony: I-szy raz 4. listopada 1856 z **Małgorzatą** (ur. 24. maja 1840, † 15. września 1858), córką † Jnna kr. Saksonii; II-gi raz 21. październ. 1862, z **Marya-Anuncyatą** (ur. 24. marca 1843, † 4. maja 1871), córką † Ferdynanda II., króla Obojga Sycylii; III-ci raz zaślubiony dn. 23. lipca 1873 r. z

Maryą Teresą Braganca, ur. 24. sierpnia 1855, córką księcia Michała, infanta portugalskiego i infantki Adelajdy księżnej Loewenstein-Wertheim-Rochefort-Rosenberg, wdowa od 19. maja 1896.

Dzieci z 2-go małżeństwa:

a) **Franciszek Ferdynand,** arcyks. Este, c. i kr. jen. kawal., c. i k. admirał, właść. pułku piech. Nr. 19, pułku ułan. Nr. 7. i pułku korp. artyl. Nr. 6., ces. rosyjski jener. kawal., szef ces. ros. Bugskiego pułku dragon. Nr. 26, szef kr. prusk. pozn. pułku ułan. Nr 10, à la suite kr. prusk. gward. pułku grenad. Ces. Franciszka i niem. maryn. do dysp. Najw. Dowódcy, urodz. 18. grudnia 1863.

Żona: **Zofia**, ks. Hohenberg, z domu hr. Chotek, zaśl. 1. lipca 1900.

b) † **Otto** (Franciszek, Józef), c. i kr. jenerał kaw., jen. inspektor kawal., właść. pułku ułan. Nr. 1, ur. 21. kwietnia 1863, umarł w Wiedniu dnia 1. listopada 1906, zaślubiony 8. października 1886 z

Maryą Józefą, córką Jerzego, króla saskiego, ur. 31 maja 1867.

Dzieci: 1) **Karol** (Franciszek, Józef), c. i k. rotmistrz w pułku drag. Nr. 7, ur. 17. sierpnia 1887; 2) **Maksymilian** (Eugeniusz, Ludwik), ur. 13. kwietnia 1895.

c) **Ferdynand** (Karol, Ludwik), c. i kr. jen. maj. właść. pułku piech. Nr. 48, urodz. 27. grudnia 1868

d) † **Małgorzata** (Zofia), urodzona dnia 13. maja 1870 r., zaślub. w Wiedniu dn. 24. stycznia 1895 r. ks. Albrechtowi wirtemberskiemu, urodz. dnia 23, grudnia 1865 r.; umarła dnia 24. września 1902 r.

Dzieci z 3-go małżeństwa:

e) **Marya-Anuncyata,** przełożona damskiego szlacheckiego zakonu w Pradze, ur. 31. lipca 1876.

f) **Elżbieta,** dama orderu krzyżowej gwiazdy, ur. 7. lipca 1878, zaślub. dn. 20. kwietnia 1903 ks. Alojzemu Lichtensteinowi.

3) Arcyksiążę **Ludwik Wiktor,** c. i kr. jen. piechoty, właść. pułku piechoty Nr. 63, szef ces. ros. pułku piechoty »Tomsk« Nr. 39, urodzony 15. maja 1842.

Rodzice Cesarza.

† **Franciszek Karol,** ur. 7. grudnia 1802, owdow. 28. maja po Zofii (ur. 17. stycznia 1805, córce † króla bawar. Maksymiliana I.) † 8 marca 1878. † Małżonka: **Zofia** (Fryderyka, Dorota) ur. 27. stycznia 1805, † 28. maja 1872.

Posłowie do Rady państwa z Galicyi.

(w. oznacza okręg wiejski — m. okręg miejski).

Polacy.

Abrahamowicz Dawid, w. Lwów, kons.
Angermann Klaudyusz, w. Rzeszów, lud.
Banaś Antoni Dr, w. Myślenice, lud.
Baworowski Jerzy hr., w. Trembowla, kons.
Biały Stanisław Dr, w. Brzozów, lud.
Biliński Leon Dr, m. Rzeszów, kons.
Bis Jan, w. Nisko, lud.
Bojko Jakób, w. Dąbrowa, lud.
Bomba Antoni, w. Tyczyn, lud.
Buzek Józef Dr, m Lwów, nar. dem.
Breiter Ernest, m. Lwów, socyal.
Czaykowski Władysław Dr, w. Przemyśl, kons.
Daszyński Ignacy, m. Kraków, socyal.
Dębski Władysław Dr, w. Złoczów, nar. dem.
Diamand Herman Dr, m. Lwów, socyal.
Długosz Władysław, w. Gorlice, lud.
Dobija Ludwik, w. Biała, stojał.
Gall Rudolf, m. Tarnopol, nar. dem.
German Ludomir Dr, m. Nowy Sącz, dem.
Głąbiński Stanisław Dr, m. Lwów, nar. dem.
Goetz Jan bar., w. Brzesko, kons.
Gołuchowski Adam hr., w. Skałat, kons.
Gross Adolf Dr, m. Kraków, dem.
Halban Alfred Dr, m. Bóbrka, kons.
Haller Cezary, w. Żywiec, kons.
Hudec Józef, m. Lwów, socyal.
Jabłoński Wincenty, m. Krosno, nar. dem.
Jachowicz Józef, w. Łańcut, lud.
Jaworski Władysław Dr, m. Jasło, kons.
Jedynak Michał, w. Dębica, lud.
Kędzior Andrzej Dr, w. Mielec, lud.
Klemensiewicz Zygmunt, w. Kraków, socyal.
Kleski Jan Dr, m. Kołomyja, dem.
Kolischer H. Dr, m. Brody, dem.
Korytowski Witold Dr, m. Podgórze, kons.
Kozłowski Włodzimierz Dr, w. Jarosław, kons.
Kubik Jan, w. Biała, lud.
Lasocki Zygmunt hr., w. Tarnobrzeg, lud.
Leo Juliusz Dr, m. Kraków, dem.
Lewicki Antoni, w. Kolbuszowa, nar. dem.
Loewenstein Natan Dr, m. Drohobycz, dem.
Lieberman Herman Dr, m. Przemyśl, soc.
Lisiewicz Aleksander Dr, m. Lwów, dem.
Lubomirski Andrzej ks., w. Przeworsk, kons.
Łazarski Stanisław Dr, m. Biała, dem.
Łyszczarz Franciszek, w. Strzyżów, lud.
Madej Jakób, w. Jasło, lud.
Marek Zygmunt Dr, m. Kraków, socyal.
Matakiewicz Antoni Dr, w. Tarnów, kons.
Moraczewski Antoni, m. Stryj, socyal.
Myjak Wincenty, w. Nowy Sącz, lud.
Osuchowski Bronisław, w. Drohobycz, kons.
Potoczek Jan, w. Nowy Sącz, chrześć.-społ.
Ptaś Józef Dr, w. Nowy Targ, nar. dem.
Rauch Edmund, m. Stanisławów, dem.
Rey Mikołaj hr., w Pilzno, lud.
Rosner Ignacy Dr, m. Mielec, kons.
Rychlik Ignacy, m. Jarosław, dem.
Ruebenbauer Adam, w. Bochnia, lud
Rusin Józef, w. Żywiec, lud.
Serwatowski Władysław, w. Buczacz, kons.
Skarbek Aleksander hr. Dr, m. Sambor, nar. dem.
Śliwiński Hipolit, m. Lwow, dem.
Śmiłowski Stanisław, w. Limanowa, lud.
Średniawski Andrzej, w. Wadowice, lud.
Stapiński Jan, w. Krosno, lud.
Starowieyski Stanisław Dr, w. Sanok, kons.
Steinhaus Ignacy Dr, m. Rawa ruska, kons.
Stern Bernard Dr, m. Buczacz, kons.
Stesłowicz Władysław Dr, m. Sambor, dem.
Tertil Tadeusz Dr, m. Tarnów, nar. dem.
Tetmajer Włodzimierz, w. Kraków, lud.
Witos Wincenty, w. Tarnów, lud.
Wróbel Ignacy Dr, w. Chrzanów, lud.
Wysocki Kazimierz, w. Rawa ruska, kons.
Zaleski Wacław Dr, m. Brzeżany, kons.
Zamorski Jan, w. Tarnopol, nar. dem.
Zarański Jan, w. Chrzanów, dem.
Zieleniewski Edmund, m. Kraków, dem.

Rusini.

Baczyński Leon Dr, w. Stanisławów, rad.
Budzynowski Wacław, w. Buczacz, ukrainiec.
Cegielski Longin, w. Jarosław, ukrain.
Cegliński Grzegorz, w. Przemyśl, ukr.
Dniestrzański Stanisław Dr, w. Rawa ruska, ukr.
Folis Józef ks., w Lwów, ukr.
Hołubowicz Włodzimierz Dr, w. Tarnopol, ukr.
Kołłessa Aleksander Dr, w. Trembowla, ukr.
Kuryłowicz Włodzimierz, w. Sanok, mosk.
Lewicki Eugeniusz Dr, w. Stanisławów, ukr.
Lewicki Kost Dr, w. Brzeżany, ukr.
Lewicki Leon, w. Stryj, ukrain.
Łahodyński Mikołaj Dr, w. Dolina,, rad.
Ławruk Łazarz, w. Kołomyja, rad.
Marków Dymitr Dr, w. Brody, mosk.
Okuniewski Teofil Dr, w. Borszczów, ukr.
Oleśnicki Eugeniusz Dr, w. Stryj, ukr.
Onyszkiewicz Stefan ks., w. Sambor, ukr.
Petruszkiewicz Eugeniusz Dr, w. Brody, ukr.
Petrycki Michał, w. Skałat, ukr.
Romańczuk Julian, w. Dolina, ukr.
Siengalewicz Włodzimierz, w. Złoczów, ukr.
Staruch Tymko, w. Brzeżany, ukr.
Stefanyk Wasyl, w. Borszczów, rad.
Trylowski Cyryl Dr, w. Kołomyja, rad.
Wityk Semen, w. Drohobycz, socyal.

Członkowie Sejmu galicyjskiego.

1) Członkowie Sejmu zasiadający na mocy swej godności:

Ks. Dr Józef Bilczewski, Arcybiskup-metropolita lwowski obrz. łać.

Ks. Dr Aleksander Andrzej hr. Szeptycki, Arcybiskup-metropolita halicki obrz. gr.-kat., zastępca Marsz. kraj.

Ks. Józef Teodorowicz, Arcybiskup lwowski obrz. orm.

Ks. Dr Józef Pelczar, Biskup przemyski obrz. rzym. kat.

Ks. Konstanty Czechowicz, Biskup przemyski obrz. gr. kat.

Ks. Dr Leon Wałęga, Bisk. tarnowski obrz. łać.

Ks. Dr Grzegorz Chomyszyn, Biskup stanisławowski obrz. gr. kat.

Dr Stanisław hr. Tarnowski, Prezes Akademii Umiejętności w Krakowie.

Dr Stanisław Szajnocha, rektor Uniw. krak.

Dr Ludwik Finkel, rektor Uniwersytetu lwow.

Dr Maksymilian Thulié, rekt. Politechn. lwow.

2) Posłowie z większej posiadłości.

Kraków: JE. Dr Bobrzyński Michał, Namiestn. Br. Götz Okocimski Jan, właść. dóbr, Okocim. Dr Jaworski Wład. Leopold, prof. Uniw., Kraków. Dr Milewski Józef, dyr. Banku kraj., Lwów. Hr. Wodzicki Antoni, właściciel dóbr, Kraków. Brzeżany: Krzeczunowicz Aleksander, wł. dóbr, Bołszowce. Onyszkiewicz Mieczysław, wł. dóbr, Lwów. Dr Wereszczyński Józef, wł. dóbr, Lwów. Czortków: Hr. Gołuchowski Adam, właśc. dóbr, Husiatyn. Horodyski Kazimierz, właść. dóbr, Żabińce (Probuźna). Paygert Kornel, wł. dóbr, Stanisławów. Kołomyja: Cieński Leszek, wł. dóbr, Okno (Horodenka). Dr Krzysztofowicz Mikołaj, właśc. dóbr, Załucze pod Śniatynem. Nowy Sącz: Dr Mars Antoni, prof. Uniw. Lwów. Dr Pilat Tadeusz, em. prof. Uniw., Lwów. Przemyśl: Dr Dembowski Ignacy, wiceprezydent Rady szk. kraj., Lwów. Dr Kozłowski Włodzimierz, właść. dóbr, Lwów Dr Kraiński Władysł., prez. Tow. kredyt. ziems., Lwów. Rzeszów: Dąmbski Stanisław, właść. dóbr, Lwów. Jędrzejowicz Stanisław, właść. dóbr, Jasionka (Rzeszów). Sanok: Laskowski Kazimierz, właść. dóbr, Bażanówka-Jaćmierz. Dr Biberstein Starowiejski Stanisław, wł. dóbr, Bratkówka. Urbański Mieczysław, wł. dóbr, Haczów. Sambor: Niezabitowski Stanisław, wł. dóbr, Uherce (Gródek). Rayski Adam, wł. dóbr, Michalewice (Rudki). Hr. Komorowski Stefan, wł. dóbr, Sukierczyce (Krautberg). Stanisławów: Brykczyński Stanisław, wł. dóbr, Lwów. Czaykowski Władysł. Wiktor, wł. dóbr, Madwadowce (Buczacz). Stryj: Br Brunicki Julian, wł. dóbr, Podhorce koło Stryja. Hr. Stadnicki Stanisław, wł. dóbr, Krysowice (Mościska). Tarnów: Dr Hupka Jan, wł dóbr, Niwiska. Męciński Józef, wł. dóbr, Kraków. Bar. Konopka Jan, wł. dóbr, Breń (Olesno). Tarnopol: Garapich Michał, wł. dóbr, Kraków. Hr. Korytowski Juliusz, wł. dóbr, Płotycz (Tarnopol). Vivien Jan, wł. dóbr, Lwów. Złoczów: Dr Raciborski Aleks., wł. dóbr, Spassów (Tartaków). Gniewosz Wład., wł. dóbr, Kąty (Ożydów). Schnell Oskar, wł. dóbr, Firlejówka (Krasne). Żółkiew: Ks. Lubomirski Andrzej, wł. dóbr, Lwów. Obertyński Zdzisław, wł. dóbr, Hujcze. Dr Starzyński Stanisław, prof. Uniwersytetu, Lwów. Lwów: JE. Abrahamowicz Dawid, b. minister dla Galicyi, Wiedeń.

3) Posłowie z miast i Izb handlowo-przemysłowych.

Miasto Lwów: Dr Adam Ernest, dyrektor akc. Banku związkowego, Lwów. Dr bar. Battaglia Roger, Lwów. Ciuchciński Stanisł., b. prezydent m. Lwowa, Lwów. Dr Głąbiński Stanisław, prof. Uniw., Lwów. Dr Loewenstein Natan, adwokat, Lwów. Dr Rutowski Tadeusz, wiceprezydent m. Lwowa, Lwów. Miasto Kraków: Dr Bandrowski Ernest, dyr. państw. szkoły przemysł., Kraków. Federowicz Jan, kupiec, Kraków. Dr Landau Ignacy, adwokat. Kraków. Dr Leo Juliusz, prezydent m. Krakowa, Kraków. Przemyśl: Dr Doliński Franciszek, burmistrz i adwokat, Przemyśl. Stanisławów: Dr Biliński Leon, b. minister skarbu, Wiedeń. Tarnopol: Michałowski Emil, radca rządu i dyrektor seminaryum nauczycielskiego, Tarnopol. Brody: Sala Oktaw, wł. dóbr, Wysocko (Zabłotce). Jarosław: Dr Jahl Władysław, adwokat, Lwów. Drohobycz: Dr Halban Alfred, prof. Uniw., Lwów. Biała. Haempel Karol, inż. i wł. dóbr, Malec (Kęty). NowySacz: Dr Korytowski Witold, b. minister skarbu, Wiedeń. Tarnów: Dr Tertil Tadeusz, burmistrz i adwokat, Tarnów. Rzeszów: Dr Jabłoński Stanisław, lekarz i burmistrz, Rzeszów. Sambor: Dr Sobolewski Franciszek, c. k. lekarz powiat., Sambor. Stryj: Dr Dulęba Władysław, b. minister dla Galicyi (Lwów). Kołomyja: Kleski Jan, burmistrz i wł. dóbr, Kołomyja. Brzeżany-Złoczów: Dr Schätzel Stanisław, burmistrz i adwokat, Brzeżany. Bochnia-Wadowice: Dr Maiss Ferdynand, adwokat i burmistrz, Bochnia. Gorlice-Jasło: Ks. Pastor Leon, rzym. kat. prob., Leżajsk. Podgórze-Wieliczka; Maryewski Franciszek, burmistrz, Podgórze. Sanok-Krosno: Gorayski August, wł. dóbr, Moderówka. Lwowska Izba handlowo-przemysłowa: Dr Kolischer Henryk, wł. dóbr, Czerłany. Krakowska Izba handl.-przem.: Sare Józef, wiceprezydent m. Krakowa, Kraków. Brodzka Izba handl.-przem.: Dr Rittel Stanisław, sekr. Izby handl. przem., Brody.

4) Posłowie z gmin wiejskich.

Biała. Ks. Stojałowski Stanisł., redaktor, Biała.

Bóbrka. Dr hr. Mycielski Stanisław, wł. dóbr, Borynicze.

Bochnia. Dr Górski Ant., prof. Un., Kraków.
Bohorodczany. Dr Krynicki Bohdan, rad. sądu, Stanisławów.
Borszczów. Czarkowski Golejewski Tadeusz, wł. dóbr, Wysuczka (Borszczów).
Brody. Dr Dudykiewicz Włodzimierz, adwokat, Kołomyja.
Brzesko. Dr Bernadzikowski Szymon, lekarz, Brzesko.
Brzeżany. Staruch Tymoteusz, włościanin, Słoboda złota.
Brzozów. Skrzyński Zdzisław, właściciel dóbr, Bachórz, Dynów.
Buczacz. Dr hr Badeni Stanisław Henryk, wł. dóbr, Koropiec.
Chrzanów. Hr. Mycielski Edward, wł. dóbr, Górka (Trzebinia).
Cieszanów. Jampolski Kazimierz, wł. dóbr, Łowcza (Narol).
Czortków. Cielecki-Zaremba Artur, wł. dóbr, Hodyńkowce (Kopyczyńce).
Dąbrowa. Bojko Jakób, włośc., Gręboszów.
Dobromil. Dr Czaykowski Władysław, adw., Przemyśl.
Dolina. Cipser Stefan, lustrator domen i lasów, Dobromil.
Drohobycz. Hr. Zamoyski Franciszek, przedsiębiorca naftowy, Borysław.
Gorlice. Długosz Władysław, wł. dóbr, Siary (Gorlice).
Gródek Jagielloński. Br. Brunicki Adolf, wł. dóbr, Lubień wielki.
Grybów. Cieluch Jan, włościanin, Stróże wyżne (Stróże).
Horodenka. Teodorowicz Antoni, wł. dóbr, Żuków (Obertyn).
Husiatyn. Kiweluk Iwan, sekretarz sądu, Kopyczyńce.
Jarosław. Ks. Czartoryski Witold, wł. dóbr, Pełkinie (Jarosław).
Jasło. Dr Stefczyk Franciszek, dyrektor Biura Patronatu (Lwów).
Jaworów. Hr. Szeptycki Jan, wł. dóbr, Przyłbice.
Kałusz. Dr Kurowiec Jan, lekarz, Kałusz.
Kamionka Strumiłowa. Hr. Badeni Stanisław, marszałek krajowy (Lwów).
Kolbuszowa. Hr. Tyszkiewicz Janusz, właść. dóbr, Werynia (Kolbuszowa).
Kołomyja. Myroniuk-Zajaczuk Michał, włościanin, Myszyn (Jabłonów).
Kosów. Tracz Jan, sekretarz sądu, Kosów.
Kraków. Ptak Franciszek, włościanin, Bieńczyce (Mogiła).
Krosno. Stapiński Jan, dziennikarz, Kraków.
Limanowa. Marszałkowicz Jan, właść. dóbr, Stronie (Łukowice).
Lisko. Staruch Antoni, włościanin, Bereźnica wyż., (Hoczew).
Lwów. Merunowicz Teofil, sekretarz Rady powiatowej, Lwów.
Łańcut. Żardecki Bolesław, dyrektor Towarzystwa zaliczkowego, Łańcut.
Mielec. Kędzior Andrzej, dyrektor biura melioracyjnego, Lwów.
Mościska. Skwarko Zacharyasz, dyrektor Narodnego Domu, Mościska.
Myślenice. Ks. Lubomirski Kazim., wł. dóbr, Kraków.
Nadwórna. Sandulak Iwan, włościanin, Karłów (Załucze dw.).
Nisko. Bis Jan, włościanin, Nisko
Nowy Sącz. Myjak Wincenty, włośc., naczelnik gminy, Zagorzyn (Łącko).
Nowy Targ. Bednarski Jan, lekarz powiatowy, Nowy Targ.
Pilzno. Krężel Adam, pisarz gminny, Przerytybór (Zassów).
Podhajce. Sodomora Michał, włość., Bieniawa (Siemikowce).
Przemyśl. Ks. Sapieha Władysław, wł. dóbr, Krasiczyn.
Przemyślany. Hr. Potocki Roman, wł. dóbr, Łańcut.
Rawa. Ks. Kołpaczkiewicz, gr. kat. prob., Hujcze.
Rohatyn. Dr Lewicki Kost', adwokat, Lwów.
Ropczyce. Jedynak Michał, włość., Paszczyna, (Dębica).
Rudki. Hr. Skarbek Aleksander, właść. dóbr, Bieńkowa Wisznia (Rudki).
Rzeszów. Wasung Jan, Lwów.
Sambor. Sozański Fel., wl dóbr, Kornalowice.
Sanok. Wrześniowski Tadeusz, sekretarz Rady powiatowej, Sanok.
Skałat. Hr. Piniński Leon, właść. dóbr, prof. Uniw., Lwów.
Sniatyn. Moysa-Rosochacki Stefan, wł. dóbr, Rudniki.
Sokal. Dr Kraiński Wincenty, właśc. dóbr, Perespa (Tartaków).
Stanisławów. Winniczuk Łazarz, włościanin, Uhrynów dolny (Stanisławów).
Stary Sambor. Lewakowski Zygmunt, przedsiębiorca naftowy, Borysław.
Stryj. Dr Petruszewicz Eugen., adw., Skole.
Tarnobrzeg. Hr. Tarnowski Zdzisław, właść. dóbr, Dzików.
Tarnopol. Dumka Paweł, włośc., Kupczyńce (Denysów).
Tarnów. Witos Wincenty, włościanin, Wierzchosławice (Bogumiłowice).
Tłumacz. Dr Makuch Iwan, adw., Tłumacz.
Trembowla. Hr. Baworowski Jerzy, wł. dóbr, Ostrów.
Turka. Dr Hanczakowski Józef, radca sądu, Ottynia.
Wadowice. Styła Antoni, włościanin, Chocznia (Wadowice).
Wieliczka. Skołyszewski Wiktor, inżynier.
Zaleszczyki. Cieński Tadeusz, wł. dóbr, Drohiczówka (Latacz).
Zbaraż. Krysowaty Ołeksa, włościanin, nacz. gminy, Koszlaki (Nowe Sioło k. Pw.).
Złoczów. Weiser Henryk, właść. dóbr i fabryki, Sassów.
Żółkiew. Dr Korol Michał, adwokat. Żółkiew.
Żydaczów. Ks. Senyk Kornel, gr. kat. proboszcz, Bereźnica królewska.
Żywiec. Szwed Wojciech, włościanin, naczelnik gminy, Pewla mała (Żywiec).



KALENDARZ GOSPODARSKI.

STYCZEŃ.

Kończyć młockę zboża, koniczyny, szuflować ziarno, aby się nie zagrzewało. Robić powrósła. Gromadzić lód. Stajnie, obory, chlewy, ciepło opatrywać. Nawóz na gnojowni ubijać. Drób trzymać w cieple, aby niósł jaja i żywić dobrze. Drzewo budulcowe, jako najlepsze, ciąć i zwozić sankami, zwłaszcza z mokrych miejsc. Wywozić gnój na pola i rozrzucać zaraz. Wywozić szlam. Drzewa owocowe obierać z suchych skręconych liści, niszczyć pajęczynę na nich, bo tam gnieźdźą się gąsienice. Zakładać inspekta.

LUTY.

Czyścić dokładnie nasiona do siewów wiosennych. Zwozić budulec, również obornik prędko, dopóki ziemia zamarznięta. Wypuszczać bydło na świeże powietrze w dni pogodne. Nasadzać gęsi, kury, aby jak najwcześniej mieć drób, który najlepiej się wyhowuje. Stanowić klacze. W polu łamać skorupę o ile się wytworzy, spuszczać wodę z pól. Rozsiewać kainit, tomasynę, o ile śniegu dużo niema. Na łąkach rozrzucac kretowiny, oraz mech zedrzeć bronami zaraz, gdy tająć zaczyna i w ogrodzie jeszcze jest twarda ziemia. W sadzie wycinać stare, suche gałęzie i niszczyć dalej gąsienice, zamówić drzewka.

MARZEC.

Gdy rola obeschnie zaczynać energicznie orać, przyorywać nawóz pod ziemniaki, bronować orki jesienne. Z końcem miesiąca zaczynać siew owsa, jęczmienia, mięszanki na paszę. Zasilić słabe koniczyny. Łąki bronować, czyścić z mchu i wywozić go, najlepiej na kompost. Czyścić rowy na łąkach przez zimę zamulone częściowo. Inwentarz roboczy dobrze żywić, aby miał siły do ciężkich robót wiosennych. W sadach po rozmarznięciu ziemi zaraz sadzić drzewka i krzewy owocowe, czyścić korę, bielić drzewka, prześwietlać korony. Zrewidować kopce z ziemniakami, nadpsute wyrzucić a średnie do sadzenia przygotować.

KWIECIEŃ.

Siać energicznie obok owsa także wykę, len, buraki, sadzić ziemniaki. Bronować oziminy i kouiczyny, aby ziemię otworzyć dla wody i powietrza. Zasilać słabe oziminy nawozami pomocniczemi, zwłaszcza saletrą. Drób nasadzać w dalszym ciągu i puszczać go na sady, aby niszczył owady. W sadzie wysadzać dziczki, szczepić drzewa, zakładać opaski na nich, aby owady wchodzące na drzewa niszczyć. Siać rozsadę kapusty i innych warzyw. Opatrzyć narzędzia do pielenia. Bydło przed wypuszczeniem na pastwisko napaść trochę, aby się nie wzdymało.

MAJ.

Kończyć siew buraków, marchwi, siać koński ząb na paszę, sadzić ziemniaki. Gdy ziemniaki wzejdą zbronować je wskos i obsypać, oraz oczyścić z chwastów. Przerwać buraki, gdy mają cztery listki i podosadzać. Zbyt bujne pszenice zżynać lub kosić, aby nie wylęgły. Kosić osty i inne chwasty na miedzach, aby nasion nie wydawały i nie rozsiewały się. Bydło dostaje już zieloną paszę, do której trzeba go powoli przyzwyczajać i nie dawać paszy zagrzanej. Cielęta żywić tylko suchem, dobrem ziarnem. W wolnych chwilach poprawiać drogi, dachy, wiązać powrósła. Przygotować wozy, drabiny, kosy do sianokosów. W sadzie niszczyć chrabąszcze oraz wszelkie gąsienice, których teraz jast bardzo dużo. Przeszczepiać stare drzewa i obrabiać ziemię w sadzie.

CZERWIEC.

Obredlać ziemniaki, koński ząb, marchew, buraki. Buraki przerwać także należy. Kosić koniczyny aby nie zdrewniały i nie straciły na strawności, suszyć je najlepiej na rogalach, bo łatwiej schną i prędzej. Kosić siana gdy trawy zakwitną, gdyż wtedy są najpożywniejsze oraz suszyć, gdyż pors sprzyja temu zwykle. Kończyć podorywki ugorów. Opatrywać stodoly, narzędzia żniwne, wozy. Gnój polewać gnojówką lub wodą,

gdy zbyt przyschnie. Krów nie paść na mokrych polach. Konie pławić często, co dobrze wpływa na ich zdrowie W sadach niszczyć gąsienice, nadmiar owoców z drzew zdejmować.

LIPIEC.

Kończyć sianokosy i zwózkę siana oraz koniczyn. Czyścić ugory. Zacząć zbiór zbóż, układać snopy najlepiej na mendle po 9 sztuk, gdyż wtedy najlepiej schną. Ścierniska podorywać jak najprędzej a nie zostawiać ich na paszenie bydła, siać zielone nawozy na przyoranie jesienne i to jak najprędzej, aby miały czas wyróść. Podorywać także koniczyska z nawozem, gdy ten jest wywieziony. Oczyścić kurniki dobrze, gdyż wtedy robactwo bardzo drób niszczy. Gnój polewać gnojówką i wodą w czasie upałów, aby zbyt nie przysychał. W sadzie niszczyć oprzędy gąsienic i mszyce.

SIERPIEŃ.

Zboża energicznie kończyć siec i zwozić. Przyorywać ścierniska i siać zielone nawozy. Łubin pod oziminy przyorać. Siać wczesne mięszanki na wczesną zieloną paszę dla bydła a mianowicie wykę i żyto, oraz rzepę ścierniskową. Młócić przenicę i żyto na siew jesienny. Nawozy pomocnicze rozsiewać pod oziminy. Kosić koniczyny i wczesne potrawy. Orać pod oziminy energicznie. W sadzie robaczywe owoce spasać trzodą i przygotować dołki do sadzenia drzew w jesieni. Wycinać wilki na drzewach.

WRZESIEŃ.

Kończyć orki pod oziminy, siać energicznie oziminy oraz nawozy pomocnicze pod nie. Siew nie powinien być za gęsty. bo łatwo wylęga zboże a gdy zanadto posiejemy to chwasty się rzucają. Po zasiewie robić przegony, aby woda wierzchnia odpływała, ziemię z przegonów trzeba rozrzucić, aby ziarna grubo nie przykryć. Zacząć kopać ziemniaki a w końcu miesiąca buraki. Orki zimowe prowadzić energicznie. Z łąk zbierać potrawy ostatnie, mech tępić bronami, rozsiać nawozy pomocnicze na nich. W sadzie zbierać wczesne owoce, czyścić drzewa, bielić je. Kończyć oczkowanie sadzić drzewa lepiej teraz, niż na wiosnę.

PAŹDZIERNIK.

Kończyć kopanie ziemniaków, buraków, bronować ziemniaczyska i resztki ziemniaków zbierać. Rowy na rolach opatrywać, orać w dalszym ciągu i w ostrej skibie zostawiać na zimę Przyorywać nawozy na zimę Bydło przyzwyczajać powoli do suchej paszy, zmniejszyć ilość bydła, gdy brak nam paszy na zimę. Kopce ziemniaczane opatrywać dobrze. W sadzie sadzić ostatnie drzewka, oblepiać je, aby gąsienice niszczyć, oraz bielić je po oczyszczeniu. Zasilać stare drzewa obornikiem. Zacząć tuczyć trzodę silnie.

LISTOPAD.

Kończyć orki zimowe, przyorywać zielone nawozy. Przegony popoprawiać. Gdy się skończą roboty w polu z nastaniem mrozów, przeczyścić pługi i nasmarować je, aby nie rdzewiały. Drogi ponaprawiać. Młócić zboża. Z nastaniem mrozów okryć dobrze kopce ziemniaczane, aby nie zmarzły. Stajnie opatrzyć na zimę szyby powstawiać, aby było ciepło. Bydło żywić już w stajni a nie wypuszczać na pastwisko, aby trawy mogły odróść na zimę. Drób trzymać w domu i dawać mu trochę zielonej trawy z ziemniakami, co dobrze wpływa na nosność kur. W sadzie zbierać owoce późne, regulówkę robić oraz słomą młode drzewka okręcać, aby nie zmarzły.

GRUDZIEŃ.

Młócić zboża zwłaszcza z stert i szczególniej dbać o inwentarz. Żywić go dobrze, czyścić, słać dużo. skarmiać nim poślady, ale te paszyć, aby szczególnie chwasty niestrawione nie przechodziły do gnoju Starać się inwentarz stanowić teraz, aby na jesieni się cielił, bo wtedy mamy mleka najwięcej w zimie, co nam zyski znaczne przynosi. Ciąć budulec i naprawiać wozy, narzędzia gospodarcze, gdyż teraz na to najwięcej czasu. W sadzie wycinać stare gałęzie, kopać doły na wiosenne sadzenie. Wolnych koni używać do wywozu nawozów, szlamu itp. oraz przywozu z miasta nawozów pomocniczych itp. na co w lecie czasu brak.



Dla polskich wychodźców wskazówki i rady.

W każdej ważniejszej sprawie trzeba nam korzystać z nauki i doświadczenia innych. Cóż dopiero w sprawie tak ważnej, jaką jest zupełna zmiana warunków i okoliczności życia, często pozbycia się ojcowizny, opuszczenia kraju na długo, może na zawsze! Zdawałoby się, że czynić można przewrot taki w swojem istnieniu tylko po głębokim namyśle, z całą świadomością dlaczego tak się postępuje i jak tego dokonać. A zatem, że trzeba najpierw poznać z rad i doświadczenia cudzego ową przyszłość do której się dąży. Jednak u nas, między nami, dzieje się często, jeżeli nie zawsze, tak zupełnie inaczej! Wychodźcy z kraju bez żadnego przygotowania się do nowego życia, bez znajomości języka, czasem nawet bez grosza, bez zapewnionego na obczyźnie poprzednio chleba kawałka, i cóż ztąd dziwnego, że jeżeli przepchniemy się nawet, jeżeli zdobędziemy z czasem jaki taki byt i zarobek wśród obcych, to dzieje się to kosztem ciężkich przejść, strat materyalnych i wielkiego nieraz cierpienia.

Dlatego przeznaczamy dla wychodźców naszych tutaj uwag i wskazówek kilka, a czerpiemy z książki uczonego znawcy stosunków emigracyjnych, Dr. Leopolda Caro, oraz z praktycznych wskazówek znanego organizatora emigracyjnego p. dyr. Józefa Okołowicza.

Wychodźtwo nasze idzie w dwóch kierunkach: jeden to Ameryka, północna (Stany Zjednoczone); drugi to Niemcy. Ci co nadają się do Ameryki, przedsiębiorą pracę u obcych na lata; ci co do Niemiec, przeważnie są robotnikami sezonowymi, i późną jesienią wracają — by z wiosną odejść znowu. Ruch w obu tych kierunkach jest olbrzymi — 100,000 ludzi wychodzi corocznie z całej Polski do Stanów Zjednoczonych, kilkanaście tysięcy do Ameryki południowej, a 600,000 ludzi znajduje robotę w Niemczech, prócz tego pewna liczba kieruje się na sezon do Francyi, Danii, Szwecyi.

Czy to konieczne? czy niema u nas pracy i chleba dosyć, by módz dać go wszystkim?

Otóż niezaprzeczenie brak wielkiego przemysłu, fabryk i t. d. są powodem biedy, a wskutku biedy — powodem emigracyi. Ale trzeba przyznać że gorączka emigracyjna jest zaraźliwa, i że często wychodzą z kraju ci, co mając tu swoje gospodarstwo, dom, rolę, mogliby żyć, dzieci wychowywać, i Ojczyźnie służyć. Takim nigdy dosyć powtarzać nie można, że czynią nieroztropnie i przynoszą krajowi uszczerbek, pozbawiając go swej pracy, myśli i czynów, często też przynoszą szkodę sobie samym, gdyż nie znajdują na obczyźnie tego czego szukali; poprawy bytu.

Nie traćmy jednak nadziei, że da się z czasem ułożyć warunki życia tak, aby ziemia polska wszystkie swe dzieci wyżywić mogła. Tymczasem starajmy się choć tyle, ile w naszej mocy, dopomódz dobrą i serdeczną radą do zmniejszenia trudności i przykrości, jakie każdego wychodźcę czekają.

Jest powszechnie wiadomem, że po kraju naszym kręcą się setki agentów, namawiających ludność do emigrowania. Oczywiście mają w tem interes własny, t. j. biorą po kilkanaście koron od głowy za sprzedanie biletu okrętowego tego lub owego Towarzystwa, naturalnie zależy im na tem, aby liczba wychodźców była jak największa. O nieuczciwości owych agentów możnaby tomy całe napisać, tutaj wystarczy tylko opowiedzieć, że n. p. istniało w Oświęcimiu banda, która przekupiła żandarmów, konduktorów, urzędników kolejowych, aby wszystkich emigrantów kierowano na Oświęcim, a tam za bilety brano cenę wyższą niż się należało. Brano też za poradę lekarza (który wcale nim nie był) za nowe ubranie, bo niby to do Ameryki nie wpuszają w sukmanie, za pytanie się cesarza amerykańskiego, czy przyjmie nowego emigranta. Opornych wsadzano do chlewa lub bito. Tysiące przykładów możnaby opowiedziec o porywaniu poprostu naszych dziewczyn i sprzedawaniu ich na los straszny i upadlający.

Czy nie jest tak samo gdzieindziej? Owszem — tak było w Holandyi i w Niemczech ale przed pięćdziesięcioma laty. Dziś tak nie jest i być nie może: bo tam każdy czytać i pisać umie, bo go nikt nie oszuka, ani nikt nie spoi, a skutkiem tego mniejszą jest łatwowierność ludu.

Zatem ostrzegamy: nie ufać agentom — od nich biletów okrętowych nie kupować, lecz zwracać się do Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, Kraków Radziwiłłowska 21.

Hamburg, Brema, Rotterdam i Antwerpia to cztery porty, z których najszybszą jest podróż do Stanów Zjednoczonych. Najlepiej zawsze wybierać okręty wielkich Towarzystw, (Hamburg - Ameryka Holland - Ameryka Linie, Lloyd północ.: niemiecki, Red Star Linie,) bo tam pomieszczenie i jedzenie najlepsze.

— Po przybyciu do portu Nowoyorskiego, każdy jadący t. z. III klasą, podlega kontroli w osobnym budynku, na małej nie daleko położonej wysepce. Tam lekarz bada jego zdrowie, bo chorych, a zwłaszcza chorych na oczy, nie wpuszczają i tam pytają go, czy ma pracę zgodzoną — takich bowiem emigrantów, którzy jadą do Ameryki, mając tam już ugodzoną lub choćby przyobiecaną pracę, władze amerykańskie zwracają do Europy. Tam też dobrze jest wykazać się adresami krewnych lub znajomych, tam wreszcie okazać trzeba przywiezioną gotówkę przynajmniej 25 dolarów, aby przekonać urzędników, że ma się z czego żyć na początek.

Na wyspie tej, Ellis Island zwanej, przebywają delegaci polsk. Związku Narodowego i Austryack. Schroniska dla Emigrantów, do których w razie potrzeby można się zwrócić o bezinteresowną pomoc i poradę. Czynić to należy zwłaszcza w wypadkach, ilekroć władze emigracyjne robią trudności i nie chcą pozwolić na wylądowanie. Związek Narod. polski utrzymuje też dom dla emigrantów w Nowym Yorku, gdzie można znaleść nocleg, wikt i opiekę.

Polacy znajdują w Ameryce zarobki przy robotach najcięższych, których nie chcą się imać Amerykanie i członkowie innych narodowości. Najwięcej naszych pracuje w kopalniach węgla, w hutach żelaza, w olbrzymich rzeźniach i t. p.

Obecnie stosunki na rynku pracy są w Ameryce bardzo nieszczególne, w skutek czego mniej naszych tam jedzie, a więcej powraca. W roku 1912 nastąpią wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych, które na pe-

wien czas wywołają zazwyczaj zastój w przemyśle amerykańskim. Roku więc tego nie można będzie można uważać za pomyślny dla emigracyi do Stanów Zjednoczonych. Przeciwnie należy się spodziewać, że przyniesie on liczną emigracyę powrotną do kraju, wielu bowiem naszych wychodźców nie mogąc znaleść w Stanach Zjednoczonych pracy i chleba będzie powracać w strony ojczyste.

Znacznie gorzej jest w prowincyach Ameryki południowej, t. j. w Brazylii i Argentynie. Tam emigrant polski traktowany jest jak niewolnik. Wprawdzie przewożono go za darmo przez morze, i rząd ofiaruje grunt, lecz na wymierzenie owego gruntu, czekać trzeba miesiącami, a tymczasem pracować strasznie ciężko przy budowie dróg i rąbaniu drzewa. A choć grunt wreszcie dostanie, to najprzód musi na nim las wykarczować, albo wydobyć z ziemi olbrzymie pnie i korzenie drzew, na którychby przecież nic nie rosło. Plony niszczy często szarańcza, ogrodnictwu stoi na przeszkodyie plaga mrówek, których nic nie wytępi. Praca na plantacyach kawy jest ciężka, a życie tak drogie, że zarobek męża i ojca nie może wystarczyć, do roboty więc idą kobiety i dzieci, często całe rodziny rozchodzą się po dalekich przestrzeniach i ginie życie rodzinne.

Tam zapomina młodsze pokolenie mówić po polsku między plantatorami, a reszty dokonuje szkoła portugalska.

— Robotnicy sezonowi idą od nas wielkiemi masami na Saksy, t. j. do Niemiec. W ich namawianiu i oszukiwaniu niemniej gorliwie pracują agenci, jak nad tymi — co chcą wyjść do Ameryki. Agent zabiera nadwyżkę kolejową, agent odczytuje, nieumiejącemu czytać, kontrakt tak jak jemu to dogodne, agent odmawia będących już w służbie, i nowe za to pobiera faktorne. Płace są różne: dzienne lub akordowe; wahają się między 1 marką a 1·50 dla mężczyzny, dla kobiet i niedorostków 60—80 fenygów dziennie.

O ile robotnik cały czas umówiony u jednego pana spędził, o tyle ten ponosi koszta podróży tam i z powrotem. Ale pracodawcy wolno kontrakt zerwać, jeżeli:

1) robotnik źle się sprawuje,
2) dwa razy swego chlebodawcy nie posłucha,
3) do podjętej roboty jest niezdolny,
4) źle ją wykonywa,
5) Dręczy zwierzęta swego pana.

Trzeba się więc pilnować, by się nie narażać na zerwanie.

Z drugiej strony wolno robotnikowi umowę zerwać z ważnych powodów. Do tych należą:

1) bicie robotnika przez pracodawcę lub jego urzędnika,
2) dawanie ubliżających przezwisk,
3) szydzenie z religii katolickiej,
4) nierzetelność w wypłacie,
5) niemoralne zachowanie się względem robotnika.

W razie choroby należy się robotnikowi pomoc lekarza i lekarstwo.

Pieniędzy, zaoszczędzonych w Niemczech, nie należy wydać tam na rozmaite sprawunki, lecz sprawunki te załatwiać po powrocie do kraju. Lepiej, niech swoi zarobią, z drugiej zaś strony tutaj, u nas, łatwiej wychodźcy cenę wytargować i ochronić się od wyzysku.

Powracając do kraju z pieniądzmi należy wystrzegać się złodziei; najlepiej też pieniądze wysyłać naprzód pocztą pod adresem własnym lub najbliższej kasy zaliczkowej albo rajfajzenki.

Idą też nasi do Francyi, Szwajcaryi, Danii i Szwecyi, ale się tam nie organizują na miejscu. Zdarza się także spotkać z Polakami na plantacyach kukurydzy w Rumunii, lecz dotąd ani państwo, ani społeczeństwo nie zbadało ich liczby, ani losu.

Objaśnienia pocztowe.

Adres każdej przesyłki listowej powinien obejmować imię i nazwisko odbiorcy, jako też mieszkanie lub firmę, zarazem miejsce przeznaczenia wraz z podaniem kraju. Na kopercie nie wolno żadnych notatek umieszczać, jakoteż jakichbądź doniesień.

Przylepiania marek listowych na odwrotnej stronie koperty należy unikać.

Marki listowe. Marki listowe może nadawca w części adresem przepisać, nie wolno jednak na nich żadnej pieczęci odcisnąć, ani ich przekreślić, ani na nich umieścić dnia lub nazwisko miejscowości.

Za doręczenie listów, kartek korespondencyjnych, druków, prenumerowanych gazet i czasopism, wzorków i próbek towarów przez listonosza nie uiszcza się żadnej należytości

Urząd pocztowy nie bierze na siebie żadnej odpowiedzialności za zaginiony list zwyczajny, lub za rzeczy wartościowe w nim załączone, jakoteż za skutki opóźnienia lub błędnego doręczenia; natomiast w razie zaginienia rekomendowanej przesyłki z winy urzędu, uiszcza urząd pocztowy nadawcy jako wynagrodzenie kwotę 50 kor.

Listy zwyczajne nie mogą być cięższe niż 250 gramów. Za listy zwyczajne opłata wynosi bez różnicy odległości:

W monarchii austryacko - węgierskiej razem z Bośnią, Hercegowiną i Lichtensteinem do 20 gr. za list opłacony 10 hal., nad 20 gr. do 250 gr. opłacony 20 hal

Do Niemiec do 20 gr. opłacony 10 hal., nad 20 gr. do 250 gr. opłacony 20 hal.

Za granicę do wszystkich innych krajów związku pocztowego do 20 gr. 25 hal., za każde 20 gr. 15 hal.

Za listy doręczone w miejscu płaci się do 20 gr. 10 hal., od 20 gr. do 250 gr. 20 hal.

Listy poste restante mogą zalegać przy urzędach pocztowych do 4 tygodni i mogą być adresowane nietylko imieniem i nazwiskiem, ale także literami, cyframi i t. d. i wtedy adresat powinien się sam zgłosić po odbiór tychże. Listy poste restante adresowane literami lub cyframi, rekomendowane być nie mogą

Rekomendować (polecać) można wszystkie przesyłki, ale poniżej adresu musi być uwidocznionem »polecone«. Należytość za polecenie wynosi przy przesyłkach bez względu na odległość, tak wewnątrz kraju, jakoteż i do wszystkich państw związku pocztowego 25 hal.; należytość za rekomendacyę trzeba uiścić przez przylepienie marek listowych w odpowiedniej ilości po stronie adresu.

Recepis zwrotny. Przy wszystkich przesyłkach poleconych może nadawca żądać recepisu zwrotnego. Za recepis ten opłaca się 25 hal.

Przyjęcie lub nieprzyjmowanie przesyłek pocztowych jest do woli adresata oddane.

Listy pilne. Jeżeli nadawca sobie życzy, aby list został zaraz po przyjściu doręczony adresatowi, ma być adresowany dokładnie, t. j. zawierać imię i nazwisko, tudzież mieszkanie adresata (ulica i numer domu) oraz winien nadawca dopisać na kopercie po lewej stronie u dołu »doręczyć zaraz przez umyślnego posłańca« (express). Za doręczenie natychmiastowe, należytość wynosi 30 hal., którą to należytość nadawca uiścić musi przez przylepienie marek listowych w odpowiedniej ilości, jeżeli adresat mieszka w miejscu. Za każde zaś $7^1/_2$ kilometra odległości od urzędu pocztowego płaci się posłańcowi 1 kor., zawsze jednak adresat jest odpowiedzialny za uiszczenie odpowiedniej należytości.

Karty korespondencyjne po 5 hal mogą być przesłane do wszystkich krajów monarchii austryackiej, i do Niemiec, jakoteż i do Czarnogóry i Serbii, zaś karty korespondencyjne po 10 hal. można wysyłać do wszystkich innych krajów związku pocztowego.

Kartki korespondencyjne można także rekomendować, w tym jednak razie nie wolno adresu napisać ołówkiem.

Druki. Wszelkie druki, litografie, sztychy, fotografie i książki można posyłać pod przepaską, których można nabyć w urzędzie pocztowym. Przepaski mogą być także robione w domu. Należytość wynosi do wszystkich miejscowości państwa austryackiego i do Niemiec, jakoteż do Bośni i Hercegowiny do 50 gr. 3 hal., od 50 do 100 gr. 5 hal., od 100—250 gr. 10 hal., od 250 - 500 gr. 20 hal., od 500—1000 gr. 30 hal. Do wszystkich innych państw do związku pocztowego należących za każde 50 gr. 5 hal.

Pod opaską nie wolno posyłać listów. — Pod jedną opaską można kilka przedmiotów posyłać, jeżeli adresowane są do jednej osoby. Adres ma być napisany na opasce. Oprócz adresu, daty i podpisu żadnych innych dopisków robić nie wolno, wolno tylko ołówkiem zakreślać miejsca na marginesie, na które chce się zwrócić szczególną uwagę. Korekty wolno posyłać ze stosownemi poprawkami, które nawet w braku miejsca na marginesie mogą być dopełnione na osobnym arkuszu i wolno także odpowiednie kartki manuskryptu do korekty dołączyć.

Próby towarów nie powinny przedstawiać żadnej wartości kupieckiej. One muszą być zapakowane w woreczkach, żeby można łatwo przekonać się o ich zawartości. One nie śmią być dłuższe niz 30, szersze niż 20, a wyższe niż 10 cm., albo przesyłać wolno w rulonach, które nie śmią być dłuższe niż 30 cm., a średnicy 15 cm. nie przekraczają.

Ciężar próbek towarów co najwyżej wynosić może 250 gr.

Opłata wynosi w monarchii austryacko-węgierskiej do Bośni i Hercegowiny, jakoteż i do Niemiec do 250 gr. 10 hal., do 350 gr. 20 hal.

Do innych zaś państw do związku pocztowego należących za każde 50 gr. 5 hal. najmniej jednak 25 hal.

Przekazy pieniężne (Postanweisungen). Do 1000 kor. posyłać można do wszystkich urzędów pocztowych monarchii austryacko-węgierskiej i Bośni i Hercegowiny nietylko w listach, ale także za pomocą t. z. przekazów, których można nabyć w urzędach pocztowych po 3 h.

Przekazów pocztowych na większą kwotę niż 1000 kor. opiewających pojedynczo nie przyjmuje się, względnie nie wypłaca się.

Przekazów pieniężnych nie wolno wypełniać ołówkiem zwyczajnym lub atramentowym.

Porto opłaca się przez przylepienie marek na przekazie. Kwotę przesłać się mającą należy na przekazie wypisać liczbami i słowami i złożyć ją w urzędzie pocztowym.

Opłata wynosi:

	do	20	kor.	—	10	hal.
od	20	»	100	»	—·20	»
»	100	»	300	»	—·40	»
»	300	»	600	»	—·60	»
»	600	»	1000	»	1·—	kor.

Za przekazami pieniężnemi można przesyłać pieniądze i za granicę.

Można przesyłać przekazy do wszystkich państw europejskich i wielu zamorskich — ale trzeba je pisać według monety istniejącej w danem państwie. Przekazy do obcych państw są odmienne, nazywają się »internacyonalne« t. j. międzynarodowe.

Przekazy pieniężne telegraficzne można posyłać do takich miejscowości, gdzie jest biuro telegraficzne rządowe do wysokości 1000 kor. Opłata jest ta sama, co przy przekazach zwykłych z dodatkiem opłaty za telegram.

Pakiety pocztowe. Adres każdej przesyłki pocztowej, jakoteż przekaz przesyłkowy musi być zaopatrzony w imię i nazwisko odbiorcy, miejsce przeznaczenia z podaniem kraju, powiatu i ostatniej poczty.

Zawartość pakietu należy tak na pakiecie, jak i na przekazie przesyłkowym podać.

Podanie wartości do woli jest zostawione przesyłającemu.

Do każdej przesyłki pocztowej należy dodać przekaz przesyłkowy, który kosztuje 12 hal.

Lewy odcinek przekazu przesyłkowego może być zapisanym i przez odbiorcę odciętym.

Przekazy przesyłkowe są: 1) do przesyłek bez zaliczki z zielonego papieru; 2) do przesyłek za zaliczką z szaro-niebieskiego papieru.

Najmniej kosztuje przesyłka w 5 klg. ważących pakietach w granicach monarchii (ponad 10 mil odległości) 60 hal.

Wysokość opłaty przesyłek pocztowych zależy od ciężaru, wartości i oddalenia od miejsca nadania do miejsca przeznaczenia.

Deklaracyę cłową należy do wszystkich przesyłek pakietowych z Austro-Węgier do Niemiec bez względu na wagę ze strony nadawcy otwarcie dołączyć.

Do przesyłek pakietowych do Niemiec należy statystyczną deklaracyę dołączyć.

Przy przesyłkach do 5 klg. włącznie na odległość 10 mil, 30 hal.; powyżej odległości 10 mil 60 hal. — Za przesyłki powyżej 5-15 klg. za każdy klg na odległość 10 mil 6 hal., na odległość 20 mil 12 hal., 50 mil 24 hal., 100 mil 36 hal., 150 mil 48 hal., powyżej 150 mil 60 h.

Przy nieopłaconych przesyłkach dolicza się dodatek 12 hal.

Najlepiej i najtaniej przychodzi każdemu przesyłać w pakietach 5 klg. w całej monarchii (powyżej 10 mil odległości) 60 h. **Taksa wartościowa** wynosi do 100 kor. 6 hal, od 100 kor. do 600 kor. 12 hal., do 900 kor. 18 hal., do 1200 kor. 24 h., do 1500 kor. 30 hal., do 1800 kor. 36 hal., do 2100 kor. 42 hal. **Prowizya zaliczkowa** wynosi do 24 kor. 12 hal., do 28 kor. 14 hal., do 32 kor. 16 hal., do 36 kor. 18 hal., do 40 kor. 20 hal., za każde dalsze 4 kor. 2 hal.

Przesyłki za zaliczką można nadawać na wszystkich urzędach pocztowych, które upoważnione są do poczty wozowej, w monarchii austryacko-węgierskiej aż do wysokości 1000 kor.

Przy przesyłkach za zaliczką bierze na siebie urząd pocztowy odpowiedzialność, kwotę wymienioną przez nadawcę od adresata powziąć, i przez urząd nadawczy pocztowy nadawcy wypłacić.

Przesyłki za zaliczką do **Niemiec** nadawane być mogą z podaniem wartości i bez takowego aż do 50 klg. i do 1000 koron.

Za granicę należy używać tak zwanych międzynarodowych przekazów przesyłkowych, które są na różowym papierze drukowane. Do każdej przesyłki należy dodać deklaracyę cłową, następnie przy przesyłkach podlegających statystyce zagranicznego handlu, należy jeszcze statystyczną dołączyć deklaracyę. Opłata przy przesyłkach pakietowych do Niemiec jest taka sama, jak przy przesyłkach wewnątrz monarchii austr.-węg.

Wprowadzono dla kupców i podróżujących **„karty legitymacyjne"** za opłatą 2 koron. Za ich okazaniem można otrzymywać listy polecone, towary i przekazy »poste restante« w całem państwie austryackiem. Dotychczas żądano paszportu lub metryki.

TELEGRAMY. Użytkowanie telegrafu jest każdemu dozwolonem.

Tajemnicę telegramów zachowuje się pod największą dyskrecyą.

Telegram napisany być musi wyraźnie, zrozumiale i takiemi niemieckiemi lub łacińskiemi literami, względnie znakami lub cyframi, któreby można odtelegrafować. Przy każdym telegramie w Austro-Węgrzech (wraz z Bośnią, Hercegowiną i Lichtenstein) jak i do Niemiec płaci się za każde słowo 6 hal., co najmniej 60 hal.). Słowo nie śmie obejmować więcej niż 15 liter lub 5 cyfr. Litery i cyfry zbywające, liczy się za słowo. Do innych zaś państw europejskich, jakoteż do wszystkich prawie zamorskich opłaca się taksę 60 hal., a do tego jeszcze taksę słowną, która jest rozmaitą.

Zapłacona odpowiedź. Nadawca może żądaną od adresata odpowiedź zapłacić, a w tym razie przed adresem nadmienić ma wyraźnie »odpowiedź zapłacona«. Jeżeli nadawca ilości słów na odpowiedź nie poda, to na nią liczy się 10 słów.

Kalendarz myśliwski i rybacki.

Pole białe oznacza czas polowania, względnie łowienia, pole zaś oznaczone kwadracikiem [▣] całomiesięczny, pole oznaczone kółeczkiem (○) półmiesięczny czas ochrony.

Gatunek zwierzyny	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październik	Listopad	Grudzień	Styczeń	Luty	Marzec
Jelenie	▣	▣	▣	▣				▣	▣	▣	▣	▣
Kozły (rogacze) .	▣	○										▣
Łanie, kozy, cielęta i szpiczaki, kury	▣	▣	▣	▣	▣	▣	▣	▣	▣	▣	▣	▣
Zające	▣	▣	▣	▣	▣	▣					▣	▣
Kuropatwy . . .	▣	▣	▣	▣	○				▣	▣	▣	▣
Jarząbki	▣	▣	▣	▣	▣						▣	▣
Cietrzewie i głuszce		○	▣	▣	▣							
Bażanty	▣	▣	▣	▣	○					▣	▣	▣
Przepiórki, dzikie gołębie	▣	▣	▣	▣				▣	▣	▣	▣	▣
Dropie, pardwy .	○	▣	▣	▣								
Ptactwo błotne w ogólności . .	○	▣	▣									
Ptactwo wodne .	○	▣	○									

Gatunek ryb	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październik	Listopad	Grudzień
Boleń			○	▣								
Lipień, głowacica			○	▣	○							
Świnka				▣	○							
Wyrozub . . .				▣	▣							
Czop				▣	▣							
Sandacz				▣	▣							
Brzanka, brzana, cyrta					○	▣						
Leszcz					○	▣						
Łosoś, pstrąg . .									○	▣	▣	○
Węgorz												
Czeczuga . . .												
Klonek												
Jaź												
Szczupak . . .												
Rak (samica) .	▣	▣	▣	▣	▣	▣	▣			▣	▣	▣
Rak (samiec) . .	▣	▣	▣	▣	▣					▣	▣	▣

Należytości stemplowe.

SKALA I.

Weksle i asygnaty.

	do K.	K. h.
nad	150	— 10
150	300	— 20
300	600	— 40
600	900	— 60
900	1200	— 80
1200	1500	1 —
1500	1800	1 20
1800	2100	1 40
2100	2400	1 60
2400	2700	1 80
2700	3000	2 —
3000	6000	4 —

itd. za każde następne 3.000 K. o 2 K. więcej, licząc kwoty niżej 3.000 za pełne.

SKALA II.

Kwity i dokumenta.

	do K.	K. h.
nad	40	— 14
40	80	— 26
80	120	— 38
120	200	— 64
200	400	1 26
400	600	1 88
600	800	2 50
800	1600	5 —
1600	2400	7 50
2400	3200	10 —
3200	4000	12 50
4000	4800	15 —

Za każde następne 800 K o 2 K 50 h. więcej, licząc kwoty niżej 800 K za pełne.

SKALA III.

Ugody pożyczkowe, kontrakty służbowe.

	do K.	K. h.
nad	20	— 14
20	40	— 26
40	60	— 38
60	100	— 64
100	200	1 26
200	300	1 88
300	400	2 50
400	800	5 —
800	1200	7 50
1200	1600	10 —
1600	2000	12 50
2000	2800	15 —

Za każde następne 400 K o 2 K 50 h. więcej, licząc kwoty niżej 400 K za pełne.

Ciężarność u zwierząt domowych.

Początek ciężarności	Koniec ciężarności u klaczy po 340 dniach	Koniec ciężarności u krów po 285 dniach	Koniec ciężarności u owiec i kóz po 154 dniach	Koniec ciężarności u świń po 120 dniach	Początek ciężarności	Koniec ciężarności u klaczy po 340 dniach	Koniec ciężarności u krów po 285 dniach	Koniec ciężarności u owiec i kóz po 154 dniach	Koniec ciężarności u świń po 120 dniach
1. stycznia	6. grudn.	12. paźdz.	3. czerw.	30. kwietn.	5. lipca	9. czerw.	15. kwietn.	5. grudn.	1. listop.
6. „	11. „	17. „	8. „	5. maja	10. „	14. „	20. „	10. „	6. „
11. „	16. „	22. „	13. „	10. „	15. „	19. „	25. „	15. „	11. „
16. „	21. „	27. „	18. „	15. „	20. „	24. „	30. „	20. „	16. „
21. „	26. „	1. listop.	23. „	20. „	25. „	29. „	5. maja	25. „	21. „
26. „	31. „	6. „	28. „	25. „	30. „	4. lipca	10. „	30. „	26. „
31. „	5. styczn.	11. „	3. lipca	30. „	4. sierpnia	9. „	15. „	4. styczn.	1. grudn.
5. lutego	10. „	16. „	8. „	4. czerw.	9. „	14. „	20. „	9. „	6. „
10. „	15. „	21. „	13. „	9. „	14. „	19. „	25. „	14. „	11. „
15. „	20. „	26. „	18. „	14. „	19. „	24. „	30. „	19. „	16. „
20. „	25. „	1. grudn.	23. „	19. „	24. „	29. „	4. czerw.	24. „	21. „
25. „	30. „	6. „	28. „	24. „	29. „	3. sierpn.	9. „	29. „	26. „
2. marca	4. lutego	11. „	2. sierpn.	29. „	3. września	8. „	14. „	3. lutego	31. „
7. „	9. „	16. „	7. „	4. lipca	8. „	13. „	19. „	8. „	5. styczn.
12. „	14. „	21. „	12. „	9. „	13. „	18. „	24. „	13. „	10. „
17. „	19. „	26. „	17. „	14. „	18. „	23. „	29. „	18. „	15. „
22. „	24. „	31. „	22. „	19. „	23. „	28. „	4. lipca	23. „	20. „
26. „	1. marca	5. styczn.	27. „	24. „	28. „	2. wrześn.	9. „	28. „	25. „
1. kwietnia	6. „	10. „	1. wrześn.	29. „	3. paździer.	7. „	14. „	5. marca	30. „
6. „	11. „	15. „	6. „	3. sierpn.	8. „	12. „	19. „	10. „	4. lutego
11. „	16. „	20. „	11. „	8. „	13. „	17. „	24. „	15. „	9. „
16. „	21. „	25. „	16. „	13. „	18. „	22. „	29. „	20. „	14. „
21. „	26. „	30. „	21. „	18. „	23. „	27. „	3. sierpn.	25. „	19. „
26. „	31. „	4. lutego	26. „	23. „	28. „	2. paźdz.	8. „	30. „	24. „
1. maja	5. kwiet.	9. „	1. paźdz.	28. „	2. listopada	7. „	13. „	4. kwietn.	1. marca
6. „	10. „	14. „	6. „	2. wrześn.	7. „	12. „	18. „	9. „	6. „
11. „	15. „	19. „	11. „	7. „	12. „	17. „	23. „	14. „	11. „
16. „	20. „	24. „	16. „	12. „	17. „	22. „	28. „	19. „	16. „
21. „	25. „	1. marca	21. „	17. „	22. „	27. „	2. wrześn.	24. „	21. „
26. „	30. „	6. „	26. „	22. „	27. „	1. listop.	7. „	29. „	26. „
31. „	5. maja	11. „	31. „	27. „	2. grudnia	6. „	12. „	4. maja	31. „
5. czerwca	10. „	16. „	5. listop.	2. paźdz.	7. „	11. „	17. „	9. „	5. kwietn.
10. „	15. „	21. „	10. „	7. „	12. „	16. „	22. „	14. „	10. „
15. „	20. „	26. „	15. „	12. „	17. „	21. „	27. „	19. „	15. „
20. „	25. „	31. „	20. „	17. „	22. „	26. „	2. paźdz.	24. „	20. „
25. „	30. „	5. kwiet.	25. „	22. „	27. „	1. grudn.	7. „	29. „	25. „
30. „	4. czerw.	10. „	30. „	27. „	31. „	5. „	11. „	2. czerw.	29. „

Tabela do obrachowania procentów.

Kapitał	Po 4 od sta						Po 5 od sta						Po 6 od sta					
	na 1 rok		na $^{1}/_{4}$ roku		na 1 miesiąc		na 1 rok		na $^{1}/_{4}$ roku		na 1 miesiąc		na 1 rok		na $^{1}/_{4}$ roku		na 1 miesiąc	
Kor.	K	h	K	h	K	h	K	h	K	h	K	h	K	h	K	h	K	h
1	—	4	—	1	—	$^{1}/_{3}$	—	5	—	$1^{1}/_{4}$	—	$^{3}/_{12}$	—	6	—	$1^{1}/_{2}$	—	$^{1}/_{2}$
2	—	8	—	2	—	$^{2}/_{3}$	—	10	—	$2^{1}/_{2}$	—	$^{5}/_{6}$	—	12	—	3	—	1
3	—	12	—	3	—	1	—	15	—	$3^{3}/_{4}$	—	$1^{1}/_{3}$	—	18	—	$4^{1}/_{2}$	—	$1^{1}/_{2}$
4	—	16	—	4	—	$1^{1}/_{2}$	—	20	—	5	—	$1^{2}/_{3}$	—	24	—	6	—	2
5	—	20	—	5	—	$1^{2}/_{3}$	—	25	—	$6^{1}/_{4}$	—	$2^{1}/_{12}$	—	30	—	$7^{1}/_{2}$	—	$2^{1}/_{2}$
6	—	24	—	6	—	2	—	30	—	$7^{1}/_{2}$	—	$2^{1}/_{32}$	—	36	—	9	—	3
7	—	28	—	7	—	$2^{1}/_{3}$	—	35	—	$8^{3}/_{4}$	—	$2^{11}/_{12}$	—	42	—	$10^{1}/_{2}$	—	$3^{1}/_{2}$
8	—	32	—	8	—	$2^{2}/_{3}$	—	40	—	10	—	$3^{1}/_{3}$	—	48	—	12	—	4
9	—	36	—	9	—	3	—	45	—	$11^{1}/_{4}$	—	$3^{3}/_{4}$	—	54	—	$13^{1}/_{2}$	—	$4^{1}/_{2}$
10	—	40	—	10	—	$3^{1}/_{3}$	—	50	—	$12^{1}/_{2}$	—	$4^{1}/_{6}$	—	60	—	15	—	5
20	—	80	—	20	—	$6^{2}/_{3}$	1	—	—	25	—	$8^{1}/_{3}$	1	20	—	30	—	10
30	1	20	—	30	—	10	1	50	—	$37^{1}/_{2}$	—	$12^{1}/_{3}$	1	80	—	45	—	15
40	1	60	—	40	—	$13^{1}/_{3}$	2	—	—	50	—	$16^{2}/_{3}$	2	40	—	60	—	20
50	2	—	—	50	—	$16^{2}/_{3}$	2	50	—	$62^{1}/_{2}$	—	$20^{5}/_{6}$	3	—	—	75	—	25
60	2	40	—	60	—	20	3	—	—	75	—	25	3	60	—	90	—	30
70	2	80	—	70	—	$23^{1}/_{3}$	3	50	—	$87^{1}/_{2}$	—	$29^{1}/_{6}$	4	20	1	05	—	35
80	3	20	—	80	—	$26^{2}/_{3}$	4	—	1	—	—	$33^{1}/_{3}$	4	80	1	20	—	40
90	3	60	—	90	—	30	4	50	1	$12^{1}/_{2}$	—	$37^{1}/_{2}$	5	40	1	35	—	45
100	4	—	1	—	—	$33^{1}/_{3}$	5	—	1	25	—	$41^{2}/_{3}$	6	—	1	50	—	50
200	8	—	2	—	—	$66^{2}/_{3}$	10	—	2	50	—	$83^{1}/_{3}$	12	—	3	—	1	—
300	12	—	3	—	1	—	15	—	3	75	1	25	18	—	4	50	1	50
400	16	—	4	—	1	$33^{1}/_{3}$	20	—	5	—	1	$66^{2}/_{3}$	24	—	6	—	2	—
500	20	—	5	—	1	$66^{2}/_{3}$	25	—	6	25	2	$8^{1}/_{3}$	30	—	7	50	2	50
1.000	40	—	10	—	3	$33^{1}/_{3}$	50	—	12	50	4	$16^{2}/_{3}$	60	—	9	—	5	—
5.000	200	—	50	—	16	$66^{2}/_{3}$	250	—	62	50	20	$83^{1}/_{3}$	300	—	75	—	25	—
10.000	400	—	100	—	33	$33^{1}/_{3}$	500	—	125	—	41	$66^{2}/_{3}$	600	—	150	—	50	—
20.000	800	—	200	—	66	$66^{2}/_{3}$	1000	—	250	—	83	$33^{1}/_{3}$	1200	—	300	—	100	—

Tabela porównawcza monet obcych z koronami.

MONETY															
francuskie = walucie koronowej				niemieckie = walucie koronowej				rosyjskie = walucie koronowej				amerykańskie = walucie koronowej			
franki	cen.	kor.	hal.	marki	fen.	kor.	hal.	ruble	kop.	kor.	hal.	dol.	cen.	kor.	hal.
—	1	—	1	—	1	—	1	—	1	—	3	—	1	—	5
—	10	—	$9^{1}/_{2}$	—	10	—	$11^{1}/_{2}$	—	10	—	25	—	10	—	49
1	—	—	95	1	—	1	17	1	—	2	53	1	—	1	94
10	—	9	52	10	—	11	76	10	—	25	30	10	—	10	35
100	—	95	23	100	—	117	56	100	—	253	—	100	—	100	51
1000	—	952	26	1000	—	1175	63	1000	—	2530	—	1000	—	1000	10

PRZEMYSŁ PIWOWARSKI.

jące w kraju, wyszynki, restauracye, hotele, sklepy, powinny sprzedawać tylko krajowe piwo.

PRECZ Z OBCEM PIWEM!

Mamy doskonałe piwa krajowe, a mianowicie z browarów: w Busku, Chlebowie, Dzikowie, Grybowie, Korolówce (koło Kołomyji), Krasiczynie, Limanowej, Lwowie, Lesienicach, Łańcucie, Okocimie i Krakowie, Stanisławowie, Strzyżowie, Suchej, Tarnowie, Tenczynku, Zaczerniu koło Rzeszowa, Zbarażu i Żywcu. Spożywanie piwa krajowego to popieranie wielkiej gałęzi przemysłu krajowego, zatrudniającej tysiące robotników. Domagajmy się wszędzie tylko

PIWA KRAJOWEGO!



Z Nowym Rokiem

niechaj Anioł złoty, precz poodpędza z serc Waszych zgryzoty a w wasze chaty wniesie spokój błogi! Niech zbożem Wasze ponapełnia stogi, niech miłość niesie w Wasze niskie chaty; niech w nich rozleje drogiej zdrój oświaty; niech szczęściem tylko samem on obdarzy naszych kochanych, polskich gospodarzy!

1812—1912.

Sięgnijmy wzrokiem dziś w ubiegłe lata,
Gdy na Zachodzie powstał wódz potężny,
Aby w swą władzę zagarnąć pół świata!
Pospieszał tłumnie doń naród orężny
I kładł swe głowy i lał krwi strumienie
Na wodza tego rozkaz lub skinienie.

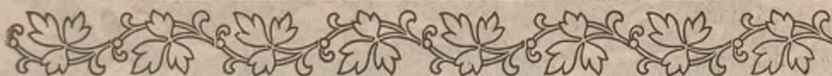
Szedł Napoleon na Egiptu pola,
Zasiał trupami alpejskie wąwozy;
Krwią się pokryła i hiszpańska rola...
Zadrżał świat cały od lęku i grozy,
Widząc naokół bielejące kości
W imię swobody i w imię wolności...

Padł przed nim chytry Prusak na kolana,
Wił się w pokorze i o litość błagał,
Napoleona uznając za pana...
A ten wódz wielki wszystkich wokół smagał,
Coraz to nowe granice im kryśląc,
Wolność wszem głosił, o sobie wciąż myśląc.

I biedna Polska wyciągła swe dłonie
Ku mocarzowi z prośbą o ratunek,
Dając mu w władze lud swój i swe bronie...
A Napoleon przyrzekł porachunek
Zrobić z ciemięzcą Polski i jej katem,
Bo sam chciał błyszczeć, jako grom przed światem.

I przeszedł wódz ów nasze polskie niwy
I zmierzyć szedł się z przepotężnym carem...
A naród polski był wówczas szczęśliwy,
Bo myślał w sercu swem poczciwem, starem,
Że Napoleon nędzę naszą skróci
I biednej Polsce wziętą wolność wróci...

Lecz, co się w dumie wylęgnie na świecie,
Zmarnieć niebawem musi bezpowrotnie,
Zwiędnąć, jak mrozem powarzone kwiecie...
Nad Berezyną padł mocarz sromotnie,
Nie pokonawszy biednej Polski wroga,
Bo szedł dla sławy a nie w imię Boga!




Sto lat minęło od tej wielkiej chwili,
Gdy do wolności wznieśliśmy ramiona,
Gdyśmy nadzieją ową wielką żyli...
Sto lat minęło a Polska strapiona
Jęczy w niewoli, jak wówczas jęczała
I jeszcze kajdan swoich nie zerwała.

Sto lat minęło w bolesnej męczarni!
Sto lat burzliwych, jak nieszczęsna fala,
Co raz jaśnieje, to się znowu czarni
I swym ogromem niszczącym przywala...
Lecz w tych stu latach myśmy nie umarli,
Ani się naszej Polski nie zaparli.

Po tych stu latach wstaje Mocarz nowy
I z wrogiem idzie zmierzyć się w zawody.
Pod swe sztandary wzywa lud wioskowy,
Odwiedza kmiece zaciszne zagrody.
Puka do mieszczan i na pańskie dwory,
Budzi uśpione serc ludzkich ugory.

Rusza się szybko czujna brać wioskowa,
Do boju rwą się i miastowe szyki,
I ci co nauk innym głoszą słowa...
Wszędzie zapału błyskają ogniki!
Czuć ruch i życie po dworach i chatach,
Bo Mocarz inny staje po stu latach.

W najdalsze strony wysyła rozkazy,
Daje zlecenia, rozstawia placówki...
Każdy go słucha chętnie, bez urazy,
Każdy myśl jego spełnia bez wymówki
I wita mile przed rodzinnym progiem!
Bo idzie ku nam z miłością i Bogiem...

Więc czas niedługi, że staniemy wolni,
Gdy tylko wszędzie ów Mocarz zagości...
O wtedy, wtedy, moi bracia rolni!
Żyć będziem szczęśni i pełni wolności
Jako najpierwsi wśród wielkiego świata!
Mocarz ów zwie się, Rodacy!... Oświata!

Antoni St. Bassara.



„O! roku ów!“...

Z historyi wojny napoleońskiej w roku 1812.

Wiosna roku 1812 była wyjątkowo wczesną. Nietylko wczesną, ale niezwykłą, obfitującą w nadzwyczajne znaki.

Oto na niebie pojawiła się kometa; oto ptaki z ciepłych krajów powróciły wcześnie, gromadnie a z krzykiem, napełniając szumem i rozgwarem głębie nieba dniem i nocą; oto zwierzęta nie spieszyły się do runi świeżej, zielonej na pastwisku, lecz leniwie żuły pokarm zimowy, leżąc a porykując.

I ludzi, według świadectw współczesnych, dziwne ogarnęły przeczucia, »jak przed świata końcem, jakieś oczekiwanie tęskne a radosne«. Pracowali wolno, oglądali się wciąż na zachód »jakby z tej strony miał się objawić cud jaki, i jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo«. Zgoła sądzić by można, że spodziewali się tak zupełnej w życiu przemiany, iż spełnianie codziennych obowiązków wydawało się zbytecznem.

»O wiosno, kto cię wtenczas widział w naszym kraju.
Pamiętna wiosno wojny — wiosno urodzaju!
O wiosno, kto cię widział, jak byłaś kwitnąca,
Zbożami i trawami a ludźmi błysząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna —
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna. —
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę, miałem w życiu!...

Tak pisał w »Panu Tadeuszu« największy poeta polski, Adam Mickiewicz.

Przeczucia ludzkie spełniły się. Już w końcu marca buchnęła wieść i rozeszła się lotem błyskawicy po całym kraju. Napoleon wojnę wypowiedział Rosyi i z wojskiem olbrzymiem ciągnie na Moskwę!

Razem z oną wieścią nadzieja zalała wezbrane serca polskie: Napoleon ujmuje się za krzywdą naszą! Napoleon krzywdę naszą pomści!

Nie wątpił nikt, że zwycięży, ale każdy sądził, że teraz przynajmniej zechce wynagrodzić Polaków za oddanie się mu, za krew przelaną, za te dziesiątki tysięcy, co w jego sprawie, w sprawie Francyi, słały się, jak zboże na łanie, na polach Novi, Marengo, Sławkowa, za śmierć marną, bezowocną, bezbohaterską w walce z murzynami i febrą na wyspie San Domingo; i za bohaterskie wysiłki w złej sprawie, w zdobywaniu hiszpańskiego tronu.

Wszak powiedział kiedyś — »kraj wam wskrzeszę«! wszak nazwa »boga wojny« i miłość żołnierska i bezgraniczne oddanie się towarzyszyły mu wszędzie.

Wojna! wojna!

Echo hasła odbiło się także o białe ściany cichego dworku w Dąbrowie.

Dworek był, jak wiele innych, i ludzie w nim żyli zwyczajni, stary pan, właściciel wioski, i pani, jego żona. Od dziada pradziada grunt swój orali i chowali na nim dzieci troje: córki dwie już wyposażyli

i za mąż wydali, synowi jedynemu pragnęli zostawić Dąbrowę.

Ale ot! czasy nastały ciężkie, wojna, ofiar trzeba było dużych w pieniądzach i naturze, przechody wojsk niszczyły pola, a wyczerpywały zapasy i dobytek — dość, że jak rodzice na dorobku byli całe życie, tak na dorobku zostawić mieli syna. Gdybyż choć przy nich był i starość im złocił urodą swą i ochotą! Ale on gościem w domu tylko, wciąż gnany wichrem światowym od morza do gór śnieżnych, od swoich do obcych! Prawda, że odznaczył się, że ot teraz właśnie krzyż przywiózł na piersiach błyszczący i papier francuski pochwalny. Ojciec to się tem i cieszy i syna rozumie, ale matka jedno widzi tylko: niebezpieczeństwo i możliwość utracenia go na zawsze.

To też, jeżeli każdy powrót syna w domowe progi zabliźniał rany tęsknicy, to każdy wyjazd nowem był serca rozdarciem i niby pogrzeb synowski czarnym znaczył się śladem w matczynem życiu i w życiu całej Dąbrowy.

— Czy tobie synu, nie strach osierocić nas? — pytała pani Dąbrowska, gdy już stanęło na tem, że syn jutro dom opuści, by stanąć w swym pułku na wezwanie.

— Strach? — nie matko. Bóg czuwa przecież. A przytem tylu innych ginie... Ale ja, matko, zawsze o kraju myślę, o zwycięstwie, o wolności... A tę choćby po trupach naszych, ale byle osiągnąć!

— A nie zdaje ci się, że po wojnie kraj synów swych także potrzebować będzie? By ziemię orali, życie nowe plenili? Że może potrzebniejsze życie wasze tu, niż śmierć dla obcego? — pytał ojciec.

Syn pochylił się do ojcowskiego ramienia.

— Mylisz się ojcze! nie obcym mi Napoleon, skoro oddaje mi kraj!

Starzec głową wstrząsnął.

— Nie wierzę, szepnął — nie dla nas on walczy i krwi przelewa rzeki, nie dla nas! Dla chwały własnej, dla swej pychy, dla żądzy panowania, może dla zapewnienia tronu swemu synowi. A my nie jesteśmy mu niczem, jak tylko potrzebnymi pachołkami. Ani dbać będzie, gdy zwycięży...

— Nie dziwię się temu, co mówisz ojcze, boś ty wierny uczeń twego nauczyciela: nie wierzy w Napoleona Kościuszko, z nami się nie łączy — więc i ty... Ha, trudno. Inaczej wierzymy, my młodzi i nadejdzie dzień, gdy przekonają nas wypadki. Co powiesz ojcze, gdy Polska wstanie, jak była, od morza do morza?

Pan Dąbrowski nie odpowiadał, nie chciał smutnemi przeczuciami swemi synowi odbierać ducha ani zapału. Adam zaś nie nalegał, bo wiedział dobrze, jak różni się w zdaniu od ojca, i że go nie przekona.

Dzień upłynął smutnie, a gdy o zachodzie krwawą czerwienią zalało się niebo, pani Dąbrowska zgromadziła służbę i wspólna modlitwa wypełniła szmerem ściany białego dworku o szarej godzinie. Adam słuchał, czyścił broń i mundury i nieznanem dotąd uczuciem niepokoju zabiło mu serce.

Nazajutrz raniutko, żegnany milczeniem ojca, łzami i błogosławieństwem matki, opuścił dom, dziwnie niepewny, czy ujrzy go jeszcze i czy ich zastanie?

* * *

Ponieważ Adam Dąbrowski służył w pułku Chłapowskiego, więc rozkaz dla niego brzmiał: połączyć się z korpusem gwardyi. Ten stał cały prawie w okolicach Poznania, a Chłapowski otrzymał był rozkaz w 300 żołnierzy rozstawić straże od Torunia do Gdańska. W Toruniu zatem dokąd już mu było najbliżej, stanął w szeregu i odtąd nieopuszczał swej drużyny. Pułk ów pomaszerował niebawem na Heilsberg

i Gąbin w Prusiech wschodnich do granic Litwy.

O kilka mil przed Kownem, stolicą Żmudzi, spotkał się z cesarzem Napoleonem, który przybył od strony Królewca i zaraz ku mostowi na Niemnie się udał. Nazajutrz przejechał most, Polacy za nim. Dnia tego był na służbie sławny z hiszpańskich bojów Kozietulski i cesarz kazał mu przeprawić się wpław przez Wilię; po drugiej bowiem stronie rzeki pojawili się kozacy. Nasi rzucili się w nurty, kilku utonęło — a kozacy znikli.

Wówczas rozkazał Napoleon 3 szwadronom przeprawić się za Kozietulskim pod wodzą generała Konopki i zbadać okolicę aż do Czerwonego Dworu nad Niewiażą. Przyjął ich tam gościnnie pan Zabiełło z córką, a gdy długo u niego popasać nie mogli, sam noc całą w biwaku przepędził, byle tylko patrzeć na mundury polskie, byle słyszeć żołnierską polską piosenkę:

„Idzie żołnierz borem, lasem,
Przymierając z głodu czasem«.

Szedł śpiew z falami rzeki, a w szafirowych oczach panny Zabiełłówny, szkliły się łzy i błyszczały przy biwakowem ognisku.

Ku oczom tym spoglądał Adam Dąbrowski i myślą wracał ku wyblakłym od płaczu oczom matki, tak bardzo mu drogim.

Gdy rankiem wracać trzeba było z raportem do cesarza, który tymczasem posuwał się naprzód, ku Wilnu, panna Zabiełłówna do niego wyciągnęła rękę. Może pomyślała, że pod mundurem żołnierza i w rycerskim sercu też miejsce być może na tęsknotę.

W Wilnie poczęły dochodzić wiadomości o okropnościach wojny, spowodowanych niekarnością i rozprężeniem w armii, i serce krwawiło się na myśl, co cierpi teraz znów, choć inaczej, nasz kraj.

Tutaj także przyjął Napoleon deputacyę z Warszawy, która przybyła prosić, aby zaraz ogłosił przyłączenie Litwy do Księstwa Warszawskiego.

Niestety odpowiedź cesarza była bardzo niewyraźna i zasmuciła tych wszystkich Polaków, którzy jej znaczenie głębiej pojęli.

Wówczas to Adamowi ścisnęło się serce po raz pierwszy wątpieniem i na pamięć przyszły ojcowe słowa. Chciał wierzyć Napoleonowi, pragnął uwielbiać, a oto poczynał wątpić w szczerość jego zamiarów dla Polski.

Pozostawała nadzieja, że zmusi cesarza do tego dalszy ciąg wojny. Ale nadzieja była słaba: wszakże celem Napoleona było upokorzyć Anglię przy pomocy Rosyi, zatem z Rosyą trzeba mu było pokoju. A wskrzeszając Polskę, odebrałby Rosyi to, o co ona dbała najwięcej, więc gotowa była bić się do upadłego. Ponieważ zaś i w Hiszpanii nie miał spokoju, zatem musiał przewidywać wojnę na dwóch frontach i w takim razie o zgnębieniu Anglii nie mógł nawet marzyć. Polska, właściwie tylko Polacy, jako dobrzy żołnierze, byli mu tylko dogodnem narzędziem, niczem więcej.

Z Wilna szło wojsko polskie ku Witebskowi. O kilka mil przed tem miastem zaszła potyczka krwawą pod Ostrawną. Z jednej i drugiej strony padło po kilkuset ludzi, a z trupów, tak zwanych Czerwonych Kozaków, wnosić było można, co to za silny i rosły lud. Wchodzących do Witebska uderzyła cisza. Cała załoga moskiewska uciekła, jak się potem dowiedziano, ku Smoleńskowi. Nic dziwnego! Ktokolwiek ujrzał ową armię półmilionową »z bogiem wojny« na czele, kiedy parła tryumfalnym pochodem na północ, kiedy na jej widok topniały wojska, padały twierdze, ten byłby przysiągł, że nie oprze się, aż o biegun północny.

Zaś wojsko moskiewskie dzieliło się na trzy wielkie armie, których

dążeniem było teraz połączyć się z sobą. I rzeczywiście! niebawem odebrał Napoleon wiadomość, że generał Bagratin zrównał się z główną armią. Wtedy skierował wojsko polskie ku Dnieprowi, aby spotkać się z generałem Oudinotem, który liczną armię prowadził inną drogą.

Dniepr przebyto pod Dąbrową, gdy rozstawione straże doniosły, że niedaleko, pod Katanami stoi korpus moskiewski.

»Cesarz wysłał nasze 4 szwadrony — opowiada w swoich pamiętnikach jenerał Chłapowski, pod wodzą Kozietulskiego, bohatera Samosiery, na zwiady w tę stronę. Wyszliśmy o północy i przybyliśmy o pół mili od Katan, prowadzeni przez dwóch starych chłopów. Dopiero o pół mili spotkaliśmy kozaków. Stanęliśmy za ostatnią wsią i z jednym tylko szwadronem puściliśmy się za nimi. Cofnęli się. Słońce wschodziło, spostrzegliśmy więc na wzgórzu linię jazdy, a przed nią kilkaset kozaków. Cofnął Kozietulski pierwszy pluton, który już się ucierać począł z nieprzyjacielem i stanęliśmy na linii. Zapewne także Moskale zobaczyli nas i stali spokojnie, ale kozacy wystrzeliwali z janczarek, zaczepiali nas coraz bliżej i nareszcie wyzywali, krzycząc: »Lachy! Lachy!« Poznali snać, że my Polacy. Oficer kozacki na siwym koniu podjechał i wyzywał, żeby się z nim popróbować, aleśmy stali jak mur. Na linię, uszykowaną do boju, choćby to był jeden szwadron tylko, kozacy się nie rzucą, jeno z rozpuszczonymi ludźmi chcą mieć do czynienia, wciągając w zasadzkę i biorąc do niewoli. Wtedy się nie udało. Powróciliśmy do Dąbrowy. Cesarz przekonał się, że tu jeszcze do bitwy nie przyjdzie. A był to dzień 15 sierpnia, dzień imienin cesarza, i właśnie w tym dniu życzył sobie bitwy«.

A tymczasem Adam Dąbrowski snuł dalej nić swych smutnych przeczuć. Jasną chwilą było mu złączenie się z armią księcia Poniatowskiego, który nadszedł od Mścisławia.

Ponieważ znał go dawniej, a raz nawet wyróżniony był przez niego, pragnął rozmówić się, zapytać, rozwiać swe wątpliwości, ale ks. Józef chmurny jakiś był i oficer nie śmiał zbliżyć się do niego.

Mówiono w armii, że dłuższy odpoczynek będzie w Smoleńsku i wtedy obiecywał sobie Adam przypomnieć się pamięci księcia i pomówić z nim. Nie wiedział, że właśnie ów Smoleńsk oczekiwany da mu wyjaśnienie, tak wyraźne, że niepotrzebną już będzie odpowiedź ks. Józefa. A zapytanie miało być bardzo ostre: czy Napoleon zdradza sprawę polską, czy też mówi prawdę, gdy obiecuje wskrzeszenie Polski?

I było mu tak gorzko, że list wysłany ze Smoleńska do rodziców, po bitwie, prawdy nawet przed ojcem ukrywać się nie starał. »Walczyliśmy bohatersko — pisał Adam. Piechota mimo gęstego ognia aż pod mury doszła, ale że nie było wyłomu, do miasta dostać się nie mogła i bardzo wielu ludzi straciła. Rannym w nogę został jenerał Chłopicki. Nie rozumiem, dlaczego cesarz nie zebrał dział i nie zrobił wyłomu. Dopiero nazajutrz taki rozkaz wyszedł — ale przededniem przyszła wieść, że piechota nasza już w mieście Moskali nie zastała: uciekli w nocy. Weszły także dwa działa pod wodzą Chrzanowskiego. Cała zasługa po naszej stronie. Tymczasem, czy uwierzycie moi drodzy? W doniesieniu dziennem stało, że Francuzi zdobyli mury i weszli do miasta! Nieprawda! nieprawda! Więc nam tylko zostaje ofiara, gdy inni zabierają sławę?!«

List ten miał zrobić drogę do Polski w kieszeni jednego rannego, który wracać musiał jako że bez nogi prawej, w bitwie utraconej, niezdolny był do dalszej wojaczki.

Od Smoleńska ku Moskwie kraj był pusty, równy, ludzi spotykano

rzadko, gdyż uciekający Moskale pędzili ich przed sobą, niszcząc równocześnie pola, paląc domy, by armia Napoleońska żadnego nie znajdowała dachu ni pożywienia.

Marsze ku Moskwie od Smoleńska trwały 14 dni, gdy dnia 6 września zapowiedziano bitwę na dzień następny. Sam cesarz objechał placówki i linię, sam napisał odezwę, którą odczytano każdemu batalionowi.

Bitwa ta, zwana jest w historyi naszej bitwą pod Mozajskiem, w rosyjskiej zaś »pod Borodynem«, bo taką była najbliższa wioska stanowiska armii rosyjskiej.

Kluczem pozycyi rosyjskiej, osią, do której stosował swe obroty generał Kutuzow, była kolista baterya, wielką redutą przez Napoleona zwana. Zdobycie jej stanowiło o losie bitwy, bitwa zaś wygrana otwierałaby wolną do Moskwy drogę. To też cesarz słał pułk za pułkiem, na zdobycie jej, ale każdy zdziesiątkowany musiał zaniechać ataku. Kawalerya zatem postanowiła ją wziąć za każdą cenę. Korpus generała Latour Mobourga składało 12 pułków kirasyerów, a w ich liczbie były prócz francuskich, pułki saskie, bawarskie, westfalskie i jeden polski, zwany Małachowskiego.

Wspaniałej postawy byli kirasyerzy: wysocy, na ogromnych koniach, mieli czarne pancerze, hełmy z czerwonemi kitami, z szyszakowych grzebieni zwisały czarne końskie ogony, a płaszcze białe, koliste, ponsowem suknem podszyte, spływały aż po ostrogi i okrywały konia.

Na czele takiego zastępu stał Latour Mobourg, z okiem wpatrzonem w czerniącą się wśród dymu wielką redutę, gdy dopadł do niego adjutant cesarski. »Uderzyć«! — brzmiał rozkaz.

Natychmiast: »Niech żyje cesarz«! odkrzyknęli kirasyerzy i ruszyli.

Szli stępa, póki byli daleko od strzałów, ale kiedy pierwsze kule świsnęły im nad głowami, puścili konie w galop.

Ziemia drżała pod nogami 12.000 rozpędzonych rumaków, podniesione powiewem koliste płaszcze dwoiły postacie rycerzy, a bujające w powietrzu ogony szyszaków zdawały się skrzydłami, unoszącemi i ludzi i konie. Przodował pułk polski wśród gradu kul i pocisków reduty, która miotała je z paszczy 80 dział. Obiegli ją dokoła i dopadli do miejsca wjazdowego. Pierwszy przesadził ją trębacz, za nim Dziekoński, Ossoliński — i cała hurma kirasyerów zwaliła się, rąbiąc co napotkała.

Aż umilkły działa, a pełen radości Latour Mobourg wjechał do reduty.

Słuszne pochwały oddał kirasyerom, a potem zwrócił się do młodego oficera.

— Jedź pan do cesarza i powiedz mu, że reduta wzięta! — zawołał.

Młodzieniec uradowany rozkazem, zawrócił konia na miejscu i galopem opuścił bateryę. Był to Polak, Antoni Rostworowski. Jechał radosny, pewnym będąc, że zwiastuna dobrej nowiny cesarz niechybnie odznaczy.

Na całej, może milowej przestrzeni, wrzał bój, najkrwawszy ze wszystkich jakie stoczył Napoleon. W samym środku swej przestrzeni, na umyślnie usypanym kopcu stał »bóg wojny« za nim sztab, dalej gwardya. Ku temu punktowi spieszył Rostworowski. Był o 1000 kroków od owego miejsca, gdy kula armatnia urwała mu lewą rękę. Porwał cugle w prawą, i pomimo strasznej rany, pędził jak wicher. Wreszcie stanął przed cesarzem.

Ten widząc skrwawionego zapytał:

— Czego żądasz?

— Aby mnie opatrzono, odparł słabym głosem młodzieniec.

— »Opatrzyć« — zabrzmiał rozkaz i natychmiast podszedł lekarz ambulansowy, by go spełnić. Lecz Rostworowski ciągle jeszcze salutował:

— Najjaśniejszy panie! dwaj generałowie-adjutanci W. Ces. Mości

Montbrun i Coulincourt polegli! — wyrzekł.

Cesarz aż cofnął konia pod wrażeniem tych słów.

— Polegli! A wielka reduta?

— Zdobyta, Najj. Panie.

Napoleon odpiął od piersi krzyż legii honorowej.

— Wąsowicz, zawołał na adjutanta — przypnij mu go — a gdy wezwany miał zbliżyć się właśnie do Rostworowskiego, ten zwalił się z konia zemdlony. Odniesiono go do lazaretu, doktor cesarski Larcey, zajął się odcięciem ręki, aż po ramię, a oficerowie sztabu otoczyli łoże rannego i wypytywali o szczegóły wzięcia reduty.

W bitwie Możajskiej zginęło z obu stron 9000 ludzi, lecz droga do Moskwy była cesarzowi otwarta.

* * *

A Adam Dąbrowski?

Ułamek pękającego granatu uderzył go tak silnie, że złamał dwa żebra, zwalił z konia, a przelatująca po nim jazda kozaków zdało się, stratowała na miazgę. Jednak nie! Ocuciło go rzeźwe powietrze wieczoru i uczuł, że żyje, że zdolny jest myślą objąć ubiegłe wypadki. Ramieniem lewem tylko ruszać nie mógł, z rany powierzchownej w boku płynęła krew, a oddech miał utrudniony przez ugniatające złamane żebro. Ale oto głosy słyszy blizkie: to ambulans rannych zbiera i opatruje. Dojeżdża do Adama i przewozi go do najobszerniejszego z namiotów jenerała Colberta.

Tu pozostawał czas jakiś, a że bronią władać nie mógł, a wracać nie chciał, wysłano go z przedniemi strażami do Moskwy. Miał więc dość czasu, by zastanowić się nad sprawą, która go ciągle zaprzątała. Nieraz miał już sposobność patrzeć w twarz Napoleona i myślał wtedy uparcie: co jest pod czaszką tego człowieka? dokąd idzie? gdzie się zatrzyma? jaki jego kres?

Olbrzymi kraj leżał szeroką płaszczyzną przed zdobywcą, kraj zaludniony z rzadka i to ludem półdzikim, zdawałoby się do niewoli nawykłym. Spotkani po drodze włościanie rosyjscy, odziani w czerwone lub brunatne koszule, przepasani postronkiem lub powrósłem, bosi, długowłosi, zpodełba patrzyli na najeźdźców.

Wydało się Dąbrowskiemu, że na twarzy tego ludu czyta gorycz, niezadowolenie, nadzieję i nagle przyszło mu na myśl, że możnaby z łatwością zbuntować ten naród i razem z nim, z jego wolą i pomocą, z pod tyraństw cara wydrzeć kraj.

To jednak, co sąpził dobrem w duszy Napoleona, co broniło cesarza przed zarzutami, co w duszy Adama było pragnieniem, aby nietylko wojownikiem się okazał, ale człowiekiem dobrym i szlachetnym, to wszystko mówiło mu, że Napoleon środka takiego do zdobycia zwycięstwa użyć nie chciał, że nim wzgardził, jako zbyt nizkim i podłym.

Nie chciał buntować ludu, nie chciał zapalać pożaru w domu cudzym, do którego wszedł, nie chciał kraść dusz ludu — carowi. Tak myślał. Aż nareszcie zdala ujrzeli złocone kopuły cerkwi w Moskwie.

Adamowi serce walić poczęło młotem. Widok miasta, niby złocistej oazy na śniegowej pustyni napełnił go radością i wskrzesił wszystkie gasnące nadzieje. Najchętniej byłby życie oddał pod jego murami, jak dawny rycerz krzyżowy pod Jerozolimą!

Ale nikt nie zastąpił drogi od muru, nikt nie wybieżał przed bramy, nikt się nie bronił.

Przebiegłszy kilka ulic bezludnych, ujrzawszy tu i ówdzie dym i płomień, wymykający się z pod dachów, zrozumiał Adam wielką tajemnicę!

Moskale podpalili własne miasto w rozlicznych punktach, aby armia

Napoleona dachu nie znalazła nad głową, ani pożywienia dla siebie i koni — i opuszczono stolicę, nie dbając na pozostałe w niej skarby.

Rosyanin patryotyzm zna także — i zna ofiarę!

— Co na to powie cesarz? — myślał Adam. — Widziałem nieraz jego twarz marmurową, jak w stanowczych chwilach, gdy się ważyły losy armii, gdy najwaleczniejszych marszałków i jenerałów wynoszono na płaszczach z pola bitwy, nigdy nie drgnęła nawet wzruszeniem, okazując się zawsze jednaką, nieodgadniętą, niezdziwioną niczem. Widok palącej się Moskwy jakież zrobi na nim wrażenie?!

Straże przednie ruszyły cwałem ku górze Pokłonnej, po za którą już — już znajdować się musiał cesarz ze sztabem.

Niebawem ujrzano go, otoczonego gronem generałów. Wjechawszy na sam szczyt, skąd szeroki otwierał się widok na gród, lśniący złotem tysiąca kopuł, zatrzymał konia.

— Oto cel naszej drogi! zawołał. — Wątpiliście w moją gwiazdę — teraz wierzycie!

Jakie myśli musiały grać w jego głowie w tej chwili tryumfu, tego nie wyda język ludzki. W oczach tylko, ogarniających przestrzeń, wybiegających zda się, spojrzeniem po za krańce rzeczywistego świata, mogłeś wyczytać: moja jest Moskwa, mój będzie Petersburg — mój świat cały...

W tym momencie przypadł adjutant!

— Najjaśniejszy Panie! Moskwa opuszczona! Pali się...

Na tę wieść marmurowa twarz przybrała barwę ołowiu. Blask bijący od szerokiego czoła przygasł. Gwiazda jego szczęścia zagasła...

Po pięciu tygodniach pobytu w Moskwie, rozpoczął się odwrót... Ciężki, trudny, bolesny. 18 października dał cesarz rozkaz do opuszczenia Moskwy — a drogę skierował znów na Możajsk i Smoleńsk, przez okolice już spustoszone, byle uniknąć bitwy z Kutuzowem.

— Zginęliśmy! — zawołał ks. Sanguszko, słysząc, jak Napoleon rozkaz ten wydawał i rzeczywiście przeczuł, że to ostatni straszny akt owego wielkiego strasznego roku.

Kiedy ścisnęły okropne mrozy, przerzedzające gorzej nasze szeregi niż grad kul, i kiedy głód i wszelkie rodzaje chorób zwaliły się na tę ongi najpotężniejszą armię, która przedstawiała raczej obóz cyganów, niż porządne szyki wojenne, gwiazda Napoleona, ta gasnąca gwiazda przywiodła szyki polskie nad brzeg Berezyny. Nieopatrznie pozostawiono w tym ważnym punkcie generała Dąbrowskiego z 8000 ludzi. Atakuje garstkę ową znacznie przeważającemi siłami Czyczagow. Z nieporównaną walecznością i rzadką wytrwałością broni się jen. Dąbrowski dzień cały i straciwszy 2000 ludzi — przechodzi most — paląc go za sobą. Błotnista, szeroko rozlana rzeka, której brzeg przeciwny zajmowali Rosyanie, zdała się do przebycia niepodobną. W dodatku mądrze obmyślany był plan Moskali, aby okrążyć Francuzów, zepchnąć w bagna i głodem zmusić do poddania się. Ale oto nagle wśród najstraszliwszej udręki, odżyła w Napoleonie energia i siła. Chłop jakiś rosyjski, wysłany na zwiady, a pociągnięty obietnicą garści złota, przebrodził konno rzekę, mimo kry idącej, i zaraz powzięto myśl rzucać mosty, jeden dla piechoty, drugi dla bagaży i armat. Niedobitki polskie, naciskane zewsząd przez wojsko nieprzejacielskie, pchały się ku mostom, które, nie mogąc wytrzymać ciężaru ludzi i wozów, załamały się po kilkakroć. Ranieni zostali generałowie Dąbrowski, Kniaziewicz, Zajączek stracił nogę, a armia polska utraciła tam kwiat młodzieży, nadzieję lepszej przyszłości.

Pod pniem wierzby na wilgotnej kępie stanął Adam. Właśnie na most miał wkroczyć, gdy zwalił go wraz z koniem w wodę strzał nieprzyjacielski. Nadludzką siłą wydźwignął się ze strzemion i do brzegu doczołgał. Stamtąd uniósł go felczer na kępę i próbował ocalić, wyjmując skostniałą ręką kulę z głębokiej rany w piersi. Adam nie czuł prawie bólu, czuł się tylko bardzo samotnym i blizkim rozpaczy — i głowę obracał ciągle ku zachodowi, na którym gorzały jeszcze ostatnie słońca blaski. Myślał — że zachodzi ono także nad dworem w Dąbrowie — i że może patrzy na nie w tej godzinie matka. A za nią, za jej wspomnieniem przypłynęła mu do serca fala wiary i miłości, a na usta słowa pacierza.

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie — zaczął, a felczer bezwiednie prawie mówił dalsze zwroty modlitwy — aż ze słowem »Bądź wola Twoja« ostatnie westchnienie uleciało z młodocianych piersi.

* * *

A w dworku Dąbrowy czekali staruszkowie na powrót syna, z utęsknieniem witając każdy świstek papieru, niosący wieści.

Ale, że wieści owe były coraz straszniejsze, więc owładała nimi coraz boleśniejsza trwoga i ojciec począł ukrywać przed matką odbierane za pośrednictwem sąsiada gazety.

Aż i doczekał się. Między trupami zebranymi na brzegach Berezyny był trup młodego Adama Dąbrowskiego. Sławny generał złożył zatem także ofiarę bogom śmierci w osobie swego młodzieńczego, bohaterskiego krewniaka, pisała gazeta, a choć pokrewieństwo z generałem Henrykiem jej było wymysłem, to nazwisku swemu właśnie zawdzięczał ojciec Adama pamięć o trupie syna tam, gdzie liczyć poległych ni grzebać nie było czasu.

Nie wątpił ani na chwilę, o kim mowa — i zbolały zadrżał na myśl, jakie słowa znaleść potrafi, by w tej chwili mówić do matki. Lękał się, że nie wytrwa w sile, że wybuchnie jękiem. Ale wytrwał.

Gdy ku wchodzącej oczy podniósł, głębokim bólem zalane, drżącą dłoń z jakąś uroczystością niezwykłą ku niebu wyciągnął.

— Bóg wziął i Ojczyzna, a nam oddać go trzeba było — powiedział mocno. Staruszka-żona zrozumiała. Chwyciła gazetę i znalazłszy imię syna, na kolana padła ze łkaniem.

— Niema go, matko, dodał ciszej i szeptem dorzucił. I jej niema — Ojczyzny...

I teraz dopiero jęknął, bo choć serce ojcowskie za synem darło się w kawały, to synowskie, z bólu nad matką, cierpiało jeszcze srożej.

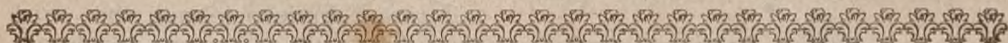
* * *

10 grudnia w największej tajemnicy Napoleon przejechał przez Warszawę, i stawiwszy przed siebie ministrów polskich Potockiego i Matuszewicza, w długiej rozmowie przedstawił im położenie swoje i... kazał uzbrajać nowe szeregi...



Walka ułana polskiego z kozakiem.





Dziwo w jeziorze krakowskiem.

(Ze staropolskich kronik przepisane).

»W wigilię Nowego Roku za czasów Bolesława Wstydliwego widziano widowisko straszne w krakowskim powiecie. Jezioro jedno, szerokie, czartowska moc opanowawszy, łowienia w niem ryb i używania wszelkiego ludziom usilnie broniła. Do którego, skoro zamarzło, zeszli byli obywatele dla ryb łowienia, kapłanów z sobą, chorągwi, krzyżów i światłości rozlicznych nabrawszy, aby orężem świętem moc szatańska mogła być odgromiona. Gdzie, gdy niewód zapuszczono, pierwszym wprawdzie zamiotem trzy rybeczki wyciągnęli rybitwi: wtórym zaś nic, krom sieci pogmatwanej.

Aż gdy trzeci raz zapuszczą, dopiero szkaradnego, straszliwego i wielkiego Dziwa na brzeg wywłóczą, z rogami i ze łbem kozim, z którego łba oczy jak dwa węgle rozpalone ze źrenic gorejących pałały. Co widząc, gdy nagle wszyscy przestraszeni różno się rozskoczą, brzydkie one larwisko pod lód znowu porywa: gdzie po jeziorze trzebiąc, grzmot okropny czyni, ryk ogromny wypuszcza, a zaraz niektóre ludzie parą smrodliwą zaraziwszy, sprosnych wrzodów nabawia«.

Kronika staropolska dodaje, że owe dziwo było przepowiednią nawały tatarskiej, która na wiosnę spadła na Polskę.

Życzenia noworoczne.



Gdy Nowy Rok znowu na ziemię nadchodzi,
Życzenia wszystkim tu się złożyć godzi!..,
A więc chłopom rolnikom, tej najbliższej braci
Życzę, niechaj wszystkich ten rok ubogaci
W jedność, zgodę, miłość — w komorze, w oborze,
Bo nam bieda wielka, że pożal się Boże!
Szczęść Boże! gazetce „Roli" ukochanej!
Takie życzenie dziś z serca jej składamy...
Z słowem: Niechaj będzie Chrystus pochwalony,
Idź pod nasze strzechy, w różne kraju strony,
Pisz, co słychać w świecie, pisz różne powieści —
Tem zagoisz smutki i różne boleści
Naszego chłopka wprawisz ty sobą w czytanie —
Chwile spędzi uczciwie, będzie wdzięczny za nie..
I Maćkowi z „Roli" — szczęść mu, Panie Boże...
On bez żony biedak także żyć nie może!
Niechaj kawalerski stan wkrótce odmieni
A w miesopust przecie niechaj się ożeni,
Boć go kocha kobiet różnych cała chmura,
Bo jest sławnym w świecie nasz kochany Bzdura,
Niech szuka sam tylko a każdy pomoże...
Maćkowi w tym roku poszczęść, Panie Boże!
Lekarzom dziś życzę, by znaleźli sposób,
By z niezgody mogli leczyć wiele osób,
By szczepili miłość, stłumiając mikroby...
Proces i niezgoda gorsze od choroby.
Posłom naszym życzę, choć ich liczba mała,
By ich jedność, zgoda, wszystkich ożywiała,
Bo to już Zbawiciel powiedział dokładnie:
Gdzie niema jedności, dom na dom upadnie...
Jedności nie takiej, by jeden był w klubie,
Tylko, aby Jan, Józef stanęli przy Kubie
I do pracy żywo jakiej się zabrali,
By za kłótnie darmo pieniędzy nie brali...
Żydkom życzę drogi nad brzegi Jordanu
Na złość, niewygodę i chłopu i panu,
Skoro do ojczyzny tak wzdychają z żalem,
Niech jadą i płyną już do Jeruzalem.
Złodziejom, co z krzywdy chcą ciągnąć korzyści,
Życzę, niech się żaden ich zamiar nie ziści.
Szczęść Boże! Wam Bracia! życzę w Nowym Roku
Szczęścia w chacie, w polu i na każdym kroku
Tem pisaniem zamiast noworocznej mówki
Brat Wasz

Hądz Ferdynand
rolnik z Grzegorzówki.

Legenda noworoczna.

Leżał se jeszcze maluteńki Pan Jezus na sianku we żłobku, kiedy się raz dyabeł zakradł do stajenki Betlejemskiej. A tak ci wlazł tam jakoś zręcznie, że nikt nie zoczył... Pewnikiem musiał się wcisnąć chyłkiem z pastuchy pospołu, kiedy tłok był najgorszy w szopce mizernej... Że to zaś nikomu ani w głowie nie postało pilnować u proga, kogo tam z pola Bóg sprowadził i wchodził se każden do środka, ktoby ino nie chciał — toć i nie dziw, iż wreszcie, lubo i biesa naniosło licho do stajenki, gdzie przytułek miała chwilowy Rodzina Najświętsza — nie spostrzegli się przecie ludziska odrazu i sami niechcący pozwolili Kusemu poglądać z bliziutenka na Boże Dzieciątko.

A dyabeł też bestya nic se nie żałował, skoro mógł, ino gapił się a gapił na wszystko, co się w podle żłoba działo... I co troszkę, to się w ozór ugryzie — zły okrutnie na widok wielkiej radości kolędujących małemu Jezuskowi pasterzy i rybaków... Ino, że się to sam zdradzić nie chciał, więc wcisnąwszy się przezornie między baby, skulił się czart we dwoje i ani piśnie, zerkając ślepiami zazdrośnie na hojne dary serdecznych ludzi, składane raz po raz do stópek Jasnej Panienki.

— Gdyby tak jednego baranka — myśli se dyabeł, bo mu żal tak ostawić w owej szopie tyle owieczek. Możeby się udało wynieść w pole cichaczem... Nikt nie zobaczy... Wszyscy oczy w ten żłobek wlepili, kieby w tęczę śliczną na niebie...

A wtem jeden ze starszych pasterzy, z włosem siwiutkim, jak mleko, zbliżył się do Dzieciny z pokłonem, wołając przez łzy ucieszonym głosem — jako wita w niej Zbawcę, na którego ludzie cztery tysiącę lat czekali...

Ledwo to dyabeł usłyszał, aż w górę podskoczył, bo nie mógł już dłużej wytrzymać — i jak nie ryknie śmiechem na całe gardło, tak się wszyscy przerazili ogromnie, a najgorzej Dzieciątko i jego Matuchna. Pasterz zasie stary, co to mówić zaczął właśnie, zaklął teraz głośno:

— A bodajś ty się zadławił tym śmiechem!

I zaraz wszyscy dyabła poznali w onej pokrace, co się od śmiechu zanosiła, między baby wciśnięta, a po chwili naprawdę dławić się zaczęła od wielkiego śmiechu.

W całej szopce zrobiło się teraz zamieszanie takie, że kusy, korzystając z okazyi, czmychnął za próg, kaszlący i chichocący na przemiany, bo go już śmiech nie opuszczał, lecz dławił za gardło okrutecznie... Mimo to, jakoś żal się biesowi zrobiło owieczek bialutkich: więc jeszcze przy progu już będąc, porwał jednego barana tak zręcznie, że go nikt nie przyłapał na złodziejstwie.

Wyskoczył też na pole uradowany z tego, chociaż śmiech dławił go coraz gorzej. Ale ino se barana zarzucił na plecy, jak ci go zwierz skradziony w kark nie kopnie — tak się Kusemu lepiej zaraz zrobiło i dławić się przestał.

Ba, cóż kiedy za to przez cztery tysiące lat od czasu onego przypominać se musi dyabeł zawsze w noc noworoczną, co go to wtedy spotkało — i tak się mocno śmieje i dławi swym śmiechem, że aż prosi jedną ze swych kum na ziemi — jaką czarownicę najgorszą — by mu w kark dała pięścią, bo się udławi...

W każdym lesie słychać w tę noc owe śmianie się dławiącego czarta, aliści ludzie myślą se zawsze, jako to ino wiatr tak jęczy i huczy w gęstwinie boru.

A dyabłu mocno się to podobało naonczas, iż powiodło mu się ukraść owieczkę tłustą z szopki, a nikt tego nie zauważył. Więc postanowił spróbować raz drugi... I zabił barana, skórę ściągnął i w kożuch się ubrał — futrem na wierzch — i tak wybrał się nanowo do stajenki Betleemskiej... Co to za spryciarz z niego! Znowu se jakoś tam poradził, że i był we środku i w ścisku ludzkim ukradł owiec kilkoro i z drobiu coś niecoś i wszystko szczęśliwie powynosił w pole... Ino go dopiero wieprzaczek malutki i gęsi dwie stare zdradziły kwikiem i krzykiem: ale nic sobie Kusy nie robił z tego, że się ludzie spostrzegli, jako złodziej z łupem umyka, bo sam był już w szczerem polu i aniby go kto dognał po nocy!...

Pamiętają o tem niecni ludzie, co się raz na zawsze wpisali do cechu złodziei. Powiadają oni sobie, że dobrze jest coś ukraść w noc noworoczną, byle pamiętać o tem, kto dyabła zdradził w Betleem. A już koniokrady to se bardzo lubią uprowadzać w tę nockę co najładniejsze szkapy; ino wierzą w to, że się wyprawa powiedzie w kożuchu na wywrót — jak to wtedy Kusemu.

I myślałby kto może, iż dość było tego dyabłowi? Gdzie tam! Znowu wlazł do stajenki Jezusowej pokryjomu, ale tym razem w nocy dostał się dachem do wnętrza, kiedy prócz Świętej Rodziny nikogo tam nie było...

Stanął w kącie i czeka. Chciał bestya koniecznie zrobić co złego Dzieciątku. A tu wciąż nad żłóbkiem ktoś czuwa: nie Panna Marya, to Józef święty, drzemiąc se tak po krzynecze na przemiany przy maleństwie... Czeka dyabeł i czeka. Aż tu Jezusek oczki otwiera i w kącik spoziera ciemny... I naraz jak się Dziecko nie nie rozpłacze — tak ci nieboraczka nie mogła Matka utulić ani rusz... Co się stało? Ano biesowi z pyska ogień buchał czerwony pociemku — i przelękło się niemowlę tak okrutnie, iż się mało nie rozchorowało na dobre.

Już tego za dużo było Mateńce Jezusowej i tym razem poskarżyła się na dyabła przed Panem Bogiem, poczem nigdy nie zakradł się już czart do stajenki, póki w niej mieszkała Rodzina Święta w Betleem.

Odtąd zaś po dziś dzień w noc noworoczną na oną pamiątkę nie wolno dyabłowi zakraść się do domu, w którym znajduje się szopka z malutkim Jezuskiem na sianku — chociaż w tę noc strasznie kusy psoci po świecie i niebezpiecznie jest bardzo, spotkać się z nim koło północy w polu albo w lesie.

Gwiazda przewodnia.



Gwiazdko, coś królom błyszczała w drodze,
Jasną im świecąc pochodnią
I nam wskaż drogę, gdy błądzim w trwodze,
O, bądź nam gwiazdką przewodnią!

O, betleemska gwiazdko świetlana,
Świeć jasno nam na błękicie,
Wskazuj nam drogę, prowadź do Pana
Poprzez cierniste to życie.

Przedrzyj obłoki i na lazury
Spłyń w majestacie twej chwały,
Gwiazdko promienna, o świeć nam z góry
Dziś i przez życia bieg cały!

Paula Wężyk.

Najświętsza Rodzina w Egipcie.

Nad Jerozolimą panował Heród Wielki, z łaski cesarza rzymskiego, Augusta, król żydowski. Miał już wtedy 70 lat, był okrutny i wspaniały zarazem. Odbudował świątynię Salomona, żywił lud podczas lat głodowych i, na zasadzie podejrzenia, skazał na śmierć żonę i synów. Otaczali go siepacze, spełniający jego wyroki i uczeni, którzy badali dla niego tajemnice Pisma i objaśniali zawiłe słowa proroków. Wielka troska dręczyła go nieustannie i spędzała sen z jego powiek: lękał się przepowiedzianych narodzin potomka Dawidowego, który miał go pozbawić korony i chwały.

Kiedy w purpurowym płaszczu wchodził do przedsionka świątyni, otoczony rzeszą lewitów i żołnierzy, strwożony lud padał twarzą na ziemię.

Raz przyprowadzono przed niego trzech obcych podróżnych, którzy cotylko przybyli do Jerozolimy z orszakiem niewolników. Jeden z nich, ubrany w szkarłatną szatę jedwabną, miał cerę bladą i rysy delikatne; drugi, w pozłocistym pancerzu, czarnooki i czarnowłosy, był żółty jak szafran, trzeci, murzyn barwy hebanu, o krętych i wełnistych włosach, miał na sobie centkowaną skórę lamparcią. Spotkali się w Palestynie i dążyli wszyscy do Jerozolimy, dokąd prowadziła ich tajemnicza gwiazda, niezwykłej wielkości i blasku. Kasper i Melchior przybywali z dalekich krain azyatyckich, trzeci, Baltazar, przyjechał z głębi Afryki.

— Szukamy nowego króla żydowskiego — rzekli do Heroda — chcielibyśmy oddać mu pokłon.

Przelękły Herod kazał podać im wieczerzę, a sam wezwał najuczeńszych kapłanów, żeby mu wytłómaczyli słowa dziwnych gości. Najstarszy z nich, pamiętny proroctw Izajasza, rzekł:

— W Betleem musiał się narodzić, w najmniejszem mieście Izraela.

Heród wezwał trzech króli.

— Znajdziecie go w Betleem — mówił — z powrotem przyjdźcie mi opowiedzieć, coście widzieli, gdyż i ja chciałbym złożyć mu pokłon.

Królowie w nocy opuścili Jerozolimę i prowadzeni przez gwiazdę, stanęli w Betleem przed stajenką, kędy znaleźli Boskie Dziecię na rękach Matki. Kasper i Melchior ofiarowali złoto i mirrę, Baltazar wonne kadzidło, z Czarnego Lądu.

Wyszedłszy stamtąd, nie udali się jednak do Jerozolimy, lecz, ostrzeżeni przez głos wewnętrzny, że Heród dybie na życie Dzieciątka, powrócili prosto do swoich krajów.

Herod daremnie przez cały dzień wyglądał trzech króli; kiedy noc zapadła, a nikt się nie zjawił, nie mógł dłużej pohamować obaw i rozkazał wymordować wszystkie nowonarodzone dzieci w Betleem.

Na krótko przedtem, Anioł we śnie ostrzegł Józefa o niebezpieczeństwie, grożącem Boskiemu Dzieciątku. Święty Piastun wstał natychmiast i, uprzedziwszy Maryę, zaczął gotować się do drogi. Wyruszyli przed północą. Józef ostrożnie prowadził za uzdę osiołka, na którym siedziała Matka z uśpionem Niemowlęciem.

Zaledwie wydostali się na wzgórza, otaczające Betleem, usłyszeli, dochodzący stamtąd, wielki krzyk i płacz: rozpoczęła się rzeź, nakazana przez Heroda.

Marya zadrżała i silniej przytuliła do piersi Boskiego Synaczka. Prorocze słowa Symeona przyszły jej na

myśl: »Serce twoje przeszyje miecz boleści«. Ileż trosk, trudów i niebezpieczeństw czekało ich w tej ucieczce! Nie lękała się o siebie, ani o Dziecię, do innych, stokroć cięższych, zrodzone przeznaczeń, lecz żal jej było Józefa, który w podeszłym wieku narażony był na cierpienia tułaczki.

Podniosła oczy ku niebu i ujrzała gwiazdę, która prowadziła ich ku zachodowi; na ten widok trwoga i niepokój ustąpiły z serca. I czegóż miała się lękać? Alboż to Wszechmocny nie czuwał nad niemi?



O wschodzie słońca zatrzymali się w skalistym wąwozie. Kiedy odpoczywali po uciążliwej drodze, gromady ptasząt zleciały się ze wszystkich stron i mile poczęły śpiewać Boskiemu Dzieciątku.

Trzeciej nocy dostali się na samotne i ponure wyżyny, otaczające Morze Martwe. Drzemiąca powierzchnia przeklętego jeziora, drgnęła nagle i rozwarła się; śród krwawego światła błyskawic ujrzeli miasto w płomieniach, zapadające się wieże, wspaniałe świątynie wstrętnych bogów, strzaskane od piorunów, potoki wrzącej lawy, zalewające ulice, całą grzeszną Sodomę, ginącą w ognistej otchłani.

W miarę jak oddalali się od Jerozolimy, cała natura składała hołd Boskiemu Dzieciątku. Pod stopami Św. Rodziny rozkwitały kwiaty śród pustyni, wytryskały źródła ze skalnej epoki, a owoce same spadały z drzewa, płochliwe łanie przychodziły i pozwalały się wydoić, wiatr się uciszał i gwiazdy świeciły jaśniej.

Koło miasta Hebronu, najstarszego na świecie, spędzono noc w jaskini, gdzie został pochowany Abraham, a oprócz niego Izaak i Jakób, Sara, Rebeka i Lia. Marya widziała, jak duch Patryarchy z czułością pochylił się nad posłaniem z ziół i liści, na którem spoczywał ostatni potomek jego rodu.

Przechodząc koło Synai, wędrowcy ujrzeli śród ognia błyskawic majestatyczne widmo z natchnionem obliczem, dwa promienie świetlane tryskały z jego głowy, a przed nim korzył się lud izraelski. To był Mojżesz.

Po kilku miesiącach, kierowani wciąż przez gwiazdę, przybyli na piaszczyste wybrzeże morskie, na któ-

rem igrały ametystowe fale. Wtem po drugiej stronie ukazały się duchy zbrojnych rycerzy, pędzących ku wschodowi; morze zakipiało, bałwany runęły na nich i zatopiły, żeby za chwilę odpłynąć dla przepuszczenia św. Rodziny.

Kiedy przeprawiano się przez Nil, wokoło czółna zakwitło mnóstwo błękitnych lotusów, a różowe czaple gromadnie nadbiegły na wybrzeże. Za rzeką wznosiły się trzy olbrzymie piramidy, czołami sięgające niebiosów. U stóp jednej z nich dumał potężny sfinks *) bazaltowy, nieruchomyoczyma wpatrując się w pustynię, kędy jaśniały czarodziejskie obrazy Fata Morgany.

Po wzgórku piaszczystym, naniesionym przez wiatry. Marya dostała się do sfinksa, i, sparłszy się o jego pierś kamienną, zasnęła z Dziecięciem na łonie. Józef rozpalił ognisko dla odstraszenia hyen i szakali, puścił wolno osła i czuwał nad snem Maryi i Jezusa.

Rok już upłynął, odkąd tułali się śród żyznych równin Egiptu. Boże Dziecię stawiało pierwsze kroki na na Czarnym Lądzie i zdumionemi oczętami śledziło niezliczone gromady gołębi, bocianów i jaskółek, tworzących krzyż na lazurach nieba, potworne krokodyle, wygrzewające się na piasku, dziwaczne ryby, które wyskakiwały ze szmaragdowych fal rzeki. Niekiedy z pustyni dochodził groźny ryk lwa, lub złowrogie wycie szakali, w grobowcach królewskich odzywały się lękliwe łkania. Mumie, uśpione od lat tysiąca, odczuły obecność Boga i zadrgały w swoich powijakach.

Święta Rodzina kilka tygodni spędziła w murach Memfisu, ale na widok Jezusa porfirowe posągi Ozyrysa, Izydy i różnych bożyszcz z głową psa lub sępa, trzęsły się na swych podstawach. Raz w świątyni Serapisa, orszak kapłanów w białych szatach składał do podziemi mumię Apisa, czczonego wołu, śpiewając pieśni żałobne. Jezus, trzymany przez Józefa, spojrzał niewinnemi oczętami na zwłoki zwierzęcia, i mumia natychmiast w proch się rozsypała. Zgasły pochodnie, z grobowców ozwał się ryk ponury, i strwożona rzesza, uciekła w popłochu.

Kiedy pokorny osiołek, niosący na swoim grzbiecie Maryę i jej Syna, wjechał w aleję sześciuset sfinksów, prowadzącą do Teb, z licznych świątyń wybiegły gromadki pacholąt i, śpiewając hymny, zaczęły sypać lotusy, anemony hyacenty pod stopy św. Rodziny, a z nadejściem zmroku rozpaliły na jej cześć ognie przed portykiem Ammona.

O północy Marya, zbudzona nagle, ujrzała Jezusa, stojącego na stopniach przybytku. Nadziemska jasność opromieniała Jego dziecięcą postać, złote włosy tworzyły aureolę nad czołem; wyciągnął drobne rączyny i błogosławił ziemi, która Go przytuliła.

Jednocześnie gwiazda przewodniczka zmieniła kierunek i pochyliła się w stronę Palestyny. Józef się ocknął i na widok tego znaku zaczął gotować się do drogi; Heród już nie żył i na razie w królestwie żydowskiem nic nie zagrażało Boskiemu Dzieciątku.

* Sfinks, granitowy posąg starożytnych Egipcyan, z ciałem lwa i głową kobiety.



Trzej Królowie.

Wojna, jak wojna, raz ci, raz tamci odnoszą zwycięztwo, więc jedni się smucą, drudzy natomiast krwawemi łzami płaczą.

Ale gdy pokój nastąpi, to już i zwycięzcy i zwyciężeni odetchną, boć każdemu srogie boje chociażby i w zwycięztwie się uprzykrzą, a cóż dopiero ci, którym lepsza zajaśnieje dola.

Ucieszyły się też miasta Toruń, Malbork, Sztum i wiele innych, a z niemi i część Prus i Pomorza, gdy Kazimierz Jagiellończyk, zawarłszy pokój z krzyżakami w Toruniu r. 1465, wziął je pod swoją opiekę.

A miały się też i z czego cieszyć. Podczas trzynastoletniej wojny Zakonu z Kazimierzem Jagiellończykiem niemało się biedy nacierpiały, a pod panowaniem krzyżackiem wcale im słodko nie było.

Ba, nietylko że niesłodko, ale głodno i chłodno, boć pola były nieobsiane, a lud krył się po lasach jako te dzikie zwierzęta.

Kiedy więc Kazimierz Jagiellończyk i zboża i odzienia im dowiózł i spokój zapewnił, uciecha była wielka. Radowano się, a radość oną jako kto mógł, tak wyrażał.

Zdarzyło się właśnie, że w dzień Trzech Króli Kazimierz z małżonką i dziećmi do Torunia zjechał.

— Trzeba przecież Najmiłościwszemu się pokłonić, a wdzięczność naszą wyrazić — mówią mieszczanie.

— A trzeba — przyświadczyli inni.

Rada w radę i uradzili.

Kiedy król wraz z małżonką i trzema najstarszymi synami: Władysławem, Olbrachtem i Kazimierzem, co potem został świętym, a też z córką Zofią, zabawiał się na zamku (podczas napadów szwedzkich zburzony w XVI wieku) przychodzi marszałek i powiada:

— Najmiłościwszy panie, odebrałeś niedawno hołd od miasta krzyżackiego, a tu dziś aż trzech króli przybyło zdaleka i pokłonić ci się pragną,

— Co zacz? — zapytał Kazimierz zdziwiony.

Ale zaraz się pomiarkował i uśmiechnąwszy się, rzeknie:

— Prosić, prosić, niech wejdą!

I spojrzawszy na żonę, powiada:

— Pewnie jaka niespodzianka.

Królowa Elżbieta spytała:

— A dzieci mogą pozostać?

— Niechaj, to się zabawią — odpowiedział król.

Wkrótce też weszło trzech młodzieńców, w piękne, wzorzyste płaszcze, w korony na głowie przybranych, z długiemi brodami, a każdy coś pod onym płaszczem ukrywał.

Weszli, skłonili się pięknie, a jeden z nich pocznie:

— Z dalekiej przybywamy krainy, takiej, gdzie śniegu niema, jeno na górach drzewa kwitną, słodkie wydają owoce, a też i wszelkich wonności dostatek. Szliśmy długie dni i długie noce, ażeśmy onego czasu przyszli do ubożuchnej stajenki i pokłonili się Panu nad Pany, co Dzieciątkiem maleńkiem na świat przyszedł i przyniósł światu zbawienie. Do onego Dzieciątka prowadziła nas gwiazda, trafiliśmy też łacno, ucieszywszy serca nasze, ofiarowaliśmy Mu dary, otrzymali błogosławieństwo, odeszli opowiadać światu, cośmy znaleźli. Od onego czasu chodzimy i szukamy ziemskiego pana, coby sprawiedliwość i ucieszenie pokrzywdzonym uczynił. Aż ot posłyszeliśmy o wielkim królu, co wielu ludzi od złości i prześladowania ochronił, zgłodniałych nakarmił, a z lasów błąkających się do domu nawrócił. I jako tam do Betleem prowadziła gwiazda, tak tutaj do Torunia przywiódł nas głos lu-

dzki, sławiący hojność i dobroć tego miłościwego pana. Przychodzimy, hołd mu składamy, a dary też jako przystało, przynosimy. Więc dla Najmiłościwszego Pana sygnet, ażeby wyroki sprawiedliwe miał czem pieczętować.

Tu jeden z przybyłych położył przed Kazimierzem wspaniały pierścień...

— A dla Najmiłościwszej Małżonki jego wonności, które wszakże mniej od jej cnót wonieją.

I zaraz drugi przed królową Elżbietą postawił szkatułkę, z której zapach róż, lewandy i innych wonności się rozchodził.

— A ów, co miał mowę, ciągnął dalej:

— A dla Najmiłościwszych Królewiąt słodkie figi, daktyle, rodzynki, migdały i orzechy, ażeby, dobroci z nich nabierając, do Najmiłościwszego rodzica i rodzicielki podobnymi się stali, czego im i sobie życzymy, Amen — dodał.

Wtedy trzeci z przybyłych postawił koszyk zapełniony wspomnianymi przysmakami, z pomiędzy których wyglądały rumiane jabłuszka, jak twarzyczki dzieci królewskich.

Jeżeli królestwo ichmość byli uradowani z gości i ich darów, dzieci jeszcze więcej się ucieszyły.

Powyciągały też szyje, chcąc zajrzeć w głąb koszyka, a ślinkę łykając. Żadne wszakże nie śmiało nic ruszyć, bo na dworze króla Kazimierza wielka karność i posłuszeństwo panowały.

Kazimierz podziękował przybyłym i na ucztę do swego stołu zaprosił, a w końcu dopiero rzekł do najstarszego syna, który wtedy miał zaledwie lat dwanaście:

— Władku, poczęstuj nas darami, któreście otrzymali.

Władek nie dał sobie dwa razy powtórzyć i teraz już nietylko Królestwo Ichmość, ale i dzieci ich wielce się weselili.

Od tego czasu powstał zwyczaj, że w dzień Trzech Króli chłopcy przebierają się stosownie, idą do dworu, składają życzenia, przynoszą trochę orzechów, i w zamian obdarzeni, biegną od chaty do chaty, by wesołością i zabawą utrzymać starodawny obyczaj. Piękny ten zwyczaj zaledwie w niektórych okolicach się utrzymał, w innych został zapomniany.



LEGENDA O OSICE.

Heród chciał zabić Jezusa małego,
Więc do Egiptu kraju dalekiego,
Święta Rodzina z Jezusem ucieka.
Przez góry, bory trwożące zdaleka,
Uchodzi spiesznie, aż z znużenia pada,
Więc by odpocząć, pod osiką siada,
Tuląc się cicho pod drzewa konary;
Trwożna osika słabej snać jest wiary...
Drżąc, strasznej zemsty króla się obawia
Ściganym — swego schronienia odmawia...
Poszła znów dalej Najświętsza Rodzina,
Lecz wciąż osiki jakby strach się ima...
Wciąż drży na dziwo, tak wiecznie się trzęsie.
Dotąd za karę, jak podanie niesie,



Na Gromniczną.

Ranek zimowy wstał mroźny lecz pogodny i radosny jak uśmiech dziecka. Słońce podniósłszy się nizko, oblało miłościwie złotoróżowymi blaski białe od śniegu strzechy chałup i stodół, zaglądnęło do małych, niewiele ponad ziemię wzniesionych okien i rozweseliło wnętrza izb z ciemnymi pułapami, szeregami obrazów świętych na ścianach i ziemią ubitą zamiast podłogi.

Tu i owdzie na obejściach gospodarskich zaroiło się od ludzi, gdzieniegdzie zaskrzypiały żórawie, na niektórych podwórkach ukazały się gęsi, brodząc odważnie w śniegu i gromadki kur z kogutami na czele. Kury, chroniąc nogi od zimna, nie szły śladem gęsi, lecz zatrzymawszy się pod okapem, dzióbały bez humoru wapno i glinę ze ścian, podczas gdy pomne swych obowiązków koguty, przekrzywiając głowy, oznajmiały każdą przelatującą wronę przeciągłym wrzaskiem, który byłby dostatecznym sygnałem na trwogę przed zbliżającym się jastrzębiem.

Z pod niektórych strzech ulatywało nagle w górę stado gołębi i nie wzniósłszy się zbyt wysoko, zataczało w kryształowo czystem powietrzu szerokie kręgi. Długie chwile białe ptactwo zdawało się pluskać z rozkoszą w promieniach słońca, migocąc w jasnych blaskach, poczem, zwinąwszy skrzydła, spadało na kalenicę, lub zlatywało do sieni, zwabione głosem gospodyń, sypiących kurom ziarno.

W chałupie Jędrzeja Zięby, podobnie jak wszędzie, dawno już wszyscy powstawali. Gospodyni z Nastusią, starszą z dwóch niewydanych dotąd córek, jędrną i przysadzistą dziewuchą, jeszcze przy latarni wydoiły krowy, a Jagusia, młodsza siostra Nastki, wzięła na plecy kilkanaście kwart mleka w blaszankach i przededniem, gdy na niebie gwiazdy jeszcze świeciły, po białym, skrzypiącym od śniegu gościńcu, puściła się do miasta.

»Pan ociec« gospodarza, Walenty, nizki, zawiędły staruszek, z obfitymi, choć siwymi włosami, przystrzyżonymi w krąg nad czołem i parą poczciwych, niebieskich oczu, najstarszy człowiek we wsi, lecz mimo setnych pono lat, krzepki jeszcze i przytomny, wstał jak zwykle, pierwszy, pobudził domowników, ukląkł do pacierza, a potem, pośniadawszy wspólnie, usiadł koło pieca i ćmił krótką fajeczkę. Gospodarz, Nastka i Antek, nieożeniony jeszcze parobczak, wybierali się na ranną mszę, a staruszek z synową zostawali w domu, aby po ich powrocie udać się na sumę.

— Jędrzej! — ozwał się Walenty do wychodzącego syna — a uwazuj ta na drógę, czy nie bardzo ślizgo, boby może trza la mnie sanie zładować, jak tamtej niedzieli. Nie zaszedłbym nijak do kościoła...

I przyłożył dłoń do ucha, aby usłyszeć odpowiedź, bo bardzo już słuch miał przytępiony.

— To sie wie, że potrza was będzie, tatusiu, odwieźć — odkrzyknął Jędrzej. — Ślizgoty wielkiej niema, aleć to już nie na wasze nogi tyla dróga. Dy i szkapy wypoczęte, czasowe, niech się ta przelecą, będzie im zdrowiej. No, ostajcie z Bogiem!

— Szczęśliwa dróga! Z Panem Jezusem!

Staruszek, zostawszy z synową, kobietą także już leciwą, puszczał w milczeniu przez chwilę małe dymki

z fajeczki, spluwając raz po raz przed siebie, wreszcie rzekł:

— Ano i dał Pan Jezus doczkać Gromnicznej... Łońskiego roku krzepciejszym był, to niema gadki i do kościołam se zaszedł, jak się patrzy. Juści nie wydoliłem klęczeć bez całą sumę, cosi mnie zamroczyło, tom se ta i siednął. Na kazaniu chyciła mnie okrutna śpiączka, Pana Bogam obraził, ale se tak myślę, że mi może Pan Jezus miłosierny odpuścił po świętej spowiedzi. Już człek coraz kiepściejszy... Ano, żyło się i żyło, hej, hej, kiela roków, to i pora na śmierć, a juści...

— E, kto ta wie, kiej na kogo pora! — odparła gospodyni, nachyliwszy się do starego. — Wyście, ociec, z mocnych ludzi. A dawnoście to jeszcze kosili, nikiej poniektóry parobek? A do młocki nie braliście się w tamte zapusty? Małoście to z Jędrzejem kłopotu narobili w chałupie bez to, że wam cepy wzion? Ziębowie, wiadomo, mocny naród! Wasz pan ociec, jak sami gadacie, cosi do setki dociągli, wy także krzepcy, żebyście i młodego zawstydzili, a mój Jędrzej, że to z takiej famieliji, chocia będzie mu wnetki sześćdziesiąt, jaki se raźny! Pamiętacie, jak się to raz we żniwa nasz dziedzic dziwowali mojemu? Wyście Jędrzeju (mówi) starsi przecie odemnie, a siwego włosa na was nie uświadczy i z oczu czterdziestka wam patrzy, a ja, Boże zmiłuj się, już stary dziad. I posiwiałem, i wyłysiałem, i w nogach mnie drze...

— Juści — przyświadczył Walenty — zwyczajnie, jaki ociec, taki syn. I nademną kiela razy i panowie i księża i wsioscy ludzie się dziwowali. Jakosi się ta człek krzepi na na tym czarnym chlebie i na tym żurze, co się go w póst i przez okrasy jada. Opatrzność boska i tylo!!...

Wytrząsł popiół z fajeczki, nałożył ją powtórnie, zakurzył i wiódł dalej pogwarkę o różnych różnościach z krzątającą się po izbie Jędrzejową, póki tamci z kościoła nie wrócili. Skoro przedzwonili na sumę, wdział kożuch, ściągnął się swoim szerokim, nabijanym pasem i nałożywszy baranią czapkę po same oczy, wyszedł przed chałupę, gdzie sanie stały już złądowane. Przy pomocy Antka wygramolił się na siedzenie, obok usadowiła się synowa z gromnicą w ręku, chłopak wziął lejce w garść, zaciął konie i sanie z głośnem dźwięczeniem dzwonka, uwiązanego u dyszla, pomknęły ku kościołowi.

* * *

Gromadki ludzi wracały z sumy. Jagusia, która w mieście została na nabożeństwie, także przyszla już do domu, zgrzana i czerwona od mrozu, jak piwonia, Nastka obiad miała gotowy, że ino na misę wylewać — a ich z kościoła jeszcze widać nie było.

Gdy wreszcie wszyscy ludzie już przeszli, znajomy dzwonek zadźwięczał przed domem — zajechali.

Staruszek przekładał powoli przez półkoszek naprzód jednę nogę, potem drugą, a Jędrzejowa tymczasem była już w izbie i zapytała od proga:

— Wiecie, co się stało?

— Abo co?

— A to ludzie wam nie mówili, co szli już ze sumy?

— Szli, a juści, ale nikt haw nie wlazł.

— Ojcu zgasła gromnica na precesyji... Wyleciała mu z ręki i zgasła. Pewnikiem starowina zamrze...

— O rety! o mój Jezu! — zaczęły zawodzić dziewczęta, bo okrutnie dziadka nawiedziły. Sprzykrzny nie był, nie chorował, roboty koło niego nijakiej nie miały, z miasta gościniec nieraz przywiózł, a bywało, dojrzał jeszcze to tego, to owego przy gospodarstwie.

Jędrzej się zafrasował, pokiwał głową, spojrzał przez okno na złażącego z sani staruszka i westchnął:

— Ano, wola boska...

Córkom zaś przykazał:

— A wy, dzieuchy, stulić mi gęby, nijakich lamentów nie wyprawiać, żeby zaś dziadkowi nie było markotno. Jeszcze ta nikt nie wie — dodał — co komu sądzono. Bywało, świece na Gromniczną gasły, i ludzie żyli, a poniektóremu chociaż nie zgasła, to i tak pomar. Wszedł Walenty. — Jędrzej go rozpasał, pomógł zdjąć kożuch i jak by nigdy nic, zagadnął:

— A cóżeście to, ociec, tak długo robili? Dy dawno już ludzie z kościoła przeszli. Do Mośkaście z moją babą zaglądli, czy co?

— Kajem ta do Mośka zaglądał! Ostałem se chwilę po nabożeństwie i polecałem grzeszną duszę Panu Jezusowi.. Zgasła mi gromnica, to i nie długo mi już na tym świecie... Trza było Panu Jezusowi podziękować za wielką łaskę, że mi swoją wolę objawił...

Wśród tego gospodyni zaświeciła poświęconą na sumie gromnicę i wyszła na drugą stronę chałupy, do stajni, oświecić krowy, aby nie chorowały, dojne były i darzyły się.



Matka Boska rozpędza gromnicą wilki.

Gdy wróciła, staruszek odebrał świecę z jej rąk i jak co roku, wypalił nią w obu oknach krzyże, aby »zły« do tego domu nie miał przystępu, a potem do trzech razy ją gasił i wszyscy kolejno do trzech razy dym w siebie wciągali, aby ich gardła nie bolały.

Wreszcie oddał gromnicę synowej, która ją zaraz schowała do dużej malowanej skrzyni, usiadł na ławie za stołem, bo już i na obiad był czas, powiódł po wszystkich oczyma i rzekł:

— Tyla roków wypalałem wam krzyże w oknach, albo i na stragarzach i zły nie miał haw nijakie mocy... Z pomocą boską darzyło się wam niezgorzej, głoduście nie zaznali, nijakie paskudne choróbska nie przytrafiały się w chałupie, gadzina była zdrowa... Na bezrok, w Najśw- Pannę Gromniczną, już se ta sami będziecie radzić... Ha, wola boska!... Jeszczem jakosi rano raźniejszy był, a tera tom ledwo nogi bez półkoszki przeniósł i buciska mi tak zaciężyły, jakby ich człek nie

był zwyczajny... Hej, hej, żeby to choć pierwszego skowroneczka doczkać, a za łaską Pana Jezusową, żeby też i boconia na naszej lipie!... Jantek, pamiętaj, przed świętym Józefem gniazdo im w porządku zrychtować, żeby się zaś kaj nie wyniesły... Będzie, widzi mi się, rychła wiesna, bo mamy dzisia mróz, niedźwiedź budę ozwala... Hej, wiesna! Kto się ta nią nacieszy! Zeby ta stare kości ogrzać jeszcze ociupinę na słoneczku, pojrzeć na nasze gronta, jak ozimina wylezie z pod śniegu, jak wyjedziecie pierwszy raz z pługiem, z broną... Hej, chciałoby się, chciało!...

Nastka i Jaga, które zmogła okrutna żałość, gdy tak dziadek gwarzyli niby do nich wszystkich, a niby do siebie, wyniosły się z izby jedna za drugą, a i Jędrzejowi, choć chłop był twardy, ckliwo się zrobiło koło serca. Pan ociec nikomu się nie naprzykrzyli, nie ukrzywdzili nikogo, sprawiedliwie wszystkie dzieci podzielili majątkiem — a teraz tacy żałośliwi, tacy markotni... Trza starowinie to przerwać, bo i do czego taka mowa?

Więc przysiadł się do niego na ławie, wetknął rękę za pas, przechylił się w bok i huknął mu w samo ucho:

— Słuchajcie, ociec, co wam rzekę. Prawda, że wola boska święta i nikt się z Panem Jezusem prawował nie będzie, ależ i to prawda, że nieraz gromnica zgaśnie, a człek żyje i żyje. Abo to i Tomkowej babie nie zgasła tak rok gromnica, a ta psia para żyje i chłopa, jak ino ochlany do chałupy wlezie, pierze po pysku, aże hej! Zwyczajnie, odmieniec baba, bo przykazanie jest, że nie baba chłopa, ale chłop babę ma prać! A wybyście to niby zara pomarli, jakby nie było wam już na co czekać na tym świecie...

— Dy niby na co mi czekać?

— A na prawnęcka od mojej Maryny, to nie?

— E, kiej ta twoja Maryna ino same dzieuchy sypie, jak z worka — odparł staruszek nieco już rozweselony.

— Przyjdzie ona haw popołedniu, to jej nagroziwa, bo się ta znowu cosi u niej znaczy... A jak Pan Jezus da chłopaka, to co? E, widzi mi się, ociec, że się będziecie jeszcze na chrzcinach ochocili, jak i na moich!

— Aboś to co widział?

— Zaśbym ta nie miał widzieć! A nie pozierałem to z kolebki?

— Jędrek! — rzekł na to Walenty z wilgotnemi oczyma. — Zawdym gadał, żeś mi się chłopie, najlepiej udał z was wszystkich czterech! Byłeś i do roboty i do ochoty — pierwszy do pługa z całej wsi, a i do dziewek pierwszy, i do tańca! Jakem ino miał jaki frasunek, toś zawdy tak cosi pedział, żem się musiał ośmiać. Jeszcześ był tyli pędrak, coby ledwo szkapie pod brzuch przelazł, a bywało, jak się zaczniesz przypochlebiać, a świadczyć tatusiowi, a przygadywać, to mi się zara na sercu robi lekuśko, jakby kto kamień zdjon! Niech ci ta Pan Jezus da za to wszystko dobre!

— I wnęcka od Maryny, hę?

— A choćby i pół kopy wnęcków!

Ed. Zechenter.



ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Stulecie wielkiego poety.



Świat rozbrzmiewał sławą Napoleona, gotowała się Europa do walki z rosyjską potęgą, Polska czekała z upragnieniem wiosny, radosnej nadzieją, gdy przyszedł na świat Zygmunt Krasiński, którego imię stanąć miało z czasem obok dwóch innych.

Mickiewicz uczył się wtedy w najlepsze, Słowacki zaczynał chodzić a kiedyś trzy te nazwiska miały stać się drogiemi każdemu Polakowi i w szeregach służących Ojczyźnie być pierwszemi.

Wie każdy kim jest Mickiewicz; wie dziecko polskie, że wyczarował Polskę dawną w Panu Tadeuszu, że dał wzór miłości kraju aż do śmierci w Konradzie Wallenrodzie, że jego życie to cierpienie za Ojczyznę, wygnanie, tułaczka, jego śmierć to ofiara i wiara; jego prochy to relikwia wawelska.

Może mniej znanym jest Juliusz Słowacki. Jego wiersze są trudne, jego myśli do zrozumienia niełatwe, ale jego język, piękno obrazów, siła wyobraźni olbrzymia i potężna.



Zygmunt Krasiński.

Zygmunta Krasińskiego poezye — to wielka miłość Ojczyzny; jego życie — to cierpienie i męka; nadewszystko — myśl jego, to prorocza zdolność widzenia przyszłości.

Dlaczego cierpiał? Nad czem? Oto młodzieńcem przeżył cios, który go złamał.

Ojciec nie pozwolił mu wziąć udziału w pogrzebie senatora Bielińskiego w Warszawie, w pogrzebie uważanym za narodowy obchód przeciw rządom moskiewskim. Syn usłuchał. Gdy nazajutrz zjawił się w uniwersytecie, koledzy znieważyli go i zdarli mu studenckie mundurowe oznaki. Nie było po co zostawać w kraju i Krasiński wyjechał do Szwajcaryi — i odtąd nigdy już nie przebywał stale w Ojczyźnie. A kiedy zabrzmiała pobudka bojowa w roku 1830, kiedy wszystko co żyło za broń chwytało, i o wolność bić się szła polska młodzież, znów ojciec powstrzymał uniesienie Zygmunta i zakazał mu powrócić.

»Gdybym był z Wami odbył kampanią 1830 roku, byłbym zdrów jak ryba« pisze Krasiński do przyjaciela swego, trapiony ciągle nerwowemi bólami w głowie, które groziły mu utratą wzroku.

Na życzenie ojca, jedzie do Petersburga, ale na jedynej audyencyi u cara prosi o łaskę jedyną: o pozwolenie wyjazdu. I smutny, zgnębiony wraca znów do Rzymu, do Włoch, gdzie w rozpamiętywaniu przeszłości i zgłębianiu przyszłości, znajduje pociechę. Młodzieńcem 21-letnim pisze wielki utwór p. t. »Nieboska Komedya«, i zadziwia swoją mądrością. On przeczuł, że za lat kilkadziesiąt, ludy walczyć będą nie o religię, nie o narodowość, ale o chleb, o byt. On przeczuł, że pragnienie używania zawładnie światem i wyda socyalizm, i że wobec socyalizmu upaść może myśl o Polsce. Zląkł się i pragnął ostrzedz: bo i cóż potem, choćby ziemia cała zakwitła dobrobytem, jeżeli nie będzie żadnej wyższej myśli, kierującej ludźmi? żadnego wyższego pragnienia? Ciało tylko może nasycić się chlebem, ale zostanie zawsze tęsknota duszy, a tę może zaspokoić tylko wiara w istnienie ideału, Boga, dobra, prawdy.

Jesteśmy tak nieszczęśliwi, że nie potrzebują nas inni, i cudzoziemcy nie uczą się polskiego języka. Gdyby go znali, z pewnością uznaliby Zygmunta Krasińskiego geniuszem wieku.

Miłował Zygmunt całą Polskę i dlatego wołał: »Jeden tylko, jeden cud, z szlachtą polską, polski lud«. Miłował Boga i rozumiał, że otrzymaliśmy odeń tak wiele i dlatego mówił: »Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie«. Ale widział także słabość naszą, naszą niezgodę i modlił się gorąco w swym psalmie:

Błagamy Ciebie, stwórz w nas serca czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich i daj nam wieczyste
Wśród dóbr Twych dobro: daj nam do-
[brą wolę!

Życiem nieraz błądził, lecz winę okupił cierpieniem. Niechże mu wieki przyszłe nie odmówią tej pociechy, aby jego pragnienia i ukochania przybrały kształt żywy.



PAN Z WAMI.

Nie traćcie wiary, że błysną na niebie
Jutro o świcie pogodniejsze zorze,
Że wnet się zleje, mój ludu, na ciebie
Z jasnych błękitów zmiłowanie Boże.
Pan z wami!

Nie rozstawajcie się z dobrą nadzieją,
Nie wypędzajcie z serc waszych otuchy,
Wytrwajcie!... wiatry wnet chmury rozwieją.
Już milknie w dali grzmot bezsilny, głuchy.
Pan z wami!

Niechaj was gromy ryczące nie straszą,
Wnet słońce błyśnie, nastanie pogoda
Niezamącona ponad strzechą waszą.
Niech wam to mocy do wytrwania doda:
Pan z wami!

Arkadyusz Szarek.



MACIEK BZDURA GADA:

(Pamiętniki Maćka Bzdury, opowiedziane przez niego samego, ku uczczeniu rocznicy jego urodzin w dniu świętego Macieja 24 lutego 1882 r.).

Gdzie ino się obrócę, to kuzden się mnie pyta, co najważniejsego stało się w mojem kochanem zyciu? Te ludzie, to okropnie ciekawe! Im się zdaje, ze ja ciekawości, to tak z rękawa wytrzepie, jak baba pchły z kosuli. W mojem zyciu było okropnie wiele ciekawości, którychby nietylko sam pon organista, choć to organisty są ogromnie ucone ludzie, bo nawet godzinki potrafią z pamięci śpiwać, ale nawet Jegomość, którzy lepi po łacinie gadają, jak ja po polsku, toby nawet Jegomość tego wszyćkiego nie spisali.

Bo uważcie ino, co to rzeczy w mojem zyciu ciekawych było, ze powiem ino niktóre. A więc raz mi dali Jegomość obrazek, to znowu Mosiek kielisek wódki, to kiedy indziej gospodyni tyle jeść, com ino chcioł i inne ciekawe rzecy.

A najciekawse z tego wszyćkiego, to było to, zem się urodził. Wam się moze zdaje, ze kazdy człowiek się rodzi? Acha jušci! Przecie Jegomość gadali, ze pirsego człeka Adama, to Poniezus z piasku ulepił, a Bartek Gwizdała to mówił, ze baby to z psiego ogona, choć ja słysał ze z kości. Nie wierzycie, to nie wierzcie, a takoj to, kto wie, czy nie prawda jest, kiedy tak Bartek padoł.

— Wis skąd się baby wzieny — pyta mnie raz Bartek.

— Cobym nie wiedzioł! Przecie Walanty padali ze i baby, choć na utrapienie ludzkie, ale Pan Bóg stworzył — ja na to.

— Jušci — pada Bartek — a bo to Walanty byli przy tem? Mnie opowiadał jakisik miescuch, nie pomnę juz który, ze baby są z psiego ogona. A było to tak: jak Pon Bóg ulepił człowieka z błota i postawił go za stodołą, aby wysechł, to ten człowiek usłuchał i wysechł. A jak wysechł, to mu Pan Bóg dmuchnął do gęby dusę i człowiek stał się zywy. Jak człowiek był zywy, to się mu zacęło okrutnie bez baby przykrzyć, bo kuzdemu się przykrzy..

— Mnie nie! — rzekłem Bartkowi.

— Boś fujara — pada Bartek — ale pirsy człowiek nie był fujara, to się mu bez baby przykrzyło. Wtedy pada Pan Bóg do Hadama, bo tak się okrzcił ten pirsy człowiek:

— Legnij se Hadamie, to ja ci wyjmę gnat jeden z ciebie i zrychtuje ci z tego babę.

Hadamowi ta nie trza było tego dwa razy gadać, — gadał dalej Bartek — więc wyrznął na wyrko i zacął spać, jak się patrzy. Wtedy Pan Bóg rozpruł mu kozikiem brzuch i wyjął śniego ziobro. Ale ziobro to było mokre, więc Pan Bóg postawił je wele płotu, coby obeschło. Uźroł to plebański pies, chwycił za ziobro i jazda z nim na paświsko. Pan Bóg zarusienko to uźroł, zbudził więc Hadama i kazał mu gnać za psem. Hadam był rozespany, ale cemduchu poleciał. Goni i goni. ale ani rus psa nie moze chwycić. Co ci się uśmioł z tego sam Pan Bóg i wszyscy Anieli, to jaze strach! Jaze nareście zmordowany Hadom dopędził psa, ale na jego niescęście pies miał na przodzie łeb z kością, a od tyłu ogon. Hadam chciał psa przytrzymać, chwycił go więc za ogon, ale w tej chwili rypsnął, jak długi na ziemię. Nim się

pozbirał, to pies już był za Grzelową sośniną. Co było robić? Wrócił bidny Hadom do Pana Boga i przyniósł psi ogon. Pan Bóg był taki rozradowany tą ścigacką, że nie zważał, co mu dał Hadam i z tego psiego ogona zrobił babę.

— Baj, baju — padam ja na to — takie gadanie, to ino na figle, ale Jegomość z katefisu ucą, ze baba jest z kości.

Głupi Bartek nie chciał się dać przekonać, ale na ostatku uwierzył i pada:

— Za kością, toby to świadcyło, że kuzda baba kwarda, jak kość i człekowi kością w gardle staje; zaś za psiem ogonem przemawia ta racyja, ze baby włócą się za chłopami, jak ogon za psem.

— Ale jak pies bez ogona — ja na to — to się i ogon za niem nie włócy, więc cyja prawda?

Przyznał mi Bartek racyją i dał spokój handryceniu.

Widzicie więc, ze juz dwoje ludzi nigdy się nie rodziło, to jest Hadom i Jewa. Ale to nie kuniec, bo ja jesce słysoł od gospodarza nieraz, ze gospodynią to dyjabli zgubili. Toby juz było trzy, a jakby się tak popytał profesura, co to wszyćko wie, co było i nie było, to onby ta więcej takich wynalazł. Przecie i socyalisty padają, ze oni od małpy pochodzą.

La tego tez najważniejsą i najciekawsą rzecą w mojem zyciu było, zem się urodził, a drugie, ze mojej matsi było pono Kaśka. O tatusiu, to nic nie wiem, bo, jak ludzie pletli, to oni śtyry lata przed mojem urodzeniem się, bidacysko, pomarli.

Urodzenia się mojego niepamiętam dobrze, bom był pono wtedy jesce mały.

Jak godają ludzie, to grubarz Fabijan i Frajcyska Bąckowna zanieśli mnie do Jegomości, a ten mnie osolił i wodą polał i nazwał mnie Maciek Bzdura. Od tego czasu jestem sobie Maciek Bzdura i od tego czasu zawsze se śpiwam:

Jestem sobie Maciek Bzdura,
Jak mnie zechce dziwka która,
To będzie sobie Bzdurzyna!
Dyna moja, dyna, dyna!...

Tak se śpiwam i to zaraz od urodzenia, la tego mnie tez ludzie okrutecznie lubią, bo wesołych ludzi, to kuzdy lubi. Śpiwanie to moje, to się mi okrutecznie w zyciu przydało, bo matsia, jesce za zycia tatusia juz gadali, ze mnie będą hadukować na pastucha.

Jak ino ręcami zacąłem majdać, to zaraz matusia kazali mi muchy paść, żeby nie lazły w skodę, to jest na miskę z zimniakami. Z końca pókim nie umiał zimniaków dobrze chrobotać, to tam pasienie sło jako tako, ale potem, jagem się naucył zębami myrdać, to na misce po mojem pasieniu nie było ani jednego zimniaka a musysków cała kupa.

Odebrali mi tez la tego matsia ten mój urząd i kazali paść kury, co się pchały na Grzelowy jęcmień.

Było tego gadziarstwa śtyry, to jak Amen pamiętam, bo za kazdą co dzień raz powrozem oberwołem, ale z tego potem to się taka chmara narobiła, zem se rady dać ni móg. Ale i wójt by śniemi nie poradził!

Com zegnał jedne z jęcmienia, to ich trzy na zagonach zostało. Wtedy ja znowu gnał jednę, het za stodołę, ale kiejem się wrócił, to znowu trzy było na zagonach. Calusienki dzień wyścigowałem po jedny, a tu calusienki dzień trzy ich zarło Grzelów jęcmień. Ony, psie wiary, zarły Grzelów jęcmień, a ja wiecór, jak matsia przyśli z pola, zarłem matsin powróz.

Tak było parę casu, póki nie posedłem po rozum do głowy. Jagem nabrał rozumu, tom se nabrał i do garści kamieni. Zrobiłem z wszyćkiemi za jeden dzień dokumentny porządek. Póty ciskałem kamieniami, póki śtyry kury nie lezały na zagonach. Wtencas posedem na zasiadkę, póki inne kury nie przyjdą, ale zadna nie przysła. Jagem się potem do-

wiedział, to wszyćkich kur było ino śtyry, a co ja jedne odegnał, to tamta przódzi odegnana wracała, a ja myślał wtedy, ze one się tak na moje utrapienie kocą skądsiś. Opedzieli mi to wiecór tego dnia matsia dokumentnie jęzorem i powrozem. Ale kurze moje pasienie wtencas skończyło się na wieki wieków amen.

Po kurzem pasieniu przysło cielęce pasienie, bo mnie zgodzili Walanty Papryka do pasania cieląt. Za zasługę obiecali mi na rok jednę pacęśną kosulę, dwoje portek i stary kapelus, co ich Józek jesce całkiem go nie podar, a la matsi mieli dać dwa zagony zimiaków. Na zwiesnę, to z pasieniem były śpasy. Gnało się to gadziajstwo na ugór, wyscyniało się brzuch do słonka, a te moje robacki, (jedno było krase, a drugie cyrwone), pasły się, pasły i pasły, a człowiek se lezoł, lezoł i lezoł...

Hej, hej! jaz się dusa na som wypominek rwie do tego! Ale gorzy było jak przysło lato! Cłek ino siedzenie przytknął do tej świętej ziemi, a tu krase podnosi myrdac do góry i jazda... Kapusta nie kapusta, proso nie proso!... a ono goni jak zatracone. Nic la niego świętego ani czudzego!..

Ledwiem krase na ścirnią nawrócił, a juz cyrwone trzyma myrdac w górze, jak Jegomość kropidło i halajze po skodach!...

Tak było dzień za dniem, tydzień za tygodniem, a ja juz kikutami od tej uganiacki ruchać ni mogłem. Cięgiem myślałem, coby to zrobić, aby cielęta nabrały jakiegoś zastanowienia i raz usiadły.

Myślałem, myślał i nareście wymyślołem! Raz, jagem ino zagnał cielisie na ścirnie, uskubałem jem trawy, zeby zarły i stały spokojnie. Udobruchały się psie pary, i chlały, a ja temcasem wziąłem jem i związał ze sobą ogony do kupy. Pocęły zaraz niemi myrdać, ale nic...

I byłoby wszyćko dobrze, zeby nie jakasi beskurcyja mucha, która ugryzła cyrwone pod ogon.

Cyrwone zadarło majdac do góry i w nogi... Ale nie poleciało daleko, bo rępsło na ziemię, przywiązane do ogona krasego. Przelękło się tego krase i znowu ono w nogi, ale takze rępsło na ziemię.

Co ja się z tego uśmiał, to jaze strach!

Kiedy, psie pary, nie chciały tak długo lezeć wygodnie. Pomyślały kwilę i odrazu zerwały się na nogi oba i jazda... I znowu gruchły, a ja się śmiał.

Ale jak się zerwały trzeci raz, tak poleciały dalej, ino co jedno miało półtora ogona, a drugie ino pół.

Oj dostałemze ja pucówkę wtencas dostał, a na dobitek gospodarz wylali mnie na śtyry wiatry ze słuzby, a całkiem niewinnie!... Przeciez ja cielęciu ogona nie urwał, ino one same se to zrobiły.

Pedziołem se wtedy, ze choćby się świat skończył, to więcej w zyciu na słuzbę nie pójdę. I dotrzymołem, bo bez cały rok byłem se panem, kieby jaki hadukat. Nie siołem, nie zbirałem, a i tak kiejniekiej zjadło się co nieco.

Latem tom sed do lasu na jagody lebo na grzyby, a ludziska za to grajcary dawali i było. Casem zbieracka nie posła, bo jak przylaz ten pon, co to dziwki po lesie strasy, a nazywa się leśnica, to mi uzbierane grzyby zabrał i swoi babie zaniósł a ja bez jedzenia cały dzień chodził.

Na zwiesnę i pod jesień, tom chytał ryby i sprzedawał zydom, bo oni porządnego mięsa nie jadają, ale na gadzieństwo są okrutnie łakomi.

Jak nadesła zima, tom pas co dzień o jednę dziurkę przyciągał, bo się chlać chciało, a ludzie za bezdurno nie dawali. Casem się zjadło, casem nie, ale się zyło.

Dopiro, ja przysły gody, to mnie ludziska zacęli obsyrmować. Kto ino mnie zuźroł to pada:

— Maciek, mozebyś się zgodził do cieląt? — Maciek, mozebyś się zgodził do krów. — A tak to wszyćko

grzecnie gadało, a ja inom dmuchał, bom wiedział, ze ja ludziom, a nie ludzie mnie są potrzebni.

Na gody, to zawse bywa tak, ze gospodarze pokornieją a celadniki hardzieją.

Targowanie i kupowanie celadników trwa przez cały jadwient i wtedy dobrzeby było na świecie, zeby nie pust, boby gospodynie dawały jeść nietylko duziarno, ale i dobrze omascone.

Niewiele myślący zgodziłem się do Bartka Smolnego, ale tam niedługo byłem, bo ino do zwiesny. Jakze było siedzieć, kiej gospodarz byli niećciwiara i kazowali mi wolnym casem przykradać, choć się jem nieźle wiedło. Oni sami chwalili se swoje gospodarowanie, bo padali, ze jak »z jednej strony pańskie, a z drugiej plebańskie«, to i bida nima takiego przystępu do cłeka.

Na samego świętego Józefa zrobiłem od Bartłomieja nogę i posedem na nową słuzbę do teraźniejsy gospodyni. Padom: do gospodyni, bo mój teraźniejsy gospodarz, choć cłek dobrutki, ale nicem nie rządzi ino gospodyni. I choć to moja gospodyni, to heród-baba, ale ze ino gębą miele, a nikomu złego nie robi, to siedzę i siedział u ni będę, póki mnie z tego siedzienia jaka Kaśka abo inna hrabionka nie wyciągnie.

Oj przesiedziołem ja tam parę roków, ile, nie wiem, bo się na rachunkowości nie znam, alem siedział dotąd, póki mnie beskurcyje do wojska nie oddali.

Oj, co to za wojsko, co tam było śmichu i komendyi, to wartoby opedzieć! Ale cóz, gazyciarze mi tego roku nie chcą dać gadać więcy, bo padają, ze trza i insem miejsce do gadania zostawić, bo inacy, tobym sam cały kalendarz zagadał. La tego dzisiaj końcę, a na drugi rok w następnym kalendarzu opowiem wam o moi wojskowości, co daj Boże amen.

Rach ciach ciach!



Porwał Maciek Kaśkę w taniec
Kieby jaki oberwaniec.
Z Kaśki dobra tanecznica,
Leci w tańcu, jak wietrznica.

I tańcują aże strach!...
Rach ciach ciach! rach ciach ciach!...
Niema to jak Maciek Bzdura,
Tańczy polkę i mazura

I w zapustne dzisiaj czasy
Po koronie sypie w basy,
Bo nad głową czuje dach...
Rach ciach ciach, rach ciach ciach!

Zaczął Maciek tańczyć walce —
Roztratował Kaśce palce,
Jak go Kaśka w gębę trzasła,
Aż mu z nosa jucha chlasła.

Maciek zaklął aże strach
Rach ciach ciach, rach ciach ciach!
Lepiej się wdać w politykę,
Niżli chodzić na muzykę:

Po koronie trzeba dać,
By ci nie ustali grać,
Kieszeń pusta aże strach!
Już nie grają: Rach ciach ciach!

Piotr Lipowiak.

WYGNAŃCY SYBIRSCY.



W Olszynce.

Na cześć poległych w bitwie pod Grochowem 25 lutego 1831 obrońców Polski.

Coś się zdawało chłopczynie .
Coś się zdawało:
W dolinie
Godzinę całą
Patrząc kędy ruczaj płynie —
Widział, jak w bliskiej olszynie
Coś się ruszało ..

Zdawało mu się, że w gaju,
Z pod ściętych pniaków,
Śród maju
Zielonych krzaków,
Jakieś postacie powstają...
Liczne się hufce ściągają
Polskich wojaków

Zdawało mu się znów po tem
Że widzi dalej
Jak lotem
Wichrowej fali
Wojacy z szablą i grotem
Gonią i kładą pokotem
Tłumy Moskali.

O cuda ! .. do stóp chłopczyny
Nagle przybieży
Z olszyny
Kilku rycerzy ;
On staje w kole drużyny,
I patrząc w ich dziarskie miny
Oczom nie wierzy.

A oni tak nań wołają
Szeptem modlitwy :
— „My z gaju
„Bieżym z gonitwy
„Po ciebie mały hultaju ;
„Chodź z nami — gdzie trąby grają,
„Na pole bitwy !...

„Jeźli twe serce dziecino
„Męztwo rozpala
„Jak wino,
„Trwoga nie kala,
„To cię zabierzem — gdzie płyną
„Krwi strugi, abyś chłopczyno
„Gromił Moskala.

„Lecz skoro tylko ujrzymy,
„Że się twem męztwem
„Łudzimy,
„To cię ze żalem
„Zostawim... sami wrócimy...
„Bez ciebie chłopcze stoczymy
„Walkę z Moskalem!“...

A chłopca — gdy tak gadali
Dzielne wojaki —
Aż pali !...
Wpadł w zapał taki,
Że wraz na hufce Moskali
Jak wicher górski pognali
W olchowe krzaki.

Lecz kiedy wpadli na linię —
Powiem wam szczerze :
W gęstwinie
Znikli rycerze...
A chłopczyk ujrzał jedynie
Mogiłki jakieś w olszynie,
A na nich.. krzyże !

— „Toć groby naszych wojaków ?...
„Boże łaskawy !
„Śród krzaków
„Wrzał tu bój krwawy...
„Tu trzykroć zastęp Polaków
„Odrzucił carskich żołdaków —
„Broniąc Warszawy“

„Grochów !“ — I wstrząsło nim drganie
I płacz serdeczny
I łkanie...
„Zastęp waleczny
„Tu spoczął, w cichym kurhanie“.
I westchnął : — „Racz im dać Panie
„Spoczynek wieczny !“

Jacek Obrochta.

Ułani polscy na zwiadach w roku 1831.



Otruty żyd.

(Humoreska).

Było to w lutym. Na dworze mróz ściskał siarczysty i wiatr dął nieznośny. W dzień taki do pewnego dworu przyszedł żydek, Icek Śpik w jakimś interesie i wszedł do pierwszego pokoju, gdzie stała na stole flaszka z wódką. Pan był zajęty pisaniem w drugim pokoju, ale tak, że miał przed sobą lustro i widział, co dzieje się w pierwszym pokoju.

Żyd, zobaczywszy wódkę, nalał sobie kieliszek i wypił. Za chwilkę nalał drugi, potem trzeci i wypił.

Pan, widząc to, woła na lokaja:

— Józefie, schowaj też tę flaszkę, bo tam jest silna trucizna, żeby zaś kto się nie napił, bobym miał kłopot.

Żyd, usłyszawszy to, zbladł jak płótno. Niewiele myśląc, podchodzi do pana, kłania się nisko i zagaduje:

— Prosim pa... pa... pa... pana, jakby tak człowiek wypił jeden kieliszek tego, to coby mu się stało?

— No, po jednym — odrzekł pan — pochorowałby trochę i koniec.

— A jakby tak wypił dwa? — pyta żyd dalej.

— Po dwóch to trzebaby dobrego doktora, aby co pomógł.

— A jakby tak wypił trzy — szepce żyd, drżąc cały z bojaźni.

— A! po trzech, to już niema żadnego ratunku — mówił pan dalej —

— Aj waj! aj waj! — zaczął wrzeszczeć zrozpaczony żyd i osunął się zemdlały na ziemię.

Ubawiony pan strachem żyda, kazał go wynieść pod studnię i lać na niego wodę, póki ten nie stanął na nogi.

Karol Powroźniak.



Pierwszy wielki powieściopisarz polski.

(W stuletnią rocznicę narodzin J. I. Kraszewskiego).

W szeregu rocznic, jakie święcić będzie Polska w roku 1912, jedno z pierwszych miejsc, między ks. Skargą a Zygmuntem Krasińskim, przypaść winno Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu.

Gorącem sercem najlepszy syn Ojczyzny, wielkim umysłem najgorliwszy jej sługa, potężnemi zdolnościami sława narodu, pracownik niezmordowany, stworzył dzieło wielkie i nieśmiertelnem jest imię jego w kraju i poza krajem.

Pamiętamy wszyscy, jaki to zachwyt ogarnął czytających »Ogniem i mieczem« i »Potop« Sienkiewicza. Ale może nie każdy pomyślał, że ten sam Sienkiewicz musiał mieć poprzedników, nauczycieli; że powieść doskonała nie mogła narodzić się odrazu, że musiała stopniowo rozwijać się, doskonalić, i że przed Sienkiewiczem musieli być inni. Ci inni — to właśnie Kraszewski. On powieść polską stworzył; on ją pisał wtedy, kiedy w domach polskich wykształconych panowała tylko powieść francuska, a klasa mieszczańska i włościańska nie czytały wcale. On odzwierciedlił w swoich utworach życie polskie, dwory i chaty, warsztaty i fabryki; on odmalował dusze polskie, szlachcica i chłopa, księdza i rzemieślnika, wieśniaczki i panny ze dworu; on wskrzesił Polskę, w szeregu królewskich i bohaterskich postaci, przesuwając przed nami historyę narodu.

»A jeśli komu droga otwarta do nieba — to tym, co służą Ojczyźnie«.

Józef Ignacy Kraszewski urodził się w Warszawie w r. 1812; chowany zrazu na wsi, kończy gimnazyum na Litwie, poczem w uniwersytecie wileńskim; w tych samych murach, co wychowały Mickiewicza, zastaje go powstanie listopadowe. Uwięziony wraz z innymi, wypuszczony na wolność w r. 1832, kończy nauki i osiada na Wołyniu. Zrazu chodzi dzierżawami, lecz ożeniwszy się z Zofią Woroniczówną, synowicą biskupa krakowskiego, nabywa wieś Herbin i daje się poznać, jako dzielny gospodarz.

Nietylko jako gospodarz; też jako głowa tęga, charakter prawy, a nadewszystko Polak dobry. To też we wszelkich sprawach ogólnego znaczenia, tam gdzie chodziło o sprawę narodową, o podniesienie się kraju, o rozumne a serdeczne kierownictwo, tam, wzywano Kraszewskiego i tam on szedł. Aż nareszcie, by módz skuteczniej służyć interesom ogółu, wieś swą opuścił i przeniósł się do Żytomierza, stolicy Wołynia.

Miasteczko to było niewielkie, daleko od Wilna i Warszawy, a zatem pozbawione, jak i cały Wołyń, możności kształcenia się, rozwijania umysłowo. Kraszewski próbuje życie duchowe wołyniaków rozbudzić i w tym celu zakłada pismo miesięczne (»Ateneum«), które omawia najważniejsze sprawy wszelkich zakresów. Oprócz tego jest prezesem niezliczonych Towarzystw, opiekunem i doradcą powstającego teatru, kierownikiem kas zapomogowych i burs studenckich.

Objawia się tu nie po raz pierwszy niesłychana pracowitość Kraszewskiego, która zdumiewać nas będzie zawsze, aż po koniec jego żywota. Rok 1860 przenosi Kraszewskiego

do Warszawy; wzywają go tu ci, co widzą zbliżające się powstanie pamiętnego 1863 r. Jako redaktor »Gazety codziennej«, później »Gazety polskiej«, należy do grona ludzi, którzy pod groźbą zbliżającej się chwili wybuchu, ludność Warszawy trzymają siłą swej woli w spokoju. Moment był trudny; zapewne rwały się serca i dłonie do broni, tym zwłaszcza, co pamiętali bohaterskie walki pod Grochowem i Ostrołęką i co przeżyli wtedy tyle gorących nadziei; rozwaga jednak kazała inaczej — i ona, tak rzadki w Polsce przymiot, zwyciężała przez długie lata 1860—1863. Nie potrafiła zwyciężyć zupełnie... Tragiczna, bolesna musiała być dla Kraszewskiego godzina wybuchu... Nie doczekał jej w Warszawie.



J. I. Kraszewski.

Usunął go rząd o rok wcześniej, nie uwięziwszy wprawdzie, lecz zmuszając do wyjazdu za granicę. Kraszewski zamieszkał na stałe w Dreźnie i tam pozostał do śmierci. Wyjeżdżał do Galicyi i Poznania, gdzie miewał publiczne odczyty; do wód — by zdrowie ratować. Aż raz, w powrotnej drodze aresztował go rząd pruski i osadził w więzieniu w Berlinie. Za co? Kraszewski sam dowiedział się o tem znacznie później dopiero: oto posądzono go o szpiegostwo, o dostarczanie wiadomości rządowi francuskiemu, o stanie wojennym w Prusiech. Proces trwał dwa lata i skończył się skazaniem zupełnie niewinnego człowieka na 3½ roku roku twierdzy. W tych warunkach zdrowie musiało się pogorszyć; w jesieni 1885 r. otrzymuje pozwolenie wyjazdu do wód za kaucyą — i już nie wrócił. Wędrówki 1½ roku trwające zakończyły się śmiercią prawie nagłą, w Szwajcaryi, w Genewie, w dniu swego patrona, 19 marca 1887 r. Pochowany na Skałce w Krakowie kosztem kraju, odbierał po śmierci hołd zasłużony. Choć wspomnieć należy, że już lat kilka przed zgonem obchodził w Krakowie złote gody swoich z piórem ślubów i że wtedy ogólne uznanie wyraziło się setkami darów, depesz i listów jubileuszowych.

Kraszewski ma istotnie świetny sposób pisania; jego ludzie żyją, ruszają się, chodzą po kartkach. Kraszewski zna stosunki, sprawy polskie, politykę, historyę — i przez to osiąga wpływ wielki na ludzi i rzeczy.

Zróbmy tylko taki prosty obrachunek: przeciętnie żyje człowiek lat 60; połowę tego czasu spędza we śnie; pozostaje 30; połowę owych 30 poświęca zdobyciu nauki; przecież każdy z nas uczy się najmniej lat 15, aby zostać adwokatem, lekarzem, czy urzędnikiem. Z pozostałych 15 trzeba odliczyć połowę, t. j. 7½ na różne konieczne czynności, więc modlitwę ubieranie się, jedzenie, odpoczywanie, zamykanie i otwieranie drzwi, witanie się i żegnanie, i t. p. Dopiero reszta, t. j. 7½ lat pozostają nam na stworzenie tego, co ma o nas świad-

czyć potomności, co ma po nas zostać, jako czyn, jako zasługa.

Pomyślmy jeszcze: przez $7^1/_2$ lat napisał Kraszewski dzieł przeszło 200 w 500 tomach! Około 170 powieści wymyślił, tyle a tyle ludzi w nich stworzył, tylu a tylu uczuć i spraw dotknął!

Rozumiał doskonale, że nie każdy przeczyta dzieło wielkie i poważne, bo nie każdy czas ma po temu i przygotowanie; ale każdego stać na krótki odpoczynek w czytaniu dobrem, pouczającem, a przystępnem. Dlatego zapragnął dać narodowi swemu powieść poważną, rozumną, nadewszystko zaś powieść historyczną, by uczyć przeszłości.

I tak powstał cały zbiór jego powieści historycznych, opiewających dzieje nasze od czasów bajecznych aż do królów Sasów; taka myśl wydała cudne obrazy »Starej baśni« i zapasy ks. Masława, i tragiczne walki »dwóch królowych«, i smutne a zabawne »hulaj dusza« XVIII wieku, które było jedną z tych zabaw co się kończą płaczem.

Kończymy prośbą o przeczytanie powieści historycznych Kraszewskiego. One dadzą najlepiej poznać uważnemu czytelnikowi, jakim pisarzem był ten, któremu towarzyszyć będą po wieki, póki trwania Polski i Polaków: miłość i wdzięczność narodu.



SZCZĘŚCIE.

Szukając szczęścia na ziemi — na niebie,
Pytałem lilii, czy ona szczęśliwa?
Patrz, rzekła, biała szata mię odziewa...
Niewinność szczęścia nigdy nie pogrzebie!

Pytam się róży: gdzie twe szczęścia zdroje?
Pojąc się, mówi, boską rosą zrana,
Ozdobna w krasę i szczerze kochana
Roztaczam woń swą; oto szczęście moje!

A ty, ptaszyno, skowronku maleńki,
Powiedz mi, powiedz, czyliś ty szczęśliwy?
Na to skowronek: gdy wzlecę nad niwy,
Radością moją i szczęściem... piosenki!

Pytałem zdroju czystego strumyka,
Potem się szmeru pytałem wietrzyka:
Czyście szczęśliwe w swojej życia drodze?
Rzekły mi: tak jest! Ja poję — ja chłodzę!

A nasze szczęście na czem się zasadzi?
Pytajmy serca, ono nam doradzi...
Powiedz, ach, powiedz! w życiu czy w marzeniu?
Serce szepnęło: w pracy, poświęceniu!

Franciszek Marzec.

Szpieg.

Wieczór nadchodził marcowy, mglisty, szary. Zimno dojmujące dokuczało nawet pod grubym płaszczem chodzącemu tam i napowrót po ulicy Poznania mężczyźnie.

Rosły był, ogorzały, z wąsami rudawemi, o bystrych oczach i ruchach dziwnych.

Czasem szedł bardzo żywo, głowę podnosił szybko; czasem znów wolno, wolniutko, ledwo się posuwał, ostrożnie spoglądał przed siebie i wtulał głowę w ramiona tak, że wydawał się niskim i krępym. Uparcie krążył między trzema ulicami, połączonemi ze sobą i co kwadrans zawsze wracał na to samo miejsce.

Sklepy były w tem miejscu nieliczne; największym ruchem odznaczała się mała na rogu restauracyjka, znać przeznaczona dla niezamożnych gości. Dla takich właśnie, jacy zamieszkują tę dzielnicę Poznania. Co chwila ktoś z przechodniów »na róg« wstępował (bo to i sklepik był razem) — i żywo wychodził. A kto zetknął się z osobą lub spojrzeniem owego mężczyzny, mimowoli przyspieszał kroku.

Mężczyzna zdawał się czekać. Godzina — dwie minęły, a on wciąż odczytywał napisy i ogłoszenia nad sklepami i przy bramach domów, wciąż wracał na to samo miejsce, wciąż kurczył się lub wydłużał.

Aż nareszcie przemarzł znać, bo szybko skierował się do narożnej restauracyi. Równocześnie z nim, drzwiami od drugiej ulicy, weszło 3 młodych chłopców. Kazali sobie podać herbaty i bułek i zajęli stolik pod ścianą; mężczyzna w płaszczu usiadł opodal, zamówiwszy piwo, podjąwszy z ławki jedyną gazetę, jaka walała się w tym lokalu.

Publiczność tu była bardzo różna: kilku robotników piło kolejkę przy stole; w kącie jakiś kupiec wędrowny rozłożył swój towar, wśród którego widać było tanie książeczki i broszurki; dzieci jakieś plątały się po izbie, chuderlawe, zabiedzone, ale z oczyma bystro patrzącymi wokoło.

Właściwie to niewiadomo byłoby do kogo należą i poco tu są, gdyby nie to, że coś zdawało się je łączyć z owymi chłopcami, co przy herbacie za stołem pod ścianą usiedli. Małe postacie podbiegały do nich często i coś z ożywieniem opowiadać chciały. Ale starsi tłumili te wybuchy; raz jeden doszło do uszu mężczyzny w paltocie: »Już umiem całe, niech pan posłucha: Tysiąc walecznych...«

Dalszy ciąg wypowiedziany był za cicho, zresztą rozmowa robotników zagłuszyła słowa. Mężczyzna pił dalej piwo i patrzał w gazetę.

Nie czytał.

Aż nagle z zamyślenia wyrwała go cisza. To tak, jakby młynarz obudził się, gdy młyn huczeć przestanie; w izbie restauracyjki było prawie pusto.

Robotnicy wyszli; dzieci przestały się plątać; towar kupca rozłożony był pod ścianą, tylko wśród niego brakło książeczek; szklanki z herbatą stały wypróżnione do połowy, lecz przy nich nie było nikogo.

Jedynie tylko właścicielka sklepu szklankami i talerzami na »bufecie« potrącała głośno, coraz głośniej.

A z sąsiedniej izby dolatywał gwar. Głosy były różne: napewno młodzieńcze i dziecinne. Mężczyzna słuchał. Widzieć nie mógł, ale gdyby mógł!

Tam oto uboga izba mieszkalna zamieniła się na szkołę i dziewczynka 10-letnia zacinała się na polskim ele-

mentarzu; chłopiec 14-letni opowiadał, jak to Chrobry słupy graniczne bił na Sali i Dnieprze; małe dziecko słuchało z otwartą buzią opowiadania o Jezusie położonym w żłobie, a najstarszy wyrostek deklamował z przejęciem »Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę«.

W izbie stawało się coraz głośniej i do restauracyjki dochodziły coraz wyraźniej słowa polskiej mowy.

Właścicielka pospieszyła zagadać do samotnie siedzącego mężczyzny.

— Zimno na dworze — powiedziała po niemiecku, a on odparł w tym samym języku:

— A zimno — lecz za chwilę dodał: — ja i po polsku rozumiem, moja pani.

Wydało się jej, że to powiedział twardo, groźnie. Aleć coś trzeba było mówić, by zagłuszyć... tamto.

— Wiem, wiem — zaczęła się tłomaczyć — ja przecież przypominam sobie, o — ja mam dobrą pamięć! Pan tu mieszkał niedaleko chłopcem, wyrostkiem — o niedawno jeszcze — wydaje mi się — z rodzicami, potem z matką. — Zaraz, zaraz... jak się to nazywali...

Mina mężczyzny nie wróżyła nic dobrego. Wstał.

— Igielscy, moja szanowna pani, tak, Igielscy, ale ja nazywam się Nadel, rozumie pani? Na-del, powtórzył z naciskiem i poszedł ku drzwiom z za których dochodziły słowa pieśni polskiej, wymawiane wolno, z przejęciem.

Właścicielka restauracyi nie wiedziała co powiedzieć, aż wyjąkała z trudem:

— To pan — Polakiem już nie jest — jak oni. A matka pańska...

W oczach miała łzy.

— Moja matka i mój ociec nie zostawili mi chleba, moja pani; żyć trzeba, a że Polakowi tu żyć nie wolno — więc...

Za drzwiami aż huczało; z ogólnego hałasu wybijały się słowa pojedyńcze.

— Czy oni tak codzień schodzą się u pani? — zapytał Nadel-Igielski.

Właścicielkę uderzył ton głosu. Nie był ostry, twardy; owszem łagodny czy smutny.

— Panie... toć i pan kiedyś. — Niech pan wspomni... Każdy pragnie swego — ojczyzny — my nie mamy — sami obcy, chcą zabić, zniszczyć — jąkała.



...z zamyślenia wyrwała go cisza...

Nie trwożyłaby się, gdyby była podniosła oczy na stojącego przed nią mężczyznę. Był blady, gryzł wąsy i słuchał.

— Tam za drzwiami zapanowała na chwilę cisza, aż nagle zabrzmiały głosy dziecinne zgodnym głosem:

Boże Ojcze, Twoje dzieci
Płaczą, żebrzą, lepszej doli,
Rok za rokiem marnie leci,
My w niewoli — my w niewoli.

Ani się spostrzegła właścicielka narożnej restauracyi, gdy ktoś drzwiami trzasnął gwałtownie: gościa w szarym płaszczu już nie było.

Wracał. Codzień wieczorem; siadał przy stoliku, pił piwo, czytał gazetę. A potem słuchał.

I zawsze doczekał się pacierza, odmawianego gorąco za drzwiami.

Aż raz podszedłszy do właścicielki restauracyi, rękę do niej wyciągnął:

— Może mi pani dłoń podać: od dziś rzuciłem służbę policyjną i nazywam się Igielski.

Jakby w odpowiedzi wyrostek polski, uczący się znać wierszy z rzadką pilnością, wypowiedział głośno, wyraźnie, za ową ścianą wiersz Mickiewicza:

»Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...

St. Krzywda.



Bóg, Ojczyzna, Wiara!

Bóg, Ojczyzna, święta Wiara!
To Polaka hasła trzy,
Którym poświęcić się stara
Mienie, życie, krew, ból, łzy...

Bóg, Ojczyzna, Wiara święta!
To Polaka duszy żar...
Co niewoli łopi pęta,
Obumarłych wskrzesza z mar...

Bóg, Ojczyzna, święta Wiara!
To Polaka duszy zdrój
To napoju boska czara
Polskiej duszy, w znojny bój...

Bóg, Ojczyzna, Wiara święta!
To Polaka jasna broń,
Gdy te hasła czci, pamięta,
Silny jego duch i dłoń.

Bóg, Ojczyzna, święta Wiara!
Piorunowej siły grom...
Darmo wróg nas przemódz stara,
Twierdzą każdy polski dom!...

Bóg, Ojczyzna, Wiara święta!
Nadziemska tych haseł moc!
Polskim ludom zerwie pęta,
Niewoli rozjaśni noc!...

Jantek z Bugaja.

Krwawa zabawa.

Powiastka zapustna.

Karnawał trwał tego roku bez mała przez ośm tygodni, to też ludziskom na uciechach wszelakiego rodzaju zupełnie nie zbywało. Mimo tego, gdy nadeszły zapusty, poczęli się tu i ówdzie gromadzić parobczaki, a radzić i rozprawiać, aby w niedzielę zapustną wyprawić granie, jak się patrzy.

Młodym o zabawie wiele mówić nie trza, ale wystarczy jeden wspominek, aby całe serce do niej rozgorzało, aby nogi same rwały się do podrygu.

Granie postanowiono urządzić u Szymona Patuły, jako że tam izba była największa, a i do karczmy tylko kroków parę. Do zabawy szykowano się dni kilka — a gdy tylko w niedzielę jegomość zakończył nieszpory, wyrwali się Stach Przyzba i Witek Mydlarczyk po skrzypków do sąsiedniej wsi, a nie po byle jakich, ale po takich, co to i marsia zagrać potrafili i tramlapolka nie była im obcą, a nawet i walce, choć nie dokładnie, były im znane. A byli nimi dwaj bracia Dryndziele, a basowywał zwykle krzywy Józek Pasternak.

Ugoda między parobczakami a muzykantami stanęła prędko: po 4 korony za noc dla skrzypków, a dwie korony dla basisty, no i to, co przodownik do basów rzuci.

Nastroili skrzypkowie skrzypki, ponaciągali smyki i za progiem urżnęli takiego uroczystego »marsia«, że aż ziemia dudniła, a podkówki same ogień krzesały. Poprzedzani przez Stacha i Wicka udali się do Podlesia, gdzie właśnie zabawa miała się odbywać.

Dwaj młodzi parobcy ujęli się za ręce, jako że żyli od maleńkości w okrutnej przyjaźni, pozakładali czapki na bakier, a pośpiewując i przytupując, prowadzili grajków do zagrody Szymona Patuły.

Do gromadki, złożonej początkowo z pięciu osób, poczęło się ich przyłączać coraz więcej, tak że, nim doszli do Szymonowej chaty, gromada liczyła do kopy samej młodzieży.

Na przywitanie przybyłych wyszedł sam Szymon, nie dlatego, jakoby zabawy lubił, ale dla interesu, o którym właśnie chcemy opowiedzieć.

Patuła miał córkę, liczącą dwadzieścia dziewięć wiosen panieńskiego żywota, której już się panieństwo sprzykrzyło i radaby była wyjść za mąż. Pomimo jednak, że ojciec grosza nie skąpił i byłby dał wiano paradne, kawalerzy od jego Jagusi stronili, a to z tego powodu, że Pan Bóg jej wcale urodą nie obdarzył. Niedość, że, jak to mówią, patrzała lewem okiem do prawej kieszeni, ale nadto miała buzię tak czerwoną, że niczem ćwikłowy burak.

Szymon, pozwalając na granie w swej izbie, sądził, że może się tam który z kawalerów na jego córuchnę złakomi i, choćby po długim namyśle, za żonę pojmie. Młodym rozchodziło się znów tylko o to, aby do hulania była izba obszerna, a dziewuch nazłazi się tyle, że będzie w czem wybierać. I tak za ogólną zgodą granie miało się odbyć w izbie Szymona.

Ale wróćmy do naszej gromadki, wstępującej w progi Szymonowe.

Przybyli obstąpili wokół obszerną izbę, muzykanci usiedli na stole i urżnęli obertasa, aż hej. Młodzi po-

częli się rozglądać za sobą i upatrywać, który którą ma pojąć.

Ale nie długo namyślali się! Poskoczył Stach Przyzba do Józi Musiałówny, ujął w pół i tak zakręcił nią ogniście, że aż lampa wisząca na ścianie poczęła chwiać się swym płomieniem ze wzruszenia, migać z radości, póki nie zgasła.

Wnet ją jednak zaświecono ponownie. Wtedy Stach sięgnął do kieszeni, ujął w garść miedziaków, a sypnąwszy je do basów, zanucił krakowiaka:

Twoje oczka, moja Józiu,
Milsze mi nad złoto!
Co tam ludzie mówią o nas,
To ja nie dbam o to.

Muzykanci pociągli smyczkami tak siarczyście, że aż pies, siedzący na przyzbie, zawył od wielkiego strachu.

Stach ujął dziewczynę w pół, przycisnął do siebie i zakręcił nią w powietrzu, a zapomniawszy o całym świecie, był szczęśliw, że swą ukochaną ma przy sobie. Nie myślał o niczem innem, bo zdawało mu się, że mknie z nią gdzieś w zaświaty, tam, gdzie oprócz nich dwojga i ich ogromnej miłości nikogo więcej nie będzie.

Za pierwszą parą poszły w tan inne, aż cała izba zawirowała. Zdawało się, iż wszyscy zmysły postradali, a całym celem ich męczącej pracy jest jakiś wyścig o zakład, kto więcej kółek zrobi.

Tańczono długo, tańczono dotąd, póki muzykantom ręce nie osłabły — wtedy ci przestali grać odrazu.

Dziewczęta posiadały na ławach dla odpoczynku, parobczaki przechadzali się po izbie. Skorzystał z przerwy Witek Mydlarczyk, który cały czas nie tańczył, i zbliżył się ku Józi.

— Hej! jakaś ty kraśna! — zawołał i urwał nagle, a po chwili dodał: A kiedyż ze Stachem idziecie na pacierze?

Rozśmiała się dziewczyna, ale zamiast odpowiedzi zapytała:

— A ty Witku z kim hulałeś?

Popatrzał na nią z jakąś tajoną złością i zasyczał przez zęby:

— Ja tańczyłem z boleścią swoją, ja hulałem z zazdrością!.. Józia!.. — począł ciszej — ja byłem ślepy, ja byłem głupi! Kompaniłem się ze Stachem, a anim przypuszczał, że on się ku tobie ma. A on mi słowem nie pisnął.

— Kiep ten, kto swoją miłość przed światem trąbi — odparła Józia.

— Przed światem nie, ale przed druhem serdecznym zwierzyć się był powinien — zasyczał Witek.

— I cóżby ci z tego było przyszło? — próbowała bronić Stacha.

— Co? powiadasz? — mówił dalej Witek — jabym mu był miłość ku tobie wybił z głowy, jabym mu był wyperswodował. Józia, tyś nie dla Stacha, ty moją być musisz.

— Przestań! — przerwała Józia — przestań, bo kochania nikt nakazać nie może; rodzi się ono samo i samo wzrasta, ale kochania zasiać, ani zasadzić nie można.

— Ale wyrwać je można — krzyknął Witek — i ja je wyrwie z serc waszych.

Rzekłszy to, wmieszał się Witek w tłum młodzieży.

Odezwały się znowu skrzypki, zahuczały basy. Był to znak, że któryś z młodzieńców przemówił do muzykantów zapomocą groszy. Rozpoczęły się tany nanowo, tylko jeszcze tłumniejsze, bo coraz nowi tanecznicy przybywali. Wśród miejscowych poczęli się przewijać i z sąsiednich wsi. Zrobiło się tak ochoczo, jak tylko ochoczo wśród młodych być może, ale i powietrze z każdą chwilą stawało się cięższe od oddechów ludzkich, że lampka zaledwie słabym płomykiem błyskała.

Zabawa była w całej pełni, ale wśród bawiących się nie było Witka Mydlarczyka. Ten po krótkiej, ale namiętnej rozmowie z Józią wyszedł z izby i wprost udał się do karczmy.

Tam usiadł na ławie i dumał coś długo, a wreszcie zawołał:

— Hej, żydzie, wódki a mocnej!

Usłużny Mosiek postawił w tej chwili przed nim półkwaterek śmierdziuchy, która natychmiast znikła w gardzieli Witka. Po jednym półkwaterku poszedł drugi i trzeci . . . Witek pił, a jakoś ani rusz upić się nie mógł. Przywołał więc żyda, rzucił mu garść miedziaków i skierował się ku chacie Szymona.

Gdy przyszedł na podwórze, wyciągnął tęgi kół z płotu i wmieszał się w tłum rozbawionej młodzieży. Właśnie tańczono polkę. Stach obejmował swą ręką w pas Józię, a oczyma zaglądał w jej uśmiechnięte oczka i obydwoje wirowali tak, jak dwa duchy gdzieś w zaziemskiej krainie: pełni wesela i szczęśliwości. Tuż za nimi wywijał jakiś niewybredy kawaler z Jagusią, córką Szymona.

Gdy Witek zobaczył Józię przy boku Stacha, zakipiała w nim cała nienawiść. Roztrącił najbliżej stojących i z całym rozmachem rzucił się na środek izby, ściskając kół w obu rękach.

Wódka zaciemniła mu umysł, więc sam nie wiedział, co czyni. Podniósł kół do góry i gruchnął w miejsce, w którem zobaczył głowę Stacha.

Zrobił się krzyk i usłyszano ciało padające na ziemią. Ale w tej chwili lampka zgasła, więc nie można było dokładnie rozeznać, co się stało.

Gdy zaświecono ponownie, oczom zebranych przedstawił się widok okropny: na ziemi, w kałuży krwi, leżała Jagusia Szymkowa, rzężąca w boleściach przedśmiertnych.

Posłano natychmiast po księdza proboszcza i po lekarza. Ksiądz zastał ją jeszcze żyjącą, ale lekarz przybył już zapóźno.

Zabawa zakończyła się smutno.

Witek krył się przez kilka dni, ale w końcu sam oddał się w ręce żandarmów, żałując gorąco swojego czynu. Mimo to kara spotkała go surowa.

Na trzeci dzień Szymon wyprawił Jagusi wspaniały pogrzeb, na którym ksiądz proboszcz powiedział, że przyczyną śmierci Jagusi nie była zazdrość, ale nieszczęsna wódka, która biednego Witka do zbrodni doprowadziła.

Na zakończanie dodać musimy, że po skończonym poście odbył się ślub Stacha z Józią, i sute weselisko, na którem jednak nikt się nie upił, bo od owego smutnego wypadku z zabójstwem Jagusi cała wieś odprzysięgła się wódki.

Antoni St. Bassara.

WESELE.

O wesele, o wesele!.. Nie płacz, Franuś, nie!
Chociaż z chatki od twej matki dzisiaj biorą cię!...
Podnieś oczka zapłakane i roześmiej się,
Bo bas buczy uroczyście, skrzypek dziarsko rżnie,
Tudana! skrzypek dziarsko rżnie!...

Gra muzyka uroczyście, a ty płaczesz, hej!
Otrzyj łezki, podnieś główkę — śmiej się, Franiu, śmiej!
Gdy śmiech lica rozpromieni, to i sercu lżej,
Mniej rozpaczy, mniej boleści i strapienia mniej...
Tudana, śmiej się, Franiu, śmiej!

Chociaż rozpacz masz na sercu, choć ból w duszy masz,
Gdy wesele, to wesele: rozpogódź twą twarz.
Dawnych rojeń, dawnych marzeń wspomnienia zmaż,
Bo choć szczęścia mieć nie będziesz, lecz już męża masz
Tudana, lecz już męża masz!

Antoni St. Bassara.

Święcenie popiołu w Rzymie.



Zwyczaj swięcenia popiołu w środę popielcową jest rozpowszechniony po całym świecie; najwspanialej jednak obchodzą go w Rzymie, stolicy Ojca świętego. Na popiół używają palm poświęconych w niedzielę palmową poprzedniego roku. Palmy te spalają wśród specyalnych ceremonii, jak to widzimy na obrazku, a popioły zebrane na tacę znów są poświęcone.

Palenie owo odbywa się w następujący sposób: Palmy zbierają w wiązkę, otaczają siatką metalową i w obecności mnóstwa księży, podpalają je. Jeden z biskupów w kapie fioletowej błogosławi popioły, przyczem prosi Boga, aby wszyscy, których głowy popiół ten pobieli, napełnieni zostali duchem pokory i otrzymali łaskę żałowania za swe błędy.

Popiół pobłogosławiony w ten sposób niosą do Watykanu, gdzie Ojciec św. sam go podczas Mszy św. poświęca.

Po Mszy św. jeden z kardynałów zbliża się do Ojca św. i głowę Jego posypuje popiołem.

Żywot cygana poczciwego.

Był sobie w naszych stronach taki uczciwy cygan, który żył bardzo przykładnie i dosyć długo. A taką miał dobrą pamięć, że nawet swoje chrzciny dobrze zapamiętał.

Był on w takiem poważaniu i uczoności, że drugim nawet cyganom śluby dawał. Pewnej wiosny z naszych stron przechodził jeden gospodarz przez las i spotkał kupę cyganów, którzy się tak bili i wodzili za łby, że aże okropność było patrzeć. Więc się zapytuje poczciwego cygana który stał na ustroniu:

— Co się tu z wami dzieje? Co to za wojna cygańska?

— E to proszę was, gospodarzu, to nie wojna tylko wesele. Dopiero przed chwilą państwu młodym związałem ręce, pobłogosławiłem i dałem ślub, jak się należy, i do tego dałem im na wódkę, a że się popili to i niedziwota, że się trochę za łby wodzą.

Od tego czasu ten cygan zawarł znajomość z tym gospodarzem tak, że go często odwiedzał w jego domu.

Raz przyszedł do izby, gdy gospodarz był sam. Zaczęli pogawędkę o różnych sprawach gospodarskich. A że to był cygan i dobrym politykiem i znawcą, więc to gospodarza zajmowało. Podczas tej gwary politycznej spostrzegł cygan kawał soli nad kuchnią, więc mu przyszła ochota tę sól ściągnać, lecz trudno było, bo gospodarz patrzył na niego i gwarzył. Ale od czego polityka? Więc mówi do gospodarza:

— Co za śliczne macie, gospodarzu, obrazy, nawet znam doskonale tego malarza, co je malował.

Gospodarz się cieszy pochwałą obrazów i z przyjemnością spoglada po nich, ale za ten czas sól już u cygana pod łoktuszą.

Za niedługi czas idzie cygan do gospodarza na politykę po raz drugi, ale gospodarz nie miał jakoś ochoty politykować z cyganem w izbie, tylko wyszedł przed dom. Polityka nie bardzo jakoś szła, bo nie miał cygan co chłopu ukraść. Spostrzegł jednak zdala na podwórzu nowiuteńką siekierkę, której gospodarz nie zauważył, więc mówi:

— Kochany gospodarzu, takim też kiepski, bom się wczoraj nasiekł u kumotra — pozwólcie mi też potalać się po podwórzu.

— A to się ta i talaj, ile ci się tylko podoba — odrzekł gospodarz.

Cygan dalejże maga kozły i tala się, aż się przytalał nad tę siekierkę, którą też zaraz schował. Wstał wreszcie, otrzepał się i pięknie podziękował gospodarzowi, że był taki uczciwy i pozwolił mu podwórza.

Chłop uśmiał się potem z cygana, że się w konia zabawił.

Miał ten gospodarz córkę na wydaniu, która była trochę głucha i chroma na jedną nogę i do tego miała krótki wzrok. A że ją chciał koniecznie wydać, więc się umówił z pewnym gospodarzem z drugiej wsi, że ją wyda za jego syna. Gospodarz chciał jednak jakoś uniewinnić ułomności córki, więc sprowadził tego cygana, żeby był obecny na tych zalotach i namówił go:

— Pamiętaj, że jak będzie jaka mowa przy zalotach, to żebyś wszystko przychwalał i dobrze cyganił.

— Dobrze, dobrze, będziecie zadowoleni ze mnie, mój gospodarzu — odparł cygan.

Nareszcie przyjechał ojciec z matką i ze synem na zaloty. Cygan tam już siedział. Zaczęła się pijatyka na dobre i gwara. Tak ten młody chciał sobie zapalić cygaro, więc mówi do tej młoduchy:

— Marysiu, przynieś też ta zapałeczków.

A ona, że to nie dosłyszała, więc zamiast zapałek, przyniosła mu z michą zimnioczków. Wszystko w śmiech a ojciec mówi: E to się jej ta nie dziwujcie, bo ona troszeczkę nie dosłyszy. Cygan, który miał wszystko przychwalać, zaraz przyświadcza:

— No tak, tak! Ona nietylko nie dosłyszy, ale całkiem jest głucha!

Gospodarz spojrzał tak życzliwie na cygana, jakby mu życzył, żeby go wszyscy dyabli wzięli.

Potem znowu niesie młoduchna tacę z herbatą na stół, ale jak utknie, tak pęps na ziemię. Rozleciały się garczki z herbatą po izbie, a ojciec mówi:

— Ta się i nie dziwujcie, bo ona trochę na nogę uchromuje.

Cygan zaraz przyświadcza:

— No, no, nie tylko uchromuje, ale jest całkiem, jak kobyła, kulawa.

Ojciec chcąc coprędzej rzecz załatwić, zaczął przemowę:

— Mój kochany swacie! to jest moje ukochane dziecko, którego bym się nie chciał pozbyć, ale trudno, jak człowiek musi, to musi, jakby się tu wyrazić... Hm... hm!...

Cygan zamówiony z góry zaraz dopowiada:

— No, no, jak się człowiek musi pozbyć, to musi nie tak, jak złej siekiery, ale jak dobrej z podwórza.

Nareszcie przyszło do ugody, co jej ojciec da na wiano, poczem miały nastąpić formalności zaręczynowe. Przed tem jednak ojciec pyta się córki:

— No jakże, moje dziecko, pójdziesz za tego Jasia?

— A jakże z wielką chęcią — odpowiada córka.

— To sobie podajcie ręce i powiedzcie sobie słowo, że się będziecie chcieli.

Więc ona idzie i bierze za rękę, ale zamiast młodego Jasia, bierze starego jego ojca i mówi:

— Będę cię Jasiu chciała, boś mi się bardzo udał i będę cię kochała i lubiała do samej śmierci.

Wszyscy poczęli się śmiać, lecz ojciec zaraz wystąpił i rzekł:

— To się ta i nie macie co dziwić, bo ona i trochę nie dowidzi.

— Tak, tak, — mówi cygan — nie tak nie dowidzi, ale całkiem ślepa na oba oczy.

Po takiej cygańskiej zachęcie rodzice z synem odjechali do domu i już się więcej nie pokazali.

Po ich odjeździe rozgniewany gospodarz mówi do cygana:

— Zjadłeś sto dyabłów, psie cygański, tak ja ci to kazał mówić? Ja ci kazał chwalić, choćbyś miał i przycyganić!

— Ja wiem — cygan na to — kazaliście mi cyganić, to ja i cyganił.

— No, no, znają się już na tem, ale jutro mi pomożesz siec na łące, to ci zapłacę razem.

Zaraz rano poszli na łąkę. Gospodarz pośniadał sobie pokryjomu i siecze z cyganem. Przyszedł czas do śniadania, cygan się ogląda, ale jakoś gospodyni nie widać. Ta jednak była już zmówiona z gospodarzem. Nadeszło południe, cygan już zesłabł i ani rusz nie może dalej kosić. Przyszli wreszcie na południe. Cygan był okropnie głodny, to też ucieszył się bardzo, gdy gospodyni postawiła miskę kapusty, drugą ziemniaków. Cygan je tylko mu się uszy trzęsą, chociaż było wszystko jałowe. Gdy już zjadł wszystko i był dobrze pojedzony, tak gospodyni postawiła michę pierogów ze serem. Cygan zjadł dwa, więcej ani rusz, więc mówi:

— Gosposiu, umieliście nagotować, aleście nie umieli dać.

Rzekłszy to chytry cygan wsunął parę pierogów do zanadrza, ale te zaczęły go parzyć, gdyż były gorące. Drapnął więc cygan w nogi, bez zapłaty i więcej się u gospodarza już nie pokazał.

Karol Powroźniak.



Patron dobrej śmierci.

Późny był już wieczór, kiedy Bartek Toporek z karczmy się wywlókł. Spity był na umór! A że to jeszcze w marcowej śląkwie oślizła droga — to już całkiem iść nie mógł. Nożyska się mu plątały, raz w raz się poślizgiwał — i co kroków parę postąpi — to w bajorze leży jak długi. Czapkę zgubił, a taki już zmordowany, że mu się aż z czupryny kurzy; a coraz mu słabiej, bo wódczana opara w tem rozgrzaniu coraz go więcej przejmuje.

Zakręciło mu się naraz silniej w głowie, zakolebał się i runął na wznak do rowu, aż w rowie zabełkotało. Potłukł się widać mocno, stęknął boleśnie, a ruszyć się nie mógł. I leżał tak długo...

Rano się już robiło, kiedy się Bartek ocknął. Jakiś straszny ziąb go przeszedł. Chciał się podnieść — nie mógł. — Zamarzł. — Nocny przymrozek ściął wodę i Bartek leżał pod lodem, że mu jeno ta głowa i nogi, na brzeżku sparte wystawały.

Struchlał, gdy to obaczył. Chciał się gwałtem z tej uwięzi wyrwać, ale cóż? Wszelaka moc go odeszła, że i ręką ruszyć nie mógł, a taka słabość na niego przyszła, że w głowie wszystko mącić się poczęło.

— Trza tu zczeznąć będzie — pomyślał. I lęk go straszny przeszedł. Wspomniał na żonę, na dzieciska drobne i na tę nędzę w chałupie — i aż mu łzy od żałości z oczu trysnęły.

Cieślą był — a zdatnym i wziętym. Zarobek zawsze był. Ale cóż, kiedy z kompanami wszystko przepił, że w domu i na tę kruszynę soli do jałowego ziemniaka brakło; a zgłodniałe dzieciska półnago chodziły. Zapracowane kobiecisko na tej mordze piachu samo nic uradzić nie mogło. Nędza wszystkich żarła, a on pił na umór, bez upamiętania! A kiedy z pijatyki do domu wrócił, jeszcze tych biedaków przeklinał, prał, katował, że tego dobrego słowa od niego nie posłyszeli... A teraz będzie koniec wszystkiemu...

Jemu to zmarnieć trza będzie w tym rowie. A one sieroty same na świecie zostaną. A może im i lepiej bez niego będzie?...

Zbudziło się w nim sumienie.

— O Jezu, bądź miłościw mnie grzesznemu! — Wstrząsnął się cały, chciał unieść — nie mógł, aż pot kroplisty oblał mu czoło, taki był słaby.

— Niema już dla mnie ratunku — pomyślał, a w głowie coraz bardziej mu się mącić poczęło. — Trza tu zemrzeć będzie.

Myśl o śmierci znów go strachem przejęła. Sąd boski go czeka! A tu ani księdza, ani spowiedzi!

— O Jezu — miłosierdzia, miłosierdzia nademną!

Bezwiednie począł szeptać jakieś bezładne słowa pacierza.

Gorączka go obejmowała, a z nią widzenia jakieś straszne... Zdało mu się, że stoi na sądzie boskim. Pan Jezus go sądzi. Siedzi ten sędzia Przedwieczny na złocistym tronie wśród cherubinów i patrzy na niego, na Bartka. A ten wzrok Jezusów taki jakiś straszny, że Bartek strzymać go nie może. Sprawiedliwość Boża patrzy z tych oczu Jezusa!

A Toporka taki strach przejmuje, że i o miłosierdzie już do Jezusa skomleć nie śmie. — Zgubiony on, zgubiony na wieki, w okrutnem potępieniu. Niema już ratunku dla nie-

go! Marniał za życia, zmarnieje i w wieczności.

I rozpacz czarna wdarła mu się do duszy...

Ani się modlić już nie mógł. Bo jak się modlić, kiej słabość coraz większa go owłada i myśli mu mąci; a zresztą on się już modlić nie umie. W tej pijatyce to i pacierza prawie nigdy nie mawiał, a w kościele nie był dawno, dawno, że ani wspomnieć nie może kiedy. — Kiedyż to było? — wytęża uparcie myśli. — Zaraz — już sobie wspomina — rok temu, dziś prawie rok temu, jak był w kościele na św. Józefa. Tak, dziś też św. Józefa. A on na św. Józefa zawsze do kościoła chodził, bo czcił swojego św. Patrona-cieślę. W domu miał jego obraz, a przy robocie też nieraz do niego gorąco westchnął; na każdym stragarzu zaś, kiej dom jaki budował, zawsze misternie dłutem wyrzezał: »Rok Pański« i święte Imiona: »Jezus, Marya, Józef«. O św. Józefie pamiętał zawsze!

Z pośród zamętu myśli wyłoniła się przed oczyma jego duszy postać św. Józefa z toporem w ręku nad kłodą drzewa, takusieńka, jak w kościele, w ołtarzu. A ten św. Józef tak jakoś tkliwie na niego pogląda...

Bartek znów nagle oprzytomniał. Nadzieja wstąpiła mu w duszę.

Zebrał zmącone myśli i całą siłą ducha do tego świętego widzenia przywarł. Wspomniał o dobroci św. Patrona, przypomniał sobie z kazania, iż św. Józef jest patronem dobrej śmierci.

— Józefie Święty Patronie mój, ratuj! — prawie że w głos zakrzyknął Bartek w tej ostatniej już swojej godzinie, a tak rzewnie i z taką wiarą, jak nigdy dotąd w życiu.

I poczuł nagle jakąś ulgę w sumieniu. Łzy ciurkiem mu się z oczu puściły, a żal serdeczny za to marne życie przejął mu duszę, że jeno ciągle powtarzał: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, a naprzemian: Józefie św. ratuj, wstaw się za mną u Bożego Syna! — Ale coraz to słabnął i senność jakoś ogarniać go poczęła. Ostatnie słowa, które jeszcze stygnącemi usty wyszeptał, były: »Józefie święty – ratuj!«

— — — — — — — — —

Rano wyciągnęli ludzie z przykopy zesztywniałe już ciało Bartka Toporka, cieśli.

* * *

Wielka uroczystość poczynała się na niebieskim dworze. Przychodziło święto Jezusowego Opiekuna — Józefa. Świętemu Starcowi, iż to wielką godność Żywiciela Boga-Zbawcy na ziemi piastował, całe niebo składało hołdy. Nie bardzo rad był tym uroczystościom św. Józef, bo choć to królewski potomek, ale prostym cieślą był przecie na ziemi i w ubóstwie, a ciągłej poniewierce dni swoje spędził i do takich obrządków i wspaniałości, jakie bywają na Jezusowym dworze nie nawykł.

Jutrzenka, gwiazda Maryi już blaskiem swoim różaną drogę ku ziemi ścieliła, trzeba się było do uroczystości gotować. Markotno jakoś było św. Staruszkowi, ale boskie rozkazanie, to starać się trzeba.

Już się zbierał św. Józef na te niebiańskie obrzędy, gdy z nagła głos go z ziemi dolatuje: »Józefie św. ratuj!« Pogląda św. Józef po złotym promyku jutrzenki ku ziemi, patrzy, aż tu Bartek Toporek ostatnim już tchem tak błagalnie jęczy:

— Józefie, Patronie dobrej śmierci, ratuj!« — Wzruszyły świętego Staruszka te Bartkowe błagania i w te tropy dla niego po ratunek do Jezusa bieży.

Wiedział Jezus, Bóg wszystkowiedzący, poco Józef do Niego przyszedł. I chociaż Józefa-Opiekuna swego, jakby ten syn miłujący zawsze miłośnie przyjmował, surowo jakoś teraz spojrzał i z majestatem na boskiem obliczu wyrzekł:

— Dla owego człowieka już niemasz ratunku! Przebrała się miara jego grzechów; ustało dlań moje Miłosierdzie, a jest tylko Sprawiedliwość!«

Strapił się tem powiedzeniem Pana Jezusa święty Starzec. Ile razy dotąd z orędziem, choćby za tym ostatnim zbrodniarzem przyszedł, zawsze Go Jezus wysłuchał. A teraz — oto nic wskórać nie może.

A przecież sam Jezus Patronem dobrej śmierci Go postanowił!

Ale to patronowanie szło z boskiego Miłosierdzia, a dla Bartka Toporka ostała się jeno Sprawiedliwość.

Zadumał się Święty Starzec. Jakże? Któż tych biedaków na ziemi teraz poratuje? Z taką ufnością dotąd do Niego się garnęli, bo u Jezusa zawsze im łaskę wyjednał. A teraz co? Odwrócą się od Niego i w rozpaczy marnieć będą. Temu oto Toporkowi trzaby łaski, a rychło, bo już tą ostatnią parę tam w przykopie zipie, Jezus zaś dla niego nieprzejednany.

— Ha, to nie mam ja już co tu na niebieskim dworze robić — rzecze wreszcie św. Józef. — Wrócę ja się na ziemię, tam może prędzej co biednym ludziskom pomogę.

A Pan Jezus słuchał w powadze i majestacie — milczący. Wydał wyrok sprawiedliwy.

Skłonił się uniżenie św. Józef i ku mlecznej drodze, co na ziemskie padoły prowadzi zawrócił. Ledwie parę kroków postąpił, patrzy, aż tu gwiaździstym szlakiem ku Jezusowym przybytkom podąża Najświętsza Panienka, a za nią wszystkie chóry anielskie, Patryarchowie i Prorocy, Apostołowie, Męczennicy z palmami w ręku. Rozmodleni wyznawcy, Grono świętych Dziewic z liliami, wszyscy Niebianie zdążali na Józefową uroczystość.

Jakoż będzie?

Przystąpił Józef święty do Najświętszej Panienki i rzecze:

— Na nic tu już w niebie moje orędownictwo — na ziemię wracam. Tyś mi za małżonkę poślubiona Maryo, przeto pójdź ze mną!

Wspomniała Najświętsza Panienka swe śluby.

— Pójdę z Tobą — odrzekła. — A zwróciwszy się do orszaku Niebian, Panienka Marya powiedziała:

— Jestem Królową Aniołów, Królową Patryarchów i Proroków, Królową Apostołów, Królową Męczenników i Wyznawców, Królową Dziewic — Królową wszystkich Świętych — przeto — Wy, Chóry anielskie i Wszyscy Święci pójdźcie za swoją Królową na ziemską tułaczkę! — I cały ten orszak niebieski zawrócił po gwieździstej drodze ku ziemskim szlakom. A Pan Jezus stał i patrzał... A gdy widział, iż wszyscy za Józefem i Maryą poszli — a niebo się próżne ostało — zawołał:

— Wróć się Józefie — już Twemu orędziu uczynię zadość! Przebaczę winy owemu człowiekowi!

Nawrócił święty orszak ku Jezusowym przybytkom — a kiedy święty Józef do przenajświętszej ręki Pańskiej w podzięce się skłonił — dusza Bartka Toporka przyszła z Aniołem Stróżem przed Boży Majestat, na sąd.

Darował jej Jezus w nieskończonem miłosierdziu Swojem winy — i było z tego w niebie wesele wielkie na Józefowe święto!

Takimci mocnym Orędownikiem u tronu Boga jest święty Józef.

Ks. Władysław Staich.



Najświętsza Rodzina.



Jezus, Marya, Józef święty, to potęga niezwalczona! Niech ich błaga smutkiem tknięty i ten, który w bolach kona! — Oni dadzą pociech wiele, boć są nasi Przyjaciele.



Męczeństwo wsi polskiej.

(Niedźwiedzica na Litwie).

Znany jest ucisk kościoła katolickiego w Rosyi, znane prześladowania jakie wierni znosić musieli, a poniekąd i teraz jeszcze muszą. Kto nie pamięta sławnej sprawy Krożańskiej! Włościanie polscy ze wsi Kroże zostali skatowani nahajami kozackiemi, postrzelani przez kule karabinowe, za to, że otoczyli tłumnie kościół w swej wsi i niechcieli pozwolić, aby przemieniono go na cerkiew schizmatycką. Sprawa ta była głośną w całej Europie, a włościanie krożańscy uznani za bohaterów, cierpiących męczeństwo za Wiarę Świętą i Ojczyznę polską. Mało kto wie jednak o drugiej takiej wsi, która wycierpiała nie mniej, a szczęśliwszą była tylko tyle, że cierpiała nie nadaremnie! Historyę tej wsi chcemy tu opowiedzieć.

*

Niedźwiedzica, duża wieś z urzędem gminnym*), leży w gubernii mińskiej a powiecie słuckim. Parafialny kościół niedźwiedzki, spalony w czasie najazdów tatarskich, odbudowany został staraniem księcia Radziwiłła, biskupa wileńskiego w r. 1654 pod wezwaniem św. Piotra i Pawła. Akt konsekracyi ołtarza, dokonany przez biskupa Macieja Aneutę, odbył się w r. 1714. Drewniany, skromny, typowo wiejski kościółek z bocianiem gniazdem na słomianej strzesze, dziś już nie istnieje. Rozebrano go w sierpniu 1906 r., aby na temże miejscu postawić nowy. Pozostała tylko stara plebania, ocieniona lipą olbrzymką. Parafia niedźwiecka liczyła kilka tysięcy dusz. Prawie wszyscy parafianie są Polakami, potomkami włościan, którzy osiedli tu za króla Jana Olbrachta.

Dzieje 40-letniego męczeństwa parafii niedźwiedzickiej rozpoczynają się właściwie od r. 1866. Były to straszne w historyi i w pamięci ludzkiej lata po powstaniu roku 1863, kiedy nad krajem zawisła śmiertelna rozpaczna cisza... Jedynym znakiem życia była silna praca rządu nad zmoskaleniem ludności polskiej.

Dwojaka ku temu wiodła droga: wprowadzenie do kościołów języka rosyjskiego i nawracanie na prawosławie. Nawracanie powierzono miejscowej władzy, policyi i popom. Awanse, nagrody, były zachętą w tej robocie. To też robota szła gorliwie.

Parafie katolickie w Stwołowiczach, Swojatyczach, Snowiu, Mirze, Bobowni, Hrozowie, Zamościu i t. d. i t. d. zniesiono, księży wywieziono, kościoły zamieniono na cerkwie. Kiedy najbliższe kościoły w Krzy-

*) Na Litwie, podobnie jak w Królestwie, gmina jest zbiorową, to jest składa się z kilku wsi.

woszynie i Lachowiczach zabrano, a ludność strasznymi sposobami nawracano, Niedźwiedzica pozostała wśród tego spustoszenia, nieruszona. Zostawiono ją na ostatek w przekonaniu, że łatwa z nią będzie sprawa.

Tymczasem parafianie z Niedźwiedzicy wsłuchiwali się trwożnie w hiobowe wieści, oburzali się na podstęp w zabraniu Lachowickiej świątyni, płakali razem z nieszczęśliwymi Lachowiczanami, którzy swój ból i łzy nieśli do niedźwiedzickiego kościoła — i oczekiwali swej kolei. Oczekiwanie nie trwało długo.

Na widowni zjawia się Maciej Żabik, pośredni sprawca wszystkich następnych bied Niedźwiedzicy. Ciemna figura, z pisarza dworskiego awansowany na pisarza niedźwiedzickiej gminy w nagrodę za zdradę wiary, zażarty jak wszyscy odstępcy, przebiegły, śledzący bacznie ruch wśród ludności, wraz z naczelnikiem powiatu, Rosyaninem Masłowem, wziął w swe ręce sprawę nawrócenia parafii niedźwiedzickiej.

W początkach roku 1866, Masłow zwołać kazał zebranie gminne. W sposób łagodny począł przemawiać do zebranych, działając naprzód perswazyą.

— Oto, bracia, Krzywoszyn i Lachowicze przyjęły już prawosławie, przyjmcie i wy. Będziecie lepszymi ludźmi, dostąpicie łask u rządu. Namyślcie się. Ja tu znów przyjdę i wszystko urządzę, ułatwię! — Jak ty myślisz, starszyna?

— Cóż ja jeden mam myśleć — odpowiedział wymijająco zagadnięty Antoni Kolesiński.

— Jakże? Ty przecież wójt. Pomyśl dobrze.

W systemie postępowania rosyjskich działaczy leżało zawsze, jako zasada, żeby pozyskać wprzód jednostki najbardziej wpływowe i znaczące. Do takich należał Antoni Kolesiński, ale wiedziano zarazem doskonale, że go skusić niczem nie będzie można. To też Masłow pospieszył go usunąć, a na stanowisko wójta naznaczył schizmatyka Mikołaja Jurucia. Zjechała wówczas cała komisya, złożona ze sprawnika Masłowa, żandarmów, komisarzy i Żabika, i poraz drugi wezwano wszystkie wsie katolickie do gminy. Zebranym kazano wybrać z pomiędzy siebie dwóch przedstawicieli dla porozumienia się z komisyą. Wybrano tegoż Kolesińskiego i Józefa Kancelarzyka. Gdy delegaci stanęli przed komisyą, usłyszeli znów te same namowy.

— Cóż? Jużeście się naradzili?

— Myśmy się naradzili tak: — odpowiedział z powagą Antoni Kolesiński — ciało nasze możecie wziąć, ale duszy swej w łapy wasze nie damy!

Zbici z tropu tą odpowiedzią, uważali dalsze narady za zbyteczne i rozpuścili zebranych.

Rozpoczęły się odtąd szykany i prześladowania. Dwa i trzy razy tygodniowo wzywano ludzi do gminy. Zabierano dziennie po kilka furmanek dla pisarzy, komisarza innych urzędników. Nakładano ciężary innym gminom należące, jak naprawa dróg i mostów. Żandarmi i policya snuli się nieustannie. Usiłowano wziąć podstępem. Tak np.: siedm osób wybranych z kilku wsi zapędzono do Siniawki i tam dla jakiejś nieznanej im sprawy kazano przysięgać u popa. Oczywiście ludzie domyślili się zdrady i nie przysięgli. Za odmowę zamknięto ich do aresztu i oddano pod sąd. Sędzia w Klecku skazał ich na zapłacenie po 10 rubli kary za nieposłuszeństwo!

Wobec bezskuteczności tych usiłowań, Żabik wraz z Masłowem obmyśla wreszcie i wykonywa iście piekielny plan. Najprzód pod pozorem rewizyi spisku mieszkańców objeżdża wioski i spisuje. Potem wzywa nie umiejących po rosyjsku wójtów ze wsi Mazurki, Palminowicza, Ruzinowicza, Kurszynowicza i Horodyszcza wójt z Łopatycz i Nie-

dźwiedzicy i każe im niby potwierdzić owe spisy przyłożeniem swoich pieczęci. Mniemany spis spisywany po rosyjsku był prośbą parafian o przyjęcie na łono prawosławia!!

Gdy dowiedziano się o podstępie — było już zapóźno. Niedźwiedzicka parafia urzędownie została uznaną jako »prawosławna«, proboszcza ks. Łazarewicza, wywieziono do Słucka, a sąsiednich księży przez konsystorz zawiadomiono, że pod groźbą wielkiej odpowiedzialności niewolno im przyjmować Niedźwiedziczan do kościołów i sakramentów. Masłow otrzymał order, a Żabik pieniężne wynagrodzenie.

* * *

Odtąd rozpoczyna się walka bezwzględna, okrutna... Niedźwiedziczanie postanowili nie poddać się przemocy i postanowili bronić się do ostatniej kropli krwi, we wspólnej, ciężkiej niedoli. Pomimo urzędowego zaliczenia ich do prawosławnych, pozostali katolikami — ale Moskalom chodziło jeszcze o zrobienie z nich prawdziwych schizmatyków. I znów zwrócono się do znaczniejszych, Kancelarzyka i Kolesińskiego, ale teraz już nie z namową, lecz z użyciem gwałtu. Kolesińskiego Antoniego za opór zaaresztowano i odesłano do Cimkowicz, aby go pop nawrócił. Pop zamknął go do piwnicy i siedm dni trwało takie nawracanie; za opór nie dano mu jeść. W tym czasie przybył archirej*) z wizytacyą parafii. Zasłyszawszy o uwięzionym, kazał go przed siebie stawić. Wyczerpany i wygłodzony Kolesiński ledwo się trzymał na nogach. Widok jego wzbudził litość w archireju.

— Zamknęliście go — rzekł — to zamknęli, ale pocóż go głodzicie? Czy chcesz przyjąć świętą wiarę prawosławną?

— Nie! — brzmiała stanowcza odpowiedź.

— No, to ruszaj precz!

Z Horodyszczem, Kaleniem i Jurzdyką gorzej postąpiono. Gdy namawianie nie pomogło, z wiosek tych wybrano 50 osób i odstawiono je do gminy w Potapowiczach. Sprowadzono liczny zastęp policyi i kozaków, dla strzeżenia przybyłych, zamkniętych w chlewie. Kilkakrotnie w ciągu dnia stawiano ich przed komisyą złożoną z popów, urzędników, żandarmów i policyi. Po dwóch dniach daremnych namów i obietnic, chwycono się sposobu nawracania — batogami. Żołnierze smagali bez miłosierdzia; za każde odezwanie się policzkowano. Egzekucya ta trwała dni pięć — bez rezultatu. Wówczas chwycono się środków dalszych. Zagnano do Podlesia pod cerkiew, bijąc nahajkami, popychając i waląc pięścią w plecy. Lecz prześladowani za nic wejść do cerkwi nie chcieli. Szewc Józef Anikiej bity nahajkami upadł na ziemię, wówczas chwycono go za nogi i w ten sposób wciągnięto do cerkwi. Od strasznego bicia skórę zdarto Piotrowi Andrusewiczowi. Ostatecznie wtłoczono wszystkich do cerkwi. Odbyły się modlitwy schizmatyckie i ceremonia przyjmowania na łono prawosławia. Ludzie wyrywali się, płacząc i łkając, ale dwóch żołnierzy brało kolejno każdego pod ręce i przytrzymywało, podczas gdy trzeci ciągnął w tył za włosy. Po odbyciu tej misyi piekielnej uznano ich wszystkich jako rzeczywistych »prawosławnych« i odprawiono do domu.

Nieszczęśliwi postanowili jednomyślnie nie poddawać się gwałtowi i bronić się wedle możności. Trudno jednak było skarżyć się lub szukać sprawiedliwości. Parafianie niedźwiedziccy byli tak strzeżeni i szpiegowani, że żaden z nich nie mógł napisać prośby do wyższej władzy, ani wyjechać. Śledzono ich nawet wówczas, gdy przyjeżdżali na targ do

*) Biskup schizmatycki.

Lachowicz; każdy też lękał się do nich zbliżyć, aby policyi nie ściągnąć na siebie.

Ostatecznie, Stefan Kolesiński, jeden z bohaterów tej sprawy, który życie za nią położył, postanowił ułożyć i wysłać protest przeciwko gwałtom i bezprawiom, jakie ich spotkały; opowiedzieć podstęp Żabika, pastwienie się i barbarzyństwa w Sotapowiczach, w Podlesiu — oraz stanowczo oświadczyć, że są i pozostaną wierni swej wierze ojczystej, katolickiej. Gdy zebrał ich podpisy i wrócił do domu z gotowym dokumentem, zadenuncyował go Adam Tumaszyk z Horodyszcza, pijak i odstępca. Żabik i komisarze, pospieszyli zrewidować cały dom Kolesińskiego. Znaleźli tylko skrzynkę, której w żaden sposób otworzyć nie mogli — i zabrali ją do gminy. Zbiegł się wnet tłum wielki, a Kolesiński każdemu szepnął:

— Ratujcie skrzynkę z dokumentami. Dostanie się nam wszystkim, jeśli im w ręce wpadną!

Skrzynka stała w kancelaryi gminy na stole. Porwali ją i podawali sobie z rąk do rąk. Wójt rosyjski rzucił się w pogoń, odebrał ją i upadł na nią, kryjąc ją w ten sposób. A wówczas Michał Zaguń, wielki siłacz, podniósł starszynę za pas, porwał skrzynkę i uciekł z nią do lasu.

Udało się na razie, ale sprawa ta miała jak najsmutniejsze skutki. Rozzłoszczeni urzędnicy udali się natychmiast do Nieświeża do Masłowa. Ukazali się mu w ubraniach umyślnie porwanych i rozdartych i przedstawili się, jako ofiary gwałtu, napadu i zniewag. Masłow co prędzej udał się do gubernatora — i w rezultacie do Niedźwiedzicy przysłano secinę konnych kozaków.

* * *

Nastały dnie straszne — które opisać trudno. Kozakom dano zupełną swobodę, kazano zaopatrywać siebie i konie w rzeczy potrzebne u miejscowych włościan. Brali więc według swego uznania bydło, owce, świnie, owies, siano, chleb. Za najmniejsze słowo protestu spadały nahajki. We dwa tygodnie ogłodzono wieś. Skarżyć się nie można było, a oficer kozacki chodząc po wsi, mówił: »Hulajcie bratcy! Sami o sobie myślcie«! To też hulali. Bili, aby im dawano wódkę, bili po upiciu się tego, co ich częstował. Godność ludzka, cześć niewiast poniewieraną była bezustannie. Trzeba było koniecznie myśleć o jakimś ratunku, a naradzić się nie było sposobu, bo pilnowano i szpiegowano. Dzielny Stefan Kolesiński usiłował wydostać się z tego oblężenia. Gdy tylko spostrzeżono, że wybiera się w drogę, aresztowano go i trzymano w gminie pod strażą.

Kolesiński jednak nie tracił ducha i czekał tylko sposobności do ucieczki. Pewnego razu, gdy straż się zagawędziła, rzucił się do drzwi. Wybiegł na ulicę i zaraz zwrócił się w stronę lasu. — Po drodze miał rzekę. Przebył ją wpław i dotarł do lasu, gdzie już bezpieczny był na razie. Przeprawę tę miał jednak później życiem przypłacić. Schronił się u łowczego Polaka, Maksymowicza, który go zawiózł w wozie ukrytego pod słomą do Kamionki, do dzierżawcy Kopylińskiego. Stamtąd pomogli mu dostać się na stacyę do Wilna. W Wilnie Kolesiński udał się do jenerał-gubernatora, przedstawił mu niedolę swoich, pastwienie się kozaków i bezprawia urzędników. Kozaków cofnięto, ale w parę tygodni aresztowano: Stefana, Antoniego, Piotra i Ignacego Kolesińskich, Józefa Kancelarczyka i Jerzego Chodora i odstawiono do więzienia słuckiego. Żona Kancelarczyka z dzieckiem na ręku towarzyszyła mu dobrowolnie.

W więzieniu przebyli rok cały. Siedzieli wszyscy w jednej celi, spędzając czas na wspólnej modlitwie

i śpiewaniu pieśni nabożnych. Lecz i tam ich ścigała gorliwie zawziętość schizmatycka. W więzieniu odebrano im książki i zmuszano do uczęszczania na nabożeństwo w cerkwi więziennej. Pop i sprawnik przychodzili do nich z namowami. Obiecywano im wolność, gdy ulegną. Odpowiadali niezmiennie:

— Naznaczcie nam jakie chcecie kary, ale dajcie swobodę modlenia się, jak chcemy.

Stefan Kolesiński, który od czasu swej ucieczki i przeprawy przez rzekę, wciąż był chory, począł gasnąć. Pozwolono umierającemu przenieść się do prywatnego mieszkania dziedziczki pani Jagiełłowej, gdzie umarł. Przybył z Niedźwiedzicy Jan Kancelarczyk i począł prosić sprawnika*) Łabuńcowa, aby pozwolił ks. Łazarewiczowi, dawnemu proboszczowi, wywiezionemu do Słucka, pochować Stefana.

— Niewolno aresztantowi grzebać aresztanta — była odpowiedź.

Zaledwie pozwolono Antoniemu Kolesińskiemu, dawnemu wójtowi a ojcu Stefana, opuścić więzienie, aby mógł być na pogrzebie syna. Przyprowadzono go pod silną strażą na cmentarz, ale w chwili, gdy ceremonia była już ukończoną. Nieszczęśliwemu ojcu pozwolono chwilę tylko pomodlić się na świeżej mogile — i wnet go odprowadzono do więzienia.

* * *

W Niedźwiedzicy tymczasem nie ustawała praca. Przyjeżdżał sprawnik z żandarmami, przyjeżdżał pop z Hołdowicz, wzywano go do gminy raz po raz, skłaniając do uległości. Wójtem wówczas był Karol Andonsewicz, który w imieniu wszystkich odpowiedział:

— Ciało wasze, ale dusza mója.

Chciano go siec rózgami, ale zaniechano ze względu na jego wiek

*) Naczelnik powiatu.

podeszły. Pawła Kiełbasę obito rózgami do krwi.

Ostatecznie parafian niedźwiedzickich zaliczono urzędownie do »opornych« i rozpoczęło się dla nich męczeńskie życie cichej walki, ukrywania się z najświętszemi obowiązkami religijnemi, co trwało aż do wydania kwietniowego manifestu w roku 1905. Dla chrztów i ślubów udawali się zrazu do Nieświeża do klasztoru Benedyktynek, dopóki istniał, i tam kapelan w wielkiej tajemnicy udzielał Sakramentu, ale żadnej metryki, gdyż za to wywiezionoby go na Sybir. To też policya pospieszyła rozpędzać nowo zaślubione pary, dopytując się o to, kto ślub dawał i gdzie metryka ślubna. — Odpowiedziano:

— Połączyli nas rodzice nasi.

Dzieci nie chrzczono po 10 lat, a metryk prawnych nikt z młodszych nie posiadał. Do wojska więc brano*) wszystkich, nawet jedynaków. W wojsku chrzczono gwałtem na prawosławie, wciągano przemocą do cerkwi dla złożenia przysięgi. Do spowiedzi nie chodzono po lat kilka i kilkanaście. Groziło to zbyt wielkiem niebezpieczeństwem. Za pogrzeby bez obecności popa wzywano na sąd, kazano płacić kary.

Przy takim trybie życia wyrabiała się w ludności zaciętość, a jednocześnie nieufność względem każdego obcego, jak zwykle u prześladowanych. Braterstwo w tej spólnej doli było za to bezprzykładne. Wystarczyło słowo, znak dany, aby znieść wszystko i dążyć z pomocą towarzyszom. Wszyscy za jednego a jeden za wszystkich stawali w tej walce. Wyrabiał się hart, duch poświęcenia.

Ludzi tych prześladowcy moskiewcy wyrobili na bohaterów.

Oto kilka przykładów:

Żabik, pop z Hołodowicz i żandarmi, wzywają pewnego dnia do gminy rodziców, którzy mieli dzieci nie chrzczone.

*) W Rosyi jedynacy wolni są od wojska.

— Trzeba, żebyście dzieci pochrzcili, to grzech trzymać je bez chrztu tak długo.

— I owszem, ochrzcimy je natychmiast, dajcie nam tylko księdza..

Więc znów opór zuchwały! Nie wiele myśląc, zamykają ojców w kozie, a matkom, odebrawszy dzieci i wypchnąwszy je za drzwi, zabierają się do ceremonii chrztu przymusowego. Kobiety wybiegły na ulicę z krzykiem:

— Ratujcie! ratujcie! Pop i żandary dzieci nam porżną!...

Uderzono na alarm — kto żył, leciał do gminy. Zebrał się tłum, a postawa jego była tak groźną, że Moskale zaniechali gwałtu nad dziećmi, a zadowolnili się tylko obiciem rózgami ojców najbardziej opornych, Stefana Piszcza i Michała Maksimczyka.



Włościanie-męczennicy z Niedźwiedzicy.

Najtrudniej było obronić się od obecności popa przy pogrzebach. I tak: Umiera w Niedźwiedzicy po kilkodniowej chorobie Michał Romanowicz. Pod pretekstem, że śmierć była nagłą, każą konduktowi pogrzebowemu wrócić z cmentarza do chaty i oczekiwać na przybycie lekarza dla krajania zwłok. Gdy tak oczekują, Jan Kancelarczyk dowiaduje się, że zjechał do gminy pop żołdowicki, i że odbywa się tam narada, w jaki sposób postąpić, aby pochować zmarłego z udziałem popa. Kancelarczyk biegnie do chaty Romanowicza:

— Wieźcie co prędzej i pochowajcie, bo pop idzie chować.

Zaprzęgają konia i wiozą zwłoki na cmentarz. Złożyli w mogile i już zasypują, gdy ukazuje się pop, który, biegnąc, woła zdaleka:

— Poczekajcie, poczekajcie, trzeba jeszcze modlitwy odmówić i poświęcić!...

Na to staruszek Kazimierz Kancelarczyk podniósł w górę łopatę i powiada z rosyjska:

— Chadzi, chadzi, ja ciabie poswiaczu!

— Co ty stary, co ty stary!.. bić będziesz?

— Podojdzi tolko, a nikoho już chować nie budziesz!...

I pop odjechał.

W Rusinowicach umarła kobieta wskutek strasznego wypadku: spaliła się w suszarni lnu. Zjechały władze, odbyły się oględziny zmarłej i ostatecznie kazano ją pochować popowi. Tenże sam pop hołodowicki zjawił się na cmentarzu. Rozpoczęły się pertraktacye:

— Dajcie mi pochować umarłą.

— Sami ją pochowamy.

— Będziecie za to odpowiadali sądownie.

— Być może, ale proszę sobie odjeżdżać.

Gdy tak rozprawiają, naraz zjawia się gromada kobiet uzbrojonych w kije i widły i otacza popa. Ten

groźny zastęp tak go przestraszył, że jął tylko prosić, aby go wypuszczono. Siadł na wóz i odjechał co prędzej. Nie pokazał się odtąd w Rusinowiczach.

Za tajne pogrzeby wielu, nieskończenie wielu płaciło kary pieniężne i wielu stawało przed sądem.

Tak upłynęło lat 20. Całe pokolenie zahartowało się w cichej uporczywej walce. Natężenie jej miało wzrosnąć, miał jeszcze paść cios największy... Pociechą największą w ciągu tych ciężkich lat 20 był kościół i możność uczęszczania choć ukradkiem na Msze św. i nabożeństwa. Prócz opornych, parafia liczyła parę tysięcy katolików urzędownie uznanych. Gdy po wywiezieniu ks. Łazarewicza przez lat dwa nie było księży przy kościele niedźwiedzickim, parafianie ci poczęli podawać prośby o naznaczenie proboszcza, zwracając się do władzy duchownej i świeckiej. Wskutek tych próśb kolejno naznaczani byli proboszczowie: Dąbrowski, Sydorowicz, Bohdziewicz, Czajkowski, wreszcie w r. 1884, przybył ks. Leon Bulwin, który w historyi Niedźwiedzicy odegrał smutną rolę.

Łatwo zrozumieć, jak ważnym w takich wyjątkowych warunkach był wybór kapłana dla nieszczęśliwej parafii. Ks. Bulwin, młody, bo około lat 35 liczący, popędliwy należał, do liczby księży, strasznie bojących się rządu. Mało takich było słabych kapłanów na Litwie, ale byli. Wszędzie, muszą się znaleść ludzie małego ducha i grzeszni.

Ks. Bulwin nieustanne miał zatargi z parafianami. To przyspieszyło smutny koniec. — Złożył bowiem raport gubernatorowi, że parafia mała, że niema z czego żyć, że wobec kościołów w Klecku i Darewie, niedźwiedzicki jest niepotrzebny. Raport ten był pozorem do pozyskania carskiego rozkazu o zabraniu kościoła i oddaniu go prawosławnemu duchowieństwu na cerkiew. Działo się to w sierpniu roku 1886.

Parafianie nie wiedzieli o niczem. Pewnego dnia pisarz Mikołajewicz i uriadnik Juszkiewic wręczyli wójtowi Józefowi Kancelarczykowi pakiet z napisem na kopercie: »Byłemu proboszczowi kościoła niedźwiedzickiego«...

— Idź, zanieś i przyjdź nam powtórzyć to, co ksiądz powie.

Te słowa pełne urągliwego tryumfu i napis na kopercie, wzbudziły odrazu pewność, że gotuje się nowy cios. Uderzono w dzwony na alarm, zaczęto się naradzać trwożnie... Wszyscy pamiętali o podstępnym zebraniu kościoła w Lachowiczach. Wreszcie dnia 8 września, na uroczystość Narodzenia Najświętszej Panny, uderzył grom. Po nieszporach ks. Bulwin, ulegając namowom swoich zaufanych, wszedł na ambonę i oznajmił zebranym:

— Dziateczki, po raz ostatni modlimy się w tym kościele. Odtąd zamknięty będzie.

W kościele zerwała się burza strasznego łkania. Ksiądz zaintonował »Anioł Pański«, które przerywały płacz i szlochania i opuścił kościół.

Lud nie rozchodził się jednak. Tłumnie stał na cmentarzu. Namyślano się. O poddaniu nie było mowy. Przeciwnie, rosło i z każdą chwilą potężniało postanowienie bronienia kościoła. Zagrzewali do tego obecni Lachowiczanie, którzy dotąd pocieszyć się nie mogli po stracie swego kościoła. Rosło też wzburzenie, odgrażano się i księdzu i wszystkim, którzy przyczynili się do obecnego stanu rzeczy. O mało nie doszło do scen krwawych. W godzinę po nieszporach, ksiądz przysłał swego pisarza, którym był żyd, Icko Zając, dla zabrania z kościoła niektórych rzeczy i przeniesienia ich na plebanię. Żyd wdrapał się na ołtarz i zaczął zdejmować świece.

Na widok tego, lud oburzony rzucił się na żyda. Odebrano mu rze-

czy kościelne i poturbowanego srodze wypędzono z kościoła. Wówczas organista, Karol Handyr, zamknął kościół i wyszedł na cmentarz. W tej chwili otoczyły go kobiety, rzuciły o ziemię i odebrały mu klucze. Odtąd przez lat 19 kościół miał być zamknięty, a klucze zaginęły w sposób tajemniczy, że nie mogli dojść, co z niemi zrobiono, gdzie przez kogo schowane, choć krążyły o tem różne legendy.

Cały ten dzień czuwano przy kościele w dalszym ciągu. Ludność niedźwiedzicka chętnie żywiła przybyszów z Lachowicz i innych sąsiednich wiosek. Trwali razem, jedną myślą ożywieni. O powrocie do domu nie myślał nikt. Klucze tymczasem pochwycone przez Ewę Rewiako, oddane były do schowania Janowi Hrybowi, który je ukrył pod podłogą w spichrzu. Ksiądz był w wielkim kłopocie. Zamierzał tego dnia z rana spożyć Hostyę, pozostawioną na ołtarzu i następnie oddać kościół komisyi rządowej, która w tym celu zjechać miała. Niespodziewane zamknięcie kościoła udaremniło te plany i Najświętszy Sakrament pozostać miał w ołtarzu nietknięty — aż do otwarcia kościoła w roku 1905.

* * *

Dnia owego oczekiwana komisya ze Słucka nie przybyła. Przybyła aż we wrześniu złożona ze sprawnika Łabuńcowa, z asesora, 6 policyantów, tyluż żandarmów. Przy bramie stał stary Buszejko, dawny organista lachowicki, który wołać począł:

— Ludzie ratujcie! Kobiety, nie dajcie się tym krukom! Bierzcie koły!...

Dwóch żandarmów dopadło do niego i poczęli go razem bić nahajkami, dopóki nie upadł.

Tłum zwrócił się w stronę przybyłych. Sprawnik rozpoczął pertraktacye.

— Oddajcie kościół dobrowolnie!

— Nigdy i za nic. — Raczej umrzemy! — brzmiała niezłomna odpowiedź.

— Przecież rozkaz carski wyraźny. Jeśli go nie usłuchacie, to srogo was ukarzą.

— Nieprawda! My wszyscy cesarzowi wierni jesteśmy, więc cesarz krzywdzić nas nie może. To urzędnicy nas gubią.

Cały dzień komisya bezradnie krążyła około ogrodzenia kościelnego, nie śmiejąc wejść. Tłum kilkutysięczny zagradzał drogę. Stał przed kościołem milczący, ale gotowy na wszystko, niezłomny w swej woli. Przybyłych lęk zdjął; spisali tylko protokół, nazwiska kilkudziesięciu prowodyrów — i odjechali z niczem. Ks. Bulwin przez cały ten czas zachowywał się cicho: był bardzo przygnębiony, blady. I on odjechał, żegnany przekleństwami.

W kilka dni potem Jan Kancelarczyk, Kazimierz Chodor i Wincenty Hładki udali się do Mińska do gubernatora z prośbą, aby kościół wrócono i naznaczono nowego księdza.

— Ach! wy księdza chcecie? — A klucze gdzie?

— Nie wiemy! — brzmiała odpowiedź, niezmiennie dotąd powtarzana przez lat 20.

— Wy nie wiecie? — Kłamiecie! Ja wam pokażę! Ja was pozsyłam, ja wam pułk kozaków przyszlę, oni z wami pohulają! Wy poznacie, co to klucze zabierać! Żeby zaraz były! — rozumiecie!

— Nie wiemy, gdzie klucze. — Tylu było ludzi przy zamknięciu kościoła — zabrali!

Tak się zakończyła pierwsza prośba o zwrot kościoła.

Niebawem przyszedł rozkaz o skasowaniu parafii niedźwiedzickiej i przyłączeniu jej częścią do Klecka, częścią do Darewa. — Do Klecka parafianie mieli od 35 do 75 kilom.; do Darewa od 25 do 60. — Pomimo jednak tej odległości, pomimo dróg

złych i marnych koni, przez lat dwadzieścia widywano gromady Niedźwiedziczan, wytrwale dążące do tych dwóch pozostałych kościołów.

W historyi Niedźwiedzicy zaczyna się okres nowy. O bezprzykładną stałość, z jaką ludność broniła swego kościoła, rozbijały się wszelkie zakusy, wszelkie usiłowania. Zjeżdżały władze, namawiały, groziły, aresztowały po kilka, kilkanaście osób — i zawsze odjeżdżały z niczem.

— Dziateczki — perswadował dziekan Wroczeński — Hostya psuje się w zamknięciu, grzech za to na nas spada; pozwólcie mi ją spożyć.

— Bądź ksiądz o nasze dusze spokojny! — odpowiedziała mu jedna z kobiet.

Władze przywiozły kiedyś z sobą księdza dziekana Kosińskiego z Nieświeża... w nadziei, że jemu lud zwierzy tajemnicę ukrywanych kluczy.

— To przecie wasza zwierzchność duchowna, winniście księdzu posłuszeństwo — wmawiała policya.

— Kab on byu dobry, toby z wami nie pryjechau — brzmiała odpowiedź!

Tymczasem ludność nie poprzestaje na biernym oporze. Rozpoczyna się okres starań, podawania próśb, to do władz gubernialnych, to do ministeryalnych, to do arcybiskupa, to do cara. — Wszędzie znali już Niedźwiedziczan i sprawa coraz nabierała rozgłosu. Oni tymczasem nie szczędzili kosztu ani starań. Jedna wieś Kurzynowicze wydała przez szereg tych ciężkich lat 1328 rs. Cała parafia poświęciła na te starania do 8000 rs. Pierwsza delegacya, wyprawiona do Petersburga z zebranemi 300 rs. na drogę, złożona była z Kolesińskiego, Tatarynowicza i Ludwika Sudnika. Przybycie do wielkiego nieznanego miasta tak oszołomiło biedaków, że nikogo nie widząc i nic nie zrobiwszy, po trzech tygodniach daremnego wałęsania się po ulicach, wrócili do domu. Nie zniechęciło to jednak Niedzwiedziczan, i co roku prawie wysyłali kogoś do Petersburga. Ci delegaci parafii ściągnęli na siebie prześladowania. Wyrokiem wydanym 1904 r., zostali skazani na więzienie w Słucku, a następnie na wysiedlenie 2-letnie z miejsca zamieszkania. Nowy minister spraw wewnętrznych, Światopełk-Mirskij, wyrok zniósł.

A zamknięty kościółek wciąż stał, zmieniając się zwolna w ruinę i kryjąc w ołtarzu Hostyę św.

Po 15 latach milczenia, pewnego wieczoru ozwały się dzwony. — Dzwoniły na wieczny odpoczynek stryjowi Jana Kiełbasy. — Zardzewiałe były, musieli je odczyszczać i smarować, lecz odezwały się, przejmując do głębi tym zapomnianym, niby z grobu płynącym głosem. Rzecz naturalna, zjawiła się zaraz policya, bito nahajkami, lecz nic to nie pomogło. Odtąd stara Serafina, postać charakterystyczna, jedyny dzwonnik w swym rodzaju, pilnowała tego, by rodzinne dzwony, żegnały każdego wiernego obrońcę, opuszczającego na zawsze bohaterski posterunek.

W roku 1900 wielka pociecha spłynęła na biedaków. — Przyjechał z kolei w przebraniu dzielny ksiądz*) znany misyonarz wśród ludności prześladowanej, odważnie niosący im pociechę religijną. Przez dwa dni w Rusinowiczach chrzcił, spowiadał, dawał śluby, poczem podążył dalej — a za nim płynęły błogosławieństwa ludu i — przyszła policya. Znowu katowanie, aresztowania.

W roku 1903 gubernator miński, Musin-Puszkin, postanowił wreszcie zakończyć sprawę. — Zjechały władze z marszałkiem szlachty rosyjskiej Łopuchinem, na czele — tym razem dla układów. Obiecywał, że jeśli

*) Nazwiska podawać nie można, by nie narażać zacnego kapłana na prześladowanie rządu rosyjskiego.

Niedźwiedziczanie oddadzą kościółek swój na cerkiew w myśl ukazu z r. 1886, dostaną za to pozwolenie na wybudowanie nowego, w innem miejscu. — Propozycya na razie mogła się wydać ponętną, stary drewniany kościół, przez tyle lat opuszczony — ledwo się trzymał. Ale ludność nie wierzyła już żadnym obietnicom — a waląca się świątynia posiadała cenę niezrównaną, cenę przelanych łez i krwi, poniesionych ofiar, stoczonych walk... Serca nierozerwalnie przyrosły do tych ścian, do tego miejsca, gdzie leżą ich dziadowie i pradziadowie, kościół stał się relikwią — i teraz go oddać za pustą obietnicę!?

Raz jeszcze w Niedźwiedzicy tłum kilkutysięczny objawił jednobrzmiącą wolę, raz jeszcze padło niezłomne:

— Nie damy!

I raz jeszcze ci silni, ci wszechmocni, musieli odjechać z niczem, pozostawiając po sobie prześladowanie. Dziesięciu parafian, zdradzonych przez komisarza Olszewskiego z Siniawki, który szpiegował w przebraniu żebraka, wysłano na Sybir.

* * *

Przyszedł nareszcie rok 1905, a z nim ukaz cara o tolerancyi. Z uciśnionych piersi zdjęto kamień grobowy, zabłysła zorza... W obliczu całego świata pozwolono Niedźwiedziczanom wyznawać swą wiarę. Zdawałoby się, że tu koniec całej historyi. Stajemy jednak dopiero wobec najboleśniejszej jej części.

Z ożywioną nadzieją słano nowe prośby do Petersburga. A czas był wielki na jakieś stanowcze postanowienie, bo waliły się ściany, dach przeciekał i kompletne zniszczenie groziło ołtarzowi i całemu wnętrzu. — Arcybiskup Szembek w czasie swego pobytu w Mińsku i Nieświeżu w czerwcu 1905 r. zapewnił deputacyę przybyłą z Niedźwiedzicy, że mówił sam z prezesem ministrów ks. Światopełk - Mirskim o zwróceniu sławnego już w Petersburgu kościoła i jest nadzieja rychłego i szczęśliwego zakończenia sprawy. Tymczasem ks. Szembek zmarł, porządny człowiek Światopełk-Mirskij ustąpił — a następca jego Bułygin osobiście odpowiedział przybyłemu do niego Chodorowi, że odpowiedź na prośby »w swoim czasie« nadeszlą do Niedźwiedzicy«. Odpowiedź zaś była bardzo niepomyślną, bo minister Bułygin zawiadomił, że nietylko prośby nie uwzględniono, ale nadal nie będą przedstawiane do cara.

Tymczasem nadchodziły jesienne słoty, grożąc zupełnem zniszczeniem świątyni. W ostatnich dniach sierpnia r. 1905 Niedźwiedziczanie wykonali czyn zuchwały, który miał przejąć zgrozą wszystkie władze gubernii, poczynając od najwyższych, i poruszyć siły zbrojne w obronie »naruszonego porządku«. — Oto ni mniej ni więcej... pokryli dach kościoła słomą i podparli ściany. Pracowano trzy dni i trzy noce — a praca była bezprzykładną, bo brało w niej udział literalnie wszystko, co żyło, zaczynając od starców, a kończąc na dzieciach.

Pod koniec trzeciego dnia zjawia się słucki sprawnik Stożków i komisarz Srokowski.

— Co wy robicie?...

— Kościół naprawiamy! — odpowiedziano raźno.

Stożkow zawrócił z miejsca i wraz z naczelnikiem ziemskim, Komornym udał się wprost do Mińska do gubernatora Kurłowa. Tam zdecydowano »dla uśmierzenia buntu« wysłać do Niedźwiedzicy... wojska aż dwie kompanie!

Odkomenderowano ze Słonima żołnierzy pod komendą kapitana Krawczenki i trzech innych oficerów. Nad nieszczęśliwą wioską zawisło krwawe widmo Kroż. Oto jak o przybyciu wojska opowiada naoczny świadek, wspomniany już parokrotnie Jan Kiełbasa.

Znajdował się właśnie na stacyi w Lachowiczach, gdy ujrzał przybyłe pociągiem i szykujące się do pochodu wojsko.

— Dokąd wy idziecie? — spytał żołnierza, zaciekawiony niezwykłym widokiem.

— Do Niedźwiedzicy.

— Po co?

— Bo tam bunt.

Jan Kiełbasa biegiem przez pola dopadł wsi, podczas gdy wojsko maszerowało drogą. Wieść z ust jego rozniosła się w jednej chwili. W Niedźwiedzicy podniósł się naraz wielki płacz, ten przejmujący płacz bezsilnych wobec ogólnego nieszczęścia...

Ale Bóg dał jakby cudowne natchnienie tym prostym ludziom. Gdy wojsko wkraczało do Niedźwiedzicy »uśmierzać bunt«, powitane zostało przez ludność chlebem i solą, oraz prośbą o wzięcie mieszkańców pod opiekę i obronę przed policyą...

Było to więcej, niż niespodzianką. Broń tedy złożono w kozły i rozlokowano się po chatach. Żołnierze szemrali, oficerowie nie wiedzieli, co robić. Zapewniono ich — i sami mogli się o tem przekonać, — że o »buncie« nie śniło się nikomu. Ludność modliła się spokojnie przed zamkniętemi drzwiami kościoła.

Ale nowa niespodzianka wzburzyła ludność. Dnia 8 września, 19 lat od ostatniej Mszy św. w Niedźwiedzicy, o godzinie 5 rano otoczył kościół wojskiem dokoła sprawnik Striker i opieczętował drzwi, oznajmiając zebranym, że sam, albo z pomocą popa wyniesie Najświętszy Sakrament i sprzęty kościelne.

Wśród tłumu, który już się zebrał pomimo wczesnej pory, zerwał się groźny pomruk, który rósł, jak grom... Ten nowy gwałt był już zbyt jaskrawy po świeżo wydanym manifeście tolerancyjnym cara, który ogłaszał nibyto wolność wszystkim wyznaniom. Jednomyślnie postanowiono dać się zagrzebać pod gruzami kościoła, krwią go swoją oblać, zginąć najokropniejszą śmiercią — ale nie oddać, ale nie oddać!...

I znów krwawa, ponura chmura zawisła nad Niedźwiedzicą... Lecz Opatrzność czuwała nad męczeńską wsią, bo oto raz jeszcze nieszczęście zażegnane zostało. Wśród zrozpaczonych i na wszystko gotowych, wśród drżących z gniewu i bólu, zjawili się dwaj ukochani kapłani, ks. Harisimowicz z Klecka i ks. Wańkowicz z Darewa. Lud uspokoił się odrazu. Jak się stało, że przybyli ci kapłani?

Gubernator miński Kurłow, wydawszy rozporządzenie na wysłanie wojska do Niedźwiedzicy, był jednak niespokojny. Wezwał dziekana mińskiego ks. Michalkiewicza i prosił, aby wpłynął, żeby nie było przelewu krwi w Niedźwiedzicy. W odpowiedzi ks. Michalkiewicz zaznaczył, że to mogą zrobić tylko miejscowi proboszczowie ks. Harasimowicz i Wańkowicz, których należy wezwać. Wskutek depeszy zjawili się obaj w Mińsku. Gubernator, chociaż był chory mocno i leżał w łóżku, jednak sam się chciał rozmówić z księżmi. Zarządzający kancelaryą gubernatorską, Zoryn, usiłował obwiniać parafian i ubocznie księży, ale wobec jasnych dowodów, jakie złożyli, zdawało się, że gubernator uspokoił się. tembardziej, że robót więcej nie prowadzą przy kościele i prowadzić nie będą. O wojsku już mowy nie było. Jednak przeczuciem wiedzeni obaj księża pośpieszyli do Niedźwiedzicy, gdzie znaleźli już wojsko i ludność przygnębioną.

Zażegnawszy szczęśliwie grożącą burzę i zawstydziwszy Strikera w obecności oficerów ostrem wytknięciem jego postępku i nakazawszy ludności jak najspokojniejsze zachowanie się, księża udali się znowu do Kurłowa, do Mińska. Ks. Harasimowicz przyjęty został dopiero na trzeci dzień i wskutek stanowczego żądania widzenia się z gubernatorem, a przyjęty zaś był nader nieprzyjaźnie. Kurłow ani chciał słyszeć o cofnię-

ciu wojska, ani nawet o oznaczeniu terminu w przybliżeniu. To też ks. Harasimowicz, złożywszy na piśmie sprawozdanie o zaszłych wypadkach, przekręcanych przez policyę, pojechał do Petersburga. Tam przez trzy tygodnie prowadził niezmordowanie zabiegi, udając się do wielu dygnitarzy.

Nastrój chwili był sprzyjający. Prasa rosyjska poczęła szeroko komentować zajście w Niedzwiedzicy. *Ruś* zamieściła artykuł p. t.: »Zupełnie zbyteczny dramat«; *Nowoje Wremia*: »Nierozumna gorliwość«; *Nasza Żiźń*: »Niechaj idzie w świat«. Wszystkie pisma petersburskie przedrukowały te artykuły, opinia stolicy była poruszoną; tak Kurłow, jak i Striker już, już mieli stracić posady.

Rezultat zabiegów ks. Harasimowicza był ten, że ostatecznie 28 października 1905 r. wydany został ukaz cara o otwarciu kościoła niedźwiedzickiego dla katolików...

Wojsko, które stało miesiąc, cofnięto. Tak więc energiczne starania ks. Harasimowicza dokonały nareszcie tego, co już się zdawało nieurzeczywistnionem marzeniem. I oto dla tego niezłomnego ludu, zahartowanego w ogniu prób różnych — przyszły dnie słoneczne szczęścia i tryumfu — błogosławione dnie nagrody...

Dnia 11 listopada przybył Striker dla zdjęcia samowolnie nałożonych pieczęci. Otoczył go tłum, w którego milczeniu było urąganie. Sprawnik już nie groził, przeciwnie, był skromny, trwożny; uspokajała go tylko obecność księży i obywateli.

— Macie prawo zdjąć pieczęcie — oznajmił, nadrabiając miną.

Nikt się nie poruszył.

— Sam je przykładałeś, sam je zdejm. Nie miały jeszcze czasu dobrze zaschnąć!...

Striker zerwał pieczęcie.

— Dajcie klucze, otworzymy!...

Tłum poruszył się i odpowiedział zwrotką, powtarzaną przez lat 19:

— Kluczy nie damy!

W obecności policyi nie chciano otwierać i teraz jeszcze! Wówczas urzędnicy usunęli się zupełnie z oczu tłumowi i ks. Harasimowicz sam przystąpił do otwarcia kościoła kluczem. Otwarły się wreszcie podwoje, strzeżone wiernemi sercami całego pokolenia...

Lud falą runął do wnętrza. Tracono zmysły ze szczęścia; całowano ławki, ściany, tulono się do filarów, biorąc je w ramiona. I znów zerwała się burza płaczu, ale płaczu błogosławionego... Dnia 20-go listopada, w niedzielę naznaczono pierwsze nabożeństwo. Dzień ten, najpiękniejszy, jaki oglądała bohaterska wioska, błysnął dziwnie pogodny i promienny, pomimo późnej jesieni. Kościół, dzwonnica, domy, ulice całe tonęły w zieleni świerkowych umajeń, jaśniały wesołą barwą biało-czerwonych chorągiewek. Kto mógł i czem mógł przyczyniał się do i upiększenia i uświetnienia uroczystości. Z Mińska przybył chór śpiewaków kościelnych w liczbie 21. — Zjechali się księża z okolicy bliższej i dalszej. Od 5-ej zrana spowiadano w kościele; Msze św. wychodziły jedna po drugiej. Tłum przybyłych zdaleka zalewał świątynię i plac przed kościołem. Sumę odprawiał ks. Harasimowicz. Na kazalnicę wstąpił ks. Wańkowicz. Mówił porywająco, w natchnieniu:

»Oto wszyscy obecni znajdują się na miejscu cudu! Bóg okazał widomie łaskę swoją. Hostya św. w ołtarzu z takiem poświęceniem broniona, została znaleziona tak świeża i nietknięta czasem, jak gdyby wczoraj konsekrowana, a nie przed laty dziewiętnastu«.

Płacz głośny tłumów zagłuszył dalsze słowa księdza. Najbardziej oporni i zahartowani płakali jak dzieci. Posypały się datki na kościół. Świątynia okazała się tak zniszczoną, że służyć dalej nie mogła. Ks. Harasimowicz z niemałym trudem wystarał się o pozwolenie zbudowania nowego

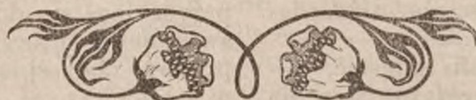
kościoła murowanego na temże samem uświęconem miejscu. Ostatnie nabożeństwo w sławnym kościółku odbyło się 15 sierpnia 1906.

Pomimo przywiązania i wdzięczności, jaką żywią Niedźwiedziczanie dla swego kapłana, raz jeszcze wróciła fala dawnej nieufności, gdy im zapowiedział, że trzeba przystąpić do rozbiórki kościoła. Żal ścisnął serce, nie wiedzieli, co myśleć... bo trudność w zatwierdzeniu planów znowu napełniła trwogą. Uspokoili się dopiero, gdy im ksiądz pokazał plany nowej pięknej świątyni.

*

Obecnie nabożeństwo odbywa się w prowizorycznej szopie. Pomimo całej ofiarności, niedźwiedzicka parafia jest ubogą, a raczej zubożałą wskutek takich cierpień. To też do całości potrzebnej sumy na budowę nowego kościoła daleko. Trzeba mieć nadzieję, że szerszy ogół polski pośpieszy z pomocą.

Ofiary na budowę kościoła niedźwiedzickiego przyjmuje ks. Harasimowicz, Kleck, gubernia mińska. Przyjmuje je także i zaraz wyszle na miejsce Redakcya »Roli«, Kraków, ul. św. Tomasza l. 32. Komu przy czytaniu dziejów tej wsi męczeńskiej zadrgało jego serce katolika i Polaka, kto uronił łzę współczucia dla bohaterskich włościan polskich na Litwie, ten nie poskąpi choćby najdrobniejszej sumy, ten zbierze składkę i pośle ją do Redakcyi, a stamtąd pójdą one na Litwę z pozdrowieniem i hołdem od braci-włościan galicyjskich i śląskich.



O skąpej kumie.

Było sobie dwóch kumów, jeden biedny ale gościnny, drugi bogaty ale sknera. Bogaty nieraz odwiedzał ubogiego, bo ten choć wiele nie miał, ale zawsze nakarmił i napoił sąsiada.

Razu pewnego, w czasie zapust, gdy żona bogatego ujrzała, że przyszedł odwiedzić ich kum ubogi, a na stole zastawiona była wieczerza, schowała czemprędzej pieczoną gęś za piec, kiełbasę pod żarna, pierog pod pierzynę a dzban ze śmietaną pod łóżko i sama umknęła do komory, mówiąc, że niedomaga. Gość, który niechcący wysłuchał wszystkiego za drzwiami, wszedłszy do izby, opowiada:

— Ach! mój kochany kumie, jak szedłem do was przez zarośla, wysunął się do mnie taki gad, jak ta kiełbasa pod żarnami i zaczął na mnie sykać, jak ten gąsior na piecu, ale jakem pochwycił taki kamień, jak ten dzban ze śmietaną pod łóżkiem i uderzyłem gada, to się rozpłaszczył, jak ten placek pod pierzyną.

Gospodarz rad nierad musiał powyciągać to wszystko na stół i zasiadł z gościem do wieczerzy, a gospodyni, udając chorą w komorze, połykała jeno ślinę, słuchając jak kumowie zmiatali wszystko z półmisków z apetytem. Z tego jest nauka, że skąpcom zawsze tak bywa...

Jan Płodzień.



Legenda o ptaszkach,

które widziały mękę i śmierć Chrystusa Pana.

Gdy Pana Jezusa ubiczowanego zamknięto w ciemnicy, kukułka, szukając robaków i gąsienic, zajrzała przez kratę do więzienia Jezusa, a ujrzawszy Go, z figlów zawołała »kuku«, poczem zaśmiała się niemiłosiernie. Pan i Bóg spojrzał umęczonym wzrokiem na pustego ptaka i wyrzekł:

— Odtąd nie będziesz wysiadywała i wychowywała swych młodych!

I tak się dzieje w istocie. Kukułka nie zna miłości macierzyńskiej, bo za nią inne ptaki wychowują jej młode, a zarazem samotna błąka się po gajach i ogrodach wiecznie kukając.

Następnie niecni siepacze wywlekli Pana Jezusa z ciemnicy i ramiona Jego obciążyli ogromnym krzyżem. Jezus Chrystus dźwigał krzyż aż na górę Golgotę. Na widok takiego okrucieństwa ziemia osłupiała... słońce zamgliło swe złociste oko... wiatr przyczaił się do ziemi... A tu znękany okrutnie Zbawiciel — zroszony krwawym potem, omdlewał... Zobaczył to gołąbek, zerwał się z drzewa i zaczął szybować swemi skrzydełkami nad głową Pana Jezusa, aby choć w części ochłodzić zranioną i spieczoną od skwaru głowę najświętszą. Dobrotliwie spojrzał nań Chrystus i rzekł:

— Będziesz umiłowanym przez ludzi ptakiem i nieodstępnym, wiernym towarzyszem ich doli i niedoli.

Dlatego też do dnia dzisiejszego gołąbek jest niezmordowanym w swym locie i zażywa wielkiej przyjaźni od młodych i starych.

A kiedy Jezus znalazł się na Golgocie, siepacze obnażyli z szat Jego ciało i zaczęli zadawać najstraszniejsze męki Panu wszechrzeczy, przybijając gwoźdźmi święte ręce i nogi do drzewa krzyża.

Wtedy kruk z chciwością przyglądał się szatom Chrystusa, ponieważ na jednej ujrzał błyszczący guzik. Bez namysłu przypadł i silnym dziobem oderwał ów guzik i umknął w las. Od tego czasu zjednał sobie brzydką nazwę złodzieja i do dziś kradnie wszystko, co się tylko błyszczy. Od takiego złodzieja usuwają się też inne ptaki. Żywot swój przeto wiedzie w samotności zdala od ludzkich siedzib i narzeka, kracząc żałośnie.

Nakoniec wzniesiono krzyż z ukrzyżowanym Panem Jezusem. Bole nadludzkie dręczyły ukochanego Zbawcę świata... cierpiał i umierał za grzechy wszystkich ludzi.

A tu zjadliwe muchy i komary trapiły obnażone ciało Chrystusa. Mała, czarna ptaszyna, jak w habicie mniszym, z podbrzuszem popielatym, znana dobrze jaskółka, zwinnym lotem fruwała wokoło Jezusa i łowiła zręcznie natrętne muchy, świergocąc smutno. Za to jaskółeczka jest w wielkiem poszanowaniu u ludzi i niema też prawie człowieka, któryby jaskółkę ukrzywdził. Chętnie każdy dozwala jej gnieździć się pod strzechą i czuwa, aby kot niecnota nie wybrał jej młodych. Gospodynie zaś twierdzą, że ktoby jaskółeczkę zabił, to w mleku będzie miał robactwo.

Wróbel również przyglądał się męce Jezusa Chrystusa. Stąd pomny

na te chwile męki Jezusowej, powiada nam ustawicznie: ciérp, ciérp, bo Jezus więcej cierpiał.

Orzeł zaś, oburzony do żywego postępowaniem żydów względem Zbawiciela, uleciał hen, daleko w góry, na wysokie a niedostępne skały, aby tam mieć swoje mieszkanie. Jeżeli kiedy uda mu się porwać jakie dziecko od sadyb ludzkich, pilnie zachęca młode orlęta w gnieździe, by darły je na sztuki i syciły swój głód, bo stworzenie ludzkie wywodzi ród od zabójców.

Gdy Jezusa głowa umęczona pochyliła się na piersi, załkały żałośnie kawki i gromadą z szumem poleciały w las. I teraz najmilszem schronieniem w zimie dla kawek są strychy kościelne, gdzie żałośnie łkają.

Skowroneczek, szary ptaszek, widząc, że ciernie korony wpiły się głęboko w skronie Chrystusa, przypadł do głowy i dopóty dzióbkiem kował, aż ciernie korony oddzióbał, a potem delikatnie wyciągnął ze świętej głowy, czem ulżył w cierpieniach. Łaskawie spojrzał na niego Pan Jezus.

Najświętsza Marya Panna Bolesna, która stała pod krzyżem, błogosławiła skowronkowi, mówiąc:

— Luba ptaszyno, będziesz najpierwej śpiewać na wiosnę na chwałę Bogu i na pociechę ludzi.

I tak się iści, bo ptaszyna zanim śniegi i lody stopnieją, już pod błękitem niebios dzwoni cudną pieśń chwały. Skowronek zatem od niepamiętnych czasów jest w wielkiem poszanowaniu i ulubieńcem rolników.

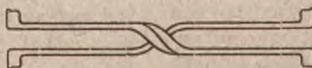
Nakoniec, gdy Chrystus Pan zawołał wielkim głosem:

— Ojcze, Tobie oddaję ducha mego! — słońce się zaćmiło... ziemia zatrzęsła się w swych posadach... zasłona w świątyni jerozolimskiej przedarła się na dwoje... groby się pootwierały... powstali umarli... padł strach wielki na ludzi i zwierzęta... Przestraszył się także biały bocian i zaniemiał. Stąd tylko klekotem dzióba nawołuje się z innymi bocianami i pilnuje dotąd strzechy wieśniaczej, gdzie nieraz mu stare koło na gniazdo ofiarują.

Zerwała się również i poczęła uciekać przepióreczka z jajek, z których co tylko nie wykłóły się młode. Pisklęta zamknięte w skorupkach jajek odczuwały także grozę wielką. Wyłupiły się więc z twardych więzów, a ponieważ nie miały czasu na dokładne obranie się z łupek, to też z połówkami tychże na końcu ogonka pognały pieszo za matką. Łupki przyschły do ciała i zanim deszczyk obmył ich skrzydełka zmarniały i nie wykształciły się do trwałego lotu. Zatem przepiórka jest najdzielniejszym piechurem z pomiędzy drobnego ptactwa, a całą drogę tam i z powrotem do ciepłych krajów odbywa pieszo.

Tak najdonioślejsze zdarzenie w dziejach ludzkości pozostawiło ślady nawet w samej przyrodzie świata.

Michał Mikoś.


Muzykant w piekle.

(Opowiadanie starych ludzi pisane gwarą góralską).

Bardzo downo, downo zył w Zakopanym jakiś kowol a pisoł sie Józek Gąsienica. Był śniego tyngi muzika, to go tyz wsyndyj pytali grać na wesela. Trafiło sie roz ze sie zynił zid w Poroninie za Zakopanem i tyn zid przised do tego kowola pytać go grać na to wesele, a ze mu zapłaci dobrze. Ale ze to wypodało we Wielkim tyźniu, w poście, przeto mu sie kowol wypiyroł granio i godoł zidowi, ze to cas nie do granio nom katolikom. Ale nareście się zgodziył za wielką zapłate i posed do zida. Groł bez jeden dzień i noc a w drugi dzień sie zabawiył tyz do wiecora i wiecor posed do domu.

Kiedy sed podpity tak se godo:

— E teroz to byk zagroł i djabłu na drodze, takom mom ochotę.

Patrzi a tu kaś sie wzion djaboł i godo mu:

— No to podź, Józku, zagros nom.

Pośli oba, ale ze Józek był pijany, więc iść pryndko nimog, to mu tyz djaboł kozoł siednąć na się i zanios go do piekła. Józek stanou na swoje nogi i patrzi a tu pelniutko koło niego djabłów i myśli se:

— Cyjek pobłądziył, cy sie mi zdaje chaj?

Djabli mu godają:

— Co se ty Józek myślis, co nom nie gros? kieś obiecoł, to groj.

I on im zagroł zbójeckiego, oni zaś słuchali, jaz łbami przekrącali. A kiedy się nasłuchali, to mu godają:

— Tyngi z ciebie muzik, ale muśis Józku juz iść, skądjeś przised, bo dłuzyj tu być juz nimozes.

A on im godo;

— Ja tu som nie przised, bo nos dwok przisło a wybyście kcieli, co byk som posed, ale tak nie bedzie, bo jo niewiym ka iść.

Djabliska naciyrali na niego:

— Idź kany kces — i niekcieli go zodyn prowadzić, ale ze on był muzika fajny, tak sobie pomyśloł: Pocekojcie jo wom zgadnym i zacon im grać pieśni pobozne. Djabłów takie granie okrutnie raziło, ze nimogli przesłuchać, to tyz rząńdca tamtejsy godo do jednego djabła:

— Bier go i zaniyś, skądjeś go przynies.

Juz go mioł porwać na się, jaze tu stanoł taki koń corny przed nim, co tam nim wieźli siarkę i smołę. Koń tyn godo do niego:

— Co wy tu robicie, Józku?

On mu powiedzioł, ze groł tu w piekle a teroz juz idem do domu.

— Pozdrow tam moje panią, bo jo jest tyn pon z tego a z tego domu, to mie poznajez, a ze jek bardzo zgrzysył i złe zicie prowadziył na ziemi, za to jek się dostoł tu do piekła i za kore musem być tym koniem. To tyz pytom cie jak zejdzies do domu, to idź do mojej pani i powiydz jyj, zeby tak nie robiyła, jako jo, bo sie i ona dostanie tu do piekła. A jakby ci nie wierzyła, ześ był semną, to tu mos tyn złoty piestrzyń a na nim jest wypisane moje nazwisko, to ona go pozno i uwierzy.

Potym Józka porwoł djaboł i zanios skond go wzion i tak sie wrociył do domu, log se potem w izbie na ławie i społ, a kiedy sie obudziył myśli se: cy to mo być prowda, cy sie mu śniyło. Kcioł porachować piniądze zarobione na weselu, a tu przynik tyn piestrzyń, co dostoł w piekle od konia. Przypomnioł se, ze go mo dać tyj pani jego, więc zanios go do niyj, oddał i opowiedzioł jyj co go spotkało na weselu u zida.

Tylka Wojciech.



Spowiedź wielkanocna.

Do kościoła wszedł Paweł. Trwożnie z pod brwi zsuniętych rozejrzał się i u wejścia przyklęknął na jedno kolano. Pochylił głowę, gęstwina brązowych włosów rozdzielała się w nieładzie na drobne kępki jak trawa na ugorzysku; pod nią zmarszczone czoło, niby chmura nad mętnem jeziorem, zawisło nad dwojgiem ócz szarych posępne rzucających błyski. Jakiś twardy wyraz szpecił mu rysy. Prawą dłonią wykonywał szybkie ruchy na piersiach, co miało oznaczać przeżegnanie się krzyżem świętym, a w lewej ściskał białą kartkę.

— Wielkanocna spowiedź za kartkami... niewola! Chcesz czy nie chcesz, iść musisz, bo inaczej, gdy umrzesz, nie wniosą cię do kościoła, nie zadzwonią na pogrzeb. Wstyd całej rodzinie... człek przecie nie zbój ani złodziej!

Był mały, chodził z matką do kościoła, ba, co niedziela stał pod chórem i patrzył w księdza na ambonie, jak w cudowny obrazek. Na pasterkę pogoda czy deszcz, czy mróz siarczysty, on wypraszał się pierwszy.

W palmową niedzielę niósł zawsze okrutną wiechę z leszczynowych pręci i trzciny, co mu wedle głowy, niby rojem komarów, pyłem sypała. W kościele podnosił ją wysoko, aby broń Boże, nie przynieść do domu nie pokropionej. Czemżeby matuś masło robili, jakby ubijak leszczynowy nie był dobrze poświęcony? Z wielkiej radości, to tak czasem wywijał poświęconą pod chórem, że raz za to dostał palmą od grabarza po głowie.

W maju ani jednej majówki nigdy w święto nie opuścił i śpiewał Najświętszej Panience tak głośno, jak jeno zdołał. Insze chłopaki, jak skąd grosz dostały to dalej kupować cienkie i kurzyć po kątach, a on składał i jak matusia szli na Kalwarye dał im na święty obrazek, żeby mieć w izbie swego patrona. Za pierwsze pieniądze zarobione przy sadzeniu ziemniaków, uprosił matki, żeby go ze sobą na odpust wzięła, a że już coś nie coś na książce rozumiał i dopóty się przymilał aż mu matuś książczynę do nabożeństwa kupili.

Z kościoła toby go i kijem nie wypędził w święto. Czasem organiście kalikował, czasem go po ogień do kadzielnicy posłali, a on szedł taki dumny, bo mu się ludzie ustępować musieli jak samemu Jegomości.

Tak było dawno, dawno...

Potem wzięto do wojska; ot dostał się między mędrków, co te wszystkie jego uciechy wyśmiali.

Z początku, co wieczór, żeby nie wiedzieć jak zmęczony, klękał do pacierza jak w domu ale koledzy nazwali go mazgajem, babą, klechą i drwiąc pytali, czy gdzie w zanadrzu nie chowa różańca. Właśnie go miał pod mundurem, zaczerwienił

się tylko i odtąd jeszcze staranniej ukrywał. Pacierz odmawiał leżący z przykrytemi kołdrą ustami, aby nikt tego nie dostrzegł. Wreszcie raz i drugi opuścił modlitwę, a w końcu tylko w wielkiej biedzie o niej sobie przypominał.

Powrócił do domu. Matka nie żyła, nie było komu zajrzeć w duszę i poprawić co się tam zepsuło...

Ojciec ożenił się z inną, ona rządziła w chacie, patrzyła na chłopca jak na przybłędę: ot, z wiosną niech idzie na Saksy!

Chodził więc na Saksy, zarabiał. Nosił wysokie polskie buty, ciemne żydowskie marynarki i tyrolskie kapelusze.

Gdy wracał na święta to przed kościołem stawał, aby mu się dziewczęta przyglądały, rzadko kiedy pod chór już trafił.

Minęło lat parę, zawsze na Saksach, bez spowiedzi, aż wreszcie po krótkich zalotach ożenił się we wsi. Przed ślubem spowiadać się musiał, a potem znów na Saksy jeździł póki zdrowia nie sterał. Nakoniec niewywczasy mu dojadły, sił brakło. Kobieta wyrzekała, że mąż gościem w domu. Gospodarstwo na paru morgach, co po ojcach wianem dostała, marnie szło przy babskiej pracy. Dzieciska harowały od małego, ale co to znaczy taka pomoc... Przywoził on wprawdzie centów trochę, tyle, coby i we wsi zarobić zdołał, odliczywszy koszta, a jakiby to inszy ład był w domu, żeby gospodarz sam pracował na swojem...

Tak rok minął; zachorzał i do domu wrócił. Całą zimę stękał, myśleli sąsiedzi, że zamrza, ale kobiecisko tak zabiegało wedle jego zdrowia, że mało pomału przyszedł do siebie, ot i pracuje drugi rok w domu na własnym zagonie, a lepiej mu służy tu chleb suchy niż szperka na Saksach. Tylko mu to nie w smak, że kobieta do kościoła w niedzielę przymusza, a już w wielkim poście, jak kartkę na spowiedź przyniesie, to ani sposobu się wymówić. Łońskiego roku, pierwszy raz po przyjeździe od Saksów, to nie chciał iść przed świętami i myślał, że co się odwlecze to mu się upiecze — ale co też to miał za święta!... Kobieta co spojrzy na święcone jajko, to zapaską oczy ociera, a gdy przyszło jeść rzecze: »Paweł, jakbyś ty nie miał iść Przewody z kartką do kościoła, to ja na inszy rok jajka nie uwarzę i do oświęcenia nie przyniosę«... Człek chce mieć spokój doma, nie babskie lamenty, to już we wtorek po świętach z kartką poszedł. Jakoś to tam miał strachu małowiele, bo mu wstyd było wyznać, że żył od ślubu jak poganin ale przecie Pan Jezus dobry, wszystkiego wysłuchał i przebaczył przez kapłana. Zaraz po spowiedzi to Pawłowi tak ulżyło, jakby co jeno na świat się narodził i miał był ochotę znów tej pociechy za krótki czas zażyć, ale jakoś później przyzwyczajenie górę wzięło i doczekał znów wielkiego postu. Ot, dziś baba mówi: »Paweł, a idźe ty z kartką, ja już była, a chłopiec nasz czeka, aż tatuś pójdą; raz przecie oczyść duszę przed świętami jak się patrzy na chrześcijanina«... Co było robić?

Mają być znów szlochania po kątach przez całe święta, wstyd kogo zaprosić na święcone jajko, bo ludzie pomyślą: co też to za poganin, w takie święto kobieta doskwiera aże jej oczy zapuchły od płaczu!

Ot i przyszedł dziś do kościoła, ale mu w nim tak nieswojo, jakby go jeżem głaskał... Przemógł się — spojrzał, że jeden i drugi sąsiad się modli, a ksiądz Mszę św. odprawia. Podniósł głowę, bo coś tam ze ścian od góry błyszczy czerwono. Toć to nowiutkie stacye, a na nich Pan Jezus taki smutny, patrzy mu w oczy, jakby to on właśnie święte jego ręce powrozami związał... Pawłowi jakoś żałośnie na sercu.

Przypomina sobie, jak to chłopcem w wielkim poście, odprawiał tu drogę krzyżową co piątek. Wtedy

jeszcze takich ładnych obrazów nie było, jeno wyblakłe i niewyraźne od starości... Ciekawość go zdjęła, czy też wszytkie stacye pamięta. Posunął się przed wielki ołtarz, aby zacząć od pierwszej. Ksiądz właśnie Pana Jezusa nad ołtarzem wznosi, a chłopiec dzwoni, co sił. Paweł pada na oba kolana i bije się w piersi jak kiedy był chłopięciem... Podnosi głowę, gdy dzwonek ucichł i dłonią ociera łzy z twarzy. Rysy mu zmiękły, a chmura ze spojrzenia znikła. Wstaje i gładzi dłonią zwichrzone włosy i cichy, zawstydzony idzie klęknąć na stopnie konfesyonału...

I znów, gdy odszedł od kratek, tak mu dobrze na duszy i wesół, jak kiedy pierwszy raz z książką tu przyszedł się modlić. Idzie dziękować Panu Jezusowi przed sam wielki ołtarz, że się na Saksach nie ożenił, jak go kusili. Duszęby całkiem zaprzepaścił, kościółka swego nie oglądał i siedziałby oto teraz może przy kuflu piwa, a matuś jego, co dziś pewnikiem z nieba mu, ucieszna, błogosławi, odwracałaby smutne oczy i syna wyparła się przed Bogiem.

Będzie też w domu uciecha w święta, jakiej nie było od ślubu. Sam do oświęcenia przeróżne pisanki porobi, takie piękne, że ani w niebie święty Paweł ładniejszych nie potrafi; i wszystkich sąsiadów zaprosi do siebie na wesołe Alleluja!

Ks. Korczak.



Dary dobrego żniwa.

Szczęście to wielkie dla rolnika, gdy sprzęt zbóż ukończy i stodoły napełnią się snopami o ciężkich, pełnych grubego ziarna kłosach. Ziarno bowiem to chleb, to podstawa bytu i życia rodziny, o zapewnienie zdrowia dzieciom. Ziarno jednak jest czemś więcej: jest zadatkiem siewu w roku przyszłym i dalszych zbiorów, jest też środkiem handlu dla gospodarzy posiadających więcej zboża niż potrzebują na własny użytek.



Obfity zbiór nie wszystkim jednak przynosi dostatek, zapewnienie sytej zimy i wiosny lub korzyści pieniężne. Rozsądny i trzeźwy gospodarz nie strwoni daru Bożego żydowi za bezcen, lekkomyślny jednak przepije częstokroć pieniądze za zboże otrzymane, czem zaszkodzi sobie samemu, uczyni krzywdę rodzinie i Boga obrazi. Podany tu obrazek przedstawia dary dobrego żniwa: w snopie żyta znajdować się może anioł pracy, zgody i błogosławieństwa, który bogobojnemu rolnikowi za jego pełną trudu i poświęcenia pracę daje chleb, a również siedzieć może w tym snopie zaczajona śmierć, dając lekkomyślnemu i bezbożnemu graniatkę wódki, która przynosi mu nędzę a potem przedwczesny zgon i potępienie.

Ostatnia Wielkanoc Jasia.

Było to w kwietniową niedzielę. Szła gromada ludu do kościoła. Każdy niósł w ręce palmę z gałązek drzew budzących się już do życia na wiosnę. Wiosna i kwietnia niedziela! ileż uczuć budzą w sercach!

Starsi myślą o robotach wiosennych i już czują zapach ziemi wyspoczywanej pod śniegiem, krajanej pługiem. Ileż uroku ma dla nich robota w polu!

Drobna dziatwa, zmuszona w zimie więcej siedzieć w domu, cieszy się wiosną, cieszy się, że wkrótce wygrywać będzie na piszczałkach skręconych z wierzbiny. A uroku dodaje jeszcze matka, która opowiada naprzód dzieciom, co to w tych dniach nastąpi.

— Dzisiaj Jasiu, jak będziesz grzeczny, wezmę cię do kościoła — mówi matka do 6-letniego syna. — Tam się napatrzysz różnościom! Będą chodzić ludzie naokoło kościoła z księdzem proboszczem, organista nie będzie go chciał puścić do środka, aż dopiero ksiądz proboszcz krzyżem zapuka.

— A czemu to Mamusiu, niechce puścić księdza? — pyta Jaś, słuchając uważnie.

— Jeszcześ mały, to nie rozumiesz tego — odpowiada matka, głaszcząc Jasia po twarzy — ale pamiętasz, jak ci mamusia nieraz mówiła, że tam w górze nad gwiazdami jest niebo, mieszka tam Pan Bóg i aniołowie. Niktby nie poszedł do nieba, gdyby go wam Pan Jezus nie otworzył przez krzyż.

— O! Mamusiu! jak ja kocham tego Pana Jezusa! On taki dobry! — woła Jaś z uniesieniem dziecięcem.

— O! kochaj Go — mówi matka — ale nietylko buzią, lecz także serduszkiem.

I słuchał Jaś mały z ciekawością opowiadania matki...

— Wiesz co Mamusiu? — odzywa się Jaś z radością — jak żydzi będą chwytać Pana Jezusa, to ja wezmę duży patyk, żydów wybiję... nie dam zrobić krzywdy P. Jezusowi.

I zaróżowiły się policzki Jasiowi..i zaiskrzyły się oczka... małe piąstk. ścisnęły się razem.

Łzy radości popłynęły z ócz uszczęśliwionej matki, przycisnęła do serca Jasia i przemówiła:

— Nie potrzebuje P. Jezus, żebyś Go bronił, bo gdyby chciał, wszyscy aniołowie z nieba pospieszyliby Mu na pomoc! Chciał P. Jezus cierpieć i umierać, żeby nam niebo otworzyć.

Tak to pouczała matka swego Jasia, swoją jedyną pociechę, która jej pozostała po stracie męża. Wśród tego ubierała Jasia w ciepłe ubranko, a wziąwszy do ręki palmę już wczorajszego dnia zrobioną, wybrała się do kościoła.

I szedł Jaś obok matki, a serduszko jego było pełne uczuć gorącej miłości dla P. Jezusa i dla mamusi, która mu tyle pięknych rzeczy naopowiadała.

Rosło serce matczyne na widok Jasia... Będziesz miała pociechę i podporę na starość z niego — szeptało jej. A łzy radości płynęły same... niewymuszone... łzy matczyne...

Ale oto już i kościół... stary... drewniany... i taki milutki, że aż serce pociąga, tak tu miło, tak słodko, że się odejść nie chce!

Ludu zebrało się już dużo, a mimo tego święta cisza zalega wnętrze

kościoła, tylko od czasu do czasu oczy ludzi zwracają się ku zakrystyi. Wyczekują ludzie ks. proboszcza, jak niegdyś żydzi P. Jezusa, by go w uroczystej procesyi prowadzić z palmami.

I wyszedł ks. proboszcz bielutki, jak gołąbek. Popatrzeli ludzie z radością na swego pasterza. O! jak się to już postarzał, myśli sobie niejeden. Taki przyszedł do nas młodziutki, czerstwy, rumiany... a teraz taki siwiutki! Nic dziwnego! Już temu będzie z pięćdziesiąt lat! Ósmy krzyżyk ciśnie już ku ziemi!

Ks. proboszcz pobłogosławił palmy i zaczęła się procesya.

I patrzył Jaś, a nie wiedział, na co wpierw patrzeć... ks. proboszcz, krzyż, chorągwie, ludzi dużo, palmy... ach te palmy! tyle ich, a każda inna!...

Po procesyi Msza św. śpiewana, uroczysta. Lud śpiewa pełną piersią o Jezusie cierpiącym i męczonym przez żydów.

Jaś nie spuszcza z oka księdza, ludzi... słucha i słucha... chce pochwycić wszystkie słowa... Uśmiechnęła się twarzyczka jego rozkosznie, bo już pamięta, co ludzie śpiewają... przyjdzie do domu to zaśpiewa, a może i wygra na piszczałce... podobają mu się te słowa, bo to o P. Jezusie, a on P. Jezusa kocha... o, on wygra, wyśpiewa:

Przyjdź mój Jezu, pociesz mię,
Bo Cię kocham serdecznie!

Skończyło się nabożeństwo. Po odśpiewaniu »Anioł Pański« wybierają się ludzie do domu. Poszedł i Jaś z mamusią ku chacie.

Ale jakoś wietrzno i chłodno zrobiło się z powrotem.

— Mamusiu! tak mi jakoś zimno — zaczyna Jaś kwilić nieśmiało, a żałośnie.

— O! Jeziusienku słodki! woła matka i bierze Jasia na ręce, utula go chustką, przyciska do serca, biegnie do chaty, aby przebrać Jasia, położyć do łóżka, pootulać, poprzykrywać, ogrzać...

I już Jaś rozebrany leży w łóżku, Mamusia okrywa, utula, warzy rumianek, daje Jasiowi... Jaś rozpalony i czerwony jak szkarłat... patrzy na mamę... zapada w sen... ale ten sen gorączkowy, chorobliwy, gwałtowny, twardy... oddech ciężki, a matka ślęczy zapłakana przy łóżku Jasia...

W piątek rano otwiera Jaś oczy dosyć przytomnie i odzywa się słabiutkim głosem:

— Mamusiu!

— A co chcesz Jasiu? odpowiedziała matka.

— Zrób mi piszczałkę, jak to chłopcy mają — mówi Jaś pomalutku — bo mi się śniło, żem był w niebie... tak aniołkowie grali tak pięknie... tak cudnie... ja nie miałem na czem grać z nimi...

I już jest piszczałka! Zrobił ją Józek od sąsiada na poczekaniu...

— Graj Jasiu... a wyzdrowiej dla mamusi... mówi matka... a w oczach pełno łez... już nie jej Jaś... aniołki go wołają... pójdzie do nich ta moja pociecha... zostanę jak palec sama... O Jezusienku!...

Bierze Jaś piszczałkę... probuje... przypomina sobie nutę...

Przyjdź mój Jezu, pociesz mię,
Bo cię kocham serdecznie!

Po chwili odzywa się słabiutki głos Jasia:

— Mamusiu! idź do kościoła... nie bój się o mnie... jeszcze mię P. Jezus nie weźmie.. powiesz mi, coś tam widziała... i powiedz Jezusowi, że Jaś już czeka, ma już piszczałkę... będzie grał z aniołkami... Idź Mamusiu... idź...

A mówił tak słodko, tak czule, tak się oczkami przymilał, raz wraz rękę matki do ust podnosił i całował, że choć się serce rwało z bólu, nie mogła mu matka odmówić. Zostawiła przy nim sąsiadkę i poszła do kościoła.

Wróciła... Jaś wyciąga rączki:

— Powiedz mamusiu, coś widziała — mówi z radością w oczkach Jaś.

— Leżał P. Jezus w grobie — mówi matka, usiadłszy przy Jasiu — taki bledziutki... leży... oczy ma przymknięte — zbity, sponiewierany...

— A wnet wstanie P. Jezus? — zapytuje Jaś.

I znowu matka spędza wszystek czas przy łóżku ukochanego dziecka, które to śpi, to się budzi... A gdy otworzy oczka, mówi po cichutku:

— Mamusiu! już wnet przyjdzie P. Jezus... Już aniołkowie śpiewają... tak ślicznie... wołają, »Chodź Jasiu do nas...« O ja pójdę do was... będę grał z wami... ale weźcie i mamusię ze mną, bo cóżbym ja tam robił bez mojej mamusi... chcę być przy was ale i przy mamusi...

I zapadł znowu w sen...

Rozległ się głos dzwonów w niedzielę raniutko, ledwie słoneczko wstało... śpieszą ludzie na zmartwychwstanie... głos donośny a dźwięczny rozlega się w czasie procesyi... a echo niesie daleko pieśń wielkanocną:

Wesoły nam dzień dziś nastał!

Otwiera Jaś oczka i rozweselony szepce:

— Już mamusiu musiał wstać P. Jezus... O... już... idzie... w ręce ma chorągiew... idzie tu ku mnie...

Ale już nie dokończył, bo duszyczka jego uleciała do nieba, między aniołki, by grać z nimi: Przyjdź mój Jezu!

To była ostatnia Wielkanoc Jasia!...

. . . .

Pochowano Jasia... a na grobie jego wyrosła wierzba i co roku słychać przez cały wielki tydzień melodyę smętną, rzewną... jakby ktoś wygrywał na piszczałce:

Przyjdź mój Jezu!

W tydzień potem spoczęła matka obok Jasia!

Nie-góral.



Wiejskie dziewczę.

Wiejskie dziewczę ukochane,
Zawsze szczere, uśmiechnięte,
Jakieś blaski niepojęte
Ma na skroni rozesłane.

Wesołe jest zawsze ono,
Jak ten ptaszek śpiewak Boży,
Jak wiośniany kwiatek róży,
Zawsze oczy szczęściem płoną.

O bo czyste ma sumienie,
Serce czyste nieskalane,
Brudem świata niezwalane,
Stąd te szczęścia są promienie.

Śle modlitwę w niebios progi,
Wciąż do Boga serce wznosi,
O opiekę świętą prosi,
To proste życia drogi.

A gdy miłość w sercu płonie,
To niewinna jakby święta
I skromnością jest przejęta,
Jak ten bławat na zagonie;

Życie w szczęściu mu upływa,
O, bo nie zna świata pychy,
A jej żywot prosty, cichy..
Takie na wsi dziewczę bywa.

Wawrzyniec Pietrucha

Kiedy Polska zmartwychwstanie?

Wszędzie słychać to pytanie:
Kiedyż Polska znowu wstanie?
Sto trzydzieści lat jęczymy
Wolnej Polski nie widzimy.

Boże pozwól szablą ruszyć,
By swej matce pęta skruszyć,
Ruszmy bracia Podolanie,
By wypędzić to nasłanie,

Co nam tu w Polsce zawadza
Braci naszych w lochy sadza...
Poszły w Sybir ojce, matki,
Zrabowano ich dostatki.

Bo szukają polityki
Ci Moskale schizmatyki.
Połączmy się bracia mili,
Byśmy Moskali pobili.

Matkę naszą rozszarpali,
Nam jej bronić nie dawali,
Brali naszych na męczarnie
Brali... a dotąd bezkarnie.

Dąbrowskiego imię święcim
Niedługo orzeł poleci,
Stanie nad polską Warszawą:
Będziem toczyć bitwę krwawą.

Niech na bujnem naszem polu
Zatrzyma się na Podolu,
Niech Moskala trochę goni
Sztandar Orła i Pogoni.

Herb Michała Archanioła
Znów Ruś do powstania woła!
Co teraz znaczy powstanie.
Kiedy niema broni na nie.

Gdy na ziemię spadną rosy,
Ostrzyj bracie tępe kosy...
Hej do broni! hej do broni!
Pod znak Orła i Pogoni!...

Nie trzeba żałować męstwa.
Kiedy zagrzmie pieśń zwycięstwa
Bo zgoi Ojczyzny rany,
Skruszy przemocy kajdany.

A więc mili Krakowianie,
A więc dzielni Warszawianie,
Wziąść się już raz do oręża
Niech Polak wrogów zwycięża!

Michał Pałac.

Przysięga Kościuszki.



„Ja, naczelnik chłopskiej braci
„Przysięgam: polegnę raczej,
„Niż wpierw Polska ducha straci.
„Niech kruk czarny w górze kracze!
„On na ścierwo Moskwy czeka,
„Jej śmierć wróży nam zwycięztwo.
„Wnet ta przyszłość niedaleka
„Nam wykaże. Nasze męstwo
„W szerokim świecie zasłynie.
„Może zginiem my; nie zginie
„Jednak wiara i nadzieja
„W lepszą przyszłość i zasłynie
„Znowu Polska w świata dziejach,
„Krew sama przemawiać będzie.
„Wolności idea wrosła
„W nasze kości. Za narzędzie
„Podłe nie damy się użyć.
„Wroga będziem nękać, nużyć
„Poty, pokąd nie zanucim
„Pieśń tryumfu i nie wrócim
„Matce-Polsce jej świetności,
„Przeznaczonej z wysokości,
„Od wieków u Pana Boga.
„Walczyć, cierpieć, nigdy w pracy
„Nie ustawać — oto droga
„Żmudna lecz prosta, Rodacy!“

J. Sobczyk.



Racławice.

Bitwa stała się nieniknioną. Wojsko uszykowało się frontem do nieprzyjaciela, zajmując wyżyny dziemierzyckie. Osią pozycyi polskiej była droga, która biegła od Dziemierzyc poprzez górę Kościejowską, którą obsadzili Rosyanie, poprzez wieś Racławice, hen, ku Działoszycom.

Po obu stronach tej drogi Naczelnik Kościuszko rozstawił hufce polskie. Na prawem skrzydle, na łagodnym stoku wyżyny, sformowała się brygada jenerała Madalińskiego, wzmocniona 2 kompaniami piechoty i garścią ochotników krakowskich, lewe skrzydło prowadził jenerał Zajączek, mający pod rozkazami brygadę kawaleryi narodowej Mangeta, dwie kompanie piechoty i oddział strzelców. W pośrodku stanęło 6 kompanij piechoty z pułków Czapskiego, Ożarowskiego i Wodzickiego, pod bezpośrednią komendą Najwyższego Naczelnika. Około stu konnych Krakowian stanowiło straż przyboczną Kościuszki.

A w tyle za wojskiem głębie kolumny chłopów, »rekruta dymowego«*, których dnia poprzedniego imci pan Jan Slaski, członek komisyi porządkowej, przyprowadził do obozu Kościuszki. Było ich 2000, w piki i kosy uzbrojonych, w czem garść górali z ciupagami w ręku, którzy na odgłos powstania, od gór tatrzańskich z pomocą pod Kraków przybiegli. Stali owi »rekruci dymowi« w poważnem milczeniu, popluwając od czasu do czasu w pracowite dłonie, w oczekiwaniu, rychłoli ich na batalię wezwą.

*) Dymem nazwano jeden dom włościański, tyle co dzisiejszy »numer«.

Naprzeciw rosyjskie zastępy, nad którymi jenerał Tormasow komendę dzierżył. Batalion grenadyerów, 2 bataliony jegrów, 6 szwadronów jazdy, pułk kozaków i 12 dział, przeciw pięciotysięcznemu korpusikowi insurgentów.

Mijały godzina za godziną, ranek i południe upłynęły bezczynnie — oba wojska stały pod bronią, śledząc wzajemnie ruchy swoje.

Naczelnik rozumiał dobrze, że nie należy schodzić z dogodnej pozycyi i atakować o wiele silniejszego nieprzyjaciela, dlatego czekał czas dłuższy, chcąc go z cierpliwości wyprowadzić.

I dopiął celu.

Przed godziną trzecią popołudniu jenerał Tormasow wezwał na naradę pułkowników Obrezkowa i Muromcewa, oraz majora Denisowa, dowódcę kozaków.

— Znudziło mnie to czekanie — rzekł im na samym wstępie — możebyśmy atak rozpoczęli? Kak dumajtie gaspada?

— Radziłbym zaczekać — pułkownik Muromcew pospieszył z odpowiedzią. — Od Skalmierza nadciągnie jenerał Denisow, weźmiemy Kościuszkę we dwa ognie.

— Ktoby tam czekał — wtrącił młody Denisow, synowiec głownokomenderującego jenerała Denisowa — taż to drjań, swołocz. Rozbijemy ich w try miga.

— Racya, racya, major gałubczyk, sami damy radę tym »panom« — mówił uradowany jenerał — zaraz ruszymy do ataku.

— Wasza wola, panie jenerale — odrzekli obaj pułkownicy, salutując wodza.

— Tak na miejsca panowie i każcie uderzyć z puszek!

— W kilka minut później zagrały rosyjskie działa, a piechota niespodziewanie uderzyła na stanowiska Zajączka.

Lecz jenerał Zajączek nie dał się podejść. Skoro ujrzał kaski piechurów rosyjskich, wychylające się z krzewiu lasu, leżącego między jego oddziałem a Rosyanami, kazał dać ognia z dział. Przywitani celnymi strzałami, cofnęli się oni w gąszcze leśne i skierowali się ku środkowej pozycyi polskiej, gdzie zetknęli się z głównemi siłami Kościuszki.

Ledwie Zajączek odetchnął po odparciu nawały, gdy na polu ukazała się druga kolumna rosyjska. Wiódł ją podpułkownik Pustowałow, odznaczony chlubnie w bitwach pod Zieleńcami i Dubienką, kawaler wielu orderów. Posiłkował go zuchwały major Denisow, zadufany w dzielność swoich kozaków, łaknący zdobycia łatwych — jak mu się zdawało — wawrzynów.

Kozacy natarli śmiało na dwa szwadrony kawaleryi, które sromotnie tył podały i pierzchły z placu boju, nie oparłszy się, aż w Krakowie, dokąd przyniosły kłamliwą wieść o pogromie i śmierci Naczelnika. Jednak Zajączek nie zraził się ucieczką kawalerzystów i silnym ogniem armatnim powstrzymał zakusy Pustowałowa i Denisowa aż do chwili nadejścia mu pomocy w postaci dzielnych ułanów Madalińskiego.

Ale i Moskalom przybyły posiłki. Pułkownik Muromcew nadbiegł z huzarami i uderzył na ułanów. Trzykrotnie się zwarli z ułanami, trzykrotnie Madaliński i Zajączek, z dobytemi szablami w rękach do ataku swoich wiedli — jedna i druga strona nie ustąpiły ani kroku.

Bitwa wrzała na całej linii.

Mimo rzęsistego ognia bateryi polskiej, który przyprawiał Rosyan o znaczne straty, jenerał Tormasow przeprowadził swą kolumnę przez niebezpieczny parów, dzielący obie armie nieprzyjacielskie, rozwinął się na stokach wyżyny, ustawił artyleryę i posłał grad pocisków w polskie szeregi.

Na domiar złego, w dali, w stronie prawego skrzydła polskiego, zaszarzała ciemna masa. Nadbiegli przerażeni adjutanci z wiadomością, że korpus Denisowa, świeżo przybyły na plac boju, zagraża zagładą prawemu skrzydłu.

Chwila była krytyczna... Denisow mógł rozstrzygnąć los bitwy — armia polska mogła być w pień wycięta, insurekcya w zawiązku zduszona.

Nie pozostawało jednej minuty do stracenia.

Pchnął Kościuszko pojedyncze oddziały. Brygadyer Manget z dwiema kompaniami 3-go regimentu miał uderzyć na rozwijające się szyki Tormasowa — Madalińskiemu zlecił powstrzymanie zastępów Denisowa, sam ku kosynierom skoczył.

Siwy konik Naczelnika zarył kopyta w ziemię, gwałtownie cuglami wstrzymany. — Naczelnik płomień miał w ustach, w piersiach mu ze zmęczenia grało, święconą w Krakowie szablicę kurczowo w dłoni swej ściskał.

— Chłopcy! — wyrzucił jednym tchem — Bóg i Ojczyzna! Moskale przed wami! Ojczyzna na was liczy! Wyście przecież jej dzieci rodzone!

Z szeregu wysunęło się dwóch barczystych chłopów. Czapkami skłonili się do kolan Naczelnika.

— Kto wy tacy? — Kościuszko rzucił im gorączkowe pytanie.

Starszy z nich spojrzał błękitnemi, szczeremi oczyma w jasne oblicze Naczelnika.

— Wojciech Bartos z Rzędowic, a to mój kum, Stach Świstacki, prosę łaski jaśnie Nacelnika.

— Nie nastraszycie się Moskali?

Barczysty kosynier roześmiał się serdeczne, pokazując dwa rzędy białych, mocnych, jak u wilka, zębów.

— Zaś byśmy się ich bali!

To rzekłszy, wniósł do góry pięść, jak bochenek chleba, potężną.

Kościuszko końcem szabli wskazał im baterye rosyjską.

— Ta baterya musi być naszą! Chłopcy! zabrać mi te armaty!

Do Slaskiego się zwrócił.

— Mości Slaski, do pioruna! Bierz trzystu zuchów i pędem na baterye! Nidecki z dwiema kompaniami piechoty was wesprze! Ruszaj!

Z krzykiem przerażającym ruszyło trzystu kilkudziesięciu chłopów wprost ku rosyjskim armatom. W ślad za nimi pomknęły dwie kompanie piechoty 6-go regimentu, przez kapitana Nideckiego prowadzone.

— Szymku, Maćku, Bartku!... a dalej! — rozlegały się gromko nawoływania.

Przeraźliwie gwizdnęły kartacze — kilkunastu chłopów runęło na ziemię — reszta wstrzymała się w biegu.

Galopem dopadł ich Kościuszko.

— Cóż to, boicie się wiara?! Za mną, na armaty!

— Za Nacelnikiem! — ryknął Bartos.

Runęli i znikli w dymie.

Nie widać kraśnych czapek, nie widać piórek pawich, jeno czasami, gdy dym zrzednieje, błyszcząca kosa zamigocze, jeno sukmana się zabieli.

Gruchnęła druga salwa.

— Jezu, o rety!

Znów kilkanaście ciał zostało za nimi. Oni przez trupy stryjków i kumów pędzą, a na ich czele »jaśnie Nacelnik«, który ich słowy i gestem zachęca.

— Już blisko chłopcy!...

— Jezus Maryja!

Dopadli.

Przy armatach grenadyerzy stoją. Pochyliły się rury karabinów, plunęły chłopom ołowiem w oczy — kanonierzy lonty przykładają do panew...

— A zasię!

To Wojciech Bartos ryknął gromowym głosem i, zakrywając czapą zapał armaty, ciął kosą przerażonego artylerzystę.

— Bij psiepary!

Ściana rekrutów dymowych hurmem wpadła na kanonierów i asekuracyę i rozniosła ich na ostrzach kos. Oni nie wiedzieli co to słowo »pardon« znaczy, oni mścili się za krzywdy całej ziemi, za swe zrabowane woły, zarekwirowane konie, porżnięte kury i kaczki.

— Wciurnaści!

Artylerya i asekurujący ją grenadyerzy zostali w pień wycięci, pochlastani na kawały straszliwemi kosami.

Nim dym się rozszedł, rozległ się tryumfujący, rozgłośny, rozradowany, dźwięczny głos Bartosa:

— Nacelniku, wzięliśwa harmaty!

Baterya była zdobyta.

Jedenaście dział w jednym rzędzie stało. Hej, nie wyszczerzą już one paszcz swych do obrońców krwią zlanej ziemicy, nie straszne one chłopom-bohaterom!

Okrakiem siadł se Bartos na harmacie. Sukmaną pot z czoła ociera, dyszy ciężko, piersiami jak miechem kowalskim robi, a gęba mu się śmieje. Prał, bo ci prał... aż drzazgi, aż drańcie z psubratów leciało!

— Który to pierwszy bateryi dopadł?

— On, on, Bartos z Rzędowic, jaśnie Nacelniku! On pirsy kanoniera chlasnął, on pirsy między nami!

Bartos zeskoczył z armaty, stanął wyprężony i wpatruje się w Naczelnika.

»Jaśnie Nacelnik« dłoń mu na ramieniu kładzie, a Bartos widzi, że po licu tego jenerała płyną dwie łzy przejrzyste, czyste, jak perły.

— Bartosu z Rzędowic — mówi głośno Naczelnik — jesteś dzieckiem tego kraju, jesteś wiernym synem Ojczyzny. Dawaj mi swoją sukmanę!

Bartos bezwiednie niemal zdejmuje krakowską sukmanę i oddaje ją w ręce Naczelnika, który wdziewa ją na siebie.

— Bartosu z Rzędowic, jesteś oficerem, jesteś szlachcicem polskim!...

Ja przywdziewam tę sukmanę na znak, żem wam chłopom odtąd równym bratem.

Bębny kompanii kapitana Nideckiego grzmiący werbel biją — Naczelnik do kosynierów się zwraca.

— Jesteście regimentem grenadyerów krakowskich!

Znów werbel, jeno głośniejszy jeszcze. Wybuchają gromkie okrzyki.

Lecz Bartos nie widzi, nie słyszy. Oczy mgłą mu zachodzą i niezwyciężony kosynier, jak kłos pocięty kosą, pada u nóg Naczelnika.

— Nie godzienem, nie godzienem, o Jaśnie Naczelniku...

Na racławickiem polu docinają kosynierzy resztki kolumny walecznego Pustowałowa, który legł 13 ranami okryty. Jenerał Denisow sromotnie uszedł, major Lubkke bagnetem wykłuł jegrów jekaterynosławskich. Piechury pułku Wodzickiego wiodą wziętego do niewoli pułkownika Muromcewa, wiodą licznych jeńców, ciągną dwunastą zdobyczną armatę. Okrzykom radości niema końca.

Wódz salutuje wiwatujących, ściska dłoń jenerała Zajączka i mówi rozradowanym głosem:

— Nowa Polska rodzi się dziś na racławickiem polu, mości jenerale!

Na zgliszczach.

Po smutnej zimie nowe rozpoczyna się życie: idzie wiosna. W przedniej straży, tak wielkiej pani, która kwiaty, pieśni i życie pobudza do czynu — leciały stada naszych bocianów. Już nad Karpatami poczęła się dzielić ich gromada na oddziały — a im dalej w kraj tem więcej ubywało z każdej gromady. I nad jedną wioską nad Sanem jedna para, pożegnawszy się z towarzyszami, zakręciła kilka razy nad nią jakby na znak powitania, ale na darmo oczy ich szukają chaty Marcina, na której miały od lat kilkudziesięciu rodzinne gniazdo. Gniazda niema, tylko tam, gdzie pierwej stała chata, leży kupa gruzów i sterczą opalone pnie drzew. Zaklekotały żałośnie. Jeden z nich, nie mogąc wytrzymać z żalu, zatrzepotał skrzydłami i odleciał.

Pozostały, spoglądając na gromadkę dzieci, która się opodal bawiła, jakby pytał: Gdzie moje gniazdo, gdzie chata Marcina?

Dzieci nie rozumiały tego niemego pytania, tylko cieszyły się wiosną, bo boćko już tu. Ale boćko nie dzielił tej radości, boć gniazda nie ma. Jakaś zbrodnicza ręka podłożyła ogień pod chatę. Spaliło się wszystko, zostały tylko niedopalone pnie drzewa. A sam Marcin poparzony i potłuczony przez spadające belki, umarł w kilka dni.

Boćko nic z tego nie rozumiał. Zaczął się kręcić a zobaczywszy na pogorzelisku kobietę, poznał Marcinową, bo gdy zeszłej wiosny przybył, a było jeszcze zimno, to ona kilka razy rzucała mu coś do zjedzenia, a gospodarz to mu aż na gniazdo wynosił jaką strawę. A dziś zapewne sami nic nie mają.

— Boćko, boćko nasz — krzyknęła uradowana kobiecina. — Chodź no tu powiem ci wiele, co nas spotkało, pójdź! nie chcesz? Ha! ty już nie masz na czem sobie gniazda uścielić: pójdziesz w komorne jak i ja.

Rozpłakała się biedna kobiecina. Boćko zaklekotał coś, przeciągnął skrzydła i wyskoczywszy na kupę niedopalonych belek, a podniósłszy jedną nogę, zwiesił dziób i zaczął drzemać.

A Marcinowa, zobaczywszy idącą sąsiadkę rzekła do niej ocierając fartuchem łzy:

Patrzcie kumo jakto bociek płacze nad naszą niedolą.

Kędzierski Piotr.

Po bitwie Racławickiej.



Racławickie pomną pola,
Racławicka pomni rola,
Jak chłop - Mazur prał Moskala.
Gdy rząd armat błysnął zdala,
Krzyknął Mazur, chłop Głowacki:
— Hej, narodzie ty prostacki!
Nie stać tobie, lecz prać wroga!
W imię Boga! w imię Boga!...
Więc, krzyknąwszy: Hura! hura!
Jakby jaka wichru chmura
Na armaty szli wiarusy,

Na armaty szli Krakusy.
Na krakowskim rynku gwarno:
Idzie wojsko masą czarną
I armatnią zdobycz wiedzie
A Kościuszko sam na przedzie!
Na krakowski rynek wiodą,
Jakby jaką pannę młodą,
Wśród okrzyków, śpiewu wtórów,
Armaciska od Mazurów.
O szczęśliwą Polska była,
Gdy jej chłopska brać broniła!
Przyjdzie jeszcze chwila druga,
Że ten polski chłop od pługa
Na moskiewskim karku siędzie
I ta Polska wolną będzie!...

Józef Wyrwicz.



Kwiecień - plecień.

Żył pan Adam Górniewski w Górniewie w Małopolsce, a Kuba Dowij, wieśniak w Dolnem w Wielkopolsce. Pan Adam Górniewski to obywatel zacny, uczynny, miłosierny. To też lud wiejski patrzał w niego jak w proroka i byłby za nim w ogień skoczył. Kiedy, jak to bywa, że na świecie nie bez ale, tak i ten pan miał swój krzyżyk w postaci żony jędzy. Żona pana Adama Izabela była nietylko piękną kobietą, ale zarazem złą, dokuczliwą, gderliwą i często miewała po wywarciu na kimś złości, spazmy. Nie podarowała w swych obelgach nawet mężowi, którego ubóstwiali ludzie, ani służbie... wymyślała, biła i kwita. Z tej przyczyny każdego miesiąca odprawiali się słudzy, dziękując panu Adamowi za służbę temi słowy:

— Jaśnie panie dziękujemy za służbę, bo i w piekle nie gorzej.

Użalał się pan Adam Górniewski mówiąc: — A cóż, krzywdę wam czynię, że mnie opuszczacie?

Słudzy z płaczem całując jego ręce odpowiadali:

— U jaśnie pana na kolanach służylibyśmy... ale...

— Co? Co? pytał pan Adam.

— Ale — jaśnie pani nie do zwyciężenia...

I tak cały szereg sług, począwszy od pokojówek, kucharek, aż do dziewuch stajennych i fornali, zmieniał się kilka razy do roku. Pan Adam w łagodnych, ba w serdecznych słowach przemawiał do swej pani żony Izabeli, że ta metoda doprowadzi ich do bankructwa i, że w końcu oboje staną się postrachem ludzkości. Na nieszczęście te uwagi nie skutkowały, a pani Izabela w zapalczywości rosła z dniem każdym. To szczęściem było tylko dla państwa Górniewskich, że nie mieli dzieci, bo jakby te niewinne anioły były wychowane wśród ustawicznych kłótni i ciągłego naprężenia. Bolał niewymownie pan Adam, a wszelkie swe nieszczęścia polecał Panu Bogu w nadziei, że przecież za tydzień, za miesiąc, bodaj za rok serce jego żony złagodnieje. O, bo kochał swą żonę po chrześciańsku, jako dobry Polak, nie pragnąc rozwodu i nie myślał od niej uciekać, wierząc, że przyjdzie chwila, w której ta piękna pani wejdzie na drogę dobrą. Lecz poprawa jakoś nie przychodziła...

Nareszcie z początkiem Wielkiego Postu, ogłosił proboszcz Górniewa misye dla parafii. Ucieszył się ogromnie pan Adam z tego wypadku i zaraz w pierwszym dniu poprosił swoją żonę, aby poszła z nim do kościoła na nauki religijne. Pani Izabela zaczęła się wymawiać, że jest chora, a w końcu oświadczyła, że nie pójdzie. Więc sam pan Adam z bólem w sercu poszedł na nauki misyjne.

Gdy tak siedzi w ławce kościelnej i słucha w skupieniu ducha kazania ks. Kapucyna, który właśnie miał naukę o złych, dokuczliwych żonach, łza mimowoli po szlachetnej twarzy zsunęła się i schowała pod sumiastym wąsem. W tejże chwili dotknął ustami rękę pana Adama siwowłosy dziad i szepnął:

— Bolejesz jasne paniątko i prosisz Boga o zmiłowanie?

Wypatrzył się łagodnie pan Adam na dziada, który zdawał się mu być świętym pomimo lichej wiejskiej ka-

poty. Od tej chwili weszła weń jakaś otucha. Po skończonej nauce rozglądnął się pan Adam po kościele, lecz dziada już nie było, pomyślał więc sobie, że przed chwilą śnił tylko. Lecz inaczej by o. Gdy opuścił świątynię Pańską i udał się polną ścieżyną do swego białego dworu, spotkał znowu owego dziwnego dziada. Dziad po chrześciańsku pozdrowił:

— Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki — wieków, odpowie pan Adam nieco zmieszany.

— O, jasny panie, zagadnął dziad, byłem ci przed jakąś godziną w tym jasnym dworze po jałmużnę, ot i tu mam od pani podarunek, wskazując sińce na palcach... przycięła mi drzwiami.

— Dziadku dam ci sowitą jałmużnę, a zapomnij o urazie, — rzekł pan Adam.

— Dziękuję i stokrotny Bóg zapłać. Jałmużny nie przyjmę. Ale czy ta pani jest jasnego pana żoną?

— Jak myślisz, zapewne że tak — brzmiała odpowiedź.

— Otóż moja córka Izabela jest zupełnie do jasnego pana żony podobna, lecz w charakterze obu tych kobiet piekielna różnica. Moja córka Izia to wiosna, to dobroć; tylko zięć mój a jej mąż Kuba Dowij — okrutnik... Znęca się nad moją córką, że wielkich pieniędzy za nią nie wziął. Nie mają potomstwa... a ja — by nie widzieć i słyszeć zgrzytu zębów Dowija na stare lata poszedłem z torbami.

— A wy skąd jesteście, zapytał pan Adam.

— Z Dolnego — z Wielkopolski.

— To dwór tam ma pan Dolniewicz.

— Tak — zacny pan odparł dziad...

W tej chwili panu Adamowi trysnęła dziwna myśl do głowy...

— Chodźcie dziadku — u mego karbownika przebędziecie tych kilka dni misyi, a potem pojedziemy do Dolnego.

— Ano dobrze...

. . . .

Po misyach pan Adam powiada do żony: możebyśmy pojechali we świat, tu tak nudno.

— Przecie choć raz przemówiłeś do mnie mądrze! zawołała pani Izabela.

I dziwy... Tego dnia przy wybieraniu się w podróż nikogo nie łajała... Pojechali... Jadą na Kraków, Bogumin, Wrocław, Poznań. Nareszcie są w Dolnem. A i dziadek siwowłosy tym samym pociągiem z niemi jedzie.

Już są we dworze pana Dolniewicza. Pan Adam po przywitaniach wyszedł do ogrodu, gdzie wnet zetknął się z siwowłosym dziadem.

— Dziadku, rzecze, pokaż mi swoją córkę.

— Ot proszę jasnego, tu stoi przy kopie siana.

Pan Adam omało nie wykrzyknął z podziwu, podobniuteńka do jego żony.

— Wiecie dziadku, sprowadźcie mi tu swego zięcia Dowiję.

— A to na co?

— Może pomieniamy się na żony...

— A niech pana żywcem w niebo wezmą — zawołał dziad uradowany i pobiegł po zięcia.

Tymczasem powrócił pan Adam do dworku i w sekrecie opowiedział panu Dolniewiczowi, co zamierza uczynić ze swoją żoną, prosząc o pomoc w tej sprawie. Zrazu pan Dolniewicz nie dawał posłuchu, ale później przekonany, skłonił się do życzeń pana Adama. Wysłał w tym celu po lekarza do miasteczka. Zaledwie obaj panowie porozumieli się, a tu do kancelaryi przybyli: Kuba Dowij, chłop sążnisty, z białemi zębami i zadzierzystym wąsem, naturalnie i dziadek siwowłosy.

— Coś pan dziedzic odemnie żądają?

— A tak — odrzekł pan Dolniewicz... Wyrzekacie, że wzięliście biedną dziewczynę za żonę — otóż możebyście się pomieniali na rok za inną z tym warunkiem, że otrzymacie 2000 talarów w srebrze, ale tej innej kobiety nie będzie wam wolno dotykać... lecz zgrzytać zębami i kląć jej do woli.

— Hm... toć to jakaś łapka na moją duszę...

— Nie, odparł pan Dolniewicz, tu chodzi o poprawę na dalsze życie i zbawienie wieczne.

— Ha... jabym ta wziął 2000 talarów srebrzystych, ale by i mojej Izi także nie stała się krzywda i u nowego męża, by ją nie sponiewierano na sławie...

— Zacny z was chłop, dodał pan Dolniewicz i wziąwszy za rękę Dowiję, poprowadził do drzwi szklanych, gdzie na werandzie panie siedziały.

— Patrzcie — szepnął Dowij poglądnąwszy, bo widzi swoją Izię w pańskim przyodziewku.

— Cicho... ta pani jest żoną tego pana — rzekł półgłosem pan Dolniewicz.

— A to przepraszam bardzo, wymówił cichuśko Dowij... Zgoda na wszystko.

Wrócił do kancelaryi, w której był już lekarz.

Coś poszeptali z nim panowie... Zrazu rozkładał rękami, potem przytaknął głową i poszedł do apteczki dworskiej. Za jakich minut kilka wrócił i dał siwemu dziadkowi małą flaszeczkę, mówiąc: tę zawartość dla Dowijowej. Gdy siwy dziad zniknął wraz z Kubą, podał lekarz panu Dolniewiczowi maleńką nader, jak ździebełko słomy flaszeczkę — a to w wiadomym celu.

. . . .

Dziwne rzeczy podziały się tej nocy w Dolnem. Wszak to marzec oddawał swe rządy kwietniowi. Pierwszy dzień kwietnia 1910 r. wystąpił w pięknej wiosennej szacie i zawiódł wszystkich, a najbardziej już panią Izabelę Górniewską. Budzi się ona z ciężkim oddechem i szumem w głowie.

-- A cóżeście Różo i Klaro porobiły? Fe — tyle dymu, smród nie do opisania... Róża, chodź tu zaraz — podnieś mi głowę i otwórz okno od wschodu... Szelmy, gdzieście słuch potraciły... (Nikt się nie odzywa, tylko raz po raz parczą ziemniaki gotowane na kuchni)... Na miłość Boską tu smród chłopskiej chaty... Czy niema nikogo do mej posługi? Trutnie...

Zrywa się rękami machinalnie chce rozsunąć firanki łóżka, trafia jednak w puste powietrze... Ociera nos i kicha...

— Boże daj zdrowie Iziu, zawołał dotąd cicho siedzący Dowij.

— Kto śmie wobec pani tak gburowato się odzywać?

— Oho Iziu, cóż ci się znowu przyśniło, takaś była zawsze łagodna, skrzętna gospodyni, a dzisiaj wymyślasz. Wstawaj! bo jak lunę pasem, to ci się państwa odniechce. Tam świnie w chlewie kwilą, kury nie wymacane, czeladnikom trza dać śniadanie, krowy nie dojone...

— O Matko Boska! ratuj. — Teraz dopiero zobaczyła pani Izabela nasrożoną twarz z zadzierzystym wąsem Dowija.

— A kto wy jesteście człowieku? — zapytała ledwie półgłosem.

— Kto? Jeszcze się pytasz Iziu moja — tać jestem twoim chłopem, co ksiądz proboszcz potwierdzą i cała gmina.

Wyciągnął do niej czarną, ogromną dłoń...

— Gwałtu! krzyknęła z trwogą... Róża podaj mi suknie, sprawię ja swemu mężulkowi podróż.

— Naści suknie, zawołał Dowij ze złością, to chłopska przyodziewa.

— Toć się wynieście, już sama się ubiorę. Widzę, że jakieś okropne nieszczęście mnie spotkało.

— Naprawdę, ty zapewne zapomniałaś babo, że dzisiaj 1 kwietnia — he? milion siarczystych... Ubieraj się i kwita — ja cię ta znam.

Co było robić. Tonący i brzytwy się chwyta. Tak i pani Izabela Górniewska brała przez głowę spodnice wieśniacze i zawiązywała trokami na swych biodrach przyczem mocno dmuchała, że śmierdzą dymem i chłopską chałupą, choć były czyste jak łza.

Zaledwo Dowij opuścił izbę — pani Izabela wymknęła się również cichutko i w wiejskim stroju podreptała do dworu. Zaraz w ogrodzie otrzymała pozdrowienie od lokaja:

— A zaczem Dowijowa tak żywo gonicie tutaj?

Nic nie rzekła. Ból obrażonej dumy skryła w sobie.

Wprost otwiera drzwi do pokoju pani Dolniewiczowej. Ta nie wiedząc nic o całem zajściu z ubiegłej nocy, zdziwiła się ogromnie zobaczywszy wieśniaczkę w swoim pokoju.

— A wy zaczem tak Dowijowa wpadacie, może wam chłop zachorował?

— Ach! to pani Dolniewiczowa tak prędko zapomniała, że dopiero wczoraj ze swym mężem Górniewskim tu przybyłam? Ot wieczór siedziałyśmy obie na tej werandzie.

— Moja Dowijowa, co wy pleciecie, wam się w głowie chyba pomieszało?

— Komu? mnie? Pani ratuj mnie, bo straszne nieszczęście, ja nie żadna Dowijowa tylko pani Górniewska.

— Zaraz się przekonamy odpowie pani Dolniewiczowa.

Zadzwoniła. Weszła Róża.

— Różo, czy znasz tę kobietę, bo ona twierdzi, że jest panią Górniewską?

— Zachowaj Boże! proszę pani to jakaś nieszczęśliwa!

— Różieczko, aniołku, toć zapomniałaś, żeś była moją pokojówką wczoraj? Nie zaprzeczaj, Bóg sam tego wymaga, bo jest prawdą, co mówię, — błagalnym szeptała głosem pani Izabela.

— At, co wy chcecie odemnie. Kobiety wiejskie niepotrzebują pokojówek. Do czego? do jednej izby? — odrzekła Róża.

Na to wszedł pan Dolniewicz i zapytał:

— Czego Dowijowa żądacie?

— Jaka Dowijowa? — Górniewska! — zawołała pani Izabela.

Tedy pan Dolniewicz otworzył drzwi i rzekł nieco ostrym głosem:

— Dowij zabierzcie biedną swą żonę. Pan Górniewski już odjechał ze swoją żoną, toć wie o tem cały dwór.

— Zabieraj się, — zgrzytnął Dowij i powiódł za rękę do domu swoją Izię. — A nie rób mi więcej termadyj, bo policaje węszą za tobą, żeby cię zabrać do obłąkanych.

Poszła za okrutnym chłopem, gdyż się ulękła zakładu obłąkańców...

. . . .

Lecz jakżeż wielkie było zdziwienie w Górniewie!

Pani budzi się... Klara, pokojówka stoi przy łóżku i pyta się:

— Co jaśnie pani rozkaże?

Izia roztwiera oczy, jakoś nie czuje dymu, ani słyszy parkotania ziemniaków. Widzi wspaniałość koło siebie, więc jest mocno zakłopotana.

Klara słodziutkim głosikiem dopytuje się, jaką suknię ma podać, bielistą czy błękitną, a łydki drżą pod nią, by nie rozgniewać okrutnej pani.

— Jaka się tobie podoba, — odrzekła po namyśle Izia.

Ośmielona Klara ubrała szybko dziedziczkę, nic nie przeczuwając, że w Dolnem tak wielka zmiana zaszła.

Kiedy wszystkich powinności pokojówki dopełniła, wybiegła Klara rozradowana i rozpowiadała całej służbie, że po podróży zmieniła się pani, bo jest teraz bardzo a bardzo dobra.

Niedługo, a na folwarku i we wsi odczuli dziwną przemianę swej

dziedziczki ludziska i szeptali sobie skrycie, że wyjazd w świat szeroki wychodzi czasem na dobre. Pan Adam rozpływał się pozornie z radości, a w duchu myślał o prawowiernej żonie, którą na poprawie zostawił w Dolnem. Teraz chętnie lud wiejski garnął się do pracy we dworze, a służba ani myślała o ucieczce.

Kuba Dowij ciężką miał sprawę z panią Izabelą, lecz w końcu przemógł ją, że wzięła się do gospodarki. I choć ledwie kilka miesięcy minęło i Kuba również odmienił się. Niby to burczał i srożył się, a przecież dla pani Izabeli kupił poduszki, pierzynę i białą pościółkę — a nawet izbę przepierzył na dwoje, aby kuchnię oddzielić od sypialni.

Przybiedniał Kuba, a myślał ciągle dniem i nocą, by dzień 1 kwietnia 1911 r. jak najprędzej się zjawił, o bo swej Izi teraz za żadne skarby nie oddałby. Mówił sobie nieraz w duchu: nie chcę tych 2000 talarów w srebrze, a gdybym z taką panią na zawsze żyć musiał, chybaby trzeba swoją szyję pod szpagat dać. Oj Iziu! moja Iziu! wzdychał nieszczęsny Kuba, że go 2000 talarów skusiło.

Również i pani Izabela w tych kilku miesiącach stała się nader dobrą i uprzejmą kobietą...

Wierzaj Kuba, pomimo, że kwiecień często taki filuterny, z pewnością twoja - Izia wróci do zagrody i będziesz ją tem milej szanował... Pani Izabela także zawładnie Górniewem, a pan Adam w siódmem będzie niebie, zaś służba dzisiejsza być może, że nawet potomkom Górniewskich usługiwać będzie.

Michał Mikoś.



Ach, rosę daj mi pić!

Ach rosę daj mi pić —
Tak czystą, jak ta łza,
O szczęściu będę śnić,
Co krótko — krótko trwa!

Me szczęście widzę tam,
Gdzie słonko jasno lśni —
U wrót złocistych bram,
Tam ono błyszczy mi!

Ucieka szczęście precz
I zdala drażni się...
O cofnijże się wstecz —
Niech raz uchwycę cię!

I patrzę — patrzę hen —
Na jasne gwiazdki te,
Ach życie jest to sen
O smutne serce me!

O smutna dusza też...
A łza wytryska z oka!
Ach gdzieżeś szczęście, gdzież?
Czy patrzysz z wysoka?

Ach woń urocza z pól
Niech serca koi rany,
Bo straszny jest to ból,
Boże mój kochany!!

Henryka Zwilling

Jasiek Mulet, dzielny żołnierz.

Opowiadanie majora wojska polskiego.

Byłem wtenczas w kadetach, kiedy to pamiętne wybuchło powstanie w r. 1830. Ani chwili się nie namyślaliśmy, co zrobić wobec głosu Ojczyzny, wzywającej pomocy. Cała szkoła wyruszyła, gdzie najdroższa ją sprawa wołała. Ja służyłem krajowi w pierwszym pułku krakowskich Krakusów. Co to za dziarska była młodzież, co za chwaty chłopaki! Bo też ogólny był zapał; od komnat pałacowych do chaty wieśniaczej — jedno hasło: wypędzić wroga z kraju! Kto tylko czuł się na siłach, ten podążał do szeregów, czy pan włości, czy mieszczanin, czy chłopek. Nakazano, aby ze wsi po jednym ochotniku brano z 50 dymów, a tu po 20—30 przybywało w szeregi dymników, aby na ochotnika bić wroga. A były to chwaty chłopy, ustawicznieby się tylko bić chcieli — z taką też armią tylko można było takich cudów w bitwach dokazywać. Żołnierz nasz nie pytał, ile jest wroga, ale — gdzie on jest! Były czasem i niewygody — ale, jak to w czasie wojny, na to żołnierz był przygotowany; gorzej było z końmi, bo tym na niczem zbywać nie mogło.

Pamiętam — było to w kwietniu 1831 r., byliśmy w marszu pod Stoczkiem, gdy nam zabrakło żywności i dla ludzi i dla koni. Trudne to było położenie; silniejsze oddziały można tylko było wysyłać w okolicę, bo o milę drogi było lewe skrzydło Dybicza. Nasz porucznik Oraczewski z 1 pułku Krakusów krakowskich, dostał nakazaz, aby się starał o siano dla całej dywizyi. Wybrał się więc w marsz z plutonem (44 koni), i prawie o milę drogi od forpoczt rosyjskich spostrzegł na polu stogi siana. Nic pilniejszego, jak ze wsi pościągać podwody, nakłaść siana i w nogi. Ledwo jednak pierwsze porucznik wydał rozkazy, gdy wieśniacy donoszą mu, że tuż za wsią Rosyanie się zbliżają. Porucznik posłał zaciągnąć języka, a przekonawszy się, że znacznie więcej jest Moskali, jak w jego plutonie żołnierzy, wydał rozkaz do odwrotu. W tem zamieszaniu zapomniał porucznik żołnierza, nazwiskiem Mulet, któremu na imię było Jan, a był to syn chłopka z Niegowonic z Olkuskiego. Piękny to był z rysów twarzy i miły towarzysz, to też nie nazywali go inaczej, jak: *Ładny Jasiek.* Tego Jaśka zgubił porucznik; chce się cofnąć z plutonem do wsi po Jasia, ale ćma Rosyan — niepodobieństwo narażać plutonu na śmierć niechybną.

Tymczasem Jasiek gospodarzy w stogach pod lasem, jakby ani jednego nieprzyjaciela nie było we wsi; chłopi perswadują mu, aby się nie wystawiał na niebezpieczeństwo i podążył za plutonem, ale Jasiek im odpowiada:

— »Nie ma tu porucznika, więc ja komenderuję. Słuchajcie, ja pojadę na drogę, wy tu zostańcie, a gdy wam dam znak, to z całego gardła krzyczcie: hurra! hurra«!

Pędzi Jasiek na drogę, Moskale go zoczyli, Jasiek wywija pałaszem, poczciwi wieśniacy, jak nie rykną hurra! hurra! to aż las zadrżał. Od głos odbił się w lesie tak silnie, że nieprzyjaciel, sądząc, iż naszych conajmniej tyle co ich, co prędzej dał drapaka.

Spokojnie wieśniacy dalej nakładali siano i 30 fur zawieźli do Stoczka, gdzie ze sztabem stał generał Jankowski. Wszyscy otoczyli Jaśka. Przybył i porucznik Oraczewski, który go miał za straconego. Generał dziękował chłopom za ich życzliwość i przywiązanie do Ojczyzny

– Jaśnie generale — rzekł jeden z tych poczciwych ludzi — myśmy spełnili nasz obowiązek, bo Polska tego od nas wymaga, ale przytomność umysłu i odwaga tego Krakusa uratowała siano i nas i jego.

Dowiedziawszy się generał, jakim fortelem Jasiek w pole wywiódł Moskali, przyrzekł mu krzyż w dowód zasługi.

— Panie generale — rzekł Jasiek — z wdzięcznością i posłuszeństwem żołnierza przyjmuję tę honorową oznakę, ale... ale...

— No, cóż takiego, mów śmiało!

— Otóż — panie generale, gdym się dowiedział, że Ojczyzna woła ratunku, poprosiłem matki o błogosławieństwo i z niem pospieszyłem do obozu, zostawiwszy w domu staruszkę matkę i siostrę bez grosza, bez utrzymania; proszę dla nich o mały datek, choćby z mego traktamentu zaliczkę. Generał, wzruszony tem przywiązaniem synowskiem, spojrzał do koła.

— Panowie — zawołał — daję czerwieńca (dukata), poruczniku Paprocki, obejrzyj się za więcej. W jednej chwili każdy z otaczających sięgnął do kieszeni, a Paprocki przez umyślnego posłańca posłał matce Jaśka sumkę, która dobrze wystarczyła już na utrzymanie.

Kiedym awansował na oficera, miałem w moim oddziale tego dzielnego Jaśka, którego jako chwackiego żołnierza bardzo pokochałem. Bo też było co pokochać — tego szlachetnego i walecznego żołnierza. Cofnął on się ze mną od rejterady z pod Bolimowa pod mury Warszawy, a we wszystkich wycieczkach na wroga, Jasiek zawsze był pierwszy. Kiedy Rosyanie przypuścili szturm na Warszawę, pułk nasz pilnował 40 lekkich dział. Bohatersko się broniliśmy; pierwszego dnia kilka razy szarżowaliśmy na wroga. Jasiek dzielnie się bił; drugiego dnia przy czwartej szarży był ranny w głowę, stracił trzy palce u prawej ręki i został odniesiony do lazaretu. Powszechny żal ogarnął nas na tę smutną wiadomość.

Jan Mulet doczekał się późnej starości. Gromada we wsi Niegowonicach, skąd Mulet był rodem, wyposażyła jego córkę, uznając zasługi ojca, a gdy dzielny wiarus życie zakończył, uczciła go pogrzebem.

Hymn do Polski.



O polska ziemio, rajska kraino!
Ziemio praojców walecznych Ty!
Dzisiaj nad Tobą łzy żalu płyną,
Lecz wrócą jeszcze szczęśliwe dni!
Znów orzeł biały wzleci nad łany,
Pęta niewoli odrzuci w dal;
Wolnością błyśnie kraj nasz kochany,
Zawita radość a zniknie żal!
O Polski Syny, Córy szlachetne,
Chlubnej przeszłości odnówcie dni!
Niech wrócą znowu te czasy świetne,
Po których teraz ronimy łzy!
Niech zgoda, miłość, wśród nas nastanie!
Każdy cnót naszych ojczystych strzeż!
Wtedy zaświta szczęścia zaranie
A Polska wolna wzdłuż i wszerz!

Teofil Tryczyński.



Potęga nabożeństwa majowego.

(Zdarzenie prawdziwe).

Zadowoleni, szczęśliwi nawet żyli małżonkowie Wiórkowscy, majster stolarski Antoni i żona jego Anna. Pan Bóg pobłogosławił ich kilkorgiem dobrych, zdrowych dzieci, a że Antoni był dzielnym majstrem, więc dobrobyt wzrastał w ich domu.

Z czasem powstało w miasteczku kilka towarzystw, a ponieważ Wiórkowskiego lubiono ogólnie, przeto wybrano go do zarządu. To było jego zgubą. Po posiedzeniach towarzystwa, następowały zwykle posiedzenia w szynku. Antoni przywykł wkrótce do życia restauracyi i przyzwyczaił się do picia. Złe rosło szybko i nie trwało długo, a Wiórkowski został skończonym pijakiem. W domu tymczasem zaczął znikać dobrobyt i groziła ruina.

Nie pomogły nic prośby i błagania dobrej żony. Z początku mąż wykręcał się i wykłamywał przed nią, potem miotał się na nią ze złością i groźbami, nie uważając za dorastające coraz bardziej dzieci. Nadszedł czas wielkanocny i Anna poszła do spowiedzi. Strapiona kobieta użaliła się przed ojcem duchownym, prosząc go o radę, jak postępować, by w domu znowu powrócił spokój i zadowolenie. Spowiednik ze szczerem współczuciem starał się pocieszyć ją i zalecał, by nie ustawała w modlitwie za swego nieszczęśliwego męża.

— Za parę dni — rzekł w końcu — zaczyna się maj. Chodź, moja duszo, codziennie na nabożeństwo majowe, modląc się gorąco, by Marya, ucieczka grzesznych, uprosiła nawrócenie dla twego męża. Także dzieci niech się modlą pobożnie do Najświętszej Panny.

Radę spowiednika zapisała Anna głęboko w sercu mojem i z uczuciem przekonania, że modły jej nie będą bezskuteczne, rozpoczęła miesiąc Maryi. Modliła się pierwszego dnia nabożeństwa majowego bardzo gorąco, uczęszczała na nie codziennie i dzieci modliły się z nią razem. Już minęła połowa maja, już zbliżał się koniec jego, a u Antoniego nie zaznaczyła się żadna zmiana ku lepszemu. Biedna kobieta o mało nie zaczęła tracić odwagi. Nadszedł ostatni dzień maja i uroczyste zakończenie nabożeństwa majowego. Anna modliła się z całą żarliwością duszy. Tak serdecznie nie modliła się jeszcze uigdy w życiu swojem i pokrzepiona na duchu opuściła kościół. Ale Antoni i tego dnia wprost szalał, jak gdyby szatan był wytężył wszystkie swoje piekielne siły, by go zgubić. Zajrzawszy w ciągu dnia kilka razy tęgo na dno kieliszka, poszedł późnym wieczorem jeszcze do szynku.

W godzinę później Anna usłyszała jakiś hałas koło ich domku, wreszcie otworzyły się drzwi i czterech ludzi wniosło na noszach zupełnie spojonego, nieprzytomnego i głośno jęczącego jej męża. Spadł on w szynku ze schodów i złamał sobie nogę.

Kiedy biedna Wiórkowska ochłonęła z pierwszego przerażenia, duszę jej przejął jakiś dziwny spokój, jak gdyby zabłysła jutrzenka nowego dnia. Głos jakiś zdawał się szeptać jej do ucha:

— To jest wysłuchanie twojej modlitwy, to początek ocalenia męża!

Wezwano lekarza, który orzekł, że złamanie nie jest niebezpiecznem i opatrzył chorą nogę. Po północy, pełnej udręczenia, ustał ból cokolwiek, i majster Antoni, jeszcze odurzony wódką, zasnął głęboko. Kiedy obudził się rano, uprzytomnił sobie, co zaszło. Dziwnym wzrokiem spojrzał na żonę, siedzącą przy łóżku i czekającą na jego ocknienie, by się dowiedzieć, jak się mąż miewa. W miejsce odpowiedzi popłynął strumień łez z jego oczu potem odwrócił głowę i leżał nieruchomy. Nareszcie po długiem milczeniu podniósł się trochę, ujął rękę żony i wśród łez gorących odezwał się do niej:

— Anusiu, ciężko cię zasmuciłem. Jestem niegodziwcem w obliczu Boga i twojem. Przebacz mi! Odtąd wszystko się zmieni, będę się starał złe naprawić, a Pan Bóg mi przebaczy. Czy i ty mi przebaczasz?

Anna rzuciła się mężowi na szyję, i oboje małżonkowie pojednali się uściskami wśród łez rzęsistych.

Wiórkowski dotrzymał słowa i pokonawszy, jako pokutę, z największą cierpliwością dotkliwe bóle, pospieszył zaraz po wyzdrowieniu od trybunału pokuty św., by przez szczerą i pełną skruchy spowiedź pojednać się z Bogiem, i odtąd stał się znowu wzorowym mężem, ojcem i rzemieślnikiem.

Anny nabożeństwo majowe ocaliło go!

Ks. J. Grzymek.



Pobudka do miłości.

Zima umilkła, bo wiosna panuje,
Okrywa drzewa w zielone korony;
Rolnik na roli piosnkę przyśpiewuje:
„O Polskie ojczyste i złote zagony"!

Popatrz, jak świat cały w kwiaty się przybiera,
Posłuchaj jak brzozy przystrojone szumią,
Ledwo się serce z żalu nie rozdziera,
Jak one swą radość wypowiedzieć umią.

Posłuchaj, co mówią smukłe sosny w lesie,
Kiedy wiatr wieje, przerywając cisze,
Zwolna i miarowo wierzchołki kołysze;
Hasło uroczyste po konarach niesie.

O gniazdo rodzinne, gdy patrzę na ciebie
Myśl słodka płynie, dusza, jakby w niebie,
Wynurza, marzy i rojeń tysiące
Z krainy świata, gdzie nie gaśnie słońce.

W rodzinach tylko ta radość jaśnieje,
W kołach rodzinnych ogniskach domowych,
Ale w narodzie niezgoda widnieje
Wśród kłótni bratnich i niezgód rodowych;

Dzieci tej ziemi i rodzinne syny
W walce na słowa w sprawie tej stanęli
Niema w narodzie spokoju godziny —
Bracia złość, niechęć, przeciw sobie wzięli!

O, bracia mili! wznieśmy w niebo duchy,
Prośmy o gwiazdę, która Bożem tchnieniem
Ześle nam zgodę i doda otuchy,
Bo dobrze wiecie, że zgoda zbawieniem!

Władysław Biedroń.

Trzeci maj.

(Obrazek prawdziwy).

Hej maj! Trzeci maj! Święto wprawdzie nie kościelne, lecz nie mniej miłe i wesołe, bo święto narodowe. W dniu tym wprawdzie dzień cały praca odchodzi, jak zwykle, ale wieczorem za to tu i ówdzie gromadzą się ludzie, aby obchodem uroczystym uczcić ową wiekopomną rocznicę nadania Polsce konstytucyi. W dniu tym we wspomnieniach serce żywiej bije i wstępuje w człeka jakaś błoga nadzieja, że nadejdą chwile dla nas jaśniejsze.

Dzień trzeciego maja ubiegłego roku był jasny i pogodny. Gaje i pola napełniał miły śpiew ptasząt, po pastwiskach grały rozgłośnie fujarki pasterzy a po polach szedł rozhowor wiejskiej czeladzi, pracującej około sadzenia ziemniaków. Gwarzono wesoło, pracowano ochoczo.

A po szerokich łanach szły zmowiny, aby po ukończonej robocie pójść do szkoły, gdzie miał się odbyć uroczysty wieczorek ku uczczeniu rocznicy konstytucyi Trzeciego Maja, urządzony przez dzieci szkolne za staraniem nauczyciela.

— Mają tam być różności — zaczęła pogawędkę Jagna Łojkówna, dziewczyna, jak łania. — Mówiła nasza Kasia, która chodzi na ostatni rok nauki, że najpierw ksiądz proboszcz będzie miał przemowę, potem będą śpiewały dzieci szkolne i mówiły różne ładne wierszyki a na ostatek będą dzieci udawać bitwę Kościuszki pod Racławicami.

— Ale — powiada na to Józef Brzytwa, ten sam, co się to już od roku ma ku Jagusi — jakże będą udawać Kościuszkę, kiedy go nigdy nie widziały?

— Cóż z tego, że go nie widziały! Przecież to wszystko, co on robił i mówił jest napisane w książce; dzieci się wyuczyły wszystkiego dokumentnie i będą to mówić, co mówił Kościuszko i jego żołnierze.

— To się i bić będą? — przerwał Jasiek Sojka, zwany Padalcem.

— No, juści — odparła Jagna. Żona nauczyciela wyrychtowała dla dzieci takie ubrania, jakie nosili żołnierze kościuszkowscy a Walek od wójta z deszczułek wystrugał im galantne szabelki, któremi chłopcy będą udawać bitwę.

Przystanęli wszyscy pracownicy i przerwali na chwilę robotę, — tak ich zaciekawiło opowiadanie Jagny. Każdy w duchu postanawiał, aby tylko zejść z pola, to przywdzieje lepszą przyodziewę i pobiegnie do szkoły, aby się tym cudnościom napatrzyć. Zasłuchanie się to przerwał jednak Kasper Szeliga, który rzekł:

— Nie bajajcie byle co, ale się zwijajcie, bo czas uchodzi a roboty moc.

Kasper, choć posiadał własne gospodarstwo, ale że ono było niewielkie, więc się wynajmywał do sąsiadów na zarobek.

— Coś nieradzi słuchacie opowiadania Jagusi — ozwał się Józek Brzytwa — zdaje się, jakbyście nieciekawi byli na dzisiejszy wieczór.

— Zaśby tam! ciekaw jestem, — odparł Kasper, — ale do szkoły nie pójdę.

— Czemu zaś? — zapytała Jagna.

— Czemu? a no temu!... zaczął Kasper i przerwał, jakby nie chciał wypowiedzieć rozpoczętej myśli. Ale po chwili tak się odezwał:

— Kłamać nie umię, a prawdę niezawsze rzec można. Ale kiedy mnie ciągniecie na słowo, to powiem, co się w głębi tu kryje. Świat mnie cały mierzi, bo on nierówną miarką wszystkich ludzi mierzy. Podzielił se ludzi, jak snopy, na panów i chłopów, na mieszczan i wieśniaków, jakbyśmy to nie wszyscy z jednej gliny byli. Ale nie oto mi chodzi, boć wiadomo, że jednych od drugich odróżnia wykształcenie i miejsce, gdzie mieszkają, a przeciw temu nic nie mam, lecz gniewa mnie to, że często gęsto chłop na chłopa patrzy z podełba, niczem jaki magnat. Przecie wiadomo każdemu, że taki Wawrzek Pasternak ma zaledwie o cztery morgi odemnie więcej a tak mnie traktuje, jak jakiego pospolitaka.

Domyśleli się wszyscy do czego zdąża Kasper, bo wiedzieli dobrze, że jest okropnie ambitny i każde choćby mimowolne lekceważenie boli go ogromnie. Cała wieś znała jego nienawiść do Wawrzka za to, że ten traktował go zawsze z góry. Z powodu tej nienawiści przychodziło często między sąsiadami do kłótni bezpotrzebnej.

— Otóż — ciagnął dalej Kasper — do szkoły nie pójdę, bo tam zeszlibyśmy się z Wawrzkiem a z tego nicby dobrego nie wynikło. Spojrzałby on na mnie brzydko — jabym go gotów pięścią zamalować, a to się nie godzi.

— Ktoby tam na to patrzał, — przerwał Józek. A może Wawrzek do szkoły nie przyjdzie?

— Pewnikiem nie przyjdzie — skłamała Jagna. Mówili mi wczoraj Wawrzkowa, że ich na cały tydzień pojechali z towarami do miasta. Pewnikiem nie przyjdzie.

— Ale, czy to ino prawda — pytał jeszcze Kasper, — bo jak prawda, tobym duchem szedł do szkoły. —

— Prawda, prawda — przyświadczyła Jagna, — choć wiedziała, że nie prawda.

Wśród takiej pogawędki praca szła szybko i wieczór zbliżał się coraz bardziej. Gdy słońce zniżyło się ku zachodowi, pracownicy pospieszyli szybko do domów, aby, przebrawszy się pójść na zapowiedziany wieczorek.

Jakoż niedługo droga zaczęła się roić spieszącymi a sala szkolna wypełniała się ludźmi. Pomiędzy pierwszymi był Kasper. Wszedłszy do sali, rzucił po niej okiem, czy nie zobaczy Wawrzka, lecz go nie było.

Gdy już izba napełniła się ludźmi, wszedł ksiądz proboszcz na podwyższenie i zaczął mówić. W tej chwili przecisnął się przez tłum Wawrzek i dziwnym zbiegiem stanął tuż przy Kasprze. Ten ostatni, zobaczywszy go, chciał odejść, aby uniknąć jakiego nieprzyjemnego zajścia, ale duma przemogła i pozostał.

Ksiądz proboszcz tymczasem opowiadał, jak to przed przeszło stu laty w dniu 3. Maja ogłoszono konstytucyę, która nadawała wszystkim jednakowe prawa i obowiązki.

— Dziś jesteśmy w niewoli — kończył ksiądz proboszcz — ale niewola ta zniknie, gdy serca nasze przepełni miłość wzajemna, gdy zgoda zapanuje pomiędzy nami. Wszak jesteśmy dziećmi jednej Ojczyzny — niech więc wszelkie urazy znikną z serc naszych, podajmy sobie wspólnie dłonie i wspólnie pracujmy nad odrodzeniem ojczyzny naszej.

Zgromadzeni słuchali słów księdza z przejęciem. Kasper i Wawrzek podczas tej mowy spoglądali na siebie coraz częściej, ale już nie z zawiścią, a gdy ksiądz skończył swą przemowę, mimowolnie ich dłonie połączyły się razem, a usta ich wyszeptały słowa pojednania.

Z rozczuleniem patrzyli sąsiedzi na ich piękny postępek, a gdy się o nim dowiedział ksiądz proboszcz, ucałował obydwóch i rzekł:

— Dzięki Ci, Boże! A oto nowy dowód, że rzecz piękna i po latach wielu wywiera błogi skutek!

Odtąd Kasper i Wawrzyniec byli najserdeczniejszymi przyjaciółmi.

Jan Kret.





Moja wioska.

Jam się nie rodził z harfą Eola,
Jam się nie rodził pieśniarzem,
Bo moją harfą był pług i rola,
Zgrzyt nędzy, pieśnią zarazem.
Jam się nie rodził w łożu rozkoszy,
Jam się nie rodził na pana,
Świat ten ujrzałem w chacie pastuszy,
Ma przyszłość zgonem nazwana.

Pastuszkiem będąc nuciłem pieśni,
Echo je niosło w rozłogi,
A szkołą dla mnie byli rówieśni,
A drogą ciernie i głogi.
Pastuszkiem będąc piosnki nuciłem
Z słowikiem na wyścigi,
Z wierzby piszczałki skarby dobyłem,
Niosły je wiatru podrygi.

Rosłem i żyłem razem z naturą,
Wspólnie z tym łanem pszenicy,
A męka Boża stała pod górą
I była świadkiem tęsknicy.
Rosłem i żyłem matce niebodze
I ojcu troską daremną,
A Chrystus z krzyża, co stał przy drodze,
Patrzał i płakał nademną.

Pamiętam dobrze, było to w maju
Wszystko się śmiało do słońca,
A lekki wietrzyk od nieba skraju
W wonności bawił się gońca.

Pamiętam, dzień był jak wymarzony,
Świat cały w pełnym rozkwicie,
Łan kołysany bił w pas pokłony,
Stwórcy, co daje życie.

W tem przyszła chmura sina, złowroga,
Chmura co niesie zniszczenie,
Z wichrem i grzmotem dała znać Boga,
Całe zniszczyła nasienie.

I przyszła chmura z gradem, łoskotem,
— Oj przyszło Boże skaranie!
I położyła łany pokotem —
— Dlaczego każesz nas Panie?!...

Pobiegłem pod krzyż stopy objąłem,
Stopy Chrystusa rękami,
I łzami myjąc błagać począłem:
„Miej Panie litość nad nami!“

Krwawiące stopy obmyłem łzami —
— Chrystus uśmiechnął się z krzyża
I rzekł: „W karaniu jam Bóg nad Wami,
Karanie niebo przybliża“.



I odtąd także śpiewam piosenki,
Lecz już nie z wesołości,
Jak matka dziecko gdy do trumienki
Wkłada i śpiewa z żałości.

Jak matka, która przez dziecię w łonie
Cierpienia znosi dla niego.
Jednak ku niemu miłością płonie,
Bo cierpiąc kocha dlatego.

Tak ja mą rolę, wioskę, ojczyznę
Kocham, choć mię to boli,
Gdy widzę w nędzy dziadów spuściznę,
Bo jam się rodził na roli!

Jan Cetera.

Ku czci Królowej w maju.

Matko! tam w niebie zażywasz chwały,
Jaką Ci nieba z miłości dały,
Jako przystoi Bogarodzicy,
Niepokalanej, czystej Dziewicy.

Za to żeś Matką Boga została,
Tobie należna największa chwała,
Tyś jest po Bogu najpierwszą w rzędzie,
Jako Królowa w Króla orędzie!

U Jej podnóżka miesiąc ognisty,
Na całe niebo rozpromienisty —
Na nim to Panna, stojąc, spoczywa,
Gdy całe niebo do modłów wzywa.

Na głowie z pereł i gwiazd korona,
Dyamentami w koło olśniona,
Szata jej śliczna z drogich kamieni,
Która kolory w słońcu się mieni.

Z prześlicznej twarzy włosy rozwiane,
Naokół wszędy gwiazdy zasiane
Zdobią Jej postać, skrząc się iskrami,
Jako pryzmaty szkieł kolorami.

A nieodstępni Jej aniołkowie
Tworzą straż wieńcem jako ptaszkowie,
W straży się z sobą ciągle zmieniają,
Bo Ją za swoją Panią uznają.

Tak to Najświętsza Panna jaśnieje,
Wielką świętością naokół wieje,
Nad Nią się święta Trójca unosi,
Którą to każdy o łaski prosi.

Nad wszystkich Świętych jest wywyższona,
Według zasługi uszczęśliwiona,
Bo jako wszędzie i tam to w niebie
Różnią się stopniem Święci od siebie.

A wszystkich szczęście jest niezmierzone,
Na wieczne czasy nieukończone,
Bóg jest najwyższem szczęściem ich w niebie,
Którego widzą około siebie.

Całe się niebo w szczęściu rozpływa,
Co wszystko ziemskie, blaskiem zaćmiewa,
Ile ważniejszym duch jest od ciała,
Tyle rozkoszą duch w niebie pała.

Co tam niebiańskiej wszędzie muzyki
I anielskiego śpiewu okrzyki!...
Ani nie pojmą zmysły człowieka,
Co Bóg zgotował synom od wieka...

Rozkosze ziemskie wielkiej zacności,
To jakby zero przeciw wieczności,
Naprzeciw szczęścia duchów niebiańskich
Naszych patronów, wybranych Pańskich.

Lecz nad wszystkimi Panna Marya
Jaśnieje, jako nad kwiaty lilia,
Promieńmi swymi, jakgdyby słońce,
Oświeca niebo na wszystkie końce.

Wszyscy Jej święci hołdy składają
I swojej Pani pienia śpiewają,
A siedm chórów anielskich razy
Czekają na swej Pani rozkazy.

Tak Bóg Najwyższy Maryę przystroił
I Swoich stworzeń bóle ukoił.
Bo swe stworzenia tak umiłował,
Że im niczego nie pożałował.

I dał im Matkę wielką tam w niebie,
By im ucieczką była w potrzebie,
Przedsionkiem wiecznej niebios krainy,
Na łożu śmierci, śmierci godziny.

Ona jest Matką wszystkich swych wiernych,
W świętym kościele tak nierozdzielnych:
Na ziemi, w czyścu i tam to w niebie,
Choć to na pozór daleko siebie.

Święci Anieli, Archaniołowie,
Cherubinowie, Serafinowie
Pełnią Swej Matki święte rozkazy,
Nieprzeliczone latając razy.

To duszę z czyśca w niebo wynoszą,
Za człekiem grzesznym Syna Jej proszą,
Z złego upadku jego odwodzą,
Wszystko pod Panny Najświętszej wodzą!...

Adam Jesionek.

Przez wódkę do zbrodni.

Była to piękna noc majowa. Z poza góry przyświecał piękny księżyc, całując swem światłem nizkie, słomą pokryte chaty, obok których w ogródkach małych pieścił się miły południowy wietrzyk budzącemi się co dopiero kwiatkami do życia... Zresztą wokoło cisza grobowa i uroczysta; czasem tylko zdala wśród wsi słychać ponure psa szczekanie, lub smutne wołanie puszczyka...

Otóż w te błogą i uroczą noc majową na przyzbie jednej z chat siedziało dwoje młodych ludzi. Ona ocierała fartuchem ciekące łzy po twarzy, on zaś wzrokiem smętnym i posępnym patrzał gdzieś hen w dal... w dal niezmierzoną... Po chwili ujął rękę młodej dziewczyny, przycisnął czule do piersi i z żalem drgającym w głosie tak do niej mówił:

— Ach! trudno moja droga Kasiu, widno ono Bóg na nas takie przeznaczenie zsyło, kiej się nom nie pozwoli ojciec pobrać...

Na to Kasia, tuląc się do swojego bogdanka, rzekła:

— Ja bez ciebie, drogi mój żyć nie będę, bo ja cię kocham jak to słonko na niebie, więcej jak życie. Tatuś nie chcom pozwolić byśmy się pobrali, nie chce se dać ani wspomnieć o tobie, a Franka to zawsze z otwartemi ramionami przyjmuje, dlatego, że jest bogaty i że mu głowę wódką zaliwo! Ach ja nieszczęliwa! Raczej z domu ucieknę na kraj świata, a za nikogo innego nie pójdę, tylko za ciebie, mój Wojtusiu drogi! Bóg mię za to nie ukarze, że nie chce spełnić woli ojca, bo ojciec to tylko na majątek patrzy, a bardziej na wódkę, co mu Franek nosi. Nie pójdę za niego! nie! nigdy! chociażbym się zmarnieć miała!...

— Ja ofiarowałem dla ciebie, moja Kasiu całe swoje życie — rzecze Wojtek — a że nimom majątku, wszak to przecież P. Bóg majątki ludziom rozdaje, którzy go kochają. Mam przecież dzięki Bogu ręce zdrowe, to potrafię zapracować na wszystko, co nam będzie potrzeba.

Tu Wojtek urwał rozmowę, bo zdala pokazała się postać pijanego Franka, który pijackim i ochrypłym głosem nucił sobie piosenkę:

Wara Wojtek od Kasieńki!
Ojciec mnie ją daje,
Bo mam domek nowiusieńki
I pług skibę kraje...

Na śpiewanie Franka aże psy się odezwały na wsi; on zaś wywijając pałą ponad głową podążał zwolna ku swojej chacie. Nareszcie zniknął na podwórzu.

Kasia i Wojtek jeszcze chwilę podumali, potem uściskali się serdecznie jak dzieci, a życząc sobie »dobranoc« udał się na spoczynek.

* * *

Minęło sporo czasu, a Franek nie ustępował pomimo tego, że go Kasia na oczy widzieć nie mogła. Franek, widząc to, coraz większą pałał nienawiścią ku Wojtkowi, któremu Kasia była szczerą i wzajemną, a na niego patrzeć nie chciała. Więc Franek przysiągł Wojtkowi zemstę.

Otóż pewnego razu, kiedy Wojtek sam wracał z pastwiska wieczorem koło karczmy, Franek stojąc przed nią pijany, nasunął czapkę zawadyacko na czoło i rzekł:

— Acha, mam cię! Zaczekaj no ty dziadu, ja cię tu dzisiaj poczęstuję — i przysunął się do Wojtka, który trochę zmieszany rzekł:

— Z tobą pijaku nie mam dziś nic do gadania, daj mi spokój, kiedy sobie idę spokojnie drogą!

— Ty psubracie! tu masz spokój! ja cię stąd żywego nie puszczę! — To mówiąc, uderzył Wojtka potężnie kilka razy sztachetą, wyciągniętą z płotu. Wojtek upadł bez ducha, zalany strumieniem gorącej krwi... Franek zaś, przestraszony swym czynem, zbiegł do wsi, zostawiając zabitego na drodze Wojtka...

Kiedy Kasia dowiedziała się o śmierci swojego ukochanego, nie mogła utulić się z żałości i poprzysięgła ojcu, że nietylko za Franka, ale za nikogo za mąż nie pójdzie.

Na trzeci dzień odprowadził sędziwy kapłan zwłoki Wojtka na miejsce wiecznego spoczynku...

Franka jako zbrodniarza zakutego w kajdany odprowadziła żandarmerya do więzienia, w którym także swoje marne życie skończył. A winna temu była tylko wódka, która go popchnęła do zbrodni, a potem do więzienia.

Robert Rydz.

Niemądry żyd.

Nie więcej może, jak 10 lat temu, wybrało się kilku studentów na wycieczkę. Wstąpili po drodze do karczmy, napić się piwa. Karczma, jak zwykle, była w żydowskich rękach.

Już mieli się zabierać do odejścia, gdy wtem przychodzi ów żyd do nich i pyta:

— Nu, panowie z daleka idą?

— Z miasta.

— Jo go chcieć panów prosić, coby mi który napisać taki jeden malutki, fain interes.

Studentów to zaciekawiło, więc pytają:

— Cóż takiego — prędzej!?

— Nu, tylko pare słowów.

— Mów prędzej, bo idziemy. — I zabierają się do wyjścia.

Żyd zląkł się, że mu się nie uda, więc zaraz mówi wszystko.

— Nu, niech si panowie nie gniwają tak prędko. Jo zaroz wszystko przyniść.

Pobiegł szybko do drugiej izby i przyniósł kawałek tektury, atrament i pióro.

Studentów jeszcze bardziej to zaciekawiło, co żyd chce mieć napisane na tekturze.

Ale żyd się odzywa:

— Nu, jo chcieć mieć napisane na te dyktura: »Jutro za darmo, dzisiaj za pieniądze«.

Jeden ze studentów zabrał się zaraz do pisania; jednak nie napisał tak, jak mu żyd polecił, ale: »Dzisiaj za darmo, jutro za pieniądze«.

Żyd, czy to nie umiał czytać, czy też z uciechy nie popatrzał, co napisane, wywiesił to nad drzwiami.

Studenci zaś wyszli zaraz i ukryli się w poblizkich krzakach i czekali, co z tego wyniknie.

Za chwilę przechodziło kilku gospodarzy. Było to koło południa, więc zdążali do domu na obiad. Jeden z nich przeczytał to, co żyd wywiesił, więc powiada do innych:

— Wiecie co? wstąpmy do karczmy.

Wszyscy zgodzili się na tę propozycyę. Zjedli dobry obiad, napili się potem piwa i bez zapłaty wychodzą. Wtedy żyd:

— A gdzie piniądze?

Na to ten, który ogłoszenie przeczytał, wyprowadza żyda na dwór i pokazując żydowi, mówi:

— Patrz żydzie, coś tu wywiesił. Skoro dajesz dzisiaj za darmo, to siedź cicho i nie mów nic.

Żyd złapał ogłoszenie, podarł ze złości na drobne kawałki, ale gospodarzom nie mógł nic więcej powiedzieć.

W. K.



Święty Stanisław, biskup krakowski.

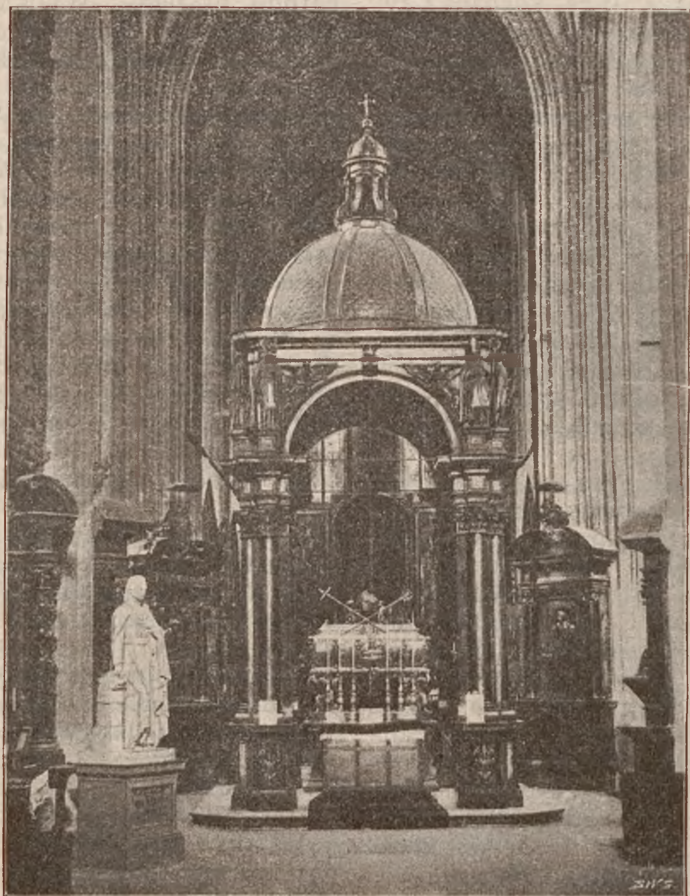
Któż z Was, kochani Czytelnicy nie wie o życiu świątobliwem, męczeństwie i zasługach dla Kościoła i narodu polskiego wielkiego Patrona naszej Ojczyzny, św. Stanisława? Kto będąc w Krakowie, nie odwiedził kościoła OO. Paulinów na Skałce, nie ukląkł przed ołtarzem, przy którym św. Stanisław poniósł śmierć męczeńską z ręki króla Bolesława Śmiałego, kto w katedrze na Wawelu nie modlił się przed stojącym na środku świątyni ołtarzem, na którym stoi srebrna trumna, zawierająca święte szczątki biskupa krakowskiego?

Każdy Polak, czy w siermiędze wieśniaka, czy kapocie mieszczańskiej, czy w surducie, ma od dzieciństwa wpojoną w duszę cześć dla św. Stanisława. Dla całego świata jest on tylko biskupem i męczennikiem, dla ziemi polskiej jest czemś więcej, bo najszlachetniejszym jej synem, największym jej Patronem. Cały świat wiernych czci wielu świętych Pańskich i doktorów Kościoła, lecz poszczególne narody wyjątkową cześć oddają swym Patronom, na ich ziemi zrodzonym. Niemcy czczą św. Bonifacego i św. Leopolda, Francya św. Remigiusza, św. Ludwika, Anglia św. Augustyna i św. Tomasza, Polska św. Stanisława. W zaraniu dziejów naszych zabłysła wielkiem światłem ta postać — i odtąd ustawicznie w życiu narodu naszego spotykamy się z nią. W chwilach najważniejszych, w chwilach klęsk narodowych i w dobach radości powszechnej po odniesieniu wielkich zwycięstw, zawsze ku tej postaci zwracały się serca narodu naszego. Wielką też cześć oddawali św. Stanisławowi polscy królowie. Władysław Łokietek wieś Piotrowin na cześć św. Stanisława ofiaruie kościołowi św. Stanisława. W dniu przed koronacyą pielgrzymują królowie nasi na Skałkę, gdzie śmierć męczeńską poniósł św. Stanisław, a stamtąd przyszedłszy do katedry na Wawelu, tutaj rządy swoje i siebie polecają opiece św. Patrona. Wzywali go monarchowie polscy w każdej potrzebie, a po śmierci w podziemiach katedry obok Niego składali swe utrudzone głowy. Chorągwie, zdobyte na nieprzyjaciołach pod Grunwaldem, pod Wiedniem i na innych polach bitew, składali u stóp Jego ołtarza na Wawelu. W czasach napadów na ojczyznę zawziętych nieprzyjaciół, obrazy św. Stanisława wywieszał naród polski na granicach swych ziem, jakby tem oświadczając wobec Boga i ludzi, że cała Ojczyzna, cała Polska jak długa i szeroka to własność św. Stanisława, a wszystkie ziemie polskie jego przemożnej oddane są opiece.

*

Wielki Patron Polski ujrzał światło dzienne w pradawnych czasach, blisko 900 lat temu, bo w r. 1030, jako syn Wiesława i Bogny Szczepanowskich we wsi Szczepanowie w dyecezyi krakowskiej. Rodzice jego, pochodzący ze starego szlacheckiego rodu, byli ludźmi wielkiej pobożności i nader litościwego serca dla ubogich. Żywiąc szczególne nabożeństwo do św. Maryi Magdaleny, w jednej wsi, do dóbr ich należącej zbudowali kościół pod jej wezwa-

niem i w nim tak w dni świąteczne jak powszednie długie godziny na gorącej modlitwie spędzali. Przedmiotem ich modłów było przedewszystkiem pragnienie potomstwa, gdyż przez trzydzieści lat żyli w małżeństwie, a Bóg ich dziećmi nie pobłogosławił. Uczynili też ślub, że gdy modlitwy ich zostaną wysłuchane, dziecię swe ofiarują na wyłączną służbę Bożą. Wysłuchał w końcu Bóg próśb wiernych sług Swoich i Bogan Szczepanowska powiła dziecię, płci męskiej, któremu na chrzcie św. dano imię Stanisław. Dochowując ślubu, wychowywali synka z wielką starannością, utwierdzając go od kolebki w wierze i miłości Boga. I doczekali się też niezadługo błogich skutków swego wychowania, ziarno pobożności padło na urodzajną glebę. Stanisław licząc zaledwie lat dziewięć, już służyć mógł za wzór świątobliwości. Całe godziny spędzał klęcząc na modlitwach w kościele w największem skupieniu. Najczęściej zwykł był się modlić przed ołtarzem Bogarodzicy, do której szczególniejsze okazywał nabożeństwo. Wstawał też często w nocy, budząc się ze snu,



Kaplica św. Stanisława na Wawelu.

opuszczał wygodne łóżeczko i kładł się na gołej podłodze. Widok ubogiego pobudzał jego tkliwe serce do głębokiej litości. Największą radością jego było, gdy rodzice pozwolili mu jałmużnę rozdzielić między ubogich. Co tylko otrzymywał od rodziców, wszystkiem dzielił się z biednymi; wszystko, co inne dziecko obróciłoby na rozrywkę, on ofiarowywał na uczynki miłosierne.

Gdy nadszedł czas właściwy, rodzice posłali go na naukę do Gniedmiu latach nauki w Akademii, zdobywszy sobie zaletami serca miłość profesorów i kolegów paryskich, wrócił do Ojczyzny. Tutaj wnet potem straciwszy rodziców, odziedziczył po nich znaczne dobra. Lecz pomny na ślub rodziców, którzy go Bogu na służbę ofiarowali, oraz sam z siebie niezmiernie świątobliwy, poczuwszy się panem wielkiej fortuny, mimo młodego wieku wzgardził marnemi rozkoszami świata, jakie zapewnić mu mógł majątek, lecz postanowił wstą-



Srebrna trumna św. Stanisława.

zna, skąd po ukończeniu szkół wyprawili do najsławniejszej wówczas Akademii, w Paryżu. Tam w ciągu lat kilku pilnej nauki, wśród wielu uczniów, odznaczył się tak, że Akademia zamierzała go odznaczyć stopniem doktora, w owe czasy nie często udzielanym. Młody Szczepanowski wszakże z głębokiej pokory tytułu tego przyjąć nie chciał. Po siepić do zakonu. Nie przyszło jednak do tego za wpływem ówczesnego biskupa krakowskiego, Lamberta Żuli, który go odwiódł od zamknięcia się w murach klasztornych i skłonił do zostania księdzem świeckim. Posłuszny woli dostojnika Kościoła, wyświęcił się na kapłana świeckiego, rozdawszy przedtem między ubogich i potrzebujących cały swój majątek.

Po szczeblach dostojeństw kościelnych św. Stanisław postępował szybko w górę, gdyż biskup oceniając jego cnoty, wiedzę i gorliwość kapłańską, powoływał go na coraz wyższe godności. Wkrótce więc został kanonikiem katedralnym krakowskim. Biskup miał w nim nietylko najświątobliwszego kapłana, lecz pomocnika i najroztropniejszego doradcę w zarządzie obszerną dyecezyą krakowską. Uginając się sam pod ciężarem sędziwego wieku, chciał nawet na jego rzecz zrezygnować z biskupstwa, lecz młody kanonik Szczepanowski w żaden sposób zgodzić się nie chciał na przyjęcie tak wysokiej godności. Ale niezadługo przyjąć i tak musiał infułę krakowską, gdyż po śmierci biskupa Lamberta duchowieństwo całe i lud jednogłośnie Szczepanowskiego zapragnęli mieć biskupem, Ojciec św. nakazał mu więc tę gognośé i obowiązki przyjąć, a skromny kapłan, choć tak wysokiego dostojeństwa nigdy nie pragnął — musiał uledz woli głowy Kościoła i został arcypasterzem ziemi krakowskiej.

Na stolicy biskupiej zajaśniał wkrótce jako najświątobliwszy biskup w Polsce, a sława jego pokutnego życia, mądrych rządów i miłosierdzia dla biednych przekraczała nawet granice Polski. Dobroć jego i litość dla nędzy i niedoli była bezprzykładna. Wyszukiwał ubogich w całej dyecezyi, a pałac jego był dla każdego z nich przytułkiem, gdzie biedak śmiało mógł wchodzić i przed obliczem biskupa bez przeszkody stanąć. Dochody swoje podzielił na trzy części: jedną obracał na potrzeby biedniejszych kościołów, drugą na swoje nader skromne utrzymanie, trzecia zaś była własnością ubogich, których miał dokładny spis.

Przykład bogobojnego biskupa, choć wielu z duchowieństwa, szlachty i ludu pociągał, skłaniając do cnotliwego życia, nie pociągnął niestety panującego w Polce króla Bolesława Śmiałego. Był to dzielny wojownik, wódz wyśmienity, lecz podczas pokoju dopuszczał się różnych nadużyć w zarządzie krajem i gorszył poddanych rozpustnem życiem. Boleli nad tem biskupi całej Polski, lecz żaden, znając gwałtownosć i okrucieństwo króla nie ośmielił się wpłynąć na niego, aby zaniechał postępków, którymi Boga obrażał i na kraj cały ściągał jego gniew. Podjął się tego dopiero nieustraszony biskup krakowski, nie dbając o łaskę i przychylność króla, pragnąc tylko przyczynić się do położenia tamy jego rozpuście i niepohamowanej swawoli. W tajemnej sam na sam rozmowie z królem błagał go i zaklinał, aby duszy swej nie gubił i czynami, hańbiącymi jego królewską dostojność nie ściągał na siebie i kraj gniewu Bożego. Podobno upadł nawet do nóg królowi, żeby go zmiękczyć i dowieść mu że spełniając obowiązek swego pasterstwa, nie zapomniał, iż przemawia do swego monarchy. Bolesław okazał się nietylko głuchy na jego upomnienia, lecz hardemi i obelżywemi słowy odprawiwszy biskupa, poprzysiągł mu jeszcze srogą zemstę.

Tymczasem, lubo zatarg z królem zaogniony do wysokiego stopnia i grożący strasznemi następstwami tak dla biskupa, jak i kraju całego trwał w dalszym ciągu, nie odwrócił jednak uwagi św. Stanisława od spraw Kościoła, od troski o ubogich i pełnienia świątobliwych uczynków. Nie chowając w sercu zawiści do Bolesława za osobiste zniewagi, bogobojny biskup tem goręstze zasyłał do Boga prośby o upamiętanie się króla i powrót na drogę cnoty. Wielką pociechę i nagrodę zesłał mu Bóg w owym czasie, ukazując niejako wobec całej Polski, wobec zatwardziałego w grzechach króla i wobec całego świata chrześcijańskiego, że w Stanisławie, biskupie krakowskim szczególniej sobie upodobał, czyniąc go narzędziem Swej łaski i mocy. Oto dozwolił św. Stanisławowi wskrzesić od lat trzech zmarłego szlachcica

Piotra, byłego właściciela wsi Piotrowin, aby dał świadectwo prawdzie. Sprawę przedstawiają kroniki jak następuje: Kiedy św. Stanisław jeszcze jako zastępca biskupa rządził dyecezyą, kupił w r. 1073 wieś Piotrowin w województwie lubelskiem od Piotra, szlachcica, dla krakowskiego kościoła katedralnego. Trzeciego sprawę przegrać może i rozżalony ludzką małodusznością, przyrzekł uroczyście, duchem Bożym natchniony, że po trzech dniach zmarłego Piotra wskrzesiwszy z martwych, przed sąd króla go przyprowadzi, aby zeznał, iż w istocie sprzedał wieś na własność kościoła katedralnego na wieczyste czasy. Król i panowie ra-



Relikwiarz z głową św. Stanisława.

roku po jego śmierci król Bolesław, niedługo po upomnieniu go przez św. Stanisława namówił wnuków zmarłego, aby wnieśli skargę do króla, że biskup krakowski nie nabył wsi Piotrowin na wieczność, lecz na czas ograniczony. Podczas sądu wobec króla, świadkowie, bojąc się jego gniewu, nie śmieli zeznawać prawdy na korzyść biskupa, wobec czego św. Stanisław, widząc, że najsłuszniejszą dni urąganiem i śmiechem tę zapowiedź cudu przyjęli, nie przypuszczając ani na chwilę, by go biskup mógł dokonać. Łaska Boża okazała się jednak silniejszą niż rachuby ludzkie, i to, co zdawało się niepodobieństwem dla nich, spełniło się mocą potęgi Najwyższego za pośrednictwem świątobliwego biskupa. X. Stanisław, udawszy się w otoczeniu duchowieństwa, ludu i wysłanników

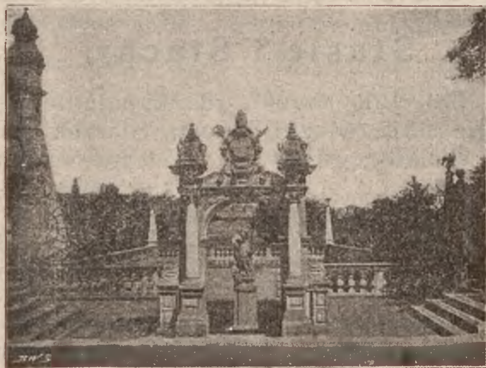
królewskich na cmentarz w Piotrowinie, kazał z mogiły odkopać ziemię aż do trumny i odkryć wieko, padł na kolana i po gorącej modlitwie wstał na jego wezwanie z grobu szlachcic Piotr i wiedziony przez biskupa, otoczony procesyą duchowieństwa i ludu, stanął przed obliczem króla i sądu. Tam zeznał prawdę, iż wieś sprzedał na wieczność kościołowi krakowskiemu, poczem wrócił do swego grobu i zmarł po raz drugi. Św. Stanisław kazał grób ponownie ziemią zasypać i według kościelnego obrzędu odprawił za Piotra ze swymi kapłanami żałobne modły. Położył potem na tym grobie kamień z napisem: »Tu leży Piotr po dwakroć zmarły; cud za chrześcijańskich czasów«. Kamień ten jeszcze do dnia dzisiejszego w kościele św. Tomasza w Piotrowinie jest przy ścianie zachowany.

Nawet ten cud niezwykły, który całą ówczesną Polskę rzucił do nóg biskupa krakowskiego, jako człowieka świętego, nie opamiętał króla Bolesława. Po powrocie ze zwycięskiej wyprawy na Kijów jeszcze mniej miarkował się w okrucieństwie i rozpuście. Między innymi szalonymi postępkami króla wielkie oburzenie wywołało porwanie żony zasłużonego rycerza Mścisława, Krystyny, którą chciał zniewolić do rozpusty. Najpoważniejsi ludzie w Polsce znowu zwrócili się do św. Stanisława, aby skłonił króla do oddania mężowi więzionej na krakowskim dworze królewskim żony i do odwołania szeregu postanowień, które uprawniały króla do pastwienia się nad poddanymi i różnych nadużyć. Po raz drugi więc św. Stanisław upomniał go uroczyście i stanowczo, lecz błaganie jego i groźba klątwy wcale nie skruszyły króla i nie przyczyniły się do zmiany trybu jego życia. Wobec tego biskup krakowski rzucił na niego klątwę, wiedząc dobrze, że naraża się tem na krwawą zemstę Bolesława, przed którym drżał niewolniczo cały naród i któremu żaden z doradców i powierników nie śmiał wskazać granic jego władzy królewskiej, ani wyrzucać niepohamowanej rozpusty i swawoli.

Jakoż król postanowił zgładzić świętego biskupa. Gdy dn. 8 maja 1070 roku św. Stanisław odprawiał mszę św. w kościele św. Michała na Skałce, udał się tam ze zbrojnym oddziałem, a kiedy wysłani do kościoła żołnierze, aby zamordować biskupa trzy razy wracali, nie mogąc tego dokonać, choć byli to ludzie dzicy i nieustraszeni, wpadł do kościoła sam Bolesław i ugodziwszy dobytym mieczem biskupa w głowę, na miejscu trupem położył. Wówczas żołnierze, zdjęci dotąd dziwną trwogą, nabrali odwagi i porąbawszy ciało świętego na drobne kawałki, wyrzucili je na pola obok kościoła i do sadzawki, do dziś znajdującej się na obejściu kościelnem. Nie uchronił Bóg ulubieńca Swego od śmierci męczeńskiej, snać aby stało się zadość jego przeznaczeniu, ale podobnie jak w innych wypadkach męczeństwa się zdarzało, — tak i tutaj wnet po zbrodni okazało się, że Moc najwyższa czuwa nad tem, co na ziemi zaszło i ku utwierdzeniu ludu w wierze kieruje wszystkiem w sposób cudowny. Oto gdy tylko gromada żołnierstwa z krwawymi mieczami z królem na czele opuściła Skałkę, wnet zaroiło się w powietrzu od mnóstwa orłów, które, latając nisko nad cząstkami zwłok św. Stanisława, strzegły ich od psów i innych zwierząt. Najbliższej zaś nocy każda z tych cząstek wydawała jasne światło, które nawet sam król z wawelskiego dworzyszcza łacno mógł dostrzedz. Gdy wieść o tem gruchnęła po mieście, kanonicy kapituł wraz z duchowieństwem, nie zważając na gniew królewski, pozbierawszy wszystkie te cząstki razem je złożyli. Gdy tego dokonali, ze zdumieniem i świętą trwogą ujrzeli, że natychmiast wszystkie się zrosły w cudowny sposób. Brakowa-

ło tylko jednego palca, który ryba w sadzawce połknęła. Ale gdziekolwiek się ruszyła, promień świetlisty, posuwający się nad wodą, wskazywał wszystkim wyraźnie, gdzie święta relikwia się znajduje. Rybę więc z łatwością wyłowiono, a palec z niej wydobyty również natychmiast przyrósł do ciała.

To były pierwsze wsławione cuda po śmierci św. Stanisława; gdy w dalszych latach nastąpiło wiele innych, gdy wielu ludzi odzyskało zdrowie na skutek modłów do św. Patrona Polski, wiele matek dzieci przeznaczane na śmierć, po ofiarowaniu św. Stanisławowi, stawały potem w najlepszem zdrowiu, niejeden chory na oczy, po obmyciu ich w sadzawce na Skałce wzrok odzyskał, biskup Stanisław uznany został za świętego w Asyżu w roku 1253.



Sadzawka św. Stanisława na Skałce.

Zwłoki, które ze Skałki już w dziesięć lat po śmierci świętego Stanisława przeniesiono do kościoła katedralnego na Wawelu, do ołtarza w trumience przeniesiono w katedrze dopiero w następnym roku po kanonizacyi, t. j. w r. 1254 dnia 8 maja. Przeniesienie było bardzo uroczyste: brali w niem udział król Bolesław Wstydliwy z cnotliwą małżonką, później za świętą ogłoszoną Kunegundą, książęta: Przemysław, książę Wielkopolski i Poznański, Kazimierz, książę Kujawski, Ziemowit Mazowiecki, Władysław, książę Opolski, najwyżsi dostojnicy duchowni; arcybiskup gnieźnieński, kilku biskupów polskich, nuncyusz apostolski (wysłany przez Papieża) i nasi kanonicy, prałaci. Wobec tego świetnego zgromadzenia dostojników i mnóstwa ludu, zwłoki św. Stanisława, znajdujące się dotąd przy bramie południowej kościoła, przez zgromadzonych biskupów winem obmyte i podniesione, ukazano ludowi, pobożnymi okrzykami wzywającemu pomocy św. Stanisława. Następnie kościołom katedralnym i innym główniejszym kollegiatom, kościołom parafialnym i zakonnym rozdano po cząstce relikwii, głowę zaś, ręce i inne przedniejsze członki wraz z prochami świętego ciała zostawiono kościołowi krakowskiemu. Obecna przy tym uroczystym akcie królowa Kunegunda uprosiła nuncyusza papieskiego i biskupów, aby sama święte szczątki owijać mogła w złote i srebrne tkaniny, niektóre ozdobione drogimi kamieniami, na co też zezwolono świątobliwej, która je złożyła do relikwiarza.

Z zabytków, odnoszących się do św. Stanisława najwspanialszym jest srebrna trumna na osobnym ołtarzu w katedrze wawelskiej, w której znajdują się kości świętego Patrona Polski. Na zakończenie zatem przytoczymy krótką historyę trumien św. Stanisława, gdyż ta, którą dziś widzimy, jest czwartą z rzędu i sprawioną została dopiero w wieku XVII. Pierwszą trumnę sprawiła w r. 1254 św. Kunegunda; drugą Elżbieta Łokietkówna, królowa węgierska, siostra Kazimierza Wielkiego, córka króla Łokietka. Była drewniana, w srebro oprawna, dźwigać ją miało 4 aniołów. Stała na ołtarzu do r. 1633. Dnia 26 marca tegoż roku w Wielką Sobotę popołudniu król Władysław IV., wydawszy rozkaz zamknięcia bramy katedry i bram zamku, za porozumieniem z kapitułą kazał wnieść do katedry wspaniałą srebrną trumnę, sprawioną jeszcze przez zmarłego

króla, a jego ojca Zygmunta III-go. Władysław IV. zaś sam w towarzystwie królewiczów, braci swych obecny był uroczystemu przełożeniu relikwij ze starej trumny. Towarzyszył temu aktowi nuncyusz papieski Honorat, który, podziwiając bezcennej wartości dar królewski, wyznał, że w całej Europie podobnie wspaniałej rzeczy w kościele dla uczczenia świętego nie widział.

Ale nie długo naród cieszył się widokiem tej prześlicznej trumny na ołtarzu w katedrze. Zrabowali ją Szwedzi podczas napadu na Polskę w r. 1657, wyrzuciwszy z niej relikwie. Trumna, którą dziś na Wawelu widzimy, sprawioną została kosztem biskupa Gębickiego i kapituły; wykonano ją w Gdańsku i przewieziono do Krakowa w r. 1671. Stojąca w najpierwszej, historycznej świątyni polskiej, na osobnym ołtarzu, w miejscu najpoczestniejszem, uderzająca wchodzącego już od wejścia swą wspaniałością, jest ta srebrna trumna wymarzonym wyrazem miłości i czci, jaką cała Polska otacza swego wielkiego Patrona — św. Stanisława!

Ks. Stanisław Jaworski.

Stasie i Stachy.

Gdy mnie tylko Pan Bóg stworzył, w pierś mi takie serce włożył, żeby tylko kochać chciało, gdyby kochać kogo miało...

Więc od samej mej młodości pełno w sercu mem miłości! Wszystkie kochać jestem w stanie: Jadzie, Kazie, Władzie, Manie, lecz w miłosnych marzeń kole, ja najbardziej Staszki wolę.

Każda Staszka, to jak łania, to jedyna do kochania! Choć tam czasem trochę pusta, do całusów ma Wam usta, tak stworzone, jak marzenie!... O ja bardzo Staszki cenię...

Jakaś Helcia albo inna, to w miłości tak dziecinna! Ty jej tłómacz serca zapał, to jakbyś ją za nos złapał... A na Stasię mrugnij ino... Wnet cię rączki jej owiną w uścisk czuły... Spojrzy na cię — jużeś przepadł miły bracie...

Gdy cię tylko zoczy ona, choćbyś mądrość Salomona miał w swej głowie tam bez granic, przy Stasieńce wszystko na nic! Tak twe serce wnet omota, że w nim będzie nie tęsknota, ale jakiś żar tajemny... Opór Staszkom... trud daremny!...

Jeśli kiedy taka Staszka, złapie tylko swego ptaszka, tak go kocha, że z miłości mało mu nie łamie kości. Więc nad wszystkie ziem bogdanki najmilejsze są kochanki, które noszą Staszek miano.

Tak już w niebie napisano, że najbardziej znów kochany Stanisławem człek nazwany.

Popatrz ino dziewczę moje, gdy Stach ciebie w ręce swoje weźmie i w tańcu zakręci, to odchodzisz od pamięci. Gdy Stach wspojrzy w oczy twoje, wzbudzi takie niepokoje, że w marzeniach toniesz cała i chciałabyś Stacha... chciała.

Lecz ze Stachem trudna rada! Tę uściśnie z tą pogada o miłości lub o szczęściu, lecz nie myśli o zamęźciu.

Stach, jak motyl, (choćby stary): chciałby spijać z ust nektary, chciałby wszystkie kochać szczerze, choć do ślubów się nie bierze... Stach do jednej okiem zerka, z drugą w tańcu rżnie oberka, trzeciej rączkę ściśnie mile, z czwartą gwarzyć lubi chwilę.

I tak w progach każdej chatki jest lubiany Stach od matki, jest lubiany od dziewoi, choć o żadną z nich nie stoi.

Stach, jakgdyby serc stroiciel, jak by jaki pocieszyciel, choć ma żywot dość mozolny, zawsze szczęśliw: — zawsze wolny!

W Stachach, Staszkach zdrowie, życie i wesela jest obficie, a więc w życia tego kole ja najbardziej Staszki wolę. ***Ant. St. Bassara.***



W dzień Zielonych Świątek.

(Sielanka).

Zieleni się łan i niwa, zieleni się, zieleni!
W zieleń chatka przystrojona, zieleń w izbie i sieni.
A na progu niskiej chatki stoi cudo dziewoja,
Jak marzenie, taka piękna... Lecz cóż, kiedy nie moja!...

Siwe oczka zapuściła, hej dziewczyna! w dal ciemną; —
Serce bije w niej raz po raz i myśl kryje tajemną.
Serce bije w niej tak żywo, choć miarowo i skromnie,
Że je tylko przyhołubić... Lecz cóż, kiedy nie do mnie!...

Przysłoniła rączką oczy i skądś kogoś wygląda,
Z cichej chatki, z rodnej chatki w dal odległą spogląda.
I biegłaby gdzieś w tę ciszę jej nieznaną, tajemną,
Jak sarenka lekkonoga... Lecz cóż, kiedy nie ze mną!...

Taka w myśli mej powstała na ten widok pokusa,
Żem chciał od niej wytargować, choć jednego całusa.
Więc podszedłem po cichutku z piękną prośbą ku sieni,
Tam, gdzie stało owo dziewcze niby w wieńcach, w zieleni.

I tak rzekłem: — O ty piękna! na Zielone, na Świątki,
Nie odmów mi, o dziewczyno, tej maleńkiej pamiątki —
I choć prośba moja ci się wyda może zbyt pusta,
Niech z twojemi złączę dzisiaj, o dziewczyno, me usta!

Gdyś stanęła na tym progu umajona w zieleni,
Choć nieznani, lecz byliśmy już sercami złączeni.
Jam dziś gotów z tobą, droga, iść na ślubne kobierce,
Boś ty wiecznie mi zabrała niepodzielnie me serce!

Daj twe usta niech ten całus, będzie szczęścia zadatkiem,
Niech ta zieleń i maj życia będzie celów mych świadkiem.
W ukochaniu, w rozmarzeniu, życie nasze popłynie,
Jak w ułudnej a szczęśliwej, choć nieznanej, krainie.

O zaspokój, dziewczę złote, serca mego pragnienie,
Boś ty raj mój, boś ty rozkosz, boś ty moje marzenie...
I tak proszę i tak błagam w uniesienia zapale...
— Odpal draniu — ona na to — bo cię w trąbę uwalę.

Antoni St. Bassara.

Boże Ciało w Pleszowie.

(Wspomnienia z procesyi).

»Twoja cześć, chwała!«... — brzmiał ze świątyni potężny śpiew z pełnych zdrowia, silnych ludu piersi i rozpłynął się jak fala rzeki, kiedy przerwie groble — lud korny, lud Boży, polski nasz lud i zalał cmentarz kościółka, okalając go różnobarwnym wieńcem... Szedł uroczą przepojony pieśnią. Szli starsi gospodarze w białych jak tuwalnia celebransa sukmanach, szły gospodynie w barwnych, odświętnych chustkach czerwonych, wszyscy niemal z jarzącemi w ręku świecami. Dziewicze pszczółki nazbierały woskowiny po kwiatach pól naszych i w misterne ją pozamykały otworki, a lud przejął od tych niewinnych i pracowitych robotnic owoc pracy ich i niesie Panu swemu w dani. Goreją świece w dłoniach ludu na znak wiary i miłości ku Temu, co w duszy działa jak ogień...

Szli chłopcy i dziewczęta, szły dzieci... a każdy pod swoim sztandarem i proporcem. Nikt zaś z chłopów nie był tak ubrany, w tak poważną czarną czamarę ustrojony, jak Wojciech S., co niósł w szerokich na barkach skrzyżowanych rzemieniach chorągiew ze św. Wincentym męczennikiem, patronem wsi i kościoła...

Chorągwie i proporce przegradzały feretrony, niesione przez strojne w białe sukienki dziewoje z wplecionemi w warkocze kwiatami...

A coraz to strojniej i barwniej, ludniej i bogaciej, coraz to uroczyściej im bliżej baldachimu. Takie kaftany, to się tylko raz na rok, na Boże Ciało widzi; przechodzą one na synów rodzin tych, którym przypada honor w czasie procesyi podtrzymywać nad celebransem baldachim...

Zapach gorejącego wosku świec, wonny jakąś mistyczną wonią obłok kadzidlanego dymu — szmer dzwonków w rękach ministrantów — połyski ornatów białych ze złotemi ozdobami, najbogatszych, jakie zakrystya miała, a przedewszystkiem zszeregowane w karnym szyku przez p. Zagórzańską dziewczątka, ubrane w gorsetki lśniące blaszkami i barwiste wstążki i korale, wszystko to razem zdradza, gdzie serce całej procesyi...

»W tej Hostyi jest Bóg żywy« — śpiewał lud i rozumiał, że tu jego ognisko, od którego może zapalić swoje serca i dusze, że tu cel i przyczyna całego tego dzisiejszego pochodu, w roku najuroczystszego... Napróżno szukać kogo w kościele, bo gdzie pasterz, tam i owieczki...

Sproszeni księża z Krakowa asystują celebransowi w ornatach, drobne zaś rączęta wystrojonych dziatek rozsypują miasto palm po drodze maki, bławatki, rumianki... To Panu Jezusowi tak sypią, a wraz z kwieciem rzucają Mu pod nogi wonniejsze jeszcze kwiaty swoich uczuć czystych, prostych, dziecięcych.... a Pan Jezus z uśmiechem i radosnem sercem przyjmuje te najmilsze sobie hołdy polskich dziatek...

Idą tak wśród rozśpiewanego na różne tony brzmienia piesni i odgłosu dzwonów w takt za tempem na kotle wybijającego dobosza, idą silni, pełni radości i pieśni, nie zatrzymani żadną świata tego mocą....

Rex Christe primogenite... — rozbrzmiały głosy kapłanów, a tu z przeciwległego wzgórka z pod Bożej Męki ozwały się głuchym hukiem moździerze, roznosząc po całej wsi i okolicy

wieść o Bożem Ciele i procesyi i gotując wszystkich do zbliżającego się błogosławieństwa od ołtarza...

Idą... »Idzie, idzie Bóg prawdziwy«... oznajmia pieśń...

Dokądże idzie?...

Idzie ku wieśniaczej strzesze słomianej a czekają Go już tam w obrazach święci tego domu patronowie i całej wsi, nad skrzynią powleczoną bialutkim obrusem... więc Matka Boska Bolesna franciszkańska — więc św. Izydor oracz i św. Wincenty męczennik, patron wioski; ponadtem wszystkiem nasza Częstochowska Królowa...

Czeka na kolanach ze świecą w ręku gospodarz i gospodyni i dzieci...

Na ścianie chaty i po płocie porozwieszane czerwone chustki, miasto kobiercy, osłaniają szarość domku na przyjęcie Pana... zieloność w koło ołtarza odgradza orszak kościelny od reszty o codziennym wyglądzie domostwa...

Od wczesnego ranka chłopcy wsi, pewno pastuszkowie, obstąpili zbitem kołem miejsce, kędy miała na chwilę spocząć monstrancya, by jak najwięcej narwać zieleni, w którą zdobny był ołtarz i by ją zanieść do swych chat, cząstką jej uraczyć też biedną »gadzinę«, by błogosławieństwo Pańskie napełniło nietylko izbę ale i oborę — nietylko ludzi, ale i nierozumne stworzenia...

Monstrancya z Hostyą Przenajświętszą ledwo co niedotyka strzechy — coś tu nakształt Betlejemu...

»A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami«... zaś trudno Mu droższego wymyśleć mieszkania, jak wśród tych serc prostych, szczerych i wierzących...

Initium sancti Evangelii secundum Joannem! — zaśpiewał ewangelista-kapłan. Lud powstał wraz z kapłanami...

Cisza... uroczysta cisza... Ledwo wietrzyk poruszy liśćmi wierzbowymi... ledwo umajenia się zachwieją i lekkim półgłosem odezwą... ledwo prysk palącego się wosku ją przerwie...

Cisza znowu...

Swiegot wróbli się ozwał... ale i one umilkły...

Chrystus ma przemówić społecznie do ludu słowem swej Ewangelii...

Et sui eum non receperunt... rozwodzi się żałośnie w dalszym ciągu ewangelista... Zabłysła łza w oku pasterza... »Nie daj tego Panie — modlić się zdawał — aby ten lud Twój miał Cię kiedyś opuścić — aby się nad nim kiedyś tak apostoł Twój użalał — by Cię kiedyś do siebie nie przyjął tak, jak Cię to dziś u siebie serdecznie gości i przyjmuje...

...Przesunęły się jak okamgnienie po duszach kapłańskich smutne obawy wywołane wspomnieniami ostatnich dni wypadków...

Ale znów odezwały się żywiej dzwonki ministrantów — chwila stała się jeszcze świętszą, uroczystszą...

Kapłan okryty śnieżno-białą tuwalnią, podniósł w górę monstrancyę ku błogosławieństwu...

Huk moździerza powiadomił wszystkich w sąsiednich zagrodach o spływających już na lud z Nieba darach... wstrząsnął chociaż i przeraził serca obojętnych...

Lud przygiął kolana i głowy pochylił w pokorze...

»Boże w dobroci nigdy nie przebrany!«... zabrzmiała pieśń z piersi ludu i zdawała się zgłuszać zgrzyt wszelkich niechęci, łagodzić spory i rozwiewać wspomnienie uraz prywatnych i publicznych...

Boże dobroci... pieśń dopełniła niedostatki ludzkie...

Ks. Dr. Józef Kaczmarczyk.



SOBÓTKA.

Słońce zaszło hen za lasem,
Cisza panuje dokoła,
Derkacz tylko wrzaśnie czasem
Wśród traw i gęstego zioła.

Stary puchacz gdzieś na drzewie
Złowrogie wydaje tony:
Uhm, uhm! żrąc tam trzewie
Pewnie ze zabitej wrony.

Księżyc wychodzi z za górki,
Ozłaca wierzchołki drzewa,
W wiosce słychać głos fujarki,
A młodzież piosnkę śpiewa:

„Kto na sobótce nie będzie
Ogień palić dzisiaj z nami,
To go głowa boleć będzie...
Bież więc dziewojo z nami!“

Patrz! tam w dali ogień błyska,
Już sobótkę podpalają,
Dziś urządzają igrzyska —
Znicz sobie przypominają.

Pospieszmy w ślady za niemi,
Sobótce się przypatrzymy,
Zabawami wieśniaczemi
Wzrok swój mile ucieszymy.

Ogień bucha płomieniami,
Stos coraz większy składają,
Młodzież śpiewa — bylicami
Wkoło siebie okręcają.

Porwał chłopak dziewczę — bieży
I przez ogień szybko skacze.
Drudzy za nim, trochę niżej,
Dziewczę stoi, niby płacze.

Spostrzegłszy nas, przybieżała —
Do zabawy nas prosiła,
Choć nie zimno, jednak drżała,
I jednego wywabiła.

Skaczą dziewki z parobkami
Ponad płomień, nad stos drzewa,
Echo niesie, potokami
Śmiechy, krzyki, wiatr powiewa;

A na uboczu traktują
Wódką ojców, starsze żony,
A dzieciaki podskakują
To z tej strony, to z tej strony!...

Lub rozpalonym patykiem
Koła wkoło wywijają,
Pędzą z góry bydło z rykiem
I przez ogień przepędzają.

Pędzi bydło — z niem gromada
Dzieci ojców i pasterzy;
Młodzież temu dosyć rada,
Za paprocią w krzaki bieży.

Niewesoła ta dziewoja,
Co młodziana dziś nie miała,
Będzie — mówią — jak topola
Cały rok sama siedziała.

Księżyc chowa się za chmury;
Młodzież późno do wsi wraca,
Śpiewa, idąc w parze z góry,
A na czele tęgi „baca“.

My za samotną dziewczyną
Szliśmy w ślad ku małej chacie,
Witała nas z smutną miną,
Mówiąc z cicha: „Jak się macie?“

A że księżyc znikł na niebie
Za chmurą, za ciemnym borem,
Bawiliśmy dziewczę, siebie
Miłym, tkliwym rozhoworem.

Cisza zapadła nad wioską,
Chruściel tylko wrzasnął czasem,
Pocieszywszy smutną piosnką,
Pożegnaliśmy ją tymczasem.

Z. Bogdański.



Legenda o jagodach.

Hej, za dawnych to było czasów, kiej naród wsioski jeszcze w niziuśkich lepiankach, by te nory krecie, siedział, przez kominów, podłogi, przez szyb w oknach i nijakich statków na izbie. Nie było miast, nie było jarmarków, niceś nie wyniósł przedać, niceś nie kupił; co kto z pola zebrał, to zjadł, a skoro nastał przednówek, to chudobne ludzie i dziecka maluśkie padały z głodu, jak te muchy w jesieni. Gospodarze już byli, a juści, ale tych przednówek się nie imał, bo każdy ostawił se zawdy dość zboża i ziemniaków na głodny czas, a nocami złe psy wypuszczał, coby mu się zaś kto do tego dobra nie zakradł. Ale wszelakiej chudzinie koło świętego Jana bieda była straszna. Chytało się toto z głodu wszyćkiego: grubej trawy, młodej kory z drzewiny, abo i słodkich korzonków.

Pomarł raz chłop i ostawił gdowę z dwojgiem dziecek. Chłopakowi minęło cztery roki, dzieucha miała trzy. Był ciężki, długi przednówek. Pokiel kobieta moc w sobie miała, co rano szła do pola na robotę, a na wieczór miłosierny gospodarz kazał swojej babie wsuć jej za to do zapaski co nieco pośledniejszego ziarna, abo ziemniaków. Nie dużo tego bywało, ale gdowa była rada, bo miała czem dziecka pożywić, nie bacząc, że la niej mało co ostaje i sama głodem mrze... Ot, serce matczyne!...

Na ostatek do krzty osłabła z tego głodu. Nijakiej już robocie wydolić nie mogła. Ostajała w chałupie, albo wlekła się na przyzbę, siadała, i raz wraz kościstemi palicami ocierała czerwone od łez oczy, co ciągiem patrzeć musiały, jak jej bladziuśkie dziecka na cienkich jak patyki nożętach, kiejby te króliki smykały po trawie, po grzędach i wśród drzewin, oskubując listki, wydzierając korzonki i żując toto łakomie, a potem jedno za drugiem przybiegało do niej:

— Matusiu jeść!...

A raz, kiej zdzierżyć już tej nędzy nie mogła, myśli se ona tak:

— Nijak już nie zradzę, dospomożenia znikąd, a na głodową śmierć dziecek patrzeć nie wydolę... Pójdę z niemi do lasa... Jest hań na polanie głęboka woda, cisnę się w tę wodę śniemi wraz...

Jak pomyślała, tak zrobiła. Zawołała dziecka i idą. Prowadzi ich ścieżką przez mokrą łąkę. Patrzy: w wysokiej trawie brodzi bociek. Idzie se wolno, nogi do góry dźwiga, a łeb raz wraz przekrzywia, pozierając pilnie między trawy. Naraz zrywa się, podlatuje i już się niesie na szerokich skrzydłach nisko nad ich głowami, a z długiego dzióba zwisa mu ogromna żaba.

— Ej, boćku, boćku — mówi do siebie kobieta, ciężko wzdychając — szczęśliwa twoja dola... Masz co do gniazda swoim małym zanieść... A ja moje wiedę do topieli...

I z okropnym bólem poziera na dziecka, co się kole niej wlekły, na ich chude gębusie, oczy zamarte, zbielałe i sino podkrążone...

W lesie miły chłód, sosny pachną, ptactwo raduje się, wyśpiewuje: juźci niegłodne.

Usiadła pod drzewem, przygarnęła swoje biedoty, tuli ich głowiny do serca.

— Matusiu! — ozwie się maluśka dzieucha — czy już na wieczór się ma, albo co, bo jakosi czarno robi mi się przed oczami... ojej, coraz czarniej... dy was nie widzę!... matusiu!...

I bezwładna osuwa się matce na kolana. Wyciągło jej rączki i nożęta, i ostała tak sina, z przymkniętemi do połowy oczyma, jakby przez zycia.

— Rety! adyć niebożątko z głodu zamiera! — przelatuje kobiecie przez głowę straszna myśl — i jak nie zacznie z całej duszy, z całego rozdartego serca matczynego błagać, modlić się i wzywać Imienia Boskiego:

— O Jezu miłosierny ulitujże się nad onem niewinnem pisklęciem! Nie dozwól jej haw marnie zamrzeć, jako i najmniejszemu chrobaczkowi przez woli Twojej świętej zginąć nie dajesz... Miej miłosierdzie, dospomóż, Jezu, Jezu...

Wtem poczuła, że chłopiec łapie ją za ramię:

— Pojrzyjcie ino matuś hań, w głęboki bór... Cosi jasne tamoj idzie, kiejby kto łuczywo niósł... Patrzajcie, jaka jasność... Rety!...

Patrzy przez łzy — troi jej się wszyćko przed oczyma — ale chłopak prawdę powiada: jakaś jasność prześwieca pośród pni, raz wraz rośnie i wprost ku nim sunie, a dołem po rdzawem igliwiu płynie coraz bliżej szeroki, świetlisty krąg...

Dreszcz trwogi wstrząsnął kobietą, bo w tym momencie stała się rzecz jeszcze dziwniejsza; naraz w całym lesie zrobiło się cichusieńko, jak podczas Podniesienia. Ptactwo zamilkło, wiatr przestał szumieć po wierchołku. Ani brzęk muchy nie zamącił ciszy.

Nagle jasność zniknęła, a przed niemi stanął, jakby z ziemi wyrósł siwy staruszek. Płótnianka na nim jak, śnieg biała, lica słodkie, łagodne, pod siwemi brwiami oczy jak niebo...

— W ciężkiem utrapieniu wzywałaś mnie biedna matko — ozwał się miłościwie — więc przybywam z pomocą tobie i wszystkim sierotom. Oto rozsieję po lasach i borach taką moc słodkich jagód, że już nie będziecie głodem przymierać na przednówku...

To rzekłszy, począł zwolna iść w las, siejąc ręką szeroko dookoła, a za nim po ciemnem leśnem podłożu sunął krąg nieziemskiej jasności...

. . . .

Już słoneczko do krzty zatonęło w czerwonej zorzy, a w lesie pnie drzew jęły szarżeć i czernieć, gdy kobieta, dotąd niema i zdrętwiała z trwogi, zachwytu i radości, pojrzała przed się przytomnie. Pod drzewami, wokół wysokich paproci, wszędy, gdzie została odrobina ziemi, nie przysypana igliwiem, aże czerwieniło się i czerniło od nieprzeliczonych jagód, których dotąd nigdy w lesie nie uświadczyła.

Nakarmiła niemi zaraz dzieci, sama się skrzepiła i do zapaski nazbierała tyle, że ledwie unieść mogła do chałupy.

Tak to powstały jagody: zasiał je sam Pan Jezus, by od biednych sierót odżenąć srogi głód na przednówku.

Edmund Zechenter.



DO BRACI!

O mili moi Bracia* bardowie,
Kwiaty niw sielskich kochane,
Nućcie, niechaj echo odpowie,
I gwiazdy błysną świetlane...

Nastrójcie swoje fujarki miłe,
Na nutę żwawą, wesołą,
Niech lud zapomni ból i mogiłę,
A radość wejdzie na czoło...

Niechaj zapomni krew i kajdany,
Które pętają mu ręce;
Więc górą pieśni! niech dzień świetlany
Położy już kres łzom i męce.

Robert Rydz.

Cudowni rabini.

W pociągu niedaleko Lwowa spotkali się dwaj żydkowie, Szmul Gajer z Buczacza i Arumche Biszpang z Bełza. Zczęli szwargotać o różnych geszeftach, w końcu zeszła rozmowa na rabinów. Zaczęli więc wychwalać, każdy swego:

— Nasz rabin w Bełzie umie robić cuda: jechał wózkiem w piątek do wsi, a zrobiuł się wieczór i zapadł szabes. Nu, w szabes jeździć nie wolno nawet rabinowi. I co się stało, wiesz ty Szmul? Rabin pomruczał, pomruczał z talmudu i tak się stało, że na całym świecie był szabes a na wózku rabina szabesu nie było! Czy to nie był cud?



— Nu tak, o to cud, ale i nasz rebe zna robić cuda. Szedł raz przez miasto i dziecko goja, takie małe paskudne chrześciańskie, cisnęło na niego błotem. Rabin otrzepał się i zgniewał strasznie. Obrócił się, podniósł rękę i pogroził dziecku i rzucił na niego straszne klątwe.

— Verfał ty i wszyscy twoi, paskudne goje? Abi twój ojciec złamał rękę, aby twojej matce pękła kiszka, aby wasz dom spalił się!

Tak przeklął i poszedł dalej. Ale jest dobry człowiek też ten nasz rebe, i niezadługo zrobiło mu się żal tych gojów, aby tak okrutnie byli ukarani. Wrócił na te samą ulicę, stanął i odwołał przekleństwo. No, i co ty powiesz Arumche? Ojciec nie złamał nogi, matce nie pękła kiszka, dom się nie spalił! A to wszystko przez to, że rebe odwołał swoje przekleństwo...

— No, no, dziwił się Arumche — To on na prawdę jest cudowny. To ja tobie znowu coś powiem o naszym rabinie bełzkim. Było to w sobotę. Rebe bił zamyślony i poszedł na spacer daleko, daleko. No i zachciało mu się jeść. Zaszedł do jakiegoś domu małego i zobaczył tam żydówkę, bardzo bidną. Wszedł do izby i powiada do niej:

— Nuu, daj mi jeść bom głodny. Daj mi rybę faszerowaną.

— Ajwaj rebe — odpowiada mu bidna żydówka — skąd ja wezmę rybę dla ciebie, rebe, kiedy my są bardzo bidni? Mój Icyk handluje skórkami zajęczymi, a ja myję kufle w karczmie. Skądby my mieli ryby faszerowane? Ja wczoraj kupiłam jednego śledzia, to my już zjedli. Ja nie mam ryby faszerowane...

Tak powiedziała ta kobita, no i wiesz Szmul, co się stało? Rabin pomyślał trochę, potem obrócił się na wschód, potem na zachód, pomru-

czał z talmudu i stało się, że nagle znalazło się dziesiąć tysiąców ryb, wszystkie duże, a faszerowane i w sosie...

— Hergot! zawołał Szmul. — To strasznie cudowny rabin i ma szczęście. Dziesiąć tysiąców ryb! To jakby z całego morza te ryby były... Ma szczęście! Nu, ale i nasz rabin w Buczaczu ma szczęście. On jest taki szanowany, że grywa co wtorek w karty z panem aptykarzem, z panem inspektorem i z panem poborcą. A czasem i nawet sam pan starosta gra z nim także. A nasz rebe zawsze wygrywa, takie ma szczęście! Raz zdarzyło się, że jak kto ma dwa asy, to rebe ma trzy asy, jak kto ma trzy asy, to rebe ma cztery asy. Nu i co się raz trafiło? Pan starosta miał cztery asy a nasz rebe miał pięć asów!

— Szmul — co ty potrzebujesz gadać – przerwał Arumche, skąd pięć asy, jakie pięć asy? Nikt nima pięć asy, bo są tylko cztery!

— Nu, — odparł spokojnie Szmul — jak ty mi co opuścisz z tamtych dziesięciu tysięcy ryb, to ja tobie opuszczę jednego asa...

Tu się przyjacielska rozmowa skończyła, bo żydy się zaczęły kłócić i pobiły się w końcu, tak, że gdy przyjechali do Lwowa, konduktor oddał ich pod opiekę policyantowi.

Ale żaden z dwóch cudownych rabinów nie przyszedł, aby ich uratować od kozy.

Adam Grzyb.



ŻAL DZIEWCZYNY.

Wzięli Jaśka do żołnierzy, już odjechał w dal...
Biedna Maryś w sercu tuli po nim wielki żal.
Jeszcze wczoraj mu ściskała spracowaną dłoń,
On ją za to pocałował mile w białą skroń.

Codzień zrana biegnie smutna tam, gdzie stał on z nią,
Gdzie jej raz ostatni wyznał wielką miłość swą;
Stawa cicho, rączki łamie, patrzy poprzez łzy,
Czy nie ujrzy Janka w dali przez lekuchne mgły.

Błogosławi Jaśka w duchu, by wśród obcych mu,
Nie zaparł się polskiej doli, nie zbrakło mu tchu,
By nie wstydził się swej mowy, czystej jak jej łza,
By mu w sercu nie zagasła wielka miłość ta.

Hej! Jasienku! mój najmilszy — biada Maryś znów,
Gdy upłynie czas rozłąki, a z nim wiele snów,
Gdy powrócisz do swej lubej, do Marysi swej,
To kosztowne jej podarki w usta, w serce, wlej.

Nie pragnę już, Jasiu złoty, ty jedyny mój,
Barwnej wstęgi, jako tęcza, ni korali zwój —
Pragnę tylko, byś powrócił takim, jakimś był,
W sercu przyniósł mi świadectwo, żeś ty dla mnie żył.

Byś mi przyniósł, kiedy wrócisz, gdy opuścisz świat,
Usta żywe, serce czyste, jak lilii kwiat...
Czy też słyszy mój Jasienek me skargi, me łzy?
Choć nie widzi, choć nie słyszy, ale o nich śni...

Wiktorya Bilicka.

Faustynek.

(Z powstania w roku 1831).

Sławny był to strzelec pan Kuszel, dowódca batalionu wolnych strzelców. Zuch nad zuchy, strzelec nad strzelce, jakich dziś już napotkać trudno. Ręka ni oko nigdy go nie zawodziły, kulę z dwururki o sto kroków na nożu rozcinał, w czapkę wyrzuconą do góry bez zmierzenia z pistoletu trafiał, dwa gołębie sznurkiem związane puszczał w górę, a kiedy się wzniosły, kulą łączący je sznurek, przecinał.

Był jednak w batalionie jego strzelec jeden, któremu pan Kuszel, mimo swej niesłychanej zręczności sprostać nie mógł. Chłopaczek młody, chuderlawy szesnastolatek, Czech rodem, za dojeżdżacza u pana Kuszla służył, a gdy na wielką wojnę zagrali, wraz ze swym panem zaciągnął się w szeregi. Każdy jego strzał, nawet z największej odległości, był celny, toteż dziwili się wszyscy, a zabobonni za charakternika go mieli, stąd od zaprzedanego dyabłu mistrza Fausta, Faustynkiem go w batalionie zwano.

Wolni strzelcy, pod względem ustroju, różnili się od regularnych pułków piechoty. Byli to w przeważnej części myśliwi, dlatego strzały ich były nadzwyczaj celne. Nawykli do trudów, ogorzali, nosili krótkie, ze szwedzka strzyżone brody, strój ich stanowiły ciemno-zielone mundurki z jasną wypustką, miast dragonków na ramionach łańcuch czarno szmelcowany, spodnie od bioder do dołu na guziki spięte, zaś na głowach mieli rogate, niskie kaszkiety, z płomienistą kitką. Uzbrojeni byli w kalibrowe dubeltówki, pistolety i w krótkie, obosieczne kordelasy. Bębny i trąbki zastępowały u nich rogi myśliwskie.

Widząc postępujący oddział wolnych strzelców, myślałby każdy, że to wyprawa łowiecka, bo za nimi szły sfory ogarów, zaś do około szeregów bielały wyżły. Było ich w polskiej armii cztery bataliony, jeden z nich od nazwiska dowódcy zwano »strzelcami Kuszla«, drugi »strzelcami Grothusa«, trzeci, dla borsuczych czapek, jakie nosili, ochrzczono mianem »świńskie głowy«, czwarty był »batalion sandomierski«, dowodzony przez Juliusza Małachowskiego.

Wolni strzelcy zazwyczaj szli w tyraliery*). Szczególnie byli oni postrachem kozaków, na forpocztach stojących, którzy ich »ptasznikami« zwali. Kozacy długo nie wiedzieli, że oni mają dubeltówki, to też po pierwszym strzale rzucali się na nich, by im nie dać czasu do nabicia broni, wówczas strzelcy dawali ognia z drugiej lufki, a rzadko nadaremnie. Później kozunie ostrożniejsi byli i dopóki taki strzelec nie wypalił obu nabojów, żaden kozak natrzeć nań nie śmiał.

Nasz Faustynek rej między tymi zuchy wodził.

Gdy rogi zagrały: »W tyraliery«, Faustynek wysuwał się naprzód, dwóch strzelców stawało za nim i broń mu nabijali, a on strzelał ciągle. Nawet kozaków oszukać potrafił.

Bywało nieraz, że chciał sprzątnąć jakiego kozaka. Wtedy podsuwał się ku niemu, ze znacznej odległości strzelał z jednej lufki, potem zręcznie wyrywał pistolet z za pasa i palił znowu, a gdy kozak przekonany, że Faustynek wystrzelił oba naboje, pędził ku niemu, on uciekał niby, dozwalając

---

*) Linia strzelców, podczas bitwy nazywana w armii austryackiej *Schwarmlinie*.

kozakowi zbliżyć się na strzał. Nagle odwracał się i z drugiej lufki kładł go trupem.

Było to w gorącym dniu lipcowym po sławnej potyczce, gdzie jegry finlandzkie zasadzkę na polski sztab główny uczynili. Nie wyszła im na dobre ta zasadzka, albowiem, jak burza, spadł na nich 1 pułk ułanów i wykłuł zdradzieckich Finlandczyków co do nogi.

Słońce jeszcze nie zaszło, kiedy bitwa ustała. Żołnierz, strudzony całodziennym marszem i bojem, zabierał się do odpoczynku, na łączce pod laskiem stanął batalion wolnych strzelców Kuszla.

W tej okolicy kraj jest nadzwyczaj równy, jak okiem zasięgnąć, nie napotkasz najmniejszego pagórka, w oddali tylko czerniła się wieś spora, w której była kwatera W. ks. Michała, naczelnego wodza gwardyj cesarskich, które dookoła tej wsi stawały obozem. Gwardyacy, z obawy napadu, rozwijali wielką ostrożność, to też prócz zwykłych zabezpieczeń, w niewielkiej odległości od wsi, wznieśli strażnicę drewnianą, na szczycie której stał żołnierz, śledzący poruszenia Polaków. Bliżej, o jakich tysiąc kroków od lasku, rozstawili warty, które zaciągnął pułk kozaków gwardyi, Atamańskim zwany.

Naprzeciw owej łączki, którą wolni strzelcy zajęli, widne były poustawiane na polu szychty kamienia, do naprawy szosy przygotowane, a dokoła nich kręcił się Atamaniec w swoim ponsowym mundurze. Spisę*) miał na czerwono malowaną, janczarkę**) na plecach, a siedział na pięknym białym koniu. Promienie chylącego się do zachodu słońca jaskrawo odbijały te jasne kolory i kozak, jakby jaki ognisty kometa, świecił przed oczyma patrzących.

Dwaj oficerowie strzelców stali przy wysuniętej ku stanowiskom rosyjskim placówce i obserwowali kozaka.

— Dałbym coś za to, by ktoś sprzątnął tego hultaja — ozwał się jeden z oficerów.

— Jabym i dukata nie pożałował — uzupełnił drugi — ale cóż mu zrobić można z takiej odległości?

Faustynek, stojący opodal, usłyszał rozmowę oficerów i zbliżył się do nich.

— Jeśli panowie oficerowie pozwolą, to zmiotę go, jak dubelta, — rzekł śmiało Faustynek.

Oficerowie roześmiali się.

— Co ty gadasz! To przecież kozak w czystem polu podejść ci się nie da.

— Już ja sobie poradzę! — odparł chłopiec, z rodzajem pewności w głosie.

Doszło to do uszu pułkownika Kuszla. Z początku nie chciał zezwolić na to i mówił:

— Nim ty kozaka, to kozak ciebie sprzątnąć może. Wszak wiesz, jak ich broń daleko niesie.

Pomimo tych uwag, Faustynek upierał się przy swojem, oficerowie liczyli na jego szczęśliwą gwiazdę. Kuszel, ulegając ogólnym prośbom, zezwolił w końcu.

Jeden z oficerów zdjął wówczas kaszkiet z głowy, wrzucił weń dukata i zawołał:

— Panowie! składka na wyprawę Faustynka!

Nikt nie odmówił — migiem zebrało się paręset złotych.

Faustynek, słysząc, jaka nagroda go czeka, uśmiechnął się jeno, nabił dubeltówkę i ruszył wprost ku owej szychcie, dokoła której kozak się kręcił.

Atamaniec dojrzał nadchodzącego strzelca, wstrzymał więc konia i pilnie śledził jego ruchy.

Faustynek doszedł do szychty, spokojnie usiadł na niej, wziął broń do oka i wypalił. Nim dym się rozszedł, wychwycił pistolet z za pasa i poraz wtóry dał ognia.

*) Lanca kozacka.

**) Karabin kozacki.

Kozak zachwiał się po pierwszym strzale, widocznie kula świsnęła mu koło uszu. Opamiętał się jednak i dojrzał, jak chłopak powstał z miejsca i broń swą nabijał.

Atamaniec zerwał janczarkę z pleców, oparł ją o siodło i wystrzelił.

Faustynek wypuścił broń z ręki, chwycił się za piersi, zatoczył się, upadł i jakby ostatnie wysilenie czyniąc, rzucił nogami kilka razy.

— Urra! — zawrzasnął kozak.

Wspiął konia i pochyliwszy się na siodle, pędził, aby obedrzeć zabitego.

Okrzyk boleści wyrwał się z ust całego batalionu.

Kozak był już o jakie pięćdziesiąt kroków od ciała zabitego.

Naraz rzekomo zabity Faustynek zerwał się na równe nogi, dubeltówka błysnęła w jego ręku.

— Trup, trup! — krzyknął do nadjeżdżającego kozaka.

Huknął strzał — kozak zesunął się ze siodła i runął na ziemię.

— Wiwat! — wrzasnęli strzelcy, jak jeden człowiek.

Koń kozaka stanął i obwąchał ciało swego zabitego pana.

Lotem ptaka Faustynek był przy nim. Wskoczył na siodło, ujął się w boki, poczem pogroziwszy pięścią biegnącym ku niemu kozakom, popędził w stronę polskiego obozu.

— Ha, ha, ha! — roześmiał się na całe gardło.

— Ha, ha, ha! — zawtórował mu cały batalion.

Okrzykami radości witali strzelcy wracającego na kozackim koniu kolegę.

Faustynek stał się bohaterem dnia. Kuszel na miejscu zamianował go podoficerem, zaś na drugi dzień przybył adjutant naczelnego wodza i przed frontem całego batalionu, przy grzmiącym odgłosie strzeleckich rogów, przypiął Faustynkowi krzyż orderu *virtuti militari* (»za męsźwo wojenne«).

Faustynek stał się ulubieńcem całego oddziału.

Jednak zbytnio zaufał swojemu szczęściu. Będąc zawsze w tylu spotkaniach, w najtęższym ogniu cały, uwierzył w swą szczęśliwą gwiazdę.

W jakiś czas później armia polska, idąc za umykającemi gwardyami, stanęła pod wsią Jakacyą. Była tam długa grobla, a na niej most, który Rosyanie zerwali. Trudno go było naprawić, ustawiona bowiem baterya rosyjska ostrzeliwała całą długość grobli.

Batalion Kuszla otrzymał rozkazy spędzenia tej bateryi.

Wolni strzelcy zdjęli obuwie i brnąc po błocie, weszli w łozy. Przeprawili się przez bagnistą rzeczkę i zakryci łozami, podsunęli się aż pod samą bateryę.

Armaty rosyjskie grały bez przerwy — nie dozwalając nikomu zbliżyć się do grobli.

Kuszel skinął na swoich.

— Brać ich na cel i ognia! — rozkazał.

Kwadrans zaledwie trwał ogień, kiedy umilkły działa. Kule »ptaszników« zmiotły całą obsługę i konie, nie było więc komu dział uprowadzić.

Natychmiast rzucili się saperzy polscy do stawiania mostu, zaś strzelcy wrócili na dawne stanowisko. Nie ponieśli oni żadnej straty — brakowało tylko Faustynka.

— Gdzie Faustynek? — zapytał zaniepokojony Kuszel.

— Hultaj umyślnie pozostał w tyle — odparł któryś z oficerów.

Kuszel kazał wówczas jednemu ze strzelców wyleźć na rosnącą w pobliżu wierzbę, stamtąd bowiem można było widzieć ponad łozami, co się dzieje z zuchwałym chłopcem.

Siedzący na drzewie ujrzał wkrótce, jak ku bateryi zbliżał się rosyjski sztabsoficer, za nim zaś jechał oficer od huzarów i trzech szeregowców. Tuż przy bateryi, przed łozami, na suchej łące, siedział za krzakiem zaczajony Faustynek.

Jadący zatrzymali się na łące — sztabowiec przez lunetę przyglądał

się stanowiskom armii polskiej, gdy naraz rozległ się wystrzał z dubeltówki, a sztabowiec, ugodzon w same czoło, nie wydawszy jęku, spadł z konia.

Oficer i trzej huzarzy z okrzykiem rzucili się w stronę krzaku, nad którym dym się unosił.

Patrzącemu z wierzby dech w piersiach zaparło.

— Uciekaj na błoto! — krzyknął do Faustynka.

Lecz zuchwały chłopiec nie usłuchał i zerwawszy się na nogi, złożył się i dał ognia.

Oficer, znać celnie trafiony, zleciał przez łeb konia na ziemię.

Trzej huzarzy dopadali krzaku.

— Uciekaj w łozy! — krzyknął strzelec z drzewa poraz wtóry.

Próżne było to wołanie — Faustynek zaufany w pewność swego strzału, wyciągnął pistolet, o dwadzieścia kroków palnął do huzara, i tego trafił — potem z drugiego pistoletu mierzył do następnego, lecz kiedy ściągnął kurek, błysło tylko na panewce — pistolet nie wypalił...

Dwaj pozostali huzarzy dopadli w tej chwili i zarąbali bohaterskiego chłopca.

Strzelec zeskoczył z wierzby, drżąc cały.

— Już po nim, już po nim! — mówił wzruszonym głosem.

Gdy most ukończonono, strzelcy Kuszla pierwsi przezeń przeszli, prąc uchodzące gwardye.

Pod krzakiem, na łączce znaleziono trupa Faustynka. Głowę miał straszliwie porąbaną, brakowało mu jednej ręki, na piersiach mu jeno krzyż *virtuti militari* migotał, którego mu huzary zrabować nie mieli czasu.

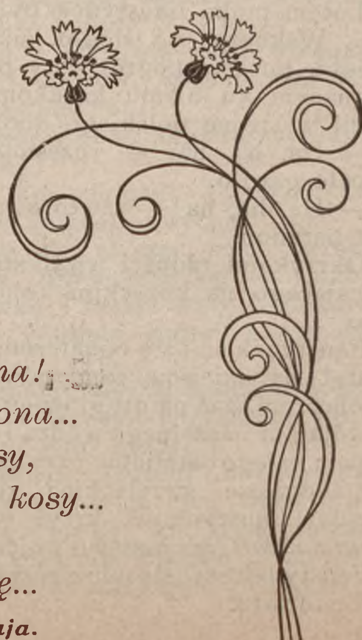
Żołnierskim pogrzebem uczczono zwłoki dzielnego strzelca. Strzelecka drużyna grób mu wykopała, cała kompania dawała salwę honorową, sam pułkownik Kuszel przemawiał nad jego grobem...

Łzy wiernych towarzyszy skropiły mogiłę Faustynka.

Pochowano go z tym krzyżem na piersiach, którym się tak pysznił za życia...

Tadeusz Zubrzycki.

Na fujarce.



Na fujarce grywam piosnki,
Pragnąc zbudzić śpiące wioski,
Moje siostry, Braci kmieci,
Lecz mych piosnek echo leci
W ciemne bory i rozłogi...
Zamiast w Braci moich progi...

Czemuż piosnka z mego łona!
W ciemnym borze echem kona...
Zamiast płynąć przez te rosy,
Gdzie mych Braci dzwonią kosy...
Gdzie pługami orzą rolę,
Na chleb czarny, lepszą dolę...

Jantek z Bugaja.

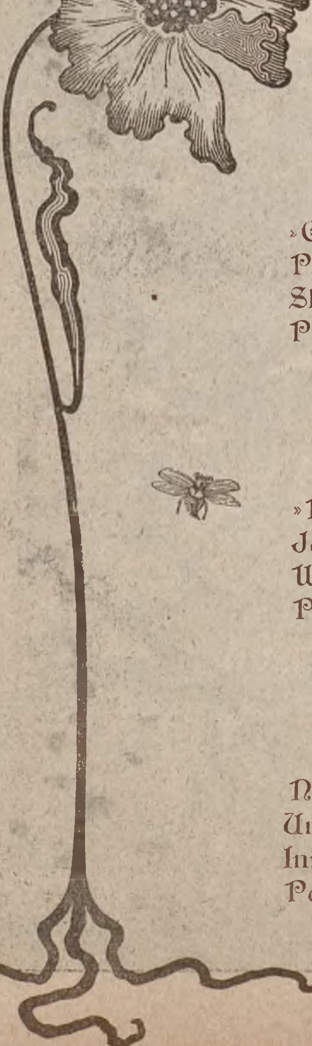
CZEŚĆ BOHATEROM.



Urbi et orbi.







Z mamertyńskiego wywiedzion więzienia,
Zdąża Apostoł Piotr na plac tracenia
Otoczon strażą, — a za nim tłum zmierza,
Opłakujący swojego pasterza.

Idą w milczeniu między złote niwy...
Głowa Kościoła — jak gołąbek siwy —
Kroczy, gdzie dzisiaj wzgórza watykańskie,
Przypominając żywo słowa Pańskie:

...»I przyjdzie na cię, Pietrze, czas niedoli,
Pójdziesz, gdzie nie chcesz, gdzie cię wróg zniewoli.
Tyś jest opoka, ty wytrwasz niezłomnie
I śmiercią swoją dasz świadectwo o mnie«...

Wyszli na wzgórze; krzyż przygotowany;
Koniec tak bliski! koniec pożądany...
Bolesne z garstką wyznawców rozstanie,
Lecz słodko życie dać za Ciebie Panie!...

»Gotówem!« — Nim kat przystąpił do niego,
Patrząc w stolicę świata pogańskiego,
Skąd dolatywał ranny gwar przedmiejski,
Przystanął chwilę rybak galilejski...

I wyciągniętą ku niebu prawicą,
Zrobił znak krzyża nad świata stolicą
I błogosławił i miastu i światu...
Poczem zdjął suknię i rzekł swemu katu:



»Nie jestem godzien tak zakończyć życie,
Jak mój Zbawiciel na Golgoty szczycie;
Więc gdy mnie przypniesz do krzyża ćwiekami,
Postaw krzyż — proszę — do góry nogami!«

Kat spełnił wolę księcia apostołów;
Z okiem zwróconem w przybytki aniołów,
Z głową ku ziemi, stopami ku górze,
Skonał Piotr święty po krótkiej torturze.



Na innem wzgórzu, o tej samej porze
Uwielbi śmiercią Ciebie, Wielki Boże!
Inny apostoł, filar wiary świętej:
Paweł, Twój sługa, mieczem został ścięty.

Dziś, czcząc ich pamięć, prosim Cię, o Panie,
Daj utwierdzenie w wierze i wytrwanie,
Takie, jak mieli śród życia pochodów
Piotr, a z nim Paweł, Apostoł narodów.

Jacek Obrochta.

ŚCIĘCIE ŚWIĘTEGO PAWŁA.





O Panu Jezusie i zbójnikach.

(Legenda w gwarze góralskiej).

Szedł raz Pan Jezus ze świętym Pietrem Pawłem przez las, i spotkali ich zbójnicy.

To było kajsi [1]) w górach, na Luptowie, czy kajsi.

— Niech będzie pochwalony — powiada Pan Jezus i ukłonił się kapeluszem.

— Niechże będzie na wieki wieków amen — powiada harnaś, zbójecki herszt.

— Ka [2]) idziecie?

Chciał Pan Jezus cosi rzec, ale mu święty Pieter Paweł nie dał, bo pilno gwarzy:

— Że to niby po prośbie szli.

Przypatrzył się do nich obu harnaś dobrze i powiada:

— Pójdźcie z nami.

I obrócił się do swoich towarzyszów i gwarzy:

— Ten stary będzie dobry torbę nosić i drwa rąbać, a ten młody ogień kłaść i posługować koło jadła.

I pyta się: Idziecie?

Skrobnął się swięty Pieter za uchem, bo poznał, że to zbójnicy: zbroja na nich była, flinty, ciupagi [3]); nie rzec mu się to widziało jako świętemu ze zbójnikami chodzić, a jeszcze z Panem Jezusem wraz. Patrzy do Pana Jezusa: co będzie?

Pan Jezus kiwnął głową i powiada:

— Dobrze.

Strasznie się to cudnie [4]) świętemu Pietrowi Pawłowi zdało, ale się przeciwić [1]) nie chciał. Jedno — zbójników się bał, drugie — Pana Jezusa słuchać musiał.

[1]) Gdzieś. [2]) Gdzie. [3]) Kije ostro zakończone. [4]) Dziwnie.

Zaraz mu torbę na plecy przypięli, a Pan Jezus ino sakwę z chlebem dostał. Mało mieli jeść, bo z daleka szli.

Idą.

Uszli kęs drogi, gorąc piekł, polegali zbójnikowie do cienia i pospali się.

Gwarzy święty Pieter do Pana Jezusa:

— Uciekajmy, bo jeszcze do kłopotu przy nich przyjdziemy.

Ale Pan Jezus kiwnął głową, że nie.

Kiedy się zbójnicy pobudzili, idą dalej. A było tych zbójników trzech,

Ku wieczorowi zaczęło chybiać [2]) jedzenia. Bo ta i Pan Jezus co nieco zjadł, a święty Pieter Paweł se nie żałował. Jeść się wszystkim chciało, że aż marli od głodu, idący.

A tu patrzą — leży pod drzewem stary człowiek.

— Cóż ci to? — pyta się harnaś.

— Głodnym jest — powiada ten stary.

I ten zbójnik dał mu swój kawałek chleba ostatni, co go jeszcze schowany miał.

Idą dalej przez pola, począł prać grad z lodem, a zimno przyszło takie, co cud!

Patrzą: zaś dziecko małe w polu płacze.

[1]) Sprzeciwić. [2]) Brakować.

— O cóż płaczesz? — pyta się go drugi zbójnik.

— Zimno mi.

— I ten drugi zbójnik zdjął z siebie kożuch i odział to dziecko i w koszuli ino ostał, jaże [1]) go trzęsło.

Idą zaś znowu dalej, patrzą: dom gore.

Dzieci płaczą, wołają; mamo! mamo!

I trzeci z tych zbójników skoczył w ogień i wyniósł dzieciom matkę z pośród płomienia, jaże włosy oswędził.

Poszli dalej i zaszli do jednej karczmy przenocować. A tam ich karczmarka poznała i dała znać wójtowi. Przyleciał wójt z ludźmi i tych zbójników powiązali. A z nimi i Pana Jezusa z Pietrem Pawłem. Wyprowadzili ich z karczmy, zawiedli ku śpichlerzowi gromadzkiemu i hań [2]) ich zawarli.

Święty Pieter Paweł zaczął płakać i gada po cichu do Pana Jezusa:

— No, nie mówiłem Ci, Panie Jezu Chryste, że jeszcze przy tych huńcwotach do kłopotu przyjdziemy?

Cóż teraz będzie?

A Pan Jezus nie mówił nic, ino palcem po ziemi pisał.

Na drugi dzień rano wójt tych zbójników i Pana Jezusa z Pietrem Pawłem do miasta na wozie zawieźli. Do sądu.

Obstąpili ich żandarmi w sądzie, hajducy węgierscy, i powiedli do sądowej sali, a tam na stołkach siedzieli sędziowie.

Było ich tak samo, jak i tych zbójników, trzech.

— Wyście kradli? — pyta najstarszy sędzia.

— My.

— Wyście podpalali?

— My.

Wyście zabijali?

— My.

A o Pana Jezusa i Świętego Pietra Pawła się nie pytał, bo ci zbójnicy zaraz powiedzieli, że ich ino po drodze z sobą zajęli, iż musieli z nimi iść, chcąc nie chcąc,

— Co im sądzić? — pyta się ten najstarszy sędzia siedzącego po prawej ręce.

A ten, nie wiele myśląc, powiada:

— Śmierć.

— Co im sądzić? — pyta się ten najstarszy sędzia siedzącego po lewej ręce.

A ten, niewiele myśląc, powiada:

— Śmierć.

— Wy trzej będziecie wisieć — powiada najstarszy sędzia do zbójników — a wy dwaj możecie iść do domu — zwrócił się do Pana Jezusa i Pietra Pawła.

Święty Pieter Paweł się zaraz z ławy porwał, iść gotowy, ale Pan Jezus się schylił i po podłodze palcem pisał.

— Cóż piszesz? — spytał się go główny sędzia. A oni nie poznali nic, że to Pan Jezus, ani sędziowie ani nikt inny.

— Piszę wasz wyrok — powiada Pan Jezus.

— Jakoż to nasz wyrok sędziowski po kurzu, po podłodze, palcem piszesz?!

A Pan Jezus dźwignął głowę i rzekł:

— Coś wczoraj wieczór zrobił?

Zbladł ten sędzia, jaże zbielał na twarzy, a Pan Jezus powiada:

— Głodnegoś kijem ode dźwierzy [1]) swoich odegnał.

Spojrzeli na niego jego dwaj koledzy i wszyscy w izbie, a Pan Jezus obrócił się do tego po prawej ręce i gwarzy:

— Coś wczoraj wieczór zrobił?

Zbladł ten sędzia, jaże zbielał na twarzy, a Pan Jezus powiada:

— Dziecko małe biłeś, jaże krwią zaszło.

Pojrzał na niego jego kolega i wszyscy w izbie, a Pan Jezus obrócił się do tego po lewej ręce i gwarzy:

---

[1]) Aż. [2]) Tam.

[1]) Drzwi.

— Coś wczoraj wieczór zrobił?

Zbladł ten sędzia, jaże zbielał na twarzy, a Pan Jezus powiada:

— Matkę własną z domu wygnałeś.

Spojrzeli na niego wszyscy w izbie.

I stało się cicho w izbie sądowej, że aż muchy brzęczenie było słychać. A Pan Jezus wtedy stanął i obrócił się ku świętemu Pietrowi i powiada:

— Chodźmy stąd.

I światło mu ponad głową zagorzało, a ci zbójnicy pierwsi go poznali, iże jest Pan Jezus i padli na kolana, wołając:

— Panie Jezu, Ojcze świata, pożegnaj nas!

I Pan Jezus krzyż nad niemi uczynił, a oni się zamienili w trzy drzewa jabłonne.

Potem zaraz ze świętym Pietrem Pawłem zniknął.

I zrozumieli ludzie, iż tu Bóg był i zburzyli ten sądowy dom, żeby w nim już nikt więcej po Panu Jezusie nie sądził, a przed jabłonnemi drzewami postawili krzyż, i do dziś dnia tam stoi.

A tych trzech sędziów wygnali z miasta.

Tak bywało drzewiej — ale teraz ani zbójników niema, ani Pan Jezus po świecie nie chadza.

Kazimierz Tetmajer.



Zamczysko Przeczyckie.

Na lewym brzegu modrawej Wisłoki,
Z przeciwnej strony wioski Kamienicy,
Stoi pagórek a na swej grzbietnicy
Pieści nam ślady z minionej epoki.

Na owej skale, gdzie leśna zrębina,
Stał zamek stary, warowny już wieki,
Potężny wzrok swój rzucał na bieg rzeki,
I mocą swoją wspominał Czorsztyna.

A w owym zamku sterczącym na skale,
Jak nam do dziś dnia tradycya wspomina,
Mieszkała sławna Czerkiesów rodzina,
I dzielną ręką broniła wytrwale

Dzikich napadów pogańskiego syna,
A wreszcie przemoc strasznego Tatara,
Wspólnie z najazdem szwedzkiego rajtara,
W grób obróciła... A dzisiaj sicina

W okopie szańca dziko wał obrasta
I siłą wiatru proroczo szeleści...
A kto obecny zrozumie te wieści...
Szepce, że dużo krwi wylanej Piasta.

I dzisiaj sowy tam mają schronisko,
Wydają głosy rozmaite wśród nocy,
Jakby tłumaczyć chciały o tej mocy,
A lud z czcią wzgórek ten nazwał »Zamczysko«.

Józef Berek.



Legenda o kłosach zboża.

A jeszcze dawniej, kiela roków przódzi, zanim Pan Jezus stworzył jagody — to na świecie nijakich przednówków nie było.

Baby nie labiedziły, że dzieckom niema co na przednówku w gębę wrazić, a Pan Jezus ciągiem dziecka daje i daje: jedno jeszcze nie chodzi, a już drugie wrzeszczy w kolebce... Nie tak za onych czasów bywało. Dziecek było po wsiach zatrzęsienie jako i teraz — ale biedy nijakiej; ludzie żyli kieby w raju. W lasach zwierza, na polach wszelakiego dostatku pełno; we żniwa nie każdemu się nawet chciało wszyćko do cna zeżąć, boby nie miał tego kaj zwieść; ostawiał la biedniejszych — niech se ta bierą, kiej im trza.

Chciałeś jeść mięso — szedłeś do lasa; nijakich praw ni ochron la zajęcy i saren nie wymyślali; za rabsictwo nikt do kreminału ludzi nie wysadzał, bo kto ta o to stał, kiej wszyscy mieli więcej, jak mogli przejeść. Chciałeś chleba, pszennego placka — miałeś zboża w bród, bo w one czasy do krzty inaksze rodziło się zboże; nie było kłóska u góry, ino ziarno obrastało słomę już od samej ziemi.

Ale wsioski naród, wiadomo nie pomiarkowany, zamiast Pan Jezusowi za łaskę dziękować i żyć pobożnie, nie wadzić się z sobą, ani despetów z dzieuchami i młodemi cudzemi babami nie poczynać — rozpuścił się ano, kiejby ten bat dziadowski. Dzień w dzień każdy se robił święto; zimia rodziła aże za dużo, toć chleb rozbódł wszystkich: dokazowali, bili się, baby co śwarniejsze bez gwałt se wydzierali.

Krew i fantazya w nich grała — rety!

Raz, przede żniwy, przechodził Pan Jezus z Matką Boską taką rozswawoloną wieś. Szli polną drogą od lasu, potem wzięli się w bok ku kościołowi i weszli do środka. Była niedziela, ksiądz odprawiał sumę przed wielkim ołtarzem. Ale w kościele pusto, ino kilka starych, pomarszczonych bab i siwych, trzęsących się chłopów klęczało, modląc się nabożnie, że to już w starości każden o marnościach świata zapomina, z grzechów się kaja, miarkując, że śmierć już niedaleko, za grzdykę chyci i nijak się od niej człeku nie wyprosisz.

Pomodlił się Pan Jezus i Matka Boska, suma się skończyła — wyszli.

Idą drogą, idą łąkami, miedzami wśród pól, a wszędy naokół żyto na chłopa, pszenica setna, jęczmiona grubaśne, aże hej! Z pod strzech wszędy się dymi: jušci obiadują; kajindziej dziecka się bawią przed chałupami, umorusane jako i dzisiaj — ale spaśne, krew z mlekiem, dziewuchy jak łanie, czerwone na gębie, kosy po kolana, postrojone; parobcy, a i żeniate chłopy zaczepiają je, szturchają, obłapiają w pół, całują po licach, a ślepia im się skrzą, kiej żbikom. One też temu rade, nie sromają się nic, a chichocą i udzierają się, aże echo niesie. I tak wszędy: w sadach, na obejściach, w jasny dzień, połednie, przez nijakiego wstydu...

Nikta się wędrowników nie spyta: Coście ludzie za jedni, kaj że idziecie? Nikt nie poprosi: wleźcież do chałupy, popijcie, abo odzipnijcie w cieniu pod jabłonkami po dalekiej dródze, bo na świecie skwar, gorąc okrutny... Wszyćko ino się gzi a pośpiewuje,

a ociera łokciami gęby z maszczonego jadła, aże tłustość po brodach ciecze — i dalej do zberezeństw i swawoli.

Chwali Pana Boga, przechodząc, Pan Jezus, chwali cichuśko Matka Boska — poniektóry odmruknie: »Na wieki«, inszy ani się nie ozwie. Idą tak i idą, ale natrafili na chłopa juści leciwego, ale kraśnego na licach, krwistego jak jendór, wypasionego galanto; gęba mu się świeci, kiejby spyrką wysmarowana. Stoi se przede wroty, kurzy fajkę, plując przed się raz po raz przez zęby.

Pochwalony! — mówi Pan Jezus.

— Pochwalony! — mówi Matka Boska.

A ten jak nie podeprze boków, jak się nie zaśmieje urągliwie:

— Ba, a kto? Bo jak mój brzuch, to racyja wasza! A dyć okrągluśki, co szukać takiego! A chwalcie se go, kiela wlezie, chudziaki!...

Nic się na to nie obezwał Pan Jezus ani Matka Boska, ino w te razy zniknęli z przed oczu grzesznika.

Kiej potem zdala ode wsi przystanęli na miedzy, wśród źrałego żyta, Pan Jezus ze srodze rozgniewanem obliczem ujął od dołu jeden kłos, i ciągnął po nim palcmi ku górze, zdzierał zeń wszystko ziarno.

— Cóże robisz, Synu ukochany? — pyta Matka Boska.

— Matko moja Najświętsza — mówi Pan Jezus — przeznałem już do krzty niegodziwość ludzką. Mało, że do kościoła nie chodzą, taplają w grzechach, kiej te prosiaki w kałuży, ale jeszcze przeciwko memu imieniu bluźnią. Oto z całego kłosa, co rośnie od samej ziemi, obedre ziarno i jutro na wszyćkich polach, hen, jak okiem nie objąć, ani jednego ziarnka nie zostanie, ino szczera słoma. Kiej tacy harni skróś tego chleba, co ich roznosi — to niechże za to z głodu mrą.

Mówiąc to ręką, dosięgał już samego wierzchołka.

Lecz Matka Boska, jak nie pochwyci go za rękę, jak nie zacznie prosić:

— Synu mój, któryś łotrowi przebaczył i jawnogrzesznicy, ostaw choć tę krzynę kłoska u góry. Nie karz ich głodem, bo choć starsi żywota nie warci, ale dziecka biedne, niczemu nie winowate. Weźryj na te maluśkie biedoty, ulituj się Synu umiłowany nad dziećmi, któryś na ziemi tak je okrutnie nawidził...

Odjął Pan Jezus rękę od kłosa; święte jego oblicze rozchmurzyło się na wspomnienie dziatek.

Odtąd wszelkie zboża ino na wierzchołku mają co nieco ziarna — nieraz chudy, zczerniały kłos — i ludzom od tego czasu często chleba nie dostawało, bo go nie szanowali, kiej jeszcze żyli w sytości i szczęściu.



Poranek letni.

Skowronek, śpiewak Boży, buja ponad błonią,
Różowem lśnią się blaskiem nieba cudne dale,
Słońce się w rzeki czystym przegląda krysztale,
Kwiatów wonne kielichy krople rosy ronią.

Lasy i łąki dyszą świeżą wonią,
Wzdymają się łagodnie rzeki gwarne fale,
Mieniąc się w ametysty, dyamenty, opale,
A w powietrzu srebrzyste pieśni ptaków dzwonią.

Wiatr sitowiem nadbrzeżnem leciuchno kołysze,
Lilie wodne swe białe podnoszą kielichy,
Szepczą wierzby płaczące ranny pacierz cichy.

W taki poranek człowiek zasłuchany w ciszę...
Olśniony tą przecudną pięknością natury,
Uwielbia Boga-Stwórcę wraz z aniołów chóry!

M. Więcław.



Po bitwie.

Opowiadanie z czasów wojen z Krzyżakami.

Było to w roku 1410 dnia 15 lipca, z nastaniem nocy po sławnem zwycięstwie grunwaldzkiem. Słońce już zaszło, i tylko czerwony blask było jeszcze widać. W lasku leżącym w pobliżu wsi Grunwaldu i Tannebergu, robiło się szaro i ciemno.

Ścieżkami leśnemi posuwały się jakieś szare postacie i rozmawiały z cicha. Byli to kmiecie okoliczni*), którzy na odgłos bitwy zlecieli się z siekierami i widłami, ażeby jej się przypatrzeć i ażeby, jeżeli Bóg naszym poszczęści a Niemcy, rzuciwszy się do ucieczki, będą się chronić w tym lasku, (jak sami mówili) trochę im skóry przetrzepać.

Teraz właśnie taka gromadka kmieci z nastaniem nocy cicho sunęła się wśród drzew leśnych.

— Wojciechu, patrzcie no — odezwał się jeden z gromady — ale to nasi zadali łupnia tym Niemcom z krzyżami na płaszczach, nawet im tam umrzeć nie dali, tylko co który dostał po łbie mieczem, a zaraz na ziemię nie spadł, to uciekał do tego lasku i tu dopiero umierał.

— Prawdę wy gadacie Janie — odparł Wojciech — bo ot tam (tu wskazał ręką w stronę gęsto zarosłego drzewa), zdaje mi się że widzę jakiegoś skrwawionego rycerza na ziemi.

— A możebyśmy zobaczyli, co to za jeden, może to nasz a może ranny? — odezwał się w tej chwili jakiś młody głos.

— A chodźmy! — dodał Wojciech.

*) Byli to kmiecie polscy, mazury, albowiem wiele osad w tym czasie, mimo że leżały na ziemiach państwa krzyżackiego było polskiemi, zwłaszcza w pobliżu granicy.

Poszli w stronę owego drzewa i zobaczyli rycerza w stalowej zbroi popękanej, w białym płaszczu z krzyżem na piersiach i w powyginanym hełmie na głowie. Prawe ramię miał strasznie rozpłatane i ręka tylko słabo się trzymała na paru żyłach. Twarz miał siną pokrwawioną. Był już martwy.

— Ciężko Pan Jezus pokarał tych rycerzy za nasze krzywdy — rzecze Jan.

W tej chwili dał się słyszeć w oddali w nieco gęstszej leśninie jakiś dziwny przytłumiony jęk. Wszystkich oczy i słuch zwróciły się w stronę głosu. Wkrótce jęk się powtórzył ale już cichszy, a potem do uszu kmieci doszedł ledwie słyszalny głos:

— Ra-tunku!!

Gromadę zdjął lęk. Żaden nie wiedział, co począć, wielu się bało, ponieważ jęczenie wydało się niezwykłem i podejrzanem.

Głos rannego już się nie powtórzył.

— No, ruszta się który — zawołano z gromady — może to nasz, a może już konający, przecież to jest chrześcijańska rzecz rannego opatrzyć.

Nastała krótka chwila ciszy nastającej nocy, przerywana tu i ówdzie zapadającym śpiewem ptasząt. Po chwili wyszedł z gromady szczupły młodzieniec, o jasnych jak len włosach, boso w lekkiem wiejskiem ubraniu z siekierką za pasem i rzekł nieśmiało:

— Ja pójdę zobaczyć.

— Ty ptaszku pójdziesz? Nie boisz się?

— Co się mam bać? Przecież to, jak myślę, nie jest żadna pokutująca dusza, ani żadne złe.

Mówiąc to, szybko oddalił się i wkrótce znikł w tej stronie skąd go głos dochodził.

. . . .

Kiedy się bitwa miała ku końcowi, i hufce krzyżackie poczęły mieszać się bezładnie i szukać ocalenia w ucieczce, wojska polskie rzuciły się za nimi w pogoń i poczęły ich bić i zabierać w niewolę. Z pośród uciekających zwracał na siebie szczególną uwagę jeden dość znaczny rycerz krzyżacki, który pędził co koń wyskoczy, chcąc się ukryć w pobliskim lasku. Chwiał się nieco na siodle i znać było, że jest już ranny.

Za nim pędził jak wicher rycerz w ciężkiej, zbryzganej zbroi. W oczach i w całej twarzy przebijał się straszliwy gniew i chęć walki. Koń krzyżaka począł słabnąć, a gdy był już w lasku, potknął się. Krzyżak, widząc, że nie ujdzie polskiemu rycerzowi, osadził konia na miejscu, zwrócił się przeciw napastnikowi i zmierzył się:

Po lesie dał się słyszeć szczęk mieczów i zgrzyt blach. Rycerz polski nacierał z wielką siłą i zawziętością, ale krzyżak mimo swej rany opierał się silnie i zręcznie władał mieczem, a nawet raz tak ciął szybko i silnie polskiego rycerza, że przeciął mu pancerz na piersiach i zranił go tak, że poczęła ściekać krew. Po takiej ranie rycerz polski z boleści runął jak wściekły na Niemca, i po niewielu ciężkich uderzeniach zadał mu cios śmiertelny, odrębując prawe ramię. Sam jednak odjechawszy kilkanaście kroków od pokonanego, zachwiał się i spadł z konia wskutek utraty wielkiej ilości krwi.

. . . .

Tego to właśnie rycerza znalazł ów młodzieniec imieniem Staszek. Leżał zbroczony krwią, gnieciony ciężkiemi żelazami pod drzewem, a z piersi sączyła się powoli krew.

Kiedy chłopiec do niego przystąpił, ten drgnął i lekko otworzył oczy, a po chwili siląc się zawołał z cicha:

— Wo-dy!...

Chłopiec natychmiast klęknął przy rannym, zdjął mu zręcznie hełm z głowy i pobiegł do czystego zródła w rowku oddalonym o kilka kroków. W mgnieniu oka powrócił z hełmem napełnionym po brzegi wodą. Następnie zerwał z drzewa szeroki liść, zwinął go w trąbkę i zaczerpnąwszy wody z hełmu, klęknął i podał choremu do ust.

Ranny długo pił chciwie i snać woda go orzeźwiła, bo zaczął lżej oddychać, jedną zaś ręką poruszył i wskazał na piersi. Chłopiec zrozumiał, że mu dopieka rana, natychmiast więc pozostałą w hełmie wodą obmył mu piersi, następnie zdarł kawałek swojej koszuli, zatamował krew i zabandażował rany. Choremu zrobiło się po tem lżej, bo zapadł w sen. Staszek tymczasem pobiegł do pozostałej gromady, opowiedział im kogo znalazł i poprosił kilku, ażeby mu pomogli rannego przenieść do chaty. Podczas gdy chory spał, zrobili z gałęzi nosze, usłali delikatnie mchem, ażeby mu było wygodniej.

Później ułożono go ostrożnie i zaniesiono do Staszkowej chaty. Tam pielęgnowano go z wielką starannością, a gdy się na trzeci dzień dowiedziano pomiędzy rycerstwem polskiem, że w chacie znajduje się ranny, zabrano go go obozu.

Po wyzdrowieniu pan ów nie zapomniał o swoim wybawcy. Z wdzięczności zabrał go na swój dwór, uczył go rzemiosła rycerskiego i zrobił go dobrym synem ojczyzny.

J. Z. Tolek.



Lipa.

*Niema milszego drzewa na świecie
Nad naszą lipę kochaną w lecie.
Nad cedry, palmy, nad sosny w borze
Piękniejsza lipa polska we dworze.*

*Ta, która sto lat już stoi w bramie;
Na jej wierzchołku gniazdo bocianie,
W jej dziupłach ptasząt moc śpiewających,
W jej kwiecie roje pszczółek brzęczących.*

*Lub ta w ogrodzie piąty wiek wita,
W jej cieniu bluszczem altanka skryta;
Gdyby ta lipa tak przemówiła
Moc ciekawościby oznajmiła.*

*Wszak żyła ona jeszcze w tej chwili,
Gdy się dziadkowie dziećmi bawili,
Jak się uczyli, jak uganiali,
Jak na rycerzy się pasowali.*

*Widziała młodych, jak się schadzali,
Jako w jej cieniu mile gruchali
I jak ściskali wzajemnie siebie,
I jak szeptali: — Ja kocham ciebie!*

*Często ta lipa i to widziała,
Kiedy dziewczyna rzewnie płakała:
Jej ulubiony tak ją zasmucił,
Poszedł na wojnę i już nie wrócił.*

*Widziała nieraz i piękne chwile:
Ojca żegnała rodzina mile,
Gdy się wybierał na krwawe boje,
Niosąc ojczyźnie to życie swoje.*

*A gdy pobili wrogów Moskali,
Nasi dziadkowie z wojny wracali,
Na lipie swoje zbroje wieszali
Po trudach w cieniu jej spoczywali.*

*Widziała ona i przykre chwile,
I smutków tyle i bolów tyle,
Gdyśmy ojczyzny swej nie kochali
I wolność naszą przemarnowali.*

*Ach lipo, lipo, lipo kochana!
Przykro jest widzieć dziś twego pana,
Siedzi w twym cieniu z dwiema czapkami,
Rachuje złoto, kręci pejsami.*

*Lecz dziś nadzieja jest jeszcze w świecie,
Bo dziś ojczyznę kocha i dziecię,
Że wróci wolność ojczyzny droga
Przy pracy naszej z pomocą Boga.*

Wincenty Cechowy.

Krysztofor.

Legenda.

Bardzo dawnym, dawnym czasem żył na świecie pewien wielkolud, nazwiskiem Oferusz. Był to człowiek tak ogromnego wzrostu, że w wielkim palcu swej rękawicy wyprawił siostrze wesele; a kiedy mu matka umarła, on chcąc jej grób usypać, nabrał w but swój ziemi i wytrząsnął ją na ciało matczyne, i wzniosła się góra aż pod obłoki. Tam zaś, skąd owej ziemi nabrał, powstała przepaść; a była to przepaść tyle mil głęboka w ziemi, ile mil owa góra nad ziemią sterczała.

Nad przepaścią usiadł Oferusz i płakał rzewliwie, a wszystkie łzy jego w otchłań kapały i zrobiło się morze. Dlatego to woda morska jest gorzka i słona. Potem wyszedł Oferusz na wędrówkę i szukał pana, któryby ze wszystkich był najmocniejszy i najpotężniejszy; u takiego pana jedynie chciał służyć. Radzono mu tedy, aby się udał na dwór pewnego króla, który nieznał wyższego od siebie i nieznał, co to strach w życiu.

Przybywszy do niego Oferusz, popisywał się swoją siłą i został mile przyjęty; nieodstępował odtąd na chwilę boku mocarza i był jego najulubieńszym powiernikiem. Podobało się to bez wątpienia Oferuszowi; postanowił więc całe życie na dworze pozostać. Ale zdarzyło się pewnego dnia, że jeden z sług królewskich wymówił w gniewie imię djabła. Słysząc to król bogobojny, przeżegnał się krzyżem świętym.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał się Oferusz, który był jeszcze poganinem i nie znał zwyczajów chrześciańskich.

— Zrobiłem to dlatego — odpowiedział król — że się boję djabła.

— Kiedy ty się djabła boisz, więc jesteś słabszy od niego; pójdę ja zatem służyć u silniejszego pana, — zawołał Oferusz i zaraz dwór królewski opuścił i powędrował na puszczę, w której dnia następnego napotkał rotę czarnych rycerzy, z rogami na głowie, z pazurami u rąk, a z widłami w pazurach. W pośrodku siedział najczarniejszy i najokropniejszy na tronie z głów trupich i kości ludzkich, i wrzasnął rykliwym głosem: Oferuszu! czego szukasz?

— Szukam djabła — odpowiedział nieulękniony Oferusz, ażeby u niego służyć.

— Ja jestem djabłem, rzekł wódz czartowski i podał rękę Oferuszowi, który odtąd boku jego nigdy nie odstępował; a był mu, jak prawa ręka, przydatny.

Pewnego dnia wyruszyła cała owa rota po zdobycz do pobliskiego miasta i przybyła na drogi krzyżowe, kędy stała Boża męka. Postrzegłszy ją dowódzca, zatrąbił co tchu na odwrót.

— Dlaczego to zrobiłeś? zapytał Oferusz.

— Dlatego, mój przyjacielu, że się boję Chrystusa! odpowiedział djabeł.

— Ty się boisz Chrystusa, pomyślał Oferusz, więc jesteś słabszy od niego; pójdę więc służyć Chrystusowi.

I znowu djabła opuścił; a wędrując po puszczy, napotkał ubogiego pustelnika i zapytał go: gdzie jest Chrystus?

— Wszędzie! odpowiedział pustelnik; ale poganin nie rozumiał i pytał powtórnie: jak ja mam służyć Chrystusowi?

— Módl się, a pracuj! rzekł zapytany. Modlić się Oferusz nie umiał, lecz umiał pracować. Poszedł tedy za pustelnikiem nad bystry strumień

płynący z góry i dowiedział się, że każdy pielgrzym, chcący się przeprawić na drugą stronę, tonie na środku.

— Tobie, mówił pustelnik, dał Bóg silne zdrowie i ciało olbrzymie; przenoś więc podróżnych na swoich barkach. Jeżeli to zrobisz dla miłości Chrystusa, to cię przyjmie za swego sługę.

— Zrobię to dla miłości Chrystusa, zawołał Oferusz i przenosił dniem i nocą wszelkich pielgrzymów, wspierając się na ogromnej sośnie, którą wyrwał z korzeniem.

Pewnej nocy zasnął głęboko, znużony pracą dzienną; w tem słyszy głos dziecięcia, wołający go trzy razy po imieniu. Wstał więc bez zwłoki, wsadził dziecię na barki i wkroczył we wodę, która dawniej zaledwie kolan mu sięgała. Ale dzisiaj, gdy stanął na środku, szum powstał i wicher, woda się wzburzała; bałwany biły z wściekłością o brzegi, a Oferusz zgiął się pod dziecięciem jak pałąk, i pierwszy raz w życiu uczuł strach i drżenie. Podniósł więc głowę i rzekł:

— Dziecię! dziecię! dlaczegóż ty takie ciężkie? Mnie się zdaje, że świat cały dźwigam na moich ramionach!

— Nietylko świat dźwigasz na swoich ramionach — odpowiedziało dziecię — ale i tego, który świat stworzył. Jestem Chrystus, któremu ty służysz; chrzczę ciebie w imię Ojca, w imię moje i w imię Ducha Świętego. Odtąd nazywać się będziesz Krysztofor, to jest piastun Chrystusa.

Odtąd więc nazywał się ów wielkolud Krysztoforem i chodził wzdłuż i wszerz po świecie, aby nauczać słowa Pana swojego, i został za te nauki od pogan ukamienowany.

Po latach kościół policzył go w rząd Świętych Pańskich.



SIERPIEŃ.

Maćkowi Bzdurze za gadanie poświęca Autor.

Sierpień... I zwolna jesień kroczy blada,
Zaczyna smutek rozsiewać dokoła...
Wieńczyć nim nasze rozpalone czoła,
W duszę tęsknotę i pieśń smutną wkłada...

Już ugor próżny, niwa stoi goła,
Tylko do góry jeżą się ścierniska
Zżętego zboża... Już się kłos nie błyska,
Bo go przyjęła w swe łono stodoła...

Słychać muzykę ochoczą cepami
W naszej stodole od rannego świtu...
A zanim słońce dojdzie do zenitu
To już parobcy gotowi z snopami...

Znowu w stodole słuchano „młynka“ zgrzytu,
Co czyści zboże świeżo wymłócone,
Ziarno opada... plewy w inną stronę
Unosi wiater, hen, gdzieś do błękitu.

A wieczór, kiedy uśmiechnie się blady,
Siadają młocki na przyzbie, przed chatą...
Tu płyną gwara i śmiechów kaskady...

Bo chociaż dusza jest pod smutku szatą,
Ale, gdy dziewki zasiędą do rady,
To chłopskie serce rozśmieje się na to.

Robert Rydz.



Dożynki.

Na Wniebowzięcie Najświętszej Pani,
Na uroczysty, wspaniały dzień!
My ziela sploty składamy w dani
I zboża snopy wśród modłów, pień.

Żwawi parobcy, dziewczęta hoże
Wiązankę ziela i zboża snop
Niosą przed ołtarz, z prośbą w pokorze,
Z hymnem Madonnie pod niebios strop.

Po nabożeństwie gwarna gromada
Święcone snopy i pęki ziół
Z śmiechem i pląsem wesoła, rada
Panu we dworze składa na stół.

A przodownica, krasna dziewoja,
Taką oracyę pali jak z nut:
„Niechaj ci, panie, szczęście ze zdroja
Płynie i mija i ból i trud!

Niech hojnie rodzą twoje zagony,
Drogi dziedzicu, żyj zdrów i żwaw!
Pożywaj z Bogiem zebrane plony
A nam dziś, panie, dożynki spraw!“

Dziedzic dziękuje z serdecznym śmiechem,
Aż tu kapela huknie jak grzmot!
Śmiechy i krzyki wracają echem,
Chłopcy chwytają dziewoje w lot;

I krąg taneczny raźno się zwija,
A pląsy trwają przez całą noc;
I wieczór mija i północ mija,
A hejże, hola, a hejże, hoc!

Polskie dożynki! o wróćcież jeszcze!
Boście zniknęły jak pasmo snów.
Nim zapomnienia chwycą was kleszcze,
Polskie dożynki powróćcież znów!

Teofil Tryczyński.



Ks. Piotr Skarga

1536—1612.

Ku wspomnieniu w rocznicę jego zgonu.

Święta wiara nasza ma tę właściwość, że ogniem zapala serca i do czynów wielkich pobudza tych, którzy szczególniej oddają się rozpamiętywaniu Mocy Bożej, Tajemnic wieczności i dzieła Chrystusowego na ziemi.

To też po wszystkie wieki liczne zastępy kapłanów i zakonników bogobojnych a czyniących w duchu i prawdzie świadczą o sile natchnienia Bożego, jakie spłynęło na nich z łaską Sakramentu; a w szeregu narodów, mogących wskazać szeregi pracowników w winnicy Pańskiej, bynajmniej nie ostatnim jest naród polski.

Święty Stanisław, biskup i męczennik; Jan Długosz, wychowawca Jagiellonowych potomków; sławny uczony Mikołaj Kopernik; bohater nieustraszony z pod znaku tej, co Jasnej broni Częstochowy, ks. Aug. Kordecki; wielki nauczyciel młodzieży ks. Stanisław Konarski — oto liczba znaczna, choć wcale niezupełna.

Ale świątobliwym, mędrcem, bohaterem i nauczycielem narodu całego był mąż, którego wieczną jest pamięć: ks. Piotr Skarga Pawęski, kaznodzieja i pisarz, którego rocznicę zgonu obchodzić winna żałobnie w roku bieżącym cała Polska. I cała Polska winna wiedzieć, kim był, co zdziałał i co nam zostawił.

Urodzony na Mazowszu, tj. w dzisiejszem Królestwie Pol., nazywał się naprawdę Pawęski, ale że dziad jego ciężkich krzywd od sąsiadów doznając, często uskarżał się przed ks. mazowieckim, ten rzekł mu kiedyś: »A toż »skargą« wypada cię nazywać, miły Pawęski» — i tak się stało, że urosło przezwisko, stale już odtąd dawane synom i wnukom.

Osierocony młodym chłopcem, znalazł Piotr opiekę na dworze królewskim w Krakowie. A że do nauki zdolność okazywał wielką, że już poprzednio szkołę w Grojcu ukończył, przeto zapisał się na Uniwersytet Krakowski, i szybko postąpił w nauce, prawdzie i cnocie. Nauczyciele chwalili go bardzo, to też niejeden z możnych panów pragnął go mieć przyjacielem swych synów.

Z pomiędzy wielu propozycyj wybrał Skarga dom wojewody Tęczyńskiego, który mu syna swego oddał pod opiekę i zaopatrzywszy w potrzebne pieniądze, obu młodzieńców do Wiednia wyprawił.

Piotr, choć młody, strzegł dobrze kroków swego ucznia i przyjaciela i tak upodobał sobie zawód nauczycielski, że zapragnął zostać księdzem, aby wielu do cnoty zachęcać.

Usiłował go w domu swoim zatrzymać Tęczyński, ale napróżno. Kto głos Boga posłyszy, temu niczem chwała ziemska, ani świetna przyszłość—i ten iść powinien za Bożem wołaniem.

Ukończywszy seminaryum duchowne we Lwowie, tam święcenia otrzymał i tam nauczać począł. A zadanie swoje pojmował bardzo wzniośle i gorąco: w niejednej nauce do duchowieństwa wołał o poświęcenie się kapłanów dla owiec, o wytrwanie, o miłość i niejedno rozpalił serce. Sam przykładem świecił, bo rozumiał

doskonale, że tylko nauka, przykładem poparta, korzyść odnieść może. Odwiedzał szpitale, leczył rannych i chorych, niósł pociechę do więzień, spowiadał zbrodniarzy przed śmiercią, a umierających krzepił nadzieją Bożego miłosierdzia.

Sławnym też stał się prędko i do niego zwracano się w potrzebach gwałtownych lub w ucisku serca. — Kiedy kasztelanowi Janowi Tarnowskiemu groziło odstępstwo od wiary świętej wraz z domem i dworem, nikt inny, jeno Skarga wymową swoją zdołał od złego czynu go powstrzymać, a gdy w kilka lat potem ów możny pan w wieczystą szedł krainę, wezwał młodego księdza, prosił o udzielenie Ostatnich Sakramentów i powiedział: »Nie boję się śmierci, boś ty jest przy mnie, świątobliwy kapłanie!«

Niejednokrotnie przepowiadano mu wysokie godności, arcybiskupie infuły, ale Skarga nie pragnął wywyższeń ziemskich — i po kilku latach chwalebnej we Lwowie działalności, postanowił przyoblec suknię zakonną.

Rósł wtedy w znaczenie i potęgę świeżo założony zakon Jezuitów. Już za życia Skargi powstał i za życia Skargi również zyskał pierwszego świętego (prócz Założyciela św. Ignacego Lojoli) między młodzieżą polską: Stanisław Kostka 18-letnim młodzieńcem w Rzymie swój chwalebny żywot zakończył i niebawem patronem świętym polskim przez Papieża uznany został.

Otóż ten przykład umocnił ks. Piotra w jego przedsięwzięciu tak, że bezzwłocznie z jednym sługą i małym tłomoczkiem do Rzymu się wybrał.

W drodze zaraz na początku miał przygodę: koń potknął się i nogę złamał, co ludzie złym znakiem być mienili. Nie uląkł się przecież kapłan i zaraz czoło stawił niebezpieczeństwu: oto gdy przejeżdżał koło domu pewnego wojewody, który wiary ojców zaniechał, wstąpił doń i gorącemi słowami zachęcał do powrotu na drogę cnoty i obowiązku. Ale wojewoda kazał ludziom wygnać księdza, ci jednak dotknąć go nie śmieli. Wówczas opuścił niegościnne i wrogie Bogu progi i szedł dalej. Aż dogonili go słudzy z prośbą wojewody o przebaczenie i złotem na drogę. — Przebaczył, lecz złoto odesłał, bo — jak mówił — »nie zapomina się uraz za pieniądze«.

Dwa lata spędził ks. Piotr w Rzymie, a nauczywszy się od obcych, czego potrzebował, jako dobry Polak wrócił do kraju, by służyć ojczyźnie.

Nie zastał już przy życiu towarzysza i przyjaciela-opiekuna, Zygmunta Augusta, lecz doradcą wiernym stał się Annie, ostatniej Jagiellonce, która z jego pomocą i doświadczeniem kapłańskiem się posługując, wiele ufundowała zakładów.

Cenił go także król Stefan Batory, choć nigdy monarsze nie pochlebiał, owszem, błędy wytykał, prawdę mówił, za winnymi się wstawiał. Zdarzyło się, że pewien młodzieniec, oburzony kazaniem ks. Piotra, który na zbytki, marnotrawstwo i pijaństwo powstawał, spotkawszy kaznodzieję na pustej ulicy, w twarz go uderzył. Zniósł Skarga obelgę, ale sprawa miała świadka w jakimś przechodzącym mieszczaninie i wiadomość o zuchwalstwie doszła do króla. Winowajca został schwytany, oskarżony i skazany na odcięcie zbrodniczej ręki.

Od kary wyprosił go sam ksiądz Skarga, który osobiście prosił króla i sędziów o miłosierdzie. Widział świątobliwy kapłan, że Polska zamało rozczytuje się w przykładach wielkiej cnoty, i postanowił dać wzory doskonałości w księdze »Żywotów Swiętych«.

»Jeżeli na niebo i gwiazdy i słońce z rozkoszą patrzysz, jeżeli ozdoby ziemi w górach i polach, zieloności i kwiecie, rzekach i gajach uciechę tobie miłą dają, jeżeli na ptakach, ich śpiewaniu i zwierzach rozmaitych

oko swoje chłodzisz, a jako patrzysz na Święte Boże, nie uradujesz serca?« I dał mu Bóg tę pociechę, że dotąd książka jego znajduje się w każdym domu polskim, jest czytana i kochana.

Działalnością swoją na innem jeszcze polu, za pobytu swego w Krakowie, pokazał ks. Skarga, co można zdziałać wspólnemi siłami, drobną oszczędnością, choćby najmniejszą ofiarą. A tym sposobem dał początek dobroczynności i samopomocy, tj. wszystkim zakładom i instytucyom, jak np. bractwa, domy kalek, zakłady dla dzieci opuszczonych i t. p.



Ks. Piotr Skarga.

Na myśl tę naprowadziło go następujące zdarzenie: właśnie ubierał się do Mszy św., gdy jakaś uboga kobieta rzuciła mu się do nóg z prośbą o pomoc: z mężem chorym, z dziećmi drobnemi, bez zapasu została w nędzy i chyba rękę wyciągać musi. Dopomógł Skarga biednej kobiecie na razie, a wszedłszy na ambonę, takim uniósł się zapałem, przedstawiając nędzę ludzką, że zaraz zebrali się najgorliwsi i założyli Bractwo Miłosierdzia. Że zaś przekonał się ks. Skarga, jak często ubodzy w ręce żydów wpadają, założył instytucyę zwaną Bankiem pobożnym, który pożycza bezprocentowo na fanty — i który do dzisiejszego dnia swego założyciela wielu dobrymi chwali czynami.

Że zaś dobry przykład zawsze znajduje naśladowców, podobne zakłady powstawać zaczęły we Lwowie, Wilnie, Poznaniu, a w Warszawie istniejący do tego czasu szpital św. Łazarza.

Widzieliśmy ks. Skargę kapłanem świątobliwym, księgi piszącym, uczonym i dobroczyńcą. Teraz przyjrzyjmy się jeszcze innej jego działalności. Polska miała wtedy królów swoich i sejmy swoje. Sejm każdy trwał niedziel 6, a rozpoczynał go i kończył przemową wybrany kaznodzieja, ktory też miał obowiązek mówić do panów zgromadzonych na nabożeństwo każdej niedzieli. I tu jest Skargi moc wielka i zasługa: w kazaniach sejmowych piętnował on wady polskie i zbrodnie, pychę, ucisk poddanych, zbytki, nieposłuszeństwo królowi; w kazaniach sejmowych przepowiedział, że zginiemy — jeżeli nie usłu-

chamy głosu Bożego. — I kraje się serce, gdy widzi się dziś, jako wszystko prawdą się stało; jako rzeczywiście przyszła na nas niewola taka, iż wydarto nam ziemię, królów, obyczaje, język. Jako wszędzie jesteśmy wygnańcami, obcymi, jako nigdzie sprawiedliwości nie mamy. Albowiem dla złości naszej twarz od nas zasmuconą odwrócił Bóg.

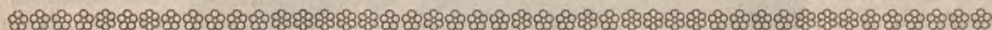
Nietylko zwyczajnym kaznodzieją był Skarga: był zatem wieszczem, prorokiem, był swemu narodowi posłańcem Bożym, »Objawienia ja od Boga nie mam, ale poselstwo do was mam« — powiedział — i ową moc czuli w nim wszyscy. Że zaś nie poprawili się, nie powstrzymali na drodze, kraj wiodącej do zguby — nie jego wina.

Jego serce bolało, jak boleć najsrożej może serce, miłujące Ojczyznę.

* * *

Usta, co takie głosiły prawdy, śmierć na zawsze w r. 1612 zamknęła. Ale wierzymy, że żyje duch Skargi w jego dobrych dziełach. I niech żyje także w pamięci naszej, niech zmartwychwstaje w każdem polskiem sercu, co jego księgi poznało i kochać potrafi.

M. Ruszczyńska.



Jak Matka Boska świat od głodu uratowała.

(Legenda).

Kiedy Pan Bóg zesłał straszną na grzesznych ludzi karę, albowiem deszcze przez czterdzieści dni i nocy padały nieustannie z zagniewanego nieba i zalały całą ziemię z ludźmi, zwierzętami, lasami i zbożami, jeden tylko Noe z całą rodziną, dobytkiem i po parze każdej zwierzyny miał być ocalony. Wybudował sobie więc arkę, czyli okręt, ażeby w nim unosić się po wezbranych wodach.

Otóż gdy ten straszny zalew ogarnął już całą ziemię i coraz wyżej sięgał do wzgórz i gór, z jednego jeszcze pagórka ponad przybierające ciągle wody, wychylały się kłosy żyta i pszenicy. Miały one już być także za chwilę zalane, ale Najświętsza Panienka, którą Pan Bóg już przy stworzeniu świata, jako Najświętszą Dziewicę stworzył na przyszłą Matkę Zbawiciela świata, czuwała nad dolą tegoż świata i ludzi. I oto, unosząc się nad powodzią, łzami miłosierdzia swe cudowne oczy zalała i prosiła Wszechmocnego Stwórcę, aby do cna nie dał się zalać zbożu i uchronił przyszły biedny lud od śmierci głodowej. Tedy Pan Bóg dozwolił, ażeby Najświętsza Panienka, Matuchna Zbawiciela naszego, ocaliła wychylające się jeszcze z wód kłosy żyta i pszenicy.

Uczyniła to Matka Boska, uchwyciwszy w obie dłonie kiście owych kłosów zboża, a gdy ziemia obeschła po strasznym potopie, rozrzuciła po niej ziarno, które tak się rozrosło, że miliony ludzi mogą się niem wyżywić.

Od tego czasu ludzie dodali Matce Boskiej przydomek Siewnej i Łaskawej i dlatego Matkę Boską Łaskawą malują z kłosami w dłoniach rozpostartych nad światem i siejącą złociste promienie.

Kędzierski Piotr.





Matka Boska Zielna.

(Legenda).

W cudowny, letni, poranek,
Mkną Aniołowie ku ziemi...
By w niebo Mateńkę Bożą
Unieść skrzydłami białemi.

Na tron Jej z nieba przysłany,
Królowa Boża zasiada,
I z aniołami hen! w górę
Wzlatuje do Syna rada.

Lecz z nizkich dolin tej ziemi
Słyszy jęk naraz rozgłośny...
To biedny lud za Swą Matką
Uderza w płacz tak żałośny!

Bo pustka wszędzie okropna
Stała się teraz na ziemi,
Gdy Matka Boża do Syna
Wzlata z anioły białymi...

Więc litość zdjęła jej serce,
Bo ludzi bardzo kochała!
Chciała, by też pamiątka
Po Niej na ziemi została.

I bierze z szat swych klejnoty
I sypie dłońmi drobnemi,
A gdzie też klejnot upada,
Tam kwiat wyrasta z pod ziemi.

Z turkusów, błękit się tworzy
Niezapominek nad wodą,
Koral, na drzewie wykwita
Ślicznych jarzębin jagodą.

Opal powojem się mieni,
Fiołek z szafiru wykwita,
Tam bławat w niebo spogląda
Z pośród złocistych fal żyta.

Szmaragd — rozchodnik zielony
Jasną się barwą w dal śmieje,
Topaz, to jaskier żółtawy,
Na łąkach złotem jaśnieje.

I tak się ziemia okryła
Różnobarwnemi kwiatami,
By oczy ludzi cieszyła
Jasnymi swymi barwami.

A kwiaty barwą i wonią
Wielbią też Panią swą w niebie.
I my się do Niej z ufnością
Zwracajmy w każdej potrzebie.

Stefania Szybowiczówna.





Pijak na misyach.

Pewien dziedzic miał leśnego, a było to dobre człowieczysko, na ranę go przyłożyć — jak to mówią — lecz miał także i małą wadę, a mianowicie dość często się upijał. Trapiło to poczciwego pana, gdyż leśnego wiernego prawdziwie miłował. Myślał też nieraz, w jakiby sposób wyrwać człowieka od zguby, która go niechybnie czekała. A próbował już różnych sposobów: rady, zachęty, perswazyi — lecz daremnie. Myślał także nieraz: zwymyślam go w porządku, i zagrożę wydaleniem ze służby, lecz kochając go, nie mógł się na to odważyć.

Nareszcie nadarzyła się dobra sposobność w październiku, która naprawdę mogła wypłynąć na poprawę leśnego; odbywały się mianowicie misye w sąsiedniej parafii, na które z całej okolicy zbiegał się lud wierny. A opowiadano cudo o misyonarzach, na ich słowa ludzie bili się w piersi, płakali, poprawę przyrzekali; misyonarze zaś szczególniej przycinali gorzałce i pijaków zaklinali na wszystko, aby tylko gorzałki się wyrzekli.

— Muszę ja tego człowieka tam posłać — myślał sobie pan — to nie sposób, aby i on się nie zmienił. Woła też służącego i mówi:

— Słuchajcie-no! nie będzie to złą rzeczą, jeżeli pójdziecie i wy na misye; macie tu 3 guldeny, idźcie i zostańcie tam, jak długo wam się tylko podoba.

Leśny oczy otworzył i już chciał się sprzeciwić, zdjął go jednakże wstyd. Wziął więc 3 guldeny, »Bóg zapłać« bąknął i odszedł z miną kwaśną, bo i on słyszał, że misyonarze strasznie o wódce przycinają.

— Cóż tu robić? — myślał sobie teraz leśny... Nie pójść — pan się zgniewa, pójść — nie lubię słuchać, jak mi ktoś o gorzałce pika i pika! Piję, ale za swoje, ja niczyjego majątku nie przepiję, co komu wadzi, jeśli czasem kieliszek wypiję!

Stanęło wreszcie na tem, że postanowił pójść, ale tylko misye zobaczyć i wrócić. Nie chcąc zaś i tam być pozbawionym wódki, gdyż ją lubił jak kot mleko i ani dnia nie mógł być bez niej, nalał jej do flaszki i do kieszeni schował. Pełen otuchy, przebrał się w świąteczne szaty, kapelusz wdział z piórem, wąsa pogładził a wziąwszy w rękę laskę, puścił się w drogę.

Było właśnie kazanie na cmentarzu, ludzi co niemiara, a wszyscy patrzeli na kaznodzieję i stali, jakby wryci; od czasu do czasu słyszałeś tylko jęk i płacz, to znów nastawała taka cisza, że mogłeś brzęk muchy dosłyszeć. Nasz leśny, choć nieśmiało zbliżył się zwolna do ciżby, stanął i słucha, a rękę lewą wciąż trzyma w kieszeni, bojąc się o flaszkę.

Wtem ksiądz zwraca się w jego stronę, wyciąga rękę, jakoby ku niemu i mówi:

— Nie dość tobie, człowiecze grzeszny, że w karczmie i w domu czynisz obrazę Bogu gorzałką, że odpusty zamieniasz w rozpusty, ale gotowyś się wybrać nawet na misyę z gorzałką.

Leśnik struchlał... poczerwieniał i strasznie się zawstydził, gdyż zdawało mu się, że wszyscy nań oczy zwracają. Na szczęście ksiądz zwrócił się wnet w przeciwną stronę, a on tymczasem prędko na palcach przesunął się koło ambony. Tutaj mię już chyba nie zobaczy... pomyślał

uradowany i słuchał dalej, a słuchał coraz ciekawiej i coraz z większem przejęciem. Kaznodzieja jednakże zwraca się niebawem w jego stronę... wyciąga rękę wprost jakoby znów ku niemu i opowiada o Kainie, co się błąkał po świecie, i nigdzie nie znalazł spokoju.

— Tak — powiada — i pijanica grzesznik, choćby się z miejsca na miejsce przenosił, choćby na koniec świata poszedł, zawsze będzie niespokojny.

Leśny uczuł gorąco, jakoby go kto warem polał, pot wystąpił mu na czoło, nie wie, co ma ze sobą zrobić, spuścił oczy ku ziemi, gdyż czuje, że wszyscy nań patrzą. Biedakowi nawet łzy cisnęły się w oczy i o mało się nie rozpłakał.

Wtem rzucił w bok okiem i widzi też grube drzewo: dobrze — pomyślał... stanę za nim i raz przecież będę spokojny. I zaledwo to pomyślał, już był za drzewem. Była to stara a gruba lipa. Przycisnął się tedy do niej, a następnie z za pnia, wspierając się rękoma na lasce, wychylił się przodem, szyję wyciągnął, głowę nieco přzekręcił, nadstawiając ucha na słowa kaznodziei, które dziwnie przemawiały do jego duszy, pociągały go, a nawet przykuwały do siebie. A kiedy tak słucha, będąc siebie pewny, kaznodzieja opowiada znów o Adamie, jak to Adam za marne jabłuszko utracił raj.

— Tak samo — powiada — i pijak: za kieliszek gorzałki traci niebo, a jak Adam, gdy zgrzeszył, począł się bać i kryć za krzaki i drzewa, tak i pijak wstydzi się sam siebie, ale daremna rzecz, choć się przed okiem ludzkiem zakryje, Bóg i za drzewem widzi.

Leśny wyskoczył teraz z poza drzewa, jakoby oparzony, ręce załamał:

— Matko Boska, ratuj! — rzekł zrozpaczony, — co robić?...

Wsadza co tchu rękę w kieszeń, wyrywa butelkę i biegnie wprost na gościniec i tu na środku rzuca butelkę o ziemię. Butelka, uderzając o kamienie, prysła i kawałkami odleciała na boki, a wódka oblała ziemię. Zapach gorzałki buchnął w górę — a przyjemny to był zapach dla naszego leśnego, lecz tym razem już nim gardził. Wrócił więc zaraz, słuchał do końca misyi, wyspowiadał się i pić przestał.

Dumka.



Smutno, tęskno, w tej to porze:
Rolnik już potrosze orze,
Siejąc ziarno. Gdy pomłóci,
Żałosną pieśń w sercu nuci.

Jeszcze smutniej, gdy się wspomni,
Że nasi bracia niezłomni,
Mieszkają tam pod knutami —
Jęczą pod wroga batami.

Więc ty, bracie, pomnij na to,
Że Bóg wroga stłumi za to;
Pan Bóg nam otuchy doda,
Wróci wolność i swoboda,

Czy pod Prusem, czy Moskalem,
Wyrzec muszę z wielkim żalem,
Lecz się wspólnie oświecajmy
I naszą „Rolę“ czytajmy.

Jędrzej Czarnik.



TRZY KRZYŻE.

Popod królów zamek stary
Płyną z Wisłą trzy galary;
Bez retmana, bez flisaków,
Popod stary płyną Kraków.

Król się z wieży pytać każe:
— Co tam płynie na galarze?...
— Spojrzej królu! — jak na marach
Krzyże płyną na galarach!...

Król się zmieszał, wysłał straże
I galary wstrzymać każe.
Zbiegają się starzy, młodzi,
Na brzeg Wisły sam król schodzi.

Więc galary zatrzymano,
I dokoła poklękano;
Wszystkich zdjęła wielka trwoga,
Czują, że to znak od Boga.

I na galar król wstępuje,
Stopy krzyża ucałuje,
I kolana Jezusowe,
I cierń, co Mu rani głowę.

A ten krzyż, to krzyż drewniany,
I rok na nim wyrzezany,
Rok, co przyjdzie w czas daleki,
Aż... gdy cztery miną wieki.

Zadumał się król głęboko,
Łzą mu zaszło jasne oko,...
— Znak to, — rzecze — znak to Boży;...
Jakże mi się serce trwoży!

I na drugi galar wchodzi,
I oczyma po nim wodzi:
I na tym krzyż leży święty,
I na nim nasz Pan rozpięty.

Więc król nad nim się pochyli,
I rozpłakał się tej chwili,
Krzyż drewniany ucałuje,
Rękami go obejmuje.

Do stóp Zbawcy się uniża,
Łzami rosi drzewo krzyża,
Czyta smutny i spłakany —
Rok, co na nim wyrzezany.

— „Nie dożyję ja tej doby;
Lecz będzie to rok żałoby,
Gdy upadnie lew zwycięski,
Rok okropnej jakiejś klęski.

W lat czterysta i dwadzieścia,
Łzami spłynie twarz niewieścia,
Coś strasznego tu się stanie;
Boże, odwróć Twe karanie!“.

I król smutnem okiem wodzi,
I na trzeci galar wchodzi:
Krzyż i na tym, choć odmienny,
Nie drewniany, lecz kamienny.

Król się chyli, krzyż całuje:
— „Panie! co ten krzyż zwiastuje?
Cios okropny, moc cierpienia,
Jako ten Twój krzyż z kamienia.

U stóp Zbawcy król łzy leje:
— „Panie! Ty znasz przyszłe dzieje,
Losy, które nas czekają,
Ciosy, co nam zagrażają.

O mój Jezu! o nasz Panie,
Odwróć od nas to karanie,
Jam ostatni z Piasta rodu,
Błagam! nie karz tego grodu!

Nie gub ojców mych stolicy,
Nie karz, nie karz tej ziemicy,
Odwróć klęski — co nam grożą,
Wstrzymaj je Twą mocą Bożą!“.

Płacze król i skronie zniża,
Łzami zmywa stopy krzyża...
Lecz — snać wyrok nieodmienny
Głosi i ten krzyż kamienny?...

Bo późniejsza na nim data
Od poprzedniej — o trzy lata,
Król ją czyta, opłakuje,
Lecz — któż zgadnie — co zwiastuje?...

Nikt z nas lat tych nie dożyje,
A któż wie! — co przyszłość kryje?
I co znaczą lata one
Na tych krzyżach wyrzeźbione?

Znak to iście — znak od Boga.
Na lud wszystek padła trwoga,
I tłum wzdycha: — Panie! Panie!
Odwróć od nas Twe karanie!

I ku Wiśle z miasta spieszy
Coraz większy zastęp rzeszy,
Jakby groźnej czekał burzy,
I o krzyżach różnie wróży.

Przybył biskup i kapłany
Na zielony brzeg Wiślany,
I modlił się, Boga wzywał,
Stopy krzyżów łzami zmywał.

Przyszły cechy z chorągwiami,
Przyszły bractwa ze świecami
I z czcią wielką, a pokorą
Krzyż w poczciwe ręce biorą: —

— „Hej! wyniesiem krzyż drewniany
Na wysoki brzeg wiślany;...
W Twej katedrze na Wawelu
Racz zamieszkać Zbawicielu!“.

Lecz go dźwignąć nie zdołano!
Próżno siły wytężano;...
Lud go ruszyć nie miał siły,
I... prom spłynął do Mogiły.

Tu się ledwo wstrzymał w biegu,
Tutaj przybił sam do brzegu,
Tutaj z niego krzyż zniesiono
I w ołtarzu ustawiono.

Gdy na drugi prom wstępują,
Próżno krzyż zdjąć usiłują,...
— „Nie chce zostać krzyż w Krakowie!“
Cofnęło się ludu mrowie.

— „Niech odpłynie!“... I prom zmierza
Do — dolnego Kazimierza,
Tu dopłynął w jednej dobie,
Tu krzyż miejsce obrał sobie.

Tu nie bronił się nikomu,
Tu go lekko zdjęto z promu,
Tu go w Kaźmierzowskiej Jarze
Wyniesiono na ołtarze. —

— „Może choć ten, — z Bożej woli
Trzeci krzyż się wziąć pozwoli?“...
I lud kornie się uniża,
Zanim zbliży się do krzyża.

A ten trzeci znak zbawienia
Już nie z drzewa, lecz z kamienia,
— „Niechajże niewinne dzieci
Wziąć spróbują ten krzyż trzeci!“.

I niewinne pacholęta
Szkolne chłopcy i dziewczęta
Biorą go na ręce swoje,...
A krzyż wtedy... pękł na dwoje!

Taki też przepołowiony
Został z promu uniesiony;
I dziatwa z nim od wybrzeża
Grodzką wprost do Rynku zmierza

Tu w kościele Bożej Matki
Na ołtarz go wnoszą dziatki,
I tutaj od czasu tego
Słynie do dnia dzisiejszego. —

Czas to dawny, czas odległy;
Bo od owej chwili zbiegły
Cztery wieki nad tym grodem,
Nad tą ziemią i narodem.

I zmarł król ów z trosk i bólów
I dwudziestu po nim królów,
I ci w proch się rozsypali —
Co te chwile pamiętali. —

Cztery wieki zbiegły chyże,
Pozostały tylko krzyże,
A wyryte na nich roki —
Boże były to wyroki. —

Nieszczęśliwa pierwsza data
Niepojęta w owe lata,
Co znaczyła — zrozumiano,
Gdy nam Polskę rozebrano.

A rok drugi wyrzezany,
To rok również opłakany,
Samych klęsk, nieurodzaju,
A z nim drugi rozbiór kraju.

W roku trzecim kraj kochany
Po raz trzeci rozszarpany,
A Ojczyznę umęczoną
Po raz trzeci w grób złożono.

Owóż to jest wykład cały:
Co te krzyże znaczyć miały,
I zła wróżba o złych rokach,
Tonących w przyszłości mrokach.

Wiedział król i naród cały,
Że go klęski spotkać miały,
Że kto Boga kocha szczerze,
Na tego On zsyła krzyże.

Lecz kogóż z nas krzyż przestrasza?...
Wszak w krzyżu nadzieja nasza,
I my o tem dobrze wiemy:
Że w tym znaku zwyciężymy.

I dlatego to te krzyże
Zawsze tak miłujem szczerze,
Boć tak z Polską dziś w istocie,
Jak przed wieki na Golgocie.

I Bóg za tę silną wiarę,
Choć na naród zesłał karę,
Choć nań zsyła ciężkie próby,
Nie chce przecież naszej zguby.

Kto nie uląkł się cierpienia,
Może pewnym być zbawienia;
Kto ukochał krzyż Twój Panie,
Ten i z grobu zmartwychwstanie.

Lud o wierze tak głębokiej
Lud, co przyjął Twe wyroki,
I Twe krzyże w swe Świątynie,
Ten lud, Panie, nie zaginie!

Bo u krzyżów Twych, o Boże!
Co dnia klęczy on w pokorze,
Prosząc: zmiłuj się o Panie!
Daj, niech Polska zmartwychwstanie!

Ty wysłuchasz modłów tego
Ludu, w Ciebie wierzącego
I pokuty czas ukrócisz,
A Ojczyźnie wolność wrócisz.

Jacek Obrochta.



Huzarskie skrzydła.

Wrześniowe, zachodzące słońce czerwoną topielą zalewało świat, kiedy Stach z Tarnawy przebił się przez szczyrzyckie knieje i wjeżdżał ze swoim orszakiem na uroczą dolinę rzeki Śreniawy. Wracał z pogromu Tatarów, którzy krwawym szlakiem ciągnęli przez kraje Rzeczypospolitej aż hen na zachód, w śląskie dziedziny. Rozbito w puch ich »kosce« i rycerstwo polskie wracało do domowych pieleszy syte boju i chwały.

Cieszył się chwalebnym powrotem i nasz Stach z Tarnawy. Toż to będzie radość w domu — a witania gorące! Przed starym ojcem stanie młody rycerz z dumą, bo wielka sława bojowa za nim idzie. Ojciec pochwali i do serca przyciśnie. Ale nikt tak tkliwie, a radośnie go nie przywita jak matka ukochana. On jedynak przecie, umiłowanie jej serca. A siostry? Te dopiero oglądać go będą a opytywać o przygody wojenne. Zjadą się sąsiedzi — toż to będzie miał co opowiadać, a czem się chwalić, że na wszystkie jesienne i zimowe wieczory mu starczy. Domownicy ze czcią poglądać będą na młodego pana, bo ci junacy z orszaku jego sławę rozpowiedzą.

Tak marzył młody rycerz, a sercem tak się rwał w te domowe rozkosze, iż spienionego konia raz wraz bódł kolcami, byle prędzej przed rodzinnym dworcem stanąć.

Słońce już zaszło — a na pogodne niebo wytoczył się księżyc i srebrzystym blaskiem oblał pola i łąki, a żywem światłem zamigotał na wodach Śreniawy. Rycerze nasi przejechali pod Boczowem wbród rzekę i stanęli na tarnawskiej dziedzinie.

Ot, tam, na wzgórku w tej kępie drzew, co się do księżyca czerni dworzec Stachów rodzinny. Spiął konia, huknął na towarzyszy i jak wicher przelecieli te ostatnie staja — a zwolnili dopiero na dróżce do dworca, pod górę.

W lipowej ulicy ciemność ich ogarnęła. A z tej ciemności jakiś strach padł na wszystkich, a najbardziej na Stacha — powiał wiatr — a z nim przyszła jakaś dziwna woń od dworca. Spaleniznę czuć było. Mrowie przeszło rycerzy. Stach ubódł konia, aż bydlę jęknęło i pognał naprzód.

Przypadł do wrótni — stanął z koniem, jak wryty — i osunął się z siodła na ziemię.

Dworca nie było. Była tylko kupa zgliszcz i popiołu...

Jedną myślą pojął Stach, co się tu stało. Poznał na tem cmentarzysku — krwawą rękę tatarską...

Gdzie ojciec, gdzie matka, gdzie siostry? Gdy mu ta myśl przeleciała przez głowę, omdlał...

Dobiegli towarzysze — jęk rozpaczy wydarł im się z piersi, gdy obaczyli zgliszcza — ale w mig rzucili się ratować pana.

W parę pacierzy Stach się ocucił. Chwiejnym krokiem poszedł ku zgliszczom, usiadł nad niedopalonym węglem i żywemi łzami rzewnie zapłakał. Siedział i płakał tak długo...

Kilku z towarzyszy rozbiegło się po wsi zasięgnąć języka.

Długo nie wracali, bo wieś cała w zgliszczach była — i żywego ducha nie spotkali dokoła. Dopiero gdzieś w utajonej głębi leśnej znaleźli chatę, co się przed krwawą powodzią ostała. Porwali ze snu wylękłego jakiegoś starca i przed panem stawili.

Tatarzy przyszli, wieś całą i dworzec spalili, starych państwa pomordowali, a córki w jassyr uprowadzili. Tak z całą wsią zrobili — opowiadał starzec.

— A gdzie ciała pomordowanych? — ledwie, że wykrztusił z boleści Stach.

— Na cmętarzu wedle kościoła, panie — objaśnił stary.

Zerwał się Stach z miejsca, dosiadł konia i w mig ku kościołowi poleciał. Z kościoła ostały się jeno gruzy... Przy świetle księżyca, a więcej jeszcze tem zbolałem synowskiem sercem, odnalazł Stach dwie świeżo usypane mogiły. Z jękiem niewypowiedzianej boleści runął krzyżem na te mogiły — i tak do rana przeleżał nieruchomie, że ino ta boleść, a płacz serdeczny nim wstrząsał.

Słońce już dawno wstało — nim Stach z mogiłek się podniósł. Towarzysze wieńcem otoczyli młodego rycerza — a każdy szeptał modlitwy i gorąco wzdychał. W gronie ich klęczał kapłan staruszek, w jakiemś świętem rozmyślaniu głęboko zatopiony, który niewiedzieć kiedy się tam zjawił.

Gdy Stach staruszka zobaczył, do rąk mu przypadł — gorąco, a z płaczem serdecznym go witał. Był to proboszcz miejscowy. Cudem przed Tatarami ocalał, zaopatrując naówczas prawie chorego w głębokich puszczach leśnych. Stacha znał — bo go to i chrzcił i w naukach potem ćwiczył — a kochał młodziana, jak własnego syna. To też szczerze boleść z nim dzielił.

— Zemsty, ojcze, zemsty, a strasznej, bo mi już nie żyć na świecie — krztusił ze siebie w boleści młody rycerz.

— Nie, sysu, nie zemsty — bo ta nie krzepi — ale Boga ci trzeba, a On twą boleść ukoi — odrzekł kapłan. — »Pójdź ze mną« — i pociągnął młodziana między gruzy spalonego kościoła...

Przy środkowej framudze ostał się jeden ołtarz w kamieniu robiony — a na nim św. Michał Archanioł skrzydlaty, w rycerskiej zbroicy, z kopią w ręce, powalający smoka piekielnego. Stach pamiętał ten ołtarz. W chłopięcych latach rad się w tę postać Archanioła — rycerza wpatrywał i przy tym ołtarzu o swej rycerskiej przyszłości marzył. Ku temu ołtarzowi podprowadził go kapłan.

Usiadł na kamieniu, Stach obok uklęknął — i poczęła się spowiedź. — Długo trwała — a przerywały ją ciągle rzewne szlochanie, dobywające się z głębi piersi młodego rycerza. Kapłan wreszcie znak krzyża św. nad nim uczynił — i odstąpił na bok. Przystępowali potem kolejno do trybunału pokuty i towarzysze jego.

Gdy się spowiedź skończyła — kapłan stanął przed ołtarzem do odprawienia Ofiary Najświętszej.

Dziwne to było nabożeństwo pośród gruzów Kościoła. Wspominali wtedy nasi rycerze na ową pierwszą Ofiarę na Golgocie — gdy ziemia się trzęsła, skały pękały — i gruz otaczał ten pierwszy ołtarz, Krzyż Jezusów.

Przyszła Komunia św. Przed rozdzieleniem Ciała Pańskiego ksiądz odwrócił się od ołtarza i przemówił do Stacha i otaczających go rycerzy.

A mówił z takiem namaszczeniem i taką miłością, że słowa tego sługi Bożego, jak balsam kojący spływały do serca zbolałego rycerza. Mówił kapłan, iż zemsty poniechać należy — bo zemsta z nienawiści idzie, a boleść koi się miłością jedynie. A miłość się pełni, gdy się Bożej sprawie służy.

— Bogu się oddaj — wołał w zapale kapłan, za Bożą sprawę idź stawać do walki, chrześcijański rycerzu — a krzywd swoich przepomnisz i zbolałe serce uleczysz. Jako ten Michał św. tu w ołtarzu, ten pierwszy wielki rycerz Boży, za Imię Najwyższego z mocami piekła wojował —

tak i ty Bożym bądź rycerzem i z nieprzyjacielem wiary św. idź walczyć — nie w imię pomsty, ale w imię miłości Bożej — a Bóg cię pokrzepi i rany serdeczne wygoi.

Skończył sługa Boży. Ze łzami w oczach i z tym dreszczem serdecznym przyjmował Stach z towarzyszami Ciało Pańskie.

Długo potem krzyżem w dziękczynieniu leżał...

Wstał pokrzepiony. — A dziwna jakaś moc z jego oblicza biła — a oczy to żywym ogniem pałały. Postąpił ku ołtarzowi dobył miecza z pochwy, towarzyszom swoim to samo uczynić kazawszy. Podniósł miecz ku górze, a złożywszy na nim w krzyż palce uroczyście ślubować począł:

— Ślubuję imieniem mojem i towarzyszy, tu przed św. Archaniołem, iść, jako on z mocami piekła wojował, tako i my za Bożą sprawę z nieprzyjacielem wiary św. do tego ostatniego tchu walczyć będziemy — a św. Michała za szczególnego patrona w tym boju sobie obieramy. A znakiem tej służby naszej — będą skrzydła u zbroic, jako je ma ten św. Archanioł na tym tu wizerunku. Tak nam Boże dopomóż!!

— Tak nam Boże dopomóż! — zagrzmieli chórem towarzysze.

Nazajutrz o świcie — odjeżdżał z Tarnawy oddział rycerzy w żelaznych zbroicach — ze skrzydłami u ramion. Rzekłbyś niebieskie wojsko ciągnie przez ziemskie padoły. Pojechali na wschodnie kresy — bronić wiary św.

Dochodziły czasem o nich wieści — sławnych ich czynach, jak w poszumie skrzydeł z okrzykiem »Jezus, Marya« uderzali na wroga — w puch rozbijając jego oddziały.

W ślad za Stachowymi rycerzami i inni obrońcy św. wiary skrzydła sobie przypinali — a zwali się husaryą.

Ks Władysław Staich.

Jesienią.



Tak jakoś smutno i głucho bezdennie —
W jakieś pokutne świat oblekł się szaty,
Że nawet serce kołysze się sennie,
Miast rwać ku słońcu i w szczęścia zaświaty. —

Czasem wichr halny, rozpęta swe moce
I w burz piorunnych obejmie uścisku —
Dni dość już chmurne, zamieniając w noce,
Świetlone jasną łuną gromów błysku.

I wtedy może, och — wtedy jedynie,
Ziemskiej mię kaźni puszczają okowy —
Dusza, sny szczęścia rojąc, wzlata, płynie
W kraj cudny jakiś — inny, lepszy, nowy...

A choć zwątpienia potęgi moc głucha,
Jadem niewiary sen promienny zbrudzi —
Serce się koi, i patrzy i słucha,
Wolne od bolu, trosk, świata i ludzi.

I choć — jak zwykle — za tę szczęsną chwilę
Los nowy zawód i nowy ból kowa —
Nie zginie w lotnym zapomnienia pyle,
Bo serce wdzięczną pamięć jej zachowa.

Antoni Kościelny.

Gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle.

(Opowiadanie ludowe).

Raz żyli na świecie chłop z babą a żyli w tak wielkiej zgodzie, że nigdy się nie kłócili ani nie bili, wobec czego nigdy nie zgrzeszyli. Gniewało to okropnie djabła, tak że własny ogon zębami gryzł, to też chodził za niemi przez siedem lat a nie mógł ich podejść i skusić do grzechu.

Rad nie rad musiał djablisko odejść, nic nie wskórawszy.

Gdy szedł drogą zasmucony, spotkał starą babę. Baba, jak zwykle stare baby, ciekawa, pyta się go, czego taki smutny.



— Czegóż się mnie pytasz — djabeł na to odpowiada — kiej mi nie pomożesz...

Babę to jednak jeszcze bardziej zaciekawiło, więc poczęła nalegać na djabła, aby jej koniecznie powiedział, co go tak smuci. Djabeł, chcąc się pozbyć baby, opowiedział jej powód swego zmartwienia i wskazał owych ludzi, których nie mógł przywieść do grzechu.

— Co mi dasz — powiada na to baba — to ja ci pomogę?

Djabeł popatrzył na babę, a zobaczywszy, że jest bosa, obiecał jej parę butów, gdy tylko owo małżeństwo przywiedzie do grzechu. Baba zgodziła się tem chętniej, iż buty miały być tak silne, że nigdy się zedrzeć nie miały.

Nie zwłócząc wiele, udała się baba do chaty owych ludzi, gdzie zastała samą kobietę. Tam udała bardzo głodną i prosiła o kawałek chleba. Dobra kobiecina nie żałowała jej jedzenia, przyczem wdała się z staruszką w pogawędkę, pytając jej, skąd jest i jak się ma.

Baba zamiast odpowiedzi poczęła wypytywać gospodynią nawzajem o zdrowie i powodzenie.

— Powodzi się nam nieźle — odparła gospodyni — i dziękować Bogu ja jestem zdrowa, ale mąż mój jest kiepski i ciągle nie domaga.

— A wiecie wy, czemu wasz jest kiepski — pytała stara — prawda, że nie?... To ja wam powiem: ma on na środku głowy włos siwy i dlatego zdrowy być nie może. Aby go uzdrowić, musicie mu ten włos wyciąć, ale tak, żeby on o tem nie wiedział. A jak tego nie zrobicie, to umrze. Najlepiej zróbcie to tak: chciejcie go poczesać, a wtedy nieznacznie włos brzytwą utnijcie.

Gospodyni uwierzyła i przygotowała sobie brzytwę; babę zaś chojnie obdarzyła i pożegnała.

Tymczasem gospodarz orał w polu przy drodze. Baba wyszedłszy z domu,

udała się do orzącego i zaczęła mu opowiadać, że była u niego w chałupie i że rozmawiała z jego żoną.

— Żona wasza — mówiła baba — żaliła się na was i przezywała was okropnie. Mówiła, że radaby się was pozbyć, ale nijak nie może. — »Dziś mu jednak zrobię koniec — mówiła, — jak przyjdzie z pola, to mu brzytwą kark poderżnę«.

Gospodarz nie chciał ani wierzyć starej babie, ale mimo to postanowił uważać na zachowanie się żony.

Gdy chłop pojechał na obiad do domu i wyprzągł konie, przygotował sobie w kącie porządną lagę. Skoro poobiadował, przyszła ku niemu jego żona i mówi:

— Wiesz co, chłopku, jabym cię chciała trochę poczesać.

— A to ta poczesz — odrzekł chłop.

Żona ujęła grzebień i poczęła czesać, ale chłop, ostrzeżony przez babę, dawał na nią pozór. Po chwili czesania wyjęła kobiecina brzytwę, chcąc ów włos wyciąć. Zobaczył to mąż, sięgnął po lagę i począł żonę nią okładać. Bił i bił, aże djabeł podskakował z radości, że przecież ci, za którymi chodził siedem lat, zgrzeszyli.

Djabeł, chcąc przyrzeczenia dotrzymać, przyniósł owej starej babie przyobiecane buty, ale, zobaczywszy ją, tak się przeląkł jej widoku, że ani rusz nie mógł się do niej zbliżyć. Wziął więc drąg, powiesił na nim buty i przez rzekę podał babie.

— Dlaczego tak z daleka mości djable? — pyta baba.

— Nie głupim — odparł djabeł — niektóra baba gorszą jest od siedmiu djabłów a ja jestem zamądry, abym się dał babie złapać.

Rzekłszy to, rzucił babie buty wraz z drągiem a sam czmychnął do Lucypera zanieść mu grzech owych małżonków.

Józef Byrski.



Już zeszło lato.

Już zeszło lato radosne,
Umilkły skowronków pienia
I echo słychać żałosne,
Że lato w jesień się zmienia.

Znika nam widok uroczy,
Kwitnących kwiatów i róż,
Bo z mglistych niebios przeźroczy,
Jesień nadchodzi już.

I nasze myśli rozwiane
I w nich się smutek przejawia —
Nie zawsze życie wiośniane
Zadowolenie nam sprawia.

Jesienny nastrój ponury,
Grobowym głosem mówi nam:
Na niebo spojrzyj do góry,
Że dla nas szczęście jest tam.

Kazimierz Walaciński.



Babskie lato.

(Legenda).

Na łąkach już kwiaty powiędły, a z drzew poczęły liście opadać i zaścielać naokoło ziemię. Ciemne chmury pokrywały niebo, a w powietrzu czuć było, że idzie zima-macocha.

W dzień taki siedziała Najświętsza Panienka przy okienku i przędła na koszulkę Jezuskowi.

Obok Niej siedział Jezus i strugał drewienka nożykiem, otrzymanym od świętego Józefa.

Już od wczesnego rana siedziała Najświętsza Matuchna pod prześlicą i mile wciąż poglądała to na kądziel, to na wrzeciono, to na bawiącą się Dziecinę.

Na prześlicy lnu ubywa z każdą chwilą, a wrzeciono grubieje, bo nitka za nitką okręca je dookoła. A Matka Najświętsza prawie nie czuje zmęczenia. Wszak z nitek tych cienkich będzie koszulka dla Zbawcy świata, dla Jezusa Chrystusa.

Warczy wrzeciono, furczy i burczy, a około Najświętszej Panienki tańczy i tańczy i wywija się a podskakuje, jakby się cieszyło, że Stwórcy swemu strój sposobi.

Nareszcie Najświętszej Panience zrobiło się znojno. Otworzyła okno, aby ochłodzić potem zroszoną twarz i zaczerpnąć świeżego powietrza.

W tej chwili na niebie rozstąpiły się czarne chmury, a z pośród nich wyglądnęło jasne słońce i złotymi promieńmi okoliło twarz Matuchny Bożej i główkę Dzieciątka. Na dworze zrobił się zaraz ruch inny. Ptaszęta, które jeszcze pozostały w kraju, poczęły uwijać w powietrzu, a ćwirkać, a szczebiotać, rozradowane promieńmi słońca, które nieprędko ujrzeć się spodziewały. Do izdebki wpadło z brzękiem kilka pszczółek, aby od Matuchny Bożej uczyć się pilności i pracowitości. A nawet leniwy pająk, który całymi dniami bezczynnie siedzi, na łup czyhając, wygramolił się z kąta, a usiadłszy na gzymsie okna, począł z ciekawością patrzyć na pracę Matki Boskiej.

A gdy się napatrzył do sytości, począł zazdrośnik kręcić głową i rzekł:

— Szczęść Ci Boże, Najświętsza Panienko! Oddawna słyszałem pochwały o Twojem przędziwie od pszczółek i od jaskółek i od innych stworzeń, lecz teraz sam się przekonuję, że przędziesz pięknie i równiótko, ale...

Zaciekawiło to »ale« Najświętszą Panienkę, więc zapytała:

— Widzę jednak, żeś niezupełnie zadowolony z mej pracy. Cóż jej masz do zarzucenia, mój ty mały pajączku?

— Zagruba przędza — odrzekł pająk.

— A może ty lepiej prząść potrafisz? — zapytała z uśmiechem Najświętsza Panienka.

— Piękniej nie, równiej nie, ale zato o wiele cieniej potrafię — odparł z dumą pająk.

Rzekłszy to pająk, rozparł się na wszystkich swoich nogach, podniósł kałdun ku górze i począł nabierać w siebie powietrze. A gdy miał go w sobie podostatkiem, przylgnął kałdunem do gzymsu u góry okna, gdzie przytwierdził początek swej nici. Nareszcie począł snuć z siebie nić cieniutką i białą, cieńszą o wiele od tej, jaką przędła Najświętsza Panienka. A gdy doszedł do dołu okna, powrócił znowu ku górze i tak snuł jednę

nić za drugą, że omal całego okienka nie zasnuł.

Przestraszyły się pszczółki tych nici pajęczych, gdyż się obawiać poczęły o odwrót do ula. Ale gdy zobaczyły wesoły uśmiech Najświętszej Panienki, uspokoiły się i, brzęcząc, czekały na koniec roboty pajęczej.

Wkrótce pająk zmęczył się ogromnie. Usiadł więc w pośrodku swej tkanki i dumny wzrok zwrócił ku Najświętszej Pannie, jak gdyby czekał od Niej pochwały. Oczy jego zdawały się mówić:

— A co, nie cieńsza moja przędza od Twojej? a przez to czyż nie lepsza?

A Najświętsza Panienka natychmiast pospieszyła z odpowiedzią na owo nieme pajęcze pytanie.

— Cienka twoja przędza — rzekła — i piękna, ale jednej rzeczy jej brak, to jest siły. Ot, popatrz!...

Rzekłszy to, dmuchnęła Najświętsza Panienka leciuchno na delikatną przędzę pajęczą, a w tejże chwili cała tkanka wraz ze swym twórcą poczęła bujać w falach powietrza.

Począł drżeć przestraszony pająk na swojej tkance w obawie, że mu marnie zginąć przyjdzie, ale Matuchna Boża rzekła doń:

— Nie trwóż się! O lada gałązkę, o lada rzecz zaczepi się twa tkanka i ty uwolnisz się z przykrego położenia, lecz na pamiątkę twej pychy rok rocznie o tym czasie ty i twoje potomstwo będziecie bujać po powietrzu na tkankach swego przędziwa. Żeby zaś nikt nie myślał, iż w gniewie zadaję ci taką karę i na pamiątkę mego uśmiechu, jakim cię teraz darzę, twojej powietrznej podróży przyświecać będzie jasne słońce jesienne.

Odtąd też każdej jesieni jest kilka dni pięknych i pogodnych, a w dni te na tkankach swych unoszą się pająki.

Z czasem dni te nazwano babskiem latem niejako na znak, że ono jest słabsze od zwykłego lata, jako niewiasta słabszą jest od mężczyzny.

Antoni St. Bassara.



W dniu Matki Boskiej Różańcowej.

O! święta Panno! Matko Różańcowa,
My dzisiaj święcim dzień Twego zwycięstwa,
Pociesz nas, boś Ty jest nasza Królowa
Dodaj nam męztwa.

My, tej rozdartej Ojczyzny dzieci...
Zawsze do Ciebie Matko wzdychamy,
I przez Twój Maryo Różaniec święty
Otuchę mamy.

Usłysz, prosimy, głos wiernych synów,
Którzy Cię Matko żebrzą w niedoli,
I ukój Twoim świętym Różańcem
Serce, co boli...

Ty, która ongiś tam Albigensów
Różańcem świętym herezyę starła,
Wyniszcz niezgodę, która się bardzo
W nas rozpostarła.

Polska Królowo! wzbudź w nas nanowo
Cnotę, a wyniszcz występki wszelkie,
My mocno wierzym, że Twa przyczyna
Skutki ma wielkie.

Bo Twój Różaniec, o Matko święta,
To dla serc naszych ożywcza rosa...
My Cię nim chwalim, Ty nas o Maryo
Zawiedź o niebiosa.

Walenty Pasierb.

Marcin Kątski.

Sławny Kamieniec Podolski
Był silną twierdzą graniczną,
Był jak gdyby bramą Polski,
Lecz przebył kolej tragiczną.

Po sławnym wiedeńskim boju,
Turcya wojny zaprzestaje,
Prawem Karłowickiego pokoju,
Polsce Kamieniec oddaje.

W imieniu jego miłości
Króla Augusta Mocnego
I senatorów ichmości,
Wysłano pana Kątskiego.

Wsławionego w wojnach męża,
Pod dowództwem Sobieskiego
Wprawionego do oręża,
Mistrza fachu armatniego.

Gdy do Kamieńca wjeżdżali,
Rozzłoszczony basza wołał:
— Bogdajbyście pozdychali,
Potrułbym was, gdybym zdołał.

Lecz zato mieszkańcy miasta,
Formalnie z radości wyli:
Czy mężczyzna, czy niewiasta,
Wszyscy społem się cieszyli.

Wnet tureckie półksiężyce
Z meczetów powyrzucali,
A meczety na kaplice,
Na kościoły pozmieniali.

Basza rozkazem sułtańskim
Kątskiemu twierdzę oddaje,
Lecz swem uśmiechem szatańskim,
Coś złego knować się zdaje.

I do lochów go wprowadza,
Kędy beczki z prochem stoją,
Tu zdradziecko się zasadza,
By w czyn wprowadzić myśl swoją.

Bo basza w swojej rachubie,
Chciał twierdzę prochem wysadzić
I sam oddać się zgubie,
Chciał Polaków z sobą zgładzić.

Błyskawicznie lont zapala,
W prochy go rzucić kazuje,
Ale Kątski nie pozwala,
Płonący lont podejmuje.

Jaka odwaga ogromna
U tego rycerza była,
Że ręka na ból niepomna,
Za płonący lont chwyciła.

A że lont był siarkowany,
Na ziemię rzucić nie można,
Bo proch wszędzie rozsypany...
Więc nastała chwila groźna...

Lont się coraz bardziej żarzy,
Aże mu zeskwiercza ręce;
Kątski, choć go strasznie parzy,
Nie drgnął nawet w takiej męce.

Otóż i lont już się spalił —
Basza zgłupiał z zadziwienia,
Kątski Kamieniec ocalił,
Nie bojąc się oparzenia.

I gdyby Rzeczpospolita,
Wszystkich synów takich miała,
Nie byłaby dziś rozbita,
Byłaby do dziś dnia istniała.

Andrzej Wróbel.

PO 45 LATACH.

Działo się dnia 1 listopada 1905 roku. Na ulicach Warszawy wrzało. Świeżo ogłoszona konstytucya otworzyła wszystkie serca, wszystkie usta. Po latach ciszy, po latach ciągłej kontroli policyantów, żandarmów, po półwiekowem milczeniu o krzywdzie i niedoli, naród nareszcie przemówić mógł, objawić swój ból, czy swoją radość.

I naród szalał. Nie było nikogo coby myślał o codziennym trybie życia, coby dziś żyć chciał, jak jeszcze wczoraj żył, w domu się zamykał, zajęciu zwykłemu oddawał. Każdego niósł pęd jakiś nieświadomy, mimowolny, na ulicę, do braci, bo każdemu było potrzeba dzielić wieścią, weselić się i wołać: „Nareszcie“.



Aż cała radość, cały szał wolności znalazł sobie wyraz: postanowiono urządzić wielki pochód z chorągwiami kościelnemi i orłami polskimi, poważny, spokojny, ale zarazem świadczący, że nie zabito nas, że jesteśmy, że czujemy wszyscy.

Tak samo, jak 45 lat temu.

Czy wszyscy?

Na ubogiem poddaszu gromadka młodych ludzi pracowała gorączkowo. Mała, ręczna drukarnia szybko wyrzucała jakieś odezwy; przy skąpem świetle małego okienka jeden z młodych coś pisał i kreślił, inny zadrukowany papier skrzętnie chował do przygotowanej zawczasu torby. Jakaś młoda panna stała pod drzwiami, nasłuchując. Za chwilę rozległy się spieszne kroki na schodach, potem trzykrotne pukanie; otworzono i wpadł jeszcze jeden młodzieniec. „Gotowe?“ zapytał zaraz od progu. „Dawajcie! zaraz rozrzucę między naszych, między tłum“.

„Między naszych nie trzeba“ — odparł jeden z piszących — „oni już wiedzą czego potrzeba. Ale między tych, co jeszcze nie nasi“.

„Wiecie co gotuje się nowego? Pochód jakiś idyotyczny, pochód narodowy! i to tu, wśród nas, gdzie nie chcemy narodu, ludu panowania chcemy, wolności robotnika, wszystko jedno Niemiec on, czy Moskal!“

Przybyły mówił gorączkowo, ostro, wyrzucał ze siebie słowa. Patrzała na niego panna i kręciła głową.

A wy mnie jednak nie wydajecie się dziś już takim, jak ongi, Michalski“, powiedziała wolno. „Mówicie ostro, ale czujecie inaczej“.

Michalski zachmurzył się.

„Skąd wam to przyszło? i wiedzieć wam skąd?“ odparł szorstko, a zwracając się do piszących rzekł: „Idziemy?“

Tamci wstali, zgarnęli papiery, uporządkowali drukarskie przybory, szyb-

ko i zręcznie przylepili sobie brody i wąsy, wdziali peleryny — a widząc, że towarzysz nie rusza się w zadumie od okna, zwrócili się ku niemu z oczekiwaniem. Zrozumiał nieme zapytanie i odrzekł: „Zostanę i wyniosę razem z p. Anną przybory nasze. Wszakże to już nie wrócimy tutaj; ślady zatrzeć trzeba, wiem, że tropią, śledzą. Tu, przed chwilą w bramie nawet uważałem“... Słuchali go jak przewodnika, wodza. Żaden nie wymówił słowa „policya“, ale wiedział każdy.

Wyszli; w izdebce na poddaszu było cicho i mroczono, i jakiś wielki smutek kładł się na ludzi i rzeczy.

„Pani wierzy w robotę naszą?“ spytał nagle, nie odwracając głowy, Michalski.

„A pan? dlaczego to pytanie? pan dotąd szedł, jak na pewne zwycięztwo“. „Bo przemówiło do mnie coś, czego nie rozumiem; dzieją się ze mną rzeczy dziwne“, zaczął... „Opowiem pani“.

Słuchała. On mówił. Mówił, że wraca ze wsi, gdzie chciał agitować, gdzie tłomaczył swoje prawdy i wierzenia, a gdzie chłopi, ci sami, których znał dawniej tak dobrze, rzucili mu pogardliwe: „socyalista“, „bezbożnik“ i słuchać nie chciał żaden.

Aż samotny, wczoraj wieczorem za wieś wyszedł, na pola smutne, ciche, omglone.

Głos Michalskiego drżał.

„Wydało mi się, jako że słyszę głos, głos ziemi. Mówiła mi rzeczy, których nie pojmowałem zrazu, ale które mi z serca wydobywały coś nieznanego. O chatach białych, a spokojnych, o bojach krwawych a sprawiedliwych, o ofiarach wielkich i cichych. Naprawdę — mówiła po polsku. A tam blisko cmentarz był i gdy wiatr powiał mocniejszy liście szumiały smutnie i skrzypiał krzyż.

— I oto przewaliło się, zerwało coś w duszy mojej i nie wiem, gdzie droga“.

— Słuchała. Z sercem całem w oczach, aż wyciągnęła rękę. „Szanuję pana“, rzekła, „i sama wiem oddawna, że Polką jestem, tylko i jedynie Polką“.

„Więc poco tu? poco my tu, panno Anno?“

„Bo można błądzić i wrócić. A droga powrotna już zaczęta — prawda panie?“ „Ale jakże opuścić tamtych? jak zdradzić? nie potrafię“...

Nie skończył. Przez oka falą wpadły nagle tony potężnego horału. Z daleka płynęła pieśń i jakąś królewską powagą przyoblekała twarze słuchających.

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie“ biło spiżowym dźwiękiem i uginało kolana wszystkich co słuchali.

Po 45 latach na ulicach Warszawy poraz pierwszy ta pieśń.

U okienka ubogiego poddasza pochyliły się kornie dwie głowy.

Tam, w dole, tłum płynął falą, jak ta pieśń spokojną, mocną, jednostajną. Kołysały się chorągwiane znaki, białe orły na czerwonych polach biły skrzydłami i wiatru powiewem, a obok siebie złączeni jednym celem, w jednem uczuciu, dla jednej myśli, szli kapłani i panowie, lud i mieszczaństwo.

W miłości kraju ojczystego zjednoczeni, bracia, dzieci jednej matki, słudzy jednej królowej.

Gdyby w tłum ten padły teraz strzały moskiewskich karabinów, nie cofnąłby się, nia rozproszył.

„Za Ojczyznę — za Ojczyznę“ — szeptały usta Michalskiego, a do serca cisnęły mu się zapomniane dawno słowa pieśni.

Nagle pukanie do drzwi – raz, drugi, wreszcie rozkaz: „otwierać“. Panna Anna odryglowoła zasuwkę bez oporu: żandarmi rosyjscy zapełnili izdebkę.

— A za chwilę szeregi więźniów pomnożyło dwoje ludzi, którzy w daleką drogę zabrali z sobą gorące słowa polskiego pacierza:

„Ojczyznę, wolność racz nam
wrócić, Panie“.



W listopadową noc.

Zima tego roku przyszła wczesna. Zaledwie minęły Zaduszki, wicher rozhulał się po polach, przyszły czarne chmury i sypnęły na ziemię puszystym śniegiem. A gdy nocą ciemne osłony niebieskie pobladły, gwiazdy zasłały cały firmament i szły mrozowi niejako w pomoc, aby szczypał jeszcze bardziej i wkradał się do chat niedobrze zaopatrzonych przed niespodziewanym gościem.

To też niejeden zaznał ziębicy w tym czasie. Jaki taki, zamożniejszy, wychodził na podwórko, trzaskał siekierą gałęzie na polana, znosił do izby i przykładał do ogniska, aby nie dać marznąć starszym i dziatwie. Ale biedniejszy, który nie zaopatrzył się zawczasu w paliwo, dzwonił zębami, jak gdyby chciał mróz odstraszyć. Lecz ten nie bał się owego dzwonienia, ale wpychał się do chat, a nawet pod ubrania i ziębił, jakby chciał wszystko wymrozić.



Prosili ludziska Pana Boga o zmiłowanie, ale widać byli go niegodni, gdyż mróz z każdym dniem powiększał się coraz bardziej i ziębił coraz mocniej.

Kto tam był zdrów i krzepki, to choć paliwa brakowało, nie dawał się zimnu, ale chodził z kąta w kąt, bił rękami o siebie i grzał się, jak mógł.

Gorzej było, gdy kogo słabość z nóg zwaliła. Nie pomogły pierzyny i różne nakrycia, bo mróz się wciskał pod nie i ziębił, co miał siły.

A co dopiero mówić o tych, którzy nie mogli sobie pozwolić na taki zbytek, jak pierzyna lub ciepłe ubranie? Ci byli skazani na łaskę losu i na miłosierdzie Boże.

A do takich właśnie należała komornica Onufrowa. Chłopa jej przed dwoma laty kolki sparły, pokwękał parę niedziel, aż poszedł zaglądnąć na plebańską oborę. Onufrowa pozostała sama z ośmioletnim synkiem Jasiem. Z dziesięciu palców musiała wyżywić siebie i syna, a palce te były pracą sterane, więc ledwie na strawę codzienną zarobić potrafiły.

Dobrzy sąsiedzi radzili jej, aby chłopaka oddała na służbę do pasienia gęsi, bo na pastuchów było we wsi wzięcie, i sama żeby szła do służby, ale Onufrowa ani o tem słyszeć nie chciała. Nie oszczędzała ona syna i wiedziała, że Jaś do pracy stworzony, ale nie chciała przerywać mu nauki, do której lgnął ogromnie.

Jaś chodził do miejscowej szkoły i uczył się bardzo dobrze, a już ksiądz

katecheta wychwalić go nie mógł. Gdyby była Onufrowa dała Jasia do służby, byłby on musiał zaprzestać nauki, a ona tego właśnie nie chciała. Pracowała więc, ile sił miała, i tak przepchała dwa lata.

Tego lata zaczęła dopiero coś niedomagać, ale nie zważała na to, bo ktoby tam w czasie pilnej pracy myślał o chorobie; lecz gdy przyszła jesień, niedomaganie jej powiększało się z dniem każdym, aż zmieniło się w obłożną chorobę.

Póki było na świecie jako tako, dobre sąsiadki nie zapominały o Onufrowej, ale ta to, tamta owo znosiły do jej biednej chaty i ratowały, czem mogły. Z nastaniem jednak wczesnych a niespodziewanych mrozów odwiedziny stawały się coraz rzadsze, aż nakoniec prawie zupełnie ustały.



Biedna Onufrowa leżała opuszczona w swej starej chacie, a przy jej łożu klęczał mały Jaś, bezradny a tylko miłości pełen i wpatrywał się w wychudłe oblicze matki.

Onufrową wewnątrz paliła ogromna gorączka, a zewnątrz dojmowało zimno nieznośne, jakie przez niezaopatrzone ściany izdebki wciskało się do niej.

Jaś brał wtedy w swe wątłe dłonie ręce matki i ogrzewał je swym oddechem i skrapiał swemi łzami. Ale to nic nie pomagało. Nikłe ciepło ust dziecięcych nie potrafiło rozgrzać kostniejących rąk matki.

Na drugi tydzień po położeniu się do łóżka biedna Onufrowa wydała ostatnie tchnienie. Przed samą prawie śmiercią położyła swą dłoń stygnącą na główce Jasia i w te do niego przemówiła słowa:

— Synu! niedługo a rozłączymy się na zawsze! Zostaniesz sierotą bez ojca, bez matki, ale mimo to nie będziesz sam na świecie. Bądź tylko dobrym, bądź uczciwym, a Bóg cię nie opuści. — On będzie twym ojcem, twym opiekunem.

To były jej ostatnie słowa.

Gdy matka nie odzywała się więcej, uchwycił Jaś jej zimną rękę w swe wątłe dłonie i począł okrywać pocałunkami. Usta jego drżące od zimna powtarzały raz po raz:

— Mamo, mamo! przebudź się, odezwij się! Mamo, mamo moja kochana!

Lecz mama, która tak kochała swego jedynaka, nie otwarła więcej ust swoich, zamkniętych na wieki, nie pogładziła swą ręką bujnej Jasia czupryny.

Jaś klęczał długo, bardzo długo przy jej łożu i wołał żałośnie na matkę kochaną, ale, niestety, wołał napróżno!

Nareszcie zrozumiał owo długie, grobowe milczenie. Jęk spazmatyczny wyrwał się z jego piersi i obił o ściany izdebki.

Długi czas szlochał i łkał biedny chłopczyna, a gdy mu już tchu brakować zaczynało, podniół się z ziemi i począł się zastanawiać, co mu teraz czynić należy. W dziecięcem swem sercu poznał swój los sierocy.

— Gdzie się teraz udać, kogo o pomoc prosić? — to były jego pierwsze myśli, a jako odpowiedź na nie przyszedł mu na pamięć ksiądz

katecheta, który był taki dobry dla niego.

— Tam pójdę, tam znajdę poratunek — pomyślał i, nie zważając, że to była noc późna, wybiegł z izby.

Do wikarówki było blisko pół mili, ale to Jasia nie trwożyło, gdyż miał zdrowe nogi, więc spodziewał się, że i zaspom śniegowym poradzi.

Jakoż drogi ubywało mu prędko. W parę chwil znalazł się tuż przy krzyżu, który stał w połowie odległości jego chaty od wikarówki. Już miał minąć figurę Zbawcy naszego i iść dalej, gdy w główce chłopięcia zaświtała myśl inna.

— Wszak Jezus jest ucieczką naszą — do Niego się udam, a On najprędzej pocieszy mnie w mem nieszczęściu!

Pomyślawszy tak, biedny chłopczyna padł na kolana u stóp krzyża, złożył rączęta i począł mówić:

— O, Jezu, Tyś ojcem naszym, Tyś opiekunem naszym! Ja sierota! Matusia mi umarli, w izbie zimno, noc ciemna, a ja sam jeden na świecie. O Jezu dobry, wróć mi mamusię, albo mnie weź z nią do siebie. O weź mnie, Jezu! Ja Ci tam kłopotu wielkiego nie sprawię, bo będę grzeczny i posłuszny. Będę robił, co każesz, a nic więcej za to nie żądam, tylko abym był przy swej matusi kochanej.

Taka naiwna a rzewna prośba płynęła z ust chłopca, a ciało jego coraz bardziej drżało od zimna i od mrozu.

Z nieba poczęły spadać coraz gęściejsze płaty śniegu i powoli przysypywały nożęta chłopca i otulały je, jakby puchem jakim. Chłopiec nie czuł tego nawet, ale modlił się dalej.

— O Jezu mój! Ja Ci z wiosną nazbieram kwiatów na łące, ja Ci wszystko zrobię, co każesz, ale weź mnie tylko z mamusią moją razem. Tyś, Jezu, taki dobry — wysłuchaj więc prośby mojej...

Modlił się chłopiec, a głos jego stawał się coraz słabszy, coraz cichszy, ale do serca jego wstępowało jakieś ukojenie błogie, jakaś cisza wielka i radość niezmierzona.

Nareszcie głos modlitwy ustał zupełnie, a po szerokiem polu tylko wiatr śniegiem miotał i jęczał przeraźliwie.

Drobna postać chłopczyny przechyliła się ku ziemi, a z każdą chwilą śnieg coraz bardziej okrywał ją swym puchem, aż zakrył zupełnie.

Niewinną duszyczkę poczciwego chłopca uniósł anioł biały przed tron Boga, gdzie na zawsze połączył się ze swą matką kochaną.

Antoni Socha.



Och, gdybym dożył!

O Boże, daj, bym onej szczęsnej chwili dożył,
Kiedy zorze na niebie będą nam jaśniały,
Gdy po latach niewoli dzień nadejdzie chwały,
Wtedy jużbym spokojnie w grób me kości złożył.

O Ty Wszechmocny. któryś jednem słowem stworzył
Tobie jednemu znany, niezmierny świat cały,
Rzeknij słowo, by wzleciał k'Tobie orzeł biały,
Dźwignij mię — jam się Tobie za naród ukorzył.

Niechaj wzrokiem śmiertelnym dzień ujrzę radosny,
Gdy z gruzów się podniosą i grody i sioła,
A lud głosem dziękczynnym do Ciebie zawoła.

Gdy radość nam przyniesie zorza nowej wiosny,
A ku niebiosom wionie: »Wiwat Król kochany!
Wiwat Sejm! Wiwat Naród! Wiwat wszystkie Stany«!

Arkadyusz Szarek.



Goniec.

W grudniu roku 1830.

Galopem pędził jeździec przez rynek Starego Miasta Warszawy, kierując się na plac Zamkowy. Koń błotem i pianą okryty, mundur ułana również zabłocony, na białych rabatach ślady krwi.

— Z drogi, z drogi! — woła do gapiących się ludzi. — Raport wiozę!

Bodzie ostrogami konia, który już bokami robi i rzęży głucho. Biedny rumak ostatnich sił dobywa i w kilku susach przesadza rynek.

Na rynku przed straganem pani Maciejowej skupiła się gromadka ciekawych. Wyszedł gruby pan Jacenty, majster szewski, wyszedł stróż Grzegorz, wybiegł Walek, terminator p. Jacentego. Wszyscy zastanawiali się nad przyczyną pośpiechu ułana.

— Musiało się coś stać ważnego — zakończył mowę swoją pan Jacenty — ułan depeszę powiózł. Biegnijmy pod zamek, tam się dowiemy.

Biegnijmy — zawołał Walek, któremu ta propozycya bardzo do gustu przypadła.

— A ty tam po co urwisie — krzyknął pan Jacenty, zwracając się do chłopca — a do roboty, do warsztatu. To mówiąc, podniósł swój kij w górę.

Lecz Walek zgrabnie odskoczył w bok, chroniąc się za stragan pani Maciejowej.

Pani Maciejowa zostawiła swój stragan na łasce Opatrzności i wszyscy ruszyli biegiem za ułanem. Walek tymczasem chwycił ze straganu dwie bułki i pobiegł do domu, zajadając je po drodze.

Dojrzała go pani Maciejowa i rozpaczliwie chwyciła się za głowę.

— Skaranie Boskie — krzyknęła, zatrzymując biegnącego kłusem pana Jacentego. — Patrzcie, panie Jacenty, wasz hultaj znowu bułkę ukradł ze straganu. O, o, patrzcie, jak zajada.

— To pilnuj aspani swego straganu — ofuknął się gniewnie pan Jacenty, sapiąc ciężko.

— Zirytowana baba przystanęła w biegu i ujęła się w boki.

— Ludzie, patrzajcie! Będzie mi tu od »aspani« wymyślał! Wielki pan, a jeść nie daje chłopakom, z głodu kraść muszą!

Nie wiadomo, na czem skończyłaby się kłótnia sąsiadów, gdyby nie ciągle zwiększający się tłum, który wkrótce ich rozdzielił.

Tymczasem ułan wpadł jak burza na plac pod Zamkiem i osadził spienionego konia. Lecz tu wyczerpały się siły człowieka i zwierzęcia; koń i jeździec runęli na ziemię.

Z ust ułana buchnęła struga krwi.

— Ratujcie! — krzyknął osłabionym głosem — wiozę ważne depesze.

Zemdlał.

Z zamku wybiegło kilku adjutantów, wybiegł sam dowódca, nadbiegło mnóstwo ludzi. Podniesiono ułana z ziemi i ocucono. Ujrzawszy jenerała, ostatnim wysiłkiem woli wyprostował się po wojskowemu, sięgnął w zanadrze i oddał mu papiery. Dowódca chwycił papiery, rozerwał pieczęcie, czytał nerwowo, pospiesznie, w miarę czytania rozjaśniała się twarz jego. Oficerowie i lud z zapartym oddechem wpatrywali się w twarz jego.

— Zwycięstwo! — krzyknął jenerał z uniesieniem — wielkie zwycięstwo — mówił gorączkowo. — Nieprzyjaciel na głowę pobity, nasi go ścigają; siedm sztandarów nieprzyjacielskich, 16 armat, sześć tysięcy trupa, trzy tysiące jeńców! Spisali się zuchy!

Bystrem okiem spojrzał na ułana, który skłaniał się z osłabienia, chwiał się na nogach, a z piersi mu się krew sączyła.

— Dlaczego ciebie przysłali? Jesteś ranny, jak widzę. Czyż nie było zdrowego człowieka w pułku?

Ułan spojrzał gasnącym wzrokiem na jenerała.

— To ja sam, panie jenerale — mówił urywanym głosem. — Nasz pułk się odznaczył, w nagrodę miałem zawieźć wiadomość do Warszawy... Koń czekał osiodłany, a nikt nie wiedział, że dostałem pchnięcie w bok lancą.

Mówił coraz wolniej, oddech miał krótki, w piersiach mu grało.

— Utaiłem ranę przed pułkownikiem... Ja z Warszawy rodem... chciałem pierwszy przywieźć wiadomość pomyślną... wieść zwycięstwa...

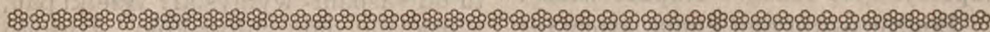
Zbladł strasznie i padł na ręce otaczających.

— Doktora! — krzyknął jenerał donośnym głosem.

Ożywiła się twarz konającego. Machnął ręką i rzekł:

— Nie trzeba, jenerale... jam już gotów... szelma... dogodził mi tą lancą... Niech żyje nasza!...

Oczy mgłą mu zaszły — skonał.





DAWNIEJ A DZIŚ.

O ziemio polska, ojczyzno kochana,
Kirem żałoby dziś okryta cała,
Dawniej krwią przodków, dziś łzami zalana
Tych, których dusza ciebie ukochała.

Któż łzy osuszy, kto zgoi twe rany?
Kiedyśmy wszyscy z wolności wyzuci,
Ciężkie niewoli dźwigając kajdany;
Któż ci, o biedna Polsko, wolność wróci?

Dawniej błyszczałaś potęgą i chwałą,
Jak gwiazdka złota zatlona na niebie,
Dziś wróg na części rozszarpał twe ciało,
Więc jak nie płakać, nie żałować ciebie?!

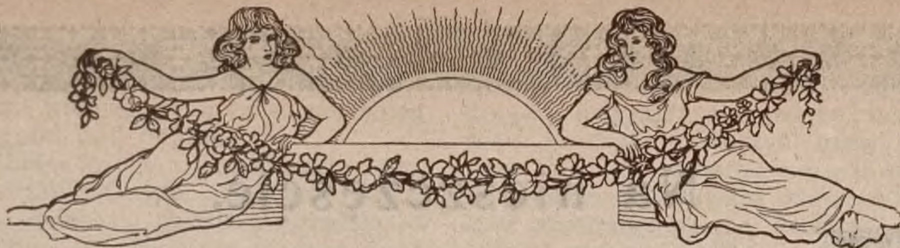
Gdzie są o Polsko hufce twych rycerzy,
Ich męstwo w boju i zwycięztw ich chwała,
Dziś wszystko we śnie pogrążone leży,
Nam tylko pamięć ich sławy została.

Dawnej świetności już przeszły twe dzieje,
Ojczyzno droga! Ty matko rodzona!
Dziś na twych skroniach zbolałych widnieje
Symbol męczeństwa: Cierniowa korona.

Ach! kiedyż przejdzie twój smutek grobowy?
Kiedyż się spełnią te nasze nadzieje,
Kiedy opadną twych kajdan okowy
I lepsza przyszłość dla nas zajaśnieje?

O Panno święta, co królujesz w niebie,
Racz nam uprosić u Twojego Syna,
By nie zginęła ta polska kraina,
Która Królową swą dziś zowie ciebie.

Władysław Szkaradek.



BOŻE NARODZENIE.

Z narodzenia Pana dziś dzień wesoły:
Chwałę wyśpiewują Bogu żywioły
I my dziś wszyscy wspólnie się radujmy,
Za życie, zdrowie, Bogu dziękujmy.

Witaj nam, Jezu, w stajni narodzony,
W pieluszki powity, w stajni położony;
Błogosław wszystkim stanom na ziemi,
Ażeby wszyscy byli szczęśliwemi.

Przychodzisz na świat, Panie wielkiej chwały,
A mieścić się raczysz w stajence tak małej,
Stąd dla tych nauka, co możni — a przecie
Bardzo się wynoszą na tym Bożym świecie.

Pokochałeś ubogich, więc to od nich przecie,
Najpierwsze otrzymałeś ukłony na świecie.
Stąd dla nas nauka, że też dla zbawienia
Nie trzeba nabywać światowego mienia.

Przyjmujesz dary trzech mędrców od wschodu,
Przez nich dajesz błogosławieństwo dla wszego narodu,
Bo Ty przyszedłeś na ten świat dla tego,
Ażeby naprawić to, co było złego.

Ty, o Jezu! przed wieki wiedziałeś już o tem,
Jak to plemię ludzkie skala się jak błotem,
Jadem to złości, nienawiści i wielkiej niezgody,
Przekleństwami i kłamstwem pomiędzy narody.

Dziś brat brata nienawidzi, jeszcze go zwymyśla,
Gdy się tenże do innego stronnictwa zakreśla.
Inni znów się znieważają, aż strach człeka bierze!
Biją się, choć nie pałkami, ale na papierze!

Bo ci wszyscy są niepomni, o Dziecino droga,
Co Ty, idąc do nas grzesznych, przyniosłaś od Boga:
Dar miłości Pana Boga a potem bliźniego,
By zarówno go tak kochać, jak siebie samego.

Przyniosłeś nam jeszcze. Jezu, ten to spokój błogi,
Byśmy z sobą zgodnie żyli a nie tak jak wrogi,
Bo już niema nic gorszego, jak w świecie niezgoda,
O jakże tam słodko, miło, gdzie jest miłość błoga.

Więc cóż my znów Tobie, Jezu, za to wszystko damy?
Kiedy my sami tak biedni, więc nic też nie mamy,
Lecz niech każdy z chęcią niesie to, co który może,
Przedewszystkiem serce czyste, przyjm to od nas, Boże!

Żyjmy w zgodzie, miłości, braterskiej przyjaźni,
A z pewnością ominiemy te piekielne kaźni,
A spełniając co do joty przykazania Twoje,
To z pewnością są otwarte nam niebios podwoje.

Franciszek Markiewicz.

Na nieszczęście.

Hej, bieda, ale to ostateczna bieda szczerzyła zęby z każdego kąta w chałupie pijaka Wojciecha Zawały. Chałupa ostrzępana, obszarpana, że tylko krokwie i łaty na dachu się świeciły, stała na stromym brzegu rzeki, pochylona naprzód od starości, wyglądając tak, jakby chciała przeskoczyć na drugą stronę rzeki, albo może utopić się z rozpaczy w jej nurtach. Bo też tysiąc tysięcy razy był przeklęty przez Zawałę plac, na którym stała, a przesiąknięty łzami nieszczęśliwej jego żony i dziewięciorga dzieci, które głodne, na wpół nagie trzęsły się od zimna, bo w ten rok sroga zima była.

W wigilię Bożego Narodzenia wstał Zawała przededniem, wdział buty swojej żony, bo swoje przepił u żyda, i poszedł nad brzegami rzeki torować tchórze, chcąc ubić choć jednego i za skórkę popić na »szczęście« u żyda.

Zły jednak powrócił rano, bo nie udało mu się nic upolować. Siadł na ławie, splunął kilka razy, poglądając z podełba na żonę, kopnął dziecko nogą, które się na czworakach ku niemu przyczołgało i krzyknął:

— Dawaj mi, cholero, jeść!

Żona porwała płaczące dziecko ze ziemi na rękę i postawiła przed nim gliniany garnek z »zacierką«, bez mleka, chudą jak klajster, mówiąc:

— Jużeś też ty ojciec, żeby swoje dziecko kopać; patrz, jakiego sińca ma na nóżce!

— A niech zdechnie i ty cholero zdechnij, zdechnij, bo ci się już dawno patrzy — mówił Zawała, chlipiąc zacierkę.

— Zdjąłbyś buty, boś mi je już dokrzty roztarasił, że nie będę miała w czem iść w Boże Narodzenie do kościoła!

Zawała zdjął buty i rżnął nimi na środek izby. Zawalina wzięła buty i wdziewa.

— Gdzie ty pójdziesz? — pyta Zawała.

— Przecież dzisiaj wigilia; mam korony dwie... trza chociaż chleba kupić, bo cóż będziemy dziś na wieczór i jutro jedli?

— To ty, cholero, pieniądze masz, a mnie nie powiesz! Zdejmuj buty, ja wdzieję i sam pójdę chleba kupić.

— Je, nie gadajże, ja sama pójdę; tybyś jeszcze przepił te dwie korony i nic nie kupił, przecie wiem, jakiś ty!

— Zdejmuj cholero buty i dawaj pieniądze, kiedy mówię.

Zawalina nie zdejmowała zaraz butów, tak on skoczył z ławy, pchnął ją, aż się przewróciła, złapał jeden but i ciągnąc go z nogi, włóczył ją po izbie, aż zdjął, a potem drugi, a zdjąwszy, kopnął ją kilka razy — wdział buty na swoje nogi, mówiąc:

— Dawaj pieniądze, bo idę!

— Kiedy bo widzisz Wojtek, ja wiem, że ty to przepijesz do centa i nic nie kupisz.

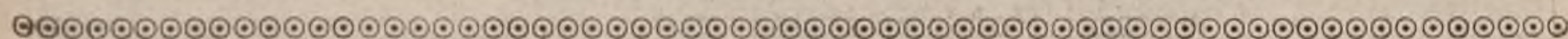
— Dawaj, psiakrew cholero, gdzie je masz?! a! w zanadrzu pewnie — rzekł i skoczył znów ku niej, chcąc jej rękę w zanadrze włożyć. Zawalina poczęła się słaniać, bronić, ale on jedną ręką zaczął ją dusić, a drugą wyrwał węzełek z dwiema koronami ze zanadrza i wyleciał w pole, trzasnąwszy drzwiami. Zawalina wypadła za nim na pole, wołając:

— Wojtek! Wojtuś! no wypij już sobie na »szczeście« za dwie »szóstki«, a za reśtę kup chleba i świeczkę za dwa centy, żeby my wieczór zaświecili do »wilije«.

Zawała ani się nie obejrzał; gnał wprost ku karczmie, tylko mu śnieg skrzypiał pod nogami.

Słońce już się miało ku zachodowi, a Zawały nie widać. Daremno Zawalina i dzieci co chwila wyglądają. — Choćby i poszła za nim, to jakże boso pójdzie, kiedy mróz straszny, a do karczmy dobre pół godziny drogi. Zciemniło się; po chatach jaśnieją światłem okna wszędzie — u Zawały ciemno, czekają aż wróci. — Godzina ósma, dziewiąta, jedenasta, północ — nie wrócił. Dopiero koło godziny drugiej usłyszała na dworze kroki, więc skoczyła otworzyć drzwi od sieni. Do izby weszło czterech chłopów, przynieśli Zawałę, którego znaleźli zmarzniętego na drodze, gdy szli z »pasterki«. Tak popił sobie Zawała na »szczęście« w wigilię Bożego Narodzenia. Do rana go tarli, cucili, ale nadaremnie, bo dusza już dawno stanęła przed sądem Bożym na nieszczęście wieczne.

Jantek z Bugaja.







Baśń.

Toczy się życie, ach, toczy,
Jakby baśń jaka bez końca...
Tylko trza zwrócić nam oczy,
Do gwiazd promiennych, do słońca,
Tych życia wielkich pamiątek,
A będzie baśni początek...

Przemkną, jak wicher nam lata,
Przeminą w sennej ułudzie...
Bo czarem nam będą świata
Twory i czarem w nim ludzie!...
I wszystko w blaskach promieni,
W jeden czar wielki się zmieni.

Tylko trza zamknąć nam oczy
Na to, co serce tak rani —
A życie nam się potoczy
I zniknie w szczęścia otchłani,
Że będzie całe, jak eden,
Jak szczęścia wielkiego dzień jeden.

Ant. St. Bassara.

Szwedzi w Polsce.

Tam nad głębokim tatrzańskim wąwozem,
Słychać, stuk siekier ostrożny.
Dołem wąwozu posuwa się żwawo,
Orszak, bogatych podróżnych.

Złożony z kilku biskupów, rycerzy,
I wyższej Polskiej starszyzny;
Uciekają wszyscy, by króla uchronić,
Od najezdniczej Szwedczyzny.

Jadą spokojnie, nic nie przeczuwając,
Iż z tyłu Szwed na nich czyha —
I chytrze, bokiem zabiega im drogę...
Już go czują prawie, jak oddycha.

Już miał uderzyć: na ten orszak Polski,
Lecz, cóż to znowu się dzieje?
— Walą się z góry kamienne odłamy,
I cały las — w górze się chwieje.

Ogromne kłody drzew popodcinanych,
Przez prostych, polskich, górali,
Na Szwedzką hołotę, gniotąc ją niezmiernie,
Z ogromnym hukiem się wali.

Ci co zdołali jeszcze uciekać,
Uczynić tego nie mogli,
Bo zostali ścięci, przez gibkich górali,
Którzy wtenczas z gór w mig zbiegli.

Król, Jan Kazimierz, widząc tę obronę,
Wobec biskupów przysięga:
„Ludowi temu, odtąd: ojcem będę!
A matką — niech Matka Boga

Będzie już odtąd wielką bronicielką
Tego to ludu polskiego“.
Dawniej go broniła i teraz go broni,
Polaka jak syna swojego.

Piotr Załubski.

OBRONA CZĘSTOCHOWY.





Wigilijny wieczór.

Jak dziś cudnie! Jak się serce dziś weseli!
Chyba dzisiaj z nami obcują anieli.
Popatrz na Boga, który hen za obłokiem
Spogląda na dzieci swem radosnem okiem!

Jak dziś cudnie! Dzisiaj — popatrz — wszyscy inni
Dzisiaj tacy, jacy zawsze być powinni.
Jak dziś szczęśliwie, błogo w polskiej chatce,
Patrz! Serce się raduje Najświętszej Matce.

Jak dziś cudnie! Dziś cała rodzina społem,
Z matulą i ojcem usiadła za stołem.
Pierwszy powstaje ojciec, głowa rodziny,
Łamie opłatek z żoną i swymi syny.

I tak do nich mówi: — Kochani synowie!
Niechaj wam poradlone moje czoło powie,
Ilem doznał w swem życiu zgryzot, przykrości,
Zanimem was wychował w Ojczyzny miłości.

I w miłości Boga! Dziś jestem spokojny,
Kiedy widzę, że z was każdy bogobojny.
Dzisiaj patrzę na was oczyma ze łzami ..
Bo widzę, żeście prawymi Polakami.

Więc dzisiaj, przy opłatku, trzeba nam wspomnieć
O braciach naszych, by nigdy nie zapomnieć
Czynów ich wielkich, ich poświęceń dla kraju,
Ich męczarń dlatego, że Polskę kochają.

My dzisiaj — synowie — śpiewamy radośnie,
Podczas gdy bracia nasi płaczą żałośnie,
W wilgotnych lochach warszawskiej cytadeli,
Lub siedzą posępni, jakby skamienieli.

My w domku ojczystym. Zaś w głuchej krainie
Cmentarnego Sybiru, w lodów pustyni,
Siedzą Polacy od Ojczyzny z dala,
A siedzą boleśnie, jakby zdjęci z pala...

Nie mają opłatka, bo carskim rozkazem
W minach pracować muszą okuci żelazem.
Opuścić musieli rodzinę na wieki,
By hen, na odludziu, łez wylewać rzeki!

Klęknij rodzino i wznieść modły do Boga,
By nam rychło wskazał, gdzie wolności droga!
Byśmy wigilię święcić mogli w spokojnej
Ojczyźnie — w Polsce od ciężkich kajdan wolnej!

Modli się rodzina: — Patrz, Ojcze przedwieczny
Na ten dzieci Polski paciorek serdeczny!
Wysłuchaj ich modły! Skiń tylko swem okiem,
A „Polska wolna“ echem zagrzmi szerokiem!

Józef Kobylański.

Obrońca ludu.

Ks. Hugo Kołłątaj 1750—1812.

Ciężkie czasy przechodził nasz naród w ostatnich czasach swej wolności. Pod przemocą wrogów wielu zwątpiło o swej sile, inni patrzeli obojętnie na upadek ojczyzny. Była jednak garść spora takich, w których obudziły się wstyd i żal, że zezwolono na pierwszy rozbiór Polski. Tej garści dobrych synów ojczyzny przodowały umysły tęgie i dzielne i chciały prowadzić naród ku odrodzeniu. Z każdym dniem poczęła się mnożyć liczba tych, którzy o naprawie rządu myśleli.

Zrozumiano, że przedewszystkiem trzeba narodowi oświaty, więc wybrano na sejmie Komisyę edukacyjną i powierzono jej urządzenie szkół nowych a przekształcenie dawnych. Do Komisyi tej powołano ludzi najświatlejszych i najszlachetniejszych jak: ks. Prymas Michał Poniatowski, Ignacy Potocki, ks. Hugo Kołłątaj, Andrzej Zamojski, Joachim Chreptowicz, Adam książę Czartoryski i ks. Grzegorz Piramowicz.



Ks. Hugo Kołłątaj.

Jeden z członków tej Komisyi, ks. Hugo Kołłątaj został wysłany do Krakowa, gdzie wprowadził nowe urządzenia do Akademii Jagiellońskiej a zwłaszcza do zawisłych od niej szkół średnich, tak zwanych kolonij akademickich. Do pracy tej był on jakby stworzony. Urodzony w r. 1750, nauki odbył w Krakowie i Rzymie. Powróciwszy do kraju, począł pracować ze skutkiem nad podniesieniem szkolnictwa a swe fachowe wiadomości najlepiej właśnie wykorzystał w Komisyi.

Gdy w r. 1788 zebrał się w Warszawie Sejm czteroletni w pracach jego wydatny udział wziął również ks. Hugo Kołłątaj. Jako człowiek wymowny i nadzwyczaj zdolny umiał pisać jasno i otwarcie, dowodzić przekonywująco, dlatego wpłynął niemało na uchwały Sejmu. W mowach swych domagał się silnego rządu, gdyż wiedział, że silny rząd potrafi nietylko w kraju utrzymać porządek, ale i wrogom zdoła się oprzeć. Żądał powiększenia wojska, gdyż sądził, że

rząd bez wielkiej liczby wojska nie obroni się nieprzyjaciołom. W mowach swych i pismach wzywał do poprawy doli ludu wiejskiego, do nadania mu równych praw z resztą obywateli, bo czuł w ludzie wiejskim siłę niespożytą, której żadne moce zgnieść nie zdołają.

Jego zasługą w znacznej mierze było to, co ogłasza Konstytucya 3-go Maja, to jest zrównanie ludu wiejskiego z resztą braci Polaków.

Konstytucya ta nie dała się jednak utrzymać w Polsce. Carowa Katarzyna II, uporawszy się z wojną z Turcyą, podszczuła niektórych Polaków do wystąpienia przeciw Konstytucyi. Polacy ci zawiązali konfederacyę w Targowicy, a wspomagani przez Moskali, działali na szkodę swej własnej ojczyzny.

W takich warunkach nie było miejsca w Polsce dla jednego z twórców Konstytucyi. To też ks. Hugo Kołłątaj musiał uciekać z Polski.

Po wzięciu Pragi pod Warszawą przez jenerała rosyjskiego Suworowa umknął do Galicyi. Tu jednak został chwycony przez wojska austryackie i przesiedział ośm lat w twierdzy, w Ołomuńcu.

Cesarz rosyjski Aleksander I pozwolił mu zamieszkać na Wołyniu, skąd go jednak w r. 1807 na wieść o zbliżaniu się wojsk francuskich do granic Rosyi, zawieziono do Moskwy.

Po pokoju w Tylży, jaki zawarł Napoleon I z carem rosyjskim, powrócił ks. Kołłątaj do tej przez siebie ukochanej Polski i osiadł w świeżo utworzonem Księstwie Warszawskiem, Niedługo jednak cieszył się swoją ojczyzną, bo w r. 1812 zakończył swój żywot pełen chwały.

Imię jego, tak znane wśród współczesnych, z latami przytłumiały coraz inne imiona, przewijające się przez dzieje Polski porozbiorowe, tak że dzisiaj mało ono jest komu znane.

Mogą zapomnieć wszyscy, ale lud wiejski powinien zachować je we wdzięcznej pamięci, bo ten to kapłan dał pierwszy podwalinę do tych praw, jakie dzisiaj lud ten posiada. Myśl rzucona i gorliwie rozszerzana przez księdza Kołłątaja nie dała się usunąć z praw układanych przez mocarstwa zaborcze, ale wywierała na nich nacisk, aby ludowi dała te prawa, jakie mu się słusznie należały.

I myśli te, może nawet nie w jednem ulepszone, stały się z czasem prawami i z tego ludu wiejskiego zrobiły obywateli równych w prawach z największymi magnatami.

Za te myśli i za pracę nad ich przeprowadzeniem my na tych kartach w imieniu ludu wiejskiego w setną rocznicę śmierci wielkiego męża składamy hołd jego pamięci.

Redakcya „Roli“.





PORADNIK GOSPODARSKI

napisał

JULIAN SŁOMKA,
Instruktor rolnictwa.

Utrzymywanie i pielęgnowanie sadów.

Hodowla drzew owocowych stoi u nas w większości majątków i gospodarstw na bardzo niskim stopniu kultury i okazuje wiele braków. Widzimy nieraz, że drzewa duże owocują mało lub wcale nie, że sady zamiast dochodów straty przynoszą. Aby temu zapobiedz musimy się obchodzić z drzewami umiejętnie, pomagać naturze i naginać ją do własnych celów. Roboty koło drzew, zarówno jak i koło innych płodów jest dosyć i chcąc, aby sady dawały dochód, trzeba się zająć niemi a nie oddawać sadu samej naturze.

Jedną z głównych prac w sadzie jest utrzymywanie koron w porządku t. j. dbać, aby korony drzew nie były za rzadkie, bo wtedy mało będziemy mieć owoców, ani za gęste, bo wtedy owoce będą małe i liche. Tniemy więc gałęzie suche, chore, t. zw. wilki, oraz niektóre takie, które zbyt zagęszczają koronę a tniemy na wiosnę, zanim drzewa zaczną się budzić do życia t. j. w końcu lutego i w marcu. Cięcie takie jest konieczne, aby drzewom dostarczyć światła i słońca, aby lepiej i bujniej rosły i owocowały. Tu trzeba wspomnieć, że i drzewa, o ile są zbyt gęsto w sadzie posadzone, trzeba poprzecinać, aby zbyt nie zagęszczać sadu.

Gdy drzewa są zbyt stare i nie chcą owocować, odmładzamy je t. j. skracamy gałęzie o $^1/_3$ lub $^1/_2$ długości, a wszystkie soki żywotne pójdą na wytworzenie nowych pędów, które zaczną owocować. Odmładzać można grusze i jabłonie, drzewa pestkowe jak wiśnie, śliwy gumują i giną, dla tego przy nich nie używa się tego. Po odmłodzeniu znów przerzedzamy koronę, o ile się bardzo zagęściła.

Gdy w sadzie mamy drzewa liche, które wydają małowartościowe owoce, pożytecznem jest bardzo przeszczepienie ich odmianami lepszemi, co wprawdzie dużo sprawia trudów, ale te sowicie się wynagrodzą, gdy otrzymamy owoce piękne i więcej wartościowe. Gałęzie cieńsze dostaną jeden zraz a większe 2—4, z których potem wy-

bierze się najsilniejszy a resztę odrzuci. Drzew pestkowych, starych, przeszczepiać nie można, gdyż gumują i giną.

Ważną czynnością jest także skrobanie pni i wapnowanie ich. Przez skrobanie niszczymy szpary w korze, gdzie gnieżdżą się przeróżne gąsienice i potem niszczą plony, a wapno gubi takie mchy i porosty, przez co przyczynia się do lepszego wzrostu roślin. Czynność tę uskutecznia się w jesieni i wczesną wiosną.

Inną czynnością u nas rzadko praktykowaną jest przerywanie owoców. Już samo drzewo bujnie kwitnące zrzuca część kwiatu i owoców, my zaś powinniśmy pomódz naturze i, o ile drzewo ma za dużo owoców, przerwać je, wyrzucić nadpsute i część zdrowych z gałęzi zbyt obciążonych a przez to drzewa te, pozostałe owoce wyżywią lepiej i te będą piękniejsze, większe a zatem o większej wartości. Przerywkę uskuteczniamy w czerwcu w pierwszej połowie. Drzewa tak pielęgnowane wydają zawsze równomierne plony a nie wysilają się zbytnio w jednym roku. Inaczej przez kilka lat z rzędu nie owocują wcale lub bardzo mało.

Żywicielką drzew jest gleba, o której też przy hodowli nie trzeba zapominać. Wadą dużą naszych sadów jest to, że gleba ta przerośnięta jest gęstym trawnikiem. Trawnik nie dopuszcza powietrza i wody do korzeni drzew, stąd te rozwijają się licho i cierpią dużo. Chcąc zło to usunąć, musimy, podobnie jak roślinom zbożowym i okopowym, dostarczyć drzewom powietrza i wody, a to się da uskutecznić tylko przez mechaniczną obróbkę ziemi t. j. wzruszanie ziemi orką, planetem, motyką, łopatą itp. Można pod drzewami sadzić warzywa lub krzewy, co lepsze znaczniej będzie niż trawnik i więcej da dochodu. Aby zaś ziemia mogła tyle roślin wyżywić trzeba koniecznie ją nawozić.

Drzewom dostarczamy nawozów, podobnie jak i innym roślinom, w różnych formach i tak dajemy nawóz stajenny, kompost, gnojówkę lub nawozy pomocnicze. Dajemy zaś albo pod warzywa a część dostaje się z tego drzewom, (tu jednak trzeba silniej nawozić), albo, gdy drzewa są większe i warzyw ani krzewów pod niemi nie sadzimy, dajemy nawozy w ten sposób, że kopiemy rów nieco dalej niż sięga korona, tam dajemy nawozy i przysypujemy. O ile dajemy same nawozy pomocnicze, to trzeba dawać je umiejętnie, najlepiej wszystkie t. j. azotowe, fosforowe i potasowe. (O nawozach tych wspominam na innem miejscu). Drzewa nawożone dają znacznie więcej, lepsze i piękniejsze owoce a zatem i dochód większy. Tylko przez pielęgnowanie drzewa, czyszczenie ich i nawożenie ziemi możemy podnieść kulturę sadu i przysporzyć sobie znacznych zysków.

Chwasty i ich tępienie.

Chwasty na naszych polach włościańskich są niekiedy straszną plagą. Nieraz widzimy jak zboże żółte od przonaku, niekiedy oset, łoboda, mak, kąkol, bławat, perz bujają silnie. Nieraz gospodarz dziwi się, skąd biorą się te chwasty? Są różne drogi, jakiemi chwasty dostają się na pole. Dużo ich wysiewamy sami z ziarnem niewyczyszczonem należycie, dużo z obornikiem nieprzegniłym wywozimy, roznoszą je po polach ptaki, wiatry, woda, zwierzęta na skórze itp., gdyż chwasty mają dużo przyrządów, które pomagają im do rozsiewania się, jedne mają puch, stąd łatwo wiatr je przenosi, inne haczykami czepiają się skóry zwierząt i tak się przenoszą z miejsca na miejsce. Nadto nasiona chwastów są więcej odporne na złe warunki gleby, klimatu, mnożą się strasznie np. rumian daje do 40 tysięcy nasion a inne i więcej, a jeżeli dołączymy do tego siłę kiełkowania, którą chwasty zadziwiająco długi czas przechowują, to zrozumiemy, dlaczego stają się one taką plagą niekiedy w naszych polach. Szkody, jakie chwasty wyrządzają są znane każdemu rolni-

kowi. Głuszą one roślinę, którą hodujemy, odbierają jej światło, wilgoć, pokarm, zanieczyszczają ziarno, które traci na wartości handlowej, nadto ziarno to jest zwykle małe i chude. Chwasty są też rozsadnikami grzybów różnych, które z nich przenoszą się na zboża jak rdza itp.

Wobec takich szkód obowiązkiem każdego jest prowadzić zaciętą walkę z chwastami, aby je wyniszczyć zupełnie. Nawet ustawa z dnia 17. lutego 1885 r. nakazuje surowo tępić kaniankę (wylub) oraz osty, a za opieszałość karze do 3 dni aresztem. Niestety u nas ustawa ta nigdy niemal nie wchodzi w życie a szkoda, bo w ten sposób zmusiłoby się opieszałych do walki a tylko wtedy możemy skutecznie tępić chwasty, gdy wszyscy się do tego zabierzemy energicznie.

Jest kilka sposobów tępienia chwastów więcej ogólnych:

1) Podorywka natychmiastowa ściernisk sprawia, że nasiona chwastów, wysiane przy sprzęcie zbóż kiełkują, a te potem bronami lub drugą podorywką niszczymy.

2) Czyszczenie ziarna do siewu na młynkach z sitami i na tryerach, jest bardzo ważnym czynnikiem niszczenia chwastów, gdyż wtedy odpada wiele lekkich i okrągłych ziarn chwastów.

3) Unikanie pod zboża jare orki wiosennej, gdyż przez nią wydobywamy dużo nasion z głębszych warstw i te kiełkują. Orka jesienna, chociaż wydobędzie na wierzch nasiona, to te powschodzą a mróz i śnieg zniszczą je zupełnie.

4) Bronowanie ozimin, tak mało u nas używane, wydziera chwasty, które są jeszcze słabe i niszczy je. Muszę tu jeszcze wspomnieć o innych korzyściach bronowania ozimin a także zbóż jarych. Przez bronowanie niszczymy z wiosną skorupę, otwieramy dostęp powietrza do korzeni, niszczymy chwasty, zboże częścią zostaje wyrwane, ale pozostałe lepiej się krzewi i silniej rośnie. Trzeba używać bron ciężkich, ostrych, wtedy takie brony dostają do ziemi, obsypują rośliny ziemią jak motyką i krają silnie ziemię. Lekkie brony zbyt skaczą i nie działają dobrze. Trzeba bronować w dzień pochmurny, nigdy w upał bo to szkodzi. Tylko w ziemiach ilastych, zbyt zmielonych, nie można bronować. Bronuje się zaś na wiosnę gdy ziemia obeschnie.

5) Motyczenie zbóż niszczy także dużo chwastów, otwiera zasklepioną rolę dla powietrza, które jest niezbędne dla korzeni. Tu jednak musi być siew rzędowy.

6) Koszenie ostów po miedzach przed kwitnieniem, aby się ziarna nie rozsiewały, co nawet ustawa nakazuje surowo.

7) Zaprowadzenie płodozmianu także jest wielkim krokiem naprzód w walce z chwastami, gdyż niektóre rośliny np. ziemniaki czyścimy ciągle i w ten sposób niszczymy chwasty, które już potem nie atakują tak zbóż.

8) Chronienie ptaków użytecznych, które nasiona te jedzą. Np. jeden gołąb zjadł około 8000 nasion wyki ptasiej w jednym dniu.

9) Głęboka orka niszczy siłę kiełkowania wielu chwastów.

10) Dobre nawożenie pobudza silnie rośliny hodowane do rozwoju, które tem samem głuszą chwasty.

Obok tych ogólnych sposobów tępienia są szczegółowe, ważne szczególnie przy pewnych chwastach np. pnować mały o 2 listkach można polewaniem 15—20% rozczynem siarczanu żelaza lub 5% rozczynem miedzi (siwy kamień) zniszczyć; innym sposobem jest koszenie kwiatów wysoko, aby ziarn nie wydały. Dwuletnie chwasty dobrze niszczyć silnem bronowaniem ozimin na wiosnę, motyczeniem, unikaniem wywożenia świeżego nawozu stajennego, gdzie dużo jest ziarn czasami. Chwasty, które mają silne korzenie i kłącza tępimy znów inaczej. I tak perz zniszczyć można głęboką orką do 35 cm. albo podorywką spiętrzoną, wskutek czego perz przeschnie a potem go wygrabimy, podorywek

czasem kilka musimy dać, aby ten uparty chwast wytępić. Perz niszczymy też przez zasianie tatarki, gorczycy, mięszanki pastewnej, które, rozwijając się silnie i szybko, głuszą chwasty. Oset niszczymy przez wykopywanie kłączy i wyrywanie najlepiej po deszczu, przyczem trzeba zważać, aby korzeni nie wyrywać lecz zupełnie wyciągać, gdyż z pozostałych kłączów oset jeszcze silniej rozkrzewia się. Szczaw, podbiał, skrzyp rosną na ziemiach wilgotnych, zasklepionych i można ich się pozbyć przez osuszenie drenami i wapnowanie roli. O tępieniu chwastów na łące będzie wzmianka przy uprawie łąk. Kaniankę tępić skutecznie można tylko przez zakupno pewnego, dobrego ziarna lepiej droższego i to w Towarzystwach rolniczych. Nadto koniczynę na ziarno zbierać tylko z pól wolnych od kanianki i czyścić ją na specyalnych młynkach (Cascuta). O ile pokaże się na polu okopać w koło, polać słomę naftą i wypalić, przestrzegać pilnie stosowania ustawy o tępieniu kanianki.

Łąki i ich uprawa.

Ważnym środkiem podniesienia hodowli bydła jest bezsprzecznie podniesienie wydajności łąk i pastwisk, które dostarczają naturalnej, najlepszej, najstrawniejszej i najpożywniejszej paszy naszym zwierzętom hodowlanym. Aby zaś módz powiększyć ilość bydła, musimy powiększyć wydajność paszy z łąk i pastwisk, co jedynie pielęgnacyą, odpowiednią uprawą i nawożeniem możemy zrobić.

Łąki nasze stale niemal cierpią na nadmiar wody, która zabagnia grunta, kwasi je, dusi szlachetne rośliny a sprzyja rozwojowi traw kwaśnych, bezwartościowych. Gruntownym i radykalnym środkiem poprawy przeważnej ilości łąk jest osuszenie ich rowami otwartemi, które, obniżając poziom wody w gruncie, stwarzają lepsze warunki do rozwoju roślin szlachetnych, ocieplają grunta, gubią mech i trawy kwaśne. Aby zaś stale rowy te funkcyonowały, musimy je czyścić co roku starannie a namuł rozrzucać po łące w jesieni, a nie zostawiać na brzegu, bo ten wał nie pozwala wodzie wierzchniej spływać do rowu i zabagnia łąkę.

Jednak samo osuszenie nie wystarczy do podniesienia wydajności łąk, lecz trzeba i inne środki stosować. Mało u nas stosowanym środkiem poprawy łąk jest bronowanie. Do bronowania łąk służą specyalne, uginalne brony łąkowe, które lepiej przystosowują się do nierównego terenu niż zwykłe brony i lepiej działają. Bronowanie zastępuje na łące orkę, niszczy mech, otwiera dostęp powietrza i wody do korzeni, co zwłaszcza tu jest bardzo potrzebnem, bo gleba jest zleżałą, ubitą przez bydło, zamulona wodą. Nadto brona zarównuje dołki, znosi małe kopczyki, kretowiska a przy użyciu nawozów pomocniczych mięsza je z ziemią. Niszczy także chwasty płytko się korzeniące, kaleczy trawy i powoduje silniejsze ich krzewienie i zadarnianie. Bronowanie powinno być uskutecznionem na wiosnę, gdy tylko konie się utrzymają i w jesieni po sprzęcie. Według doświadczenia łąka niebronowana dała 3·77 q siana a bronowana 7·70 q czyli prawie drugie tyle.

Dobrym w działaniu jest walec zwłaszcza na wiosnę, szczególnie na łąkach próchnicznych, gdyż wtłacza rośliny przez mróz wyciągnięte, nadto równa łąkę. Ze względów ułatwienia zbiorów konieczne są inne prace, jak oczyszczanie łąk z krzewów, drzew, kamieni, równanie terenu łąk, usuwanie kretowisk i mrowisk, rozrzucanie łajniaków, które wypalają roślinność a rozrzucone nawożą glębę. Czynności te są konieczne na łąkach i pastwiskach, aby je doprowadzić do lepszego stanu.

Do starań około łąk należy też niszczenie chwastów, co uskuteczniamy przez 1) uregulowanie wilgoci a zatem zwykłe osuszenie, 2) pielęgnacyę jak

bronowanie, które niszczy mech i płytko korzeniące się chwasty, 3) wyrywanie niektórych jak osty itp., 4) przez nawożenie fosforem i potasem, które pędzą rośliny do góry a temsamem tłumią chwasty, 5) jaskry i inne chwasty niszczymy przez częste koszenie, aby się z ziarn nie rozmnażały i nie psuły paszy. O ile się zbyt chwasty rozpowszechniły, dobrze jest bardzo silnie zbronować i podsiać łąkę trawami albo przyorać i nową założyć.

Aby plony z łąki nie zmniejszały się, koniecznem jest zasilanie gleby łąkowej pokarmami. Do tego celu używamy kompostu z bardzo dobrym skutkiem, który wywozi się w zimie, a który polepsza grunt, ociepla go, gubi mech a nadto dostarcza pokarmów. Kompost rozrzuca się zaraz w jesieni albo w kupkach na zimę zostawia a z wiosną rozrzuca i silnie bronuje. Obok kompostów dobre są nawozy fosforowo-potasowe, które szczególniej sprzyjają rozwojowi różnych koniczyn. I tak dajemy kainitu 200—400 kg. i 100—300 kg. tomasyny. Tomasyna działa nietylko zawartością fosforu ale i wapna, którego zawiera do 50% a wapno działa nie tylko jako pokarm ale także polepsza strukturę gleby, osusza ją, ociepla i przyczynia się do lepszego wyzyskania pokarmów gleby przez trawy. Nawozów tych zawsze powinniśmy dostarczać roślinom, gdyż plony, jakie z łąk wywozimy, wyjaławiają glebę i powodują stopniowe obniżanie się plonów, które potem trudno podnieść. Gnojówki lepiej używać pod inne płody lub do kompostów, gdyż na łąkę użyta wstrzymuje rozwój koniczyn i nie przynosi w stosunku do swej dużej wartości takich zysków jak na gruntach ornych. Czasami ruń łąki się psuje i roślinność się przerzedza, aby temu zapobiedz trzeba koniecznie łąki takie podsiewać po bronowaniu. O ile zakładamy nową łąkę, musimy mieć grunt bardzo czysty, najlepiej po ziemniakach kilka lat z rzędu sadzonych, po których grunt zostaje zupełnie czysty i bujny.

Wielką pomocą w nawożeniu jest nawadnianie łąk, co jednak tylko wtedy da się uskutecznić, gdy jest przeprowadzone odwodnienie, aby nadmiar wody można łatwo odprowadzić. Wody rzeczne niosą z sobą dużo żyznego namułu, który osiada na łąkach i dostarcza pokarmów roślinom a także niszczy chwasty. Tem się tłumaczy, że łąki położone między polami ornemi nie wyczerpują się tak szybko, gdyż woda, opłukując wierzchnie warstwy a zatem najurodzajniejsze z ornych gruntów znosi je i osadza na łąkach niżej położonych. Jest to tani sposób wyzyskania tych skarbów, jakich nam woda dostarcza corocznie i podnosi plony z łąk. Jak żyznym może być namuł najlepiej pokazują wylewy Nilu, który namułem użyźnia cały Egipt.

Łąki nasze i pastwiska zwłaszcza gminne przedstawiają bardzo smutny obraz i zamiast dochodów przynoszą tylko bardzo małe zyski a więcej utrapień naszym gminom. Powinniśmy już raz nareszcie zrozumieć, że ze wzrostem ludności musimy coraz więcej dochodów wydobywać z ziemi, które tylko umiejętnem obchodzeniem się uskutecznić możemy, nie obawiając się na przyszłość klęski głodowej.

Nawozy zielone.

Przez nazwę „Zielone nawozy“ rozumiemy przyoranie roślin strączkowych w zielonym stanie, aby urodzajność gleby zwiększyć. Rośliny te bowiem mają tę cenną własność, że przy pomocy małych żyjątek zw. bakteryami na ich korzeniach żyjących przyswajają sobie azot z powietrza, który to składnik jest niezbędny roślinom a jako nawóz pomocniczy w postaci saletry bardzo drogi. Rośliny te korzenią się bardzo głęboko, stamtąd czerpią pokarmy i tak kosztem warstw głębszych wzbogacają warstwy płytsze, z których pobierają pokarm rośliny płytko się korzeniące jak zboża, ziemniaki itp.

Rośliny strączkowe przyorane na ziemiach lekkich, piaszczystych, wzbogacają je w próchnicę i tem samem polepszają ziemię. Ziemia taka lepiej się ogrzewa, lepiej zatrzymuje wilgoć, a azotu w zielonych nawozach dostarczonego nie wypłukują tak deszcze, jak z saletry, która bardzo łatwo się w wodzie rozpuszcza. Do roślin, które mają tę cenną własność czerpania azotu z powietrza, należą wszystkie rośliny strączkowe jak groch, łubin, wyka, bób oraz koniczyny. Tem się tłómaczy, że po koniczynach są zawsze lepsze plony niż po innych roślinach, korzenie bowiem zawierają dużo azotu i użyźniają glebę. Na ziemie lekkie, piaszczyste, na których najczęściej używa się zielonych nawozów, nadaje się najlepiej łubin żółty i seradella. Na ziemie cięższe, na których mniej się używa zielonych nawozów, jako z natury bogatszych w azot, lepszy jest bób, groch i wyka, siane osobno lub w mięszance, która lepiej wyzyskuje grunt i daje większą masę zieloną. Czasami zielone nawozy nie udają się, powodem tego może być brak w ziemi tych żyjątek, które się na korzeniach rozwijają. Wtedy przez nawiezienie ziemią z tych pól, na których rośliny te już rosły, możemy dostarczyć tych bakteryj, które pomogą roślinom czerpać azot z powietrza.

Roślinę na zielony nawóz siejemy albo wcześnie z wiosną t. j. z początkiem maja samą i poświęcamy jej na wzrost cały rok a w sierpniu przyorujemy pod żyto lub pszenicę. Pod żyto trzeba wcześniej przyorać, aby się ziemia odległa i nie odrywała potem korzeni roślinie, odlegając się. Ten sposób praktykujemy na ziemiach bardzo jałowych.

Drugim sposobem siewu jest międzyplon t. j. wsiewa się roślinę w owies lepiej w żyto, które przy sprzęcie kosi się wysoko, aby nie uszkadzać młodych roślin. Tutaj jednak roślina ta wyczerpuje pokarm i wilgoć z ziemi, obniża plon żyta czy owsa, nadto zachodzi obawa, że rośliny te nieprzykryte nie wzejdą, gdy w tym czasie nie będzie deszczów, dlatego ten sposób jest tam w użyciu, gdzie w porze zasiewów t. j. w połowie kwietnia są deszcze, a gdzie znów zima wczas nastaje i rośliny jako poplon nie mogą się dobrze rozwinąć. Do takiego siewu nadaje się najlepiej łubin żółty, seradella i lucerna chmielowa.

Trzecim sposobem jest zasianie rośliny po jak najwcześniejszym sprzęcie najlepiej jęczmienia ozimego lub żyta; sieje się na ściernisko, gdy żyto jeszcze w mendlach stoi i płytko przypokłada razem ze ściernią, albo też lepiej przyorać samą ściernię, rozsiewając na niej tomasynę i kainit, a po zbronowaniu zasiać zielony nawóz. Nawozy pomocnicze dlatego tu są potrzebne, że ziemia jest poprzednim plonem bardzo wyczerpana a nadto rośliny mają bardzo krótki czas do rozwoju, zatem muszą mieć dobre warunki, aby się jak najsilniej mogły rozkrzewić.

Na mórg wysiewamy łubinu 70—150 kg., seradelli 14—20 kg., wyki, grochu 70—150 kg., bobiku 120—140 kg., zależnie od warunków lepiej jednak gęściej.

Przyorujemy zielony nawóz, gdy zaczyna zawiązywać strąki, bo wtedy najwięcej zawiera azotu i ma największą masę. W jesieni można bardzo późno przyorywać, bo ziemia pod roślinami tak nie marznie prędko. Przyorywać trzeba płytko, aby się dobrze rozkładał. W razie, gdyby się zielony nawóz nie udał i pole się zachwaszczało, trzeba go przyorać, ziemię posilić nawozami pomocniczemi a przez to zmniejszy się straty. Zielony nawóz stosujemy najwięcej pod żyto, owies, ziemniaki na ziemiach lekkich a buraki na ziemiach ciężkich. Stosujemy zaś w polach odległych, gdzie trudny dojazd, na glebach bardzo jałowych. Szczególnie ci, którzy mają mało nawozu stajennego i mało pieniędzy na zakupno nawozów pomocniczych, powinni tego środka spróbować a przekonają się o jego zbawiennych skutkach.

Obornik, jego znaczenie, przechowanie i używanie.

Coroczne plony, wywożone z pola, ubożą grunt i wyczerpują go z pokarmów. Aby więc plony te w równej mierze zbierać, koniecznie musimy roli wynagrodzić te straty.

Najdawniejszym, najwięcej używanym i uznanym nawozem jest obornik. Wysoką jednak jego wartość obniża złe obchodzenie się z nim w wielu gospodarstwach. I tak widzimy często nawóz porozrzucany, nastroszony, wyschnięty, co jest wielkim błędem, gdyż przewiew powietrza sprzyja rozwojowi drobnoustrojów, które rozkładają ten nawóz, przyczem najwięcej wartościowy składnik t. j. azot tracimy w dużym procencie.

Nawóz najlepiej jest przechowywać pod bydłem, (stajnia wtedy musi być wysoka, przewiewna, o żłobach przestawianych o dnie nieprzepuszczalnem, aby gnojówka nie przeciekała). Bydło ugniata nawóz wciąż, zwilża, mięsza silnie, przez co obornik znacznie mniej traci azotu. O ile przechowujemy zaś na gnojowni, to powinniśmy silnie nawóz udeptywać, zwilżać go, o ile jest za suchy, nie pozwolić wodom różnym ściekać na gnój i wypłukiwać go, ocieniać go drzewami lub budynkami, aby nie przysychał zbytnio.

Gnojownia powinna być o dnie nieprzepuszczalnem (glina lub beton najlepiej się do tego nadają) powinna być blisko stajni, ocieniona drzewami lub budynkami, powinna mieć spad w jednym kierunku i doły cementowe, aby gnojówka tam spływała, powinna być wgłębiona na $^1/_2$—1 m., otoczona murem lub wałem $^1/_2$ m. wysokim i ogrodzona, aby można bydło tam wpuszczać dla tratowania nawozu, co wpływa na lepsze jego przechowanie i mniejsze straty powoduje.

Wielkim błędem jest w wielu gospodarstwach puszczanie gnojówki na drogi ogółem poza gospodarstwo. Straty przez to są duże, gdyż gnojówka zawiera bardzo cenne pokarmy, które marnujemy, zamiast je oddać roślinom. Na przechowanie gnojówki powinny być osobne kryte doły, albo też należy polewać nią gnój, wywozić w pole lub na komposty, ale nie marnić jej nigdy.

Nawóz stajenny obok wszystkich składników pokarmowych dostarczonych ziemi, polepsza jej strukturę i działa przez kilka lat. Obornik jest tem lepszy, im lepiej żywimy bydło, najlepszy jest z pod bydła opasowego. Najwięcej wartościowy nawóz dają gołębie, kury, ogółem ptactwo, potem owce, konie, bydło i trzoda. Nawóz wywieziony w pole powinien być zaraz rozrzucony i przyorany, składanie go w małe kupki jest złe, bo wtedy bardzo szybko się rozkłada i ginie niemal w oczach, a grunt mało z niego ma wartości; o ile nie możemy zaraz rozrzucić i przyorać, to należy składać go w duże stosy, ugniatać inwentarzem silnie a potem grubo obłożyć ziemią 30—40 cm., co powstrzymuje rozkład a w odpowiednim czasie rozrzucić i przyorać. Nawóz rozrzucony, o ile leży długo na polu, rozkłada się szybko, najcenniejsze składniki ulatniają się a zostaje sama słoma, która ma najmniejszą wartość jako nawóz. O ile nawóz w zimie jest rozrzucany, to nie traci tyle na wartości, bo zimno nie sprzyja rozwojowi bakteryj, ale w lecie straty są duże. Przyorywać nawóz powinniśmy zawsze tylko przegniły, bo ten ma dużo bakteryj w sobie, które go szybko w ziemi rozkładają, zaś słomiasty długo i trudno się rozkłada i rośliny nieraz cierpią na brak pokarmów zwłaszcza w pierwszych dniach, gdy im najwięcej potrzeba pożywienia. Przyorywać zaś trzeba płytko 3—4 cm., aby się dobrze przy dostępie powietrza i wilgoci rozkładał, głęboko bowiem przyorany próchnieje i mało z niego mamy korzyści. Nawozu dajemy 100—200 q t. j. 20—30 fur na morgę, lepiej jest dawać mniej a częściej a nawozami pomocniczemi uzupełniać, przez co daje się i pokarmy i polepsza strukturę ziemi,

a straty są mniejsze niż wtedy, gdy nawóz powoli się rozkłada i woda go wypłukuje. Najlepiej wykorzystują nawóz te płody, które mają najdłuższy okres wegetacyjny więc buraki, ziemniaki, zboża ozime. Pod bób, groch itp. dawać lepiej nawozy pomocnicze a nawóz stajenny w małej ilości, gdyż rośliny te azot same sobie przyswajają (patrz Zielone nawozy) a przez większe dawki tylko tracimy azot z nawozu niepotrzebnie.

Płodozmian i jego użyteczność.

Następstwo roślin uprawnych po sobie ma wielkie znaczenie w gospodarstwie. Widzimy często w praktyce, że pewne rośliny posiane po sobie kilka razy nie udają się. Powody tego są różne:

1) Przy uprawie jednej i tej samej rośliny po sobie, szkodniki zwierzęce i roślinne, które atakują tę roślinę, a które się w pierwszym roku w małej liczbie rozwijały w drugim wielkie szkody wyrządzą roślinie, gdyż zagnieździły się już w gruncie a warunków do rozwoju my już dostarczyliśmy przez posianie tej samej rośliny. Gdy natomiast posadzimy roślinę innego gatunku, to szkodniki te nie będą się rozwijały, gdyż roślina ta nie sprzyja ich rozwojowi. Np. rdza nie wystąpi w ziemniakach itp.

2) Pewne rośliny np. zboża wyczerpują ziemię z pewnych składników t. j. fosforu i azotu i to w warstwach płytkich, kilka razy siane zbożowe zubożą ziemię i plony dadzą mniejsze, gdy natomiast rośliny te przegrodzimy inną rośliną głęboko się korzeniącą i taką, która inne składniki więcej pobiera np. ziemniakami, które pobierają mniej azotu i fosforu a więcej potasu, to plon będzie większy, bo ta roślina inne składniki zużywa i z warstw głębszych.

3) Te same rośliny siane po sobie kilka razy psują strukturę ziemi. Np. zboża, które nie ocieniają dobrze gleby psują ją, deszcz bowiem ubija i zamula ziemię, a natomiast rośliny liściaste poprawiają strukturę, bo ocieniają dobrze i ziemia wilgoć utrzymuje. Dlatego rolnik powinien unikać siewu tej samej rośliny po sobie a trzymać się następujących zasad w obsiewaniu pól:

a) Po roślinach płytko się korzeniących, sadzić rośliny głęboko się korzeniące, aby różne warstwy ziemi równomiernie wyzyskać.

b) Po roślinach o małych liściach sadzić rośliny liściaste, aby struktura ziemi się nie psuła.

c) Po roślinach, które dostarczają ziemi azotu siać rośliny, które ten azot najlepiej wykorzystują np. po koniczynach kłosowe.

d) Po roślinach, które pewne składniki pobierają np. zboża azot i fosfor, sadzić rośliny, które pobierają inne składniki albo te same ale w mniejszej ilości np. po zbożach ziemniaki, które pobierają więcej potasu a mniej fosforu i azotu.

e) Po zbożowych sadzić okopowe, wtedy struktura ziemi się nie psuje.

f) Najwięcej wymagające rośliny dawać w najlepsze warunki, więc buraki, pszenicę po nawozie itd.

g) Wybór roślin powinien stosować się do klimatu, gleby itp. gdyż rośliny mają pewne wymagania i gdy tych braknie, nie udają się i wyradzają.

Wogóle trzeba uważać, aby każda roślina następnej pozostawiała jak najlepsze warunki do rozwoju. Niektóre rośliny mają swoje specyalne wymagania i tak rośliny strączkowe nie udają się po sobie, więc np. koniczynę od grochu, wyki itp. powinno dzielić kilka lat. Koniczyna po sobie nie powinna wcześniej następować jak po 4 latach, bób po 6-ciu itd. Oziminy, o ile siejemy po ziemniakach, powinniśmy postarać się o wczesną odmianę, abyśmy mieli czas do obróbki pola tak, aby najdalej 15-go września zasiać, by roślina mogła się przed zimą zakorzenić i przetrwać ją lepiej. Stosowanie płodozmianu pomaga nam w walce ze szkodnikami

i polepsza strukturę gleby, przynosząc równocześnie większe plony, dlatego też każdy gospodarz powinien go stosować i zaprzestać siewu tej samej rośliny kilka lat z rzędu.

Ziarno do siewu i siew.

Ziarno do siewu powinno być zdrowe, aby mogło kiełkować; świeże, gdyż z biegiem czasu traci ziarno na zdolności kiełkowania, pełne i duże, aby miało dosyć pokarmu do wyżywienia słabej, wschodzącej rośliny, gdy ta korzeniami pobierać pokarmów nie może. Silnie rosnąca roślina lepiej się opiera niekorzystnym warunkom jak suszy, grzybkom itp. Nie powinno być także ziarn poprzecinanych, gdyż w miejscu przecięcia gnieżdżą się grzybki i te tamują rozwój rośliny. Ziarna powinny być dobrze wykształcone, bez karbów, zagięć, jasne, gdyż ciemna barwa zdradza stare nasiona. Ziarna powinny mieć połysk, co wskazuje na dobry sprzęt, powinny być suche, o pewnym zapachu specyalnym. Powinny być odczyszczone i nie zawierać obcych nasion zwłaszcza, które, kwitnąc, obniżają plon, a które młynkiem i tryerem da się usunąć i uniknąć złych skutków w przyszłości. W ziarnie kupnem trzeba się bardzo wystrzegać tych zanieczyszczeń, gdyż oszustwa tu są bardzo duże i liczne. Nasiona o grubej i twardej skórze, które źle wodą nasiąkają, nacinamy, aby im pomódz nasiąkać i prędzej róść. Niektóre nasiona moczymy w tym samym celu.

Pora zasiewów jesiennych najlepsza jest u nas od 1-go do 15-go września, a wiosennych jak najwcześniej, aby wykorzystać wilgoć zimową i aby zgłuszyć chwasty które później zaczynają róść. Siew nie powinien być za gęsty, bo brak powietrza, światła, pokarmów powoduje mały rozwój ziarna i wylęganie nadto sprzyja rozwojowi różnych grzybków. Zbyt rzadki siew jest także zły, bo chwasty się rzucają więcej i deszcze więcej zbijają ziemię. Im gleba żyźniejsza i im wcześniej siejemy, tem rzadziej można siać, bo tu są lepsze warunki i dłuższy okres czasu mają rośliny do rozwoju, mogą się zatem dobrze rozkorzeniać. Przykrywać nasiona trzeba tem płycej im mniejsze są i im gleba cięższa, za głęboko przykryte bowiem nie wschodzą równomiernie i dużo z nich ginie, nie mając siły do przebicia większej przestrzeni.

Siew uskuteczniamy rzutowo lub rzędowo. Rzędowy siew jest znacznie lepszy, tutaj ziarna są równo rozmieszczone, przykrycie jest równomierne, mają lepszy dostęp powietrza i światła, tak posiane rośliny można lepiej czyścić z chwastów i obrabiać, co znacznie zwiększa plony, nadto zaoszczędza się dużo ziarna przy siewie. Równo posiane rośliny wschodzą równo, rosną zwarcie, lepiej się opierają chwastom i dają plon większy. Siew ten stosować jednak możemy tylko na polach czystych, wyrobionych; gdzie tych warunków brak, tam siew ten napotyka na duże utrudnienia i tam siew rzutowy może być lepszym.

Rzutowo siejemy tylko rośliny różnorodne naraz, gdyż tak możemy je lepiej rozdzielić. Korzyści siewu rzędowego najlepiej przedstawi próba jaką przeprowadzono: Posiano owies na hektarze rzędowo a na drugim hektarze rzutowo, inne warunki jak gleba, nawożenie, uprawa były jednakie, na pierwszym polu zebrano $20^1/_2$ cetnarów ziarna, na drugim 19 cetnarów; nadto na pierwszem wysiano 140 kg. a na drugim 225 kg. Różnica więc na korzyść siewu rzędowego była 235 kg.

Siew rzędowy rozpowszechnia się, ale w stosunku do korzyści, jakie przynosi, powiniem w szybszem tempie rozprzestrzeniać się, gdyż zasługuje na to w pełnej mierze.

Nawozy pomocnicze ich znaczenie i używanie.

Coraz większe rozdrobnienie gruntów zmusza nas do większego wyzyskiwania tegoż gruntu i osiągania większych zbiorów. Do uskutecznienia tego prowadzi nas obok starannej uprawy i nawożenie. Obornik daje nam wszystkie składniki, zaś celem nawozów pomocniczych jest dostarczenie ziemi składnika, którego jej najwięcej brakuje. Aby jednak skutki nawożenia temi nawozami były dodatnie, musimy ich używać umiejętnie. Nawozów pomocniczych używamy, aby 1) działanie nawozu stajennego wzmocnić i uzupełnić, 2) w rolach słabych, gdzie działają szybciej jak obornik, 3) gdy ziemia jest bardzo wyjałowiona z pewnego składnika, 4) jako nawozu pogłównego z wiosną na słabe oziminy, celem ratowania ich. Czasem zdarza się, że nawozy te nie działają, ale powody są różne, jak 1) mała ilość użytych nawozów pomocniczych, 2) gdy są użyte nawozy mało rozpuszczalne, 3) gdy użyjemy ich błędnie np. nie damy tych składników, jakich rola potrzebuje, ale inne, 4) gdy pora jest niesprzyjająca, więc np. susza wielka nie pozwala rozkładać się nawozom, a znów zbyt obfite deszcze mogą wypłukiwać itp. Chcąc nie narażać się na straty w tym wypadku, należy najpierw spróbować różnych nawozów w swych gruntach i używać nadal tych, które największy rezultat okazują. Tu opiszę w krótkości najgłówniejsze nawozy pomocnicze, ich działanie i używanie:

Saletra jest to nawóz o zawartości 15—16% azotu, jest bardzo łatwo w wodzie rozpuszczalna, silnie naciąga wilgoć z powietrza, dlatego ją trzeba w suchem miejscu przechowywać. Ponieważ jest bardzo droga, dlatego ją bardzo fałszują, trzeba zatem zważać na to i kupować ją w pewnych źródłach, najlepiej przez Towarzystwa, kółka rolnicze, na co przy wszystkich nawozach trzeba zważać. Przed użyciem trzeba ją rozdrobnić. Używa się jej na rośliny już rosnące, gdyż łatwo się w ziemi rozpuszcza i może ginąć w głębszych warstwach nie pobrana przez rośliny. Na gruntach cięższych nie wsiąka tak szybko w spód jak na lekkich. Daje się jej 50—200 kg. na mórg. Lepiej ją dawać częściej a w mniejszych dawkach, gdyż wtedy nie tracimy jej wiele.

Siarkan amonowy zawiera 20—21% azotu, jednak jest trudniej rozpuszczalny niż saletra. Używa się go pod rośliny w ilości 40 — 100 kg. przed siewem nigdy pogłównie. Więcej nadaje się na ziemie lekkie, gdzie woda nie wypłukuje go tak szybko. Należy jednak uważać i nie mięszać go z wapnem, tomasyną, bo wtedy traci na wartości.

Nawozy azotowe najlepiej opłacają się pod buraki, pszenicę, żyto, owies na wiosnę, mniej na jęczmień. Pod motylkowe, jak bób, groch itp. nie używamy ich wcale albo w bardzo małych ilościach, rośliny te bowiem same przyswajają sobie składnik, w tych nawozach zawarty z powietrza (patrz Zielone nawozy). Dawki nawozów azotowych zwiększyć mogą plony o 100% nawet, zwłaszcza na glebach, gdzie brak tego składnika. Nawozy te pobudzają rośliny do silnego krzewienia się i silnego wzrostu zwłaszcza liści a przez to rośliny mogą więcej pokarmów przyswajać sobie z powietrza, nadto dostarczają roślinom najcenniejszego składnika t. j. azotu.

Nawozy fosforowe najwięcej używane są:

Superfosfat wyrabia się z kości lub minerałów w fosfor zasobnych, przyczem niepotrzebne części odpadają. Zawiera 10 — 22% kwasu fosforowego, łatwo przyciąga wilgoć, trzeba go więc w suchem miejscu przechowywać. Nie mięszać go z tomasyną, saletrą, wapnem, gdyż traci na wartości. Superfosfat powinien być bardzo miałki i suchy, gdyż wilgotny źle rozsiewać, bo się zbija w grudki. Przy zakupnie trzeba zważać

na te własności jak również na zawartość fosforu. Superfosfatu daje się 100—200 kg. na mórg.

Mąka żuzlowa Thomasa wyrabia się przy przeróbce surowca na stal, przyczem jako niepotrzebny i szkodliwy odpadek miele się i sprzedaje za nawóz. Zawiera ona 13—22% kwasu fosforowego i około 50% wapna. Dobra jest na wszelkie grunta, tak lekkie jak i cięższe oraz łąki, ponieważ trudniej się rozpuszcza i dłużej działa a woda nie wypłukuje jej tak łatwo. Daje się 100 — 300 kg. na mórg i przyoruje płytko. Nawozy fosforowe dobre są dla zbóż, ogółem dla roślin, które mają owocować, gdyż dostarczają fosforu, który jest niezbędny dla nasion.

Nawozy potasowe mamy:

Kainit kałuski, strassfurtski ma 10—12% potasu. Przyciąga silnie wilgoć. Używać go trzeba przeważnie w jesieni pod pług wcześnie, zawiera bowiem składniki szkodliwe, które woda dopiero wypłukuje; używa się go w ilości 200—400 kg. na mórg. Dobry jest na łąki obok tomasyny i na oziminy, zwłaszcza żyto na piaskach, które mało mają potasu.

40% sól potasowa jest dobra na lekkich gruntach w ilości 50—100 kg. na mórg. Szczególnie dobra dla gospodarstw, gdzie jest daleki przewóz, gdyż ma mało niepotrzebnych składników, które podrożają transport. Nawozy potasowe najlepiej się nadają na grunta piaszczyste i torfiaste, nie zawierające gliny, która obfituje zwykle w ten składnik i pod kartofle, gdyż te najwięcej zużywają potasu, dobrze działają te nawozy także na zboża, gdy brak tego składnika w roli, albo gdy jest w ziemi w formie trudno rozpuszczalnej. Służą głównie do silnej budowy źdźbła, ogółem łodyg. Dobre tam, gdzie zboża często wylęgają, gdzie widocznie brak tego składnika.

Obok tych nawozów mamy inne nawozy, jak mąka rogowa, mąka z krwi, mięso, kości, popiół kostny i inne, te jednak bardzo trudno się rozpuszczają są mniej używane, dlatego ich tu nie opisuję.

Przy zakupnie wszystkich nawozów pomocniczych należy bardzo zważać na miałkość, suchość, gdyż takie nawozy lepiej się w ziemi rozpuszczają, nadto kupować zawsze w większych firmach przez Towarzystwa i Kółka rolnicze, aby uniknąć oszustw, które dzisiaj, gdy te nawozy silnie się rozpowszechniły, są bardzo częste. Należy także żądać poręczenia o zawartości danego składnika i za to płacić.

Używać tych nawozów powinniśmy powszechnie, gdyż niekiedy w stosunku do swej wartości podnoszą plony wysoko i opłacają się sowicie, jak to liczne próby wskazują.

Kompost.

Wszelkie odpadki gospodarskie i nieczystości, jak zmiotki z podwórza, stodół, stajen, odchody ludzkie, odpadki z kuchni, popiół, chwasty, łęty ziemniaczane, zepsuta pasza, barłogi, liście, chrabąszcze, kości, padlina, krew, błoto z rowów, podwórz itp. powinien każdy skrzętny gospodarz składać w odpowiednie kupy $1^1/_2$—2 m. wysokie a długie zależnie od ilości materyałów i przerabiać to pługami lub ręcznie w wolnym czasie, posypując wapnem, aby się lepiej rozkładały. Wszystkie te odpadki bowiem po przegniciu stanowią bardzo dobry nawóz. Materyały twarde, jak kości, rogi, trzeba pokruszyć, aby się lepiej rozkładały. Przez przerabianie mięszamy te różne materyały, przez co lepiej się rozkładają, gniją. Nasiona chwastów lepiej wysiewać na kompoście płytko, przez co lepiej wschodzą i po przeoraniu giną i gniją, nigdy ich głęboko umieszczać nie należy. bo wtedy zachowują długo siłę kiełkowania i po rozrzuceniu kompostu rozwijają się i zanieczyszczają pole lub łąkę. Gdy kompost źle się rozkłada, polewamy go gnojówką lub wodą, przez co dostarczamy mu wilgoci i pomagamy rozkładać się.

Kompost przerabiamy po ulęgnięciu się, zlewając go gnojówką. gdy zbyt przeschnie. Gdy masa stanie się jednolitą, kruchą, można już rozrzucać ten nawóz bardzo dobry a tani, który w każdem gospodarstwie przy dobrych chęciach mieć możemy. Kompost leży zwykle i rozkłada się przez 1—2 lat, zależnie od materyałów. Szczególnie nadaje się on na łąki, gdzie poprawia strukturę ziemi, ogrzewa ją, gubi mech i powoduje silny porost traw.

Zarówno jak obornik i kompost dużo przyczynia się do podniesienia kultury naszych pól, a że otrzymać go możemy tanim sposobem, więc żaden dobry gospodarz nie powinien zaniedbywać tego.

Hodowla bydła mlecznego.

Hodowla bydła mlecznego wzrasta u nas w przyspieszony sposób, gdyż produkty mleczne podnoszą się w cenie z powodu zarówno wzrostu ludności, jak i wielkiego zapotrzebowania tychże produktów z krajów innych. Aby jednak hodowla ta była racyonalna i aby krowy dawały jak najwięcej mleka, musimy je odpowiednio chować, pielęgnować i żywić. O wychowie wspominam na innem miejscu, tu zaś podam ogólne uwagi o wyglądzie dobrej dójki, jaką powinniśmy się starać wychować lub kupić, o żywieniu krów mlecznych, o dojeniu i pielęgnowaniu.

Cechy dobrej dójki: Krowa mleczna jest zazwyczaj łagodna, ma cienką i lśniącą skórę łatwo przesuwalną, kość cienką, głowę długą o wyglądzie samiczym, włosy cienkie delikatne, szerokie rozstawienie żeber, co wskazuje na wielką pojemność płuc a zatem i lepszą przemianę materyi spożywczych. Wymię duże, daleko naprzód posunięte, stryki duże, żyły mleczne i dołki mleczne silnie rozwinięte, obecność stryków dodatkowych i duża tarcza mleczna cechują krowę prawdziwie mleczną. Aby utrzymywać dobre, dojne krowy musimy zacząć hodowlę już od najwcześniejszych dni zwierzęcia. Przedewszystkiem należy wielką uwagę zwrócić na stanowienie krów, łączyć krowy najlepsze z buhajami pięknymi, pochodzącymi od krów najmleczniejszych. Buhaj bowiem dużo wpływa na przyszłe pokolenie, zwłaszcza, że tak mleczność jak i zawartość tłuszczu jest dziedziczna, o ile więc buhaj jest po krowie mlecznej jest wielkie prawdopodobieństwo, że i potomstwo będzie mleczne, jak wiele prób i praktyka wskazuje. Stanowisko buhaja w hodowli mało jest cenione zwłaszcza u niektórych włościan, którzy mało zważają na to, aby buhaj był odpowiedni, nie rozumiejąc jeszcze tego, że tylko z zdrowych, silnych i pięknych rodziców można otrzymywać piękne potomstwo. To niedocenianie buhai jest powodem jednym z głównych, że bydło nasze tak licho się przedstawia zwłaszcza w niektórych okolicach.

Na produkcyę mleka wpływa wiele czynników. Mleczność krów przedewszystkiem zależy od indywidualności krowy t. zn. że każda krowa ma inną mleczność przy tej samej paszy. Widzimy, że niektóre krowy dobrze żywione mało mleka dają, inne natomiast przy tej samej paszy znacznie więcej. Zawartość tłuszczu także jest u różnych krów różna i tę własność krowa dziedziczy, przyczem buhaj ma bardzo wielki wpływ. Zwykle krowy o małej mleczności mają większą zawartość tłuszczu, a krowy bardzo mleczne mają mleko więcej wodniste ale nie zawsze tak jest. Częste dojenie także zwiększa mleczność, najwięcej dawały krowy, gdy były co 4 godziny dojone ale w praktyce zwykle doi się 3 razy dziennie, co zupełnie wystarczy, jednak trzeba bardzo zważać na dokładne wydajanie krów, gdyż to nietylko podnosi wydatek mleka, ale nadto mleko to jest najwięcej tłuste, nadto przez dokładne wydajanie ćwiczy się strzyki, pobudza do silniejszego rozwoju i silniejszy wydatek mleka powoduje. Dój powinien być bardzo regularny, trzeba także zważać na jaknajwiększą czystość dojówek, jakoteż

i naczyń oraz dokładność, gdyż to wpływa na wydatek mleka. Krowy przyzwyczajają się do regularności i nie niepokojone o różnych porach lepiej wydają mleko. Umiarkowana praca podnosi też mleczność i mleko wtedy gęstsze jest niż od krów spoczywających. Okres laktacyi też wpływa na mleczność, krowa daje najwięcej mleka po 5—6 cielęciu, później już mleczność spada powoli.

Mleczność dużo zależy od klimatu, w wilgotnym klimacie mają krowy większą skłonność do wydawania dużej ilości mleka, w suchym mniej. Nasz klimat sprzyja wydajności mleka, gdyż nie jest ani za suchy ani za wilgotny. Zmiana żywienia, stajni, niepokojenie bydła, bicie, wpływa ujemnie na mleczność. Stajnie powinny być czyste, widne, o temperaturze 10—12°C., wszystko to podnosi przemianę materyi u zwierząt i przyczynia się do zwiększenia mleczności.

Utrzymywanie w czystości skóry jest także ważnym czynnikiem podniesienia mleczności krów i ich zdrowia. Skóra jest organem najwięcej narażonym na zewnętrzne niekorzystne warunki, jak słoty, gorąca, uderzenia itp., ma ona dużo nerwów, co jej jeszcze więcej delikatności nadaje, do niej dopływa też dużo krwi w gęstej sieci naczyń krwionośnych, jakie ją przecinają. Krew ta wpływa na regulacyę ciepła, naczynia bowiem rozszerzają się, gdy gorąco i wydzielają nadmiar ciepła a zwężają się, gdy zimno. Pot, jaki występuje po ogrzaniu się zwierzęcia, nie tylko reguluje ciepłotę ciała, ale nadto zwilża włos, nadaje mu połysk. Przez skórę, podobnie jak przez płuca oddecha zwierzę częściowo. Na skórze osiada proch, różne owady składają tu jajka a gąsienice drażnią zwierzęta i narażają na choroby. Przez wydzieliny skóry dostaje się na zewnątrz wiele materyj szkodliwych, wydzielanych z wewnątrz ciała, co przy chorobach zwłaszcza ma miejsce. Dlatego też pozostawienie skóry bez czyszczenia jest wielkim bardzo błędem, który niestety u nas bardzo często się powtarza. Czyszczenie skóry zwierzęta dzikie przeprowadzają bardzo skrzętnie, kąpią się, skrobią o drzewa, myją itp., aby się pozbyć różnych cząstek, które osiadły na skórze i drażnią ją. U bydła, które ma przeważnie swobodę ruchów krępowaną, musimy my dbać o to i czyścić skórę bardzo starannie, przez co usuwamy ze skóry wszelkie nieczystości, jajka różnych owadów a ułatwiamy skórze lepsze oddechanie, pocenie się, co jest bardzo ważnem dla zdrowia zwierząt. Zapchanie otworów potowych i innych w skórze sprowadza czasem wielkie zaburzenia w organizmie. Należy także czyścić kopyta, gdyż te narażone są niemniej na złe wpływy, zwłaszcza kwasów, jakie się w gnoju znajdują. Szczególniej należy je czyścić, gdy są skaleczone, aby rany się nie ropiły. Według doświadczenia, krowy 14 dni nieczyszczone dały 2.007 kg. mleka a te same krowy czyszczone przez 14 dni dały 2.087 kg. mleka, chociaż inne warunki, jak żywienie, dojenie itp. były takie same przez cały przeciąg tego doświadczenia. To najbardziej wskazuje, jak ten drobny na pozór i lekceważony szczegół t. j. czyszczenie skóry jest ważnym i rentującym się środkiem podniesienia wydajności mleka, obok tego, że i zdrowiu bardzo sprzyja.

Od krowy mlecznej wymagamy jak najwięcej mleka, a chcąc, aby ona dawała nam dużo mleka, musimy jej dostarczyć materyału na wytworzenie tegoż mleka potrzebnego t. j. musimy ją dobrze żywić. Krowa pyskiem doi (mówi przysłowie) t. j. że im więcej karmimy, tem więcej mamy mleka. Jest to słuszne, ale do pewnego stopnia, gdyż samo żywienie nie podniesie mleka wysoko, o ile krowa już z natury nie jest mleczna. Mleczność możemy wytworzyć u krów tylko przez pozostawianie cieląt od krów najmleczniejszych, przez stanowienie buhajami po krowach mlecznych, przez dobre żywienie od młodości. Żywienie jednak przyczynia się dużo do podwyższenia mleczności, gdyż do-

starcza składników tej maszynie jaką jest krowa, do przeróbki ich na mleko. Żywić krowy mleczne musimy dobrze, gdyż pasza potrzebna im jest nie tylko do zwykłych funkcyj życiowych, jak oddechania, ruchu itp., ale nadto potrzebna im jest do produkowania żądanego od niej mleka. Krowa mleczna, o ile nie dostarczymy jej odpowiedniej ilości pożywienia, pobiera z własnego ciała materyały na wytworzenie mleka i tak kosztem własnego ciała nas bogaci, sama zaś chudnie, co jest tem gorsze, że potem trudno jest podnieść mleczność u niej.

Pasza dla krów powinna być obfitą w pożywne części zwłaszcza białko, którego najwięcej krowa zużywa na mleko. Bardzo bogate są w to białko wszystkie rośliny strączkowe, jak groch, bób, wyka, koniczyna itd., nadto otręby, makuchy z pasz poza gospodarstwem produkowanych, to też w żywieniu krów mlecznych powinny brać górę nad innemi paszami. Żywieniem samą słomą, sieczką, bez dodatku pasz treściwych, nigdy nie podniesiemy mleczności krów. Pasze te potrzebne są do wypełnienia obszernego żołądka, ale, jako mało strawne, nie przynoszą dużo materyałów do wytworzenia mleka. Jeżeli paszy nie mamy dużo, nie należy trzymać dużo bydła i morzyć go, bo takie bydło ani nam mleka nie da ani też na mięso rzeźnik nie wiele zapłaci za niego. Lepiej jest trzymać mniej bydła a żywić go silnie, gdyż wtedy i mleka będziemy mieć więcej i nawóz od tych sztuk będzie lepszy.

W zimie obok paszy objętościowej jak słoma, siano, buraki, powinniśmy dodawać krowom i pasz więcej treściwych jak ziarno, makuchy, otręby itp. co zwiększa mleczność krów, gdyż dostarcza im składników, których jest bardzo mało w paszach objętościowych a które są niezbędne do wytworzenia mleka. Głodzenie zimą bydła a nadmierne żywienie w lecie koniczyną, bujnemi trawami, nie jest dla bydła zdrowem a dla nas korzystnem, gdyż tracimy dużo w lecie a w zimie bydło nam żadnych korzyści nie przynosi, przeciwnie, chudnie bardzo i zapada na zdrowiu. Żywienie przez cały rok powinno być równomierne. W lecie więc zielone pasze zwykle wystarczą, w zimie natomiast trzeba koniecznie dodawać pasz treściwych, tem więcej, że krowy w zimie znacznie więcej spożywają pokarmów które im są potrzebne na wytworzenie ciepła w ciele.

Pasza powinna być podawana w formie jak najstrawniejszej, aby ją bydło lepiej spożywało i wyzyskiwało. Trzeba więc pasze trudniej strawne, jak słoma, krajać, zaparzać itp. przez co te nabierają lepszego smaku, są miększe i bydło chętniej je spożywa i więcej.

Do pasz najwięcej używanych należy sieczka, słoma, jako mniej wartościowe; siano, koniczyna, buraki z produkcyi własnej a otręby, makuchy itp. albo własne albo częściej, zwłaszcza u włościan, kupne, są znów więcej treściwe pasze.

O ile inwentarz żywimy koniczyną, zwłaszcza młodą bardzo, powinniśmy go napaść przedtem słomą, sieczką, plewami, aby w ten sposób uniknąć wzdęcia a zarazem tę zbyt obfitą w białko paszę nieco rozrzedzić.

Przy żywieniu krów wielką bardzo uwagę trzeba kłaść na to, jak która krowa wyzyskuje paszę. Widzimy bowiem często w praktyce, że z kilku krów przy jednakowej paszy jedna daje więcej znacznie mleka, druga zaś mniej. Rzecz jasna, że pierwsza opłaca nam lepiej paszę niż druga. Na to trzeba zważać bardzo i krowy, które dają więcej mleka żywić lepiej, krowom zaś o mniejszym wydatku dawać mniej, gdyż te jako z natury mniej mleczne gorzej wyzyskują paszę i nie dają mleka odpowiednio więcej, lecz opasają się silnie. Dobrze jest żywić każdą krowę indywidualnie to znaczy stosownie do wydatku mleka dawać jej więcej względnie mniej pasz, zwłaszcza treściwych jak otręby, makuchy itp. Najlepiej jest żłoby podzielić i odgrodzić, przez co

każda sztuka zjada tylko tyle, ile jej dano, a nie objada krów innych, co jest ważne, gdyż krowy bardzo mleczne są zwykle łagodne, spokojne i łatwo dają się objadać przez swe sąsiadki, które są więcej łakome, bodą je i odbierają im paszę i tak krowy najlepsze dostają zwykle najmniej paszy a przy żywieniu indywidualnem, gdy żłoby są podzielone, unika się tego. Nadto przy tym sposobie żywienia możemy łatwiej obliczyć, o ile krowa nam się opłaca lub nie, gdyż wiemy dokładnie, ile jej dajemy paszy a ile mleka w zamian od niej dostajemy. Tak np. krowie, która daje 4—7 litr. mleka dajemy obok obfitej paszy objętościowej jak słoma, sieczka, koniczyna, buraki, jeszcze 1 kg. paszy treściwej więc otręb, makucha itp., innej, która daje 7—10 litr. dajemy 2 kg. otręb itd. Jest to bardzo dobry sposób podniesienia mleczności i lepszego wyzyskania paszy, krowy bowiem mało mleczne nie dostaną za dużo paszy i nie będą się opasać, zaś krowy mleczne za mało, co przy żywieniu jednakowem wszystkich krów spotyka się bardzo często w praktyce. Ten sposób żywienia zwłaszcza w zimie coraz więcej znajduje zwolenników, którzy przekonali się o dobrych stronach tej zasady i w praktyce stosują takie żywienie.

Wielką pomocą w trawieniu, zwłaszcza trudno strawnych pasz, jakie w hodowli zwłaszcza bydła często się zdarzają, jest sól, której powinniśmy więcej używać, niż to dotychczas jest praktykowane. Sól pobudza apetyt zwierząt, sama jest pokarmem dla nich, pobudza pobieranie wody, nadto przyczynia się wiele do dobrego i dokładnego trawienia, zwłaszcza pasz trudniej strawnych, gdyż wraz z sokami żołądka rozpuszcza niektóre. Jednak nie trzeba jej dawać w nadmiernych dawkach, gdyż wtedy krowy piją za dużo wody, co osłabia żołądek i trawienie upośledza. Wystarcza na sztukę dorosłą 10—20 gr., zwykle posypuje się paszę z lekka solą i to zupełnie wystarcza, a krowy lepiej żłoby wylizują, gdy te są słone.

Ważną rolę w żywieniu gra też pojenie bydła. Woda odgrywa w organizmie zwierzęcia bardzo dużą rolę. Już sam fakt, że stanowi ona bardzo poważną składową część wszystkich organów, wskazuje na jej ważną rolę w zwierzęcym organizmie. Woda ułatwia żucie, trawienie, przy pomocy wody, w krwi zawartej, pokarmy są rozprowadzone po organizmie, z wodą są wydzielane różne produkty przemiany materyi w zwierzęciu, woda także odgrywa wielką rolę przy regulowaniu ciepłoty ciała, poceniu się itp. Wobec tych ważnych funkcyi jakie woda spełnia w ciele, pojenie jest bardzo ważną czynnością i musi być przeprowadzane bardzo skrupulatnie i punktualnie, gdyż brak odbija się bardzo niekorzystnie na zdrowiu bydła. Pojenie, zwłaszcza młodzieży, powinno być bardzo staranne, aby rozwój ich nie cierpiał na tem. Woda powinna być czysta, niezbyt zimna (10—15^{0}C. jest najlepsza) i zadawana bydłu 2—3 razy dziennie.

W hodowli bydła trzeba bardzo zważać także na dostarczenie krowom warunków jak najlepszych a więc bydło powinno mieć stajnię jasną, ciepłą, suchą, aby dobrze się żywiło i zdrowo trzymało. Bydło powinno być wypuszczane na dwór zawsze tak latem jak i zimą, w dnie pogodne, pobyt bowiem na świeżem powietrzu sprzyja dobremu trawieniu, bydło lepiej się rozwija, jest zdrowsze znacznie, weselsze i nie zapada tak na gruźlicę jak trzymane w stajniach ciemnych, nieprzewietrzanych zwłaszcza zimą nigdy. Dzisiaj walka z gruźlicą (suchoty) powinna być jak najszerzej rozwinięta, gdyż choroba ta zabiera największy procent bydła i niszczy nieraz całe obory. Nie występuje ona wprawdzie gwałtownie, ale powoli lecz skutecznie prowadzi dzieło zniszczenia, któremu my powinniśmy zapobiegać przez dostarczenie bydłu jak najlepszych warunków bytu.

Wychów młodzieży.

Zdrowe, silne i piękne sztuki, tak mleczne jak i robocze, możemy otrzymać tylko przez odpowiednie pielęgnowanie od młodości zwierzęcia i troskliwą opiekę. Dzisiaj, zwłaszcza u bydła jest tem więcej pożądany wychów w zdrowych warunkach, że gruźlica w straszny sposób szerzy się wśród bydła i niekiedy straty olbrzymie przynosi. Młody organizm zwierzęcy rozwija się szybko i silnie, dlatego w młodości żywienie musi być obfite, gdyż zwierzę młode potrzebuje dużo pokarmów na rozwój wszystkich organów. Ważnym bardzo w wychowie młodzieży jest dodatek wapna i fosforu, które to składniki są niezbędne do wytworzenia kości a których w mleku jest mało. Dobrze więc jest dawać młodzieży kredę szlamowaną oraz rośliny strączkowe np. koniczynę, bobik itp., które zawierają dużo zarówno wapna jak i fosforu. Brak tych składników powoduje bowiem ciężkie choroby np. t. zw. krzywicę, zwłaszcza u prosiąt, które pobierają bardzo wodniste pokarmy — a zatem ubogie w wapno i fosfor. Pasza dla młodzieży powinna być zdrowa, smaczna, delikatna i lepiej podawać ją częściej a w mniejszych dawkach, niż naraz dużo dawać a rzadko, bo wtedy zwierzęta jedzą za dużo i nabawiają się chorób. W żywieniu zwierząt młodych nigdy nie używać pasz niepewnych, zwłaszcza kupnych, nieraz bardzo zachwalanych mączek zwykle bezwartościowych a drogich. Dobry gospodarz ma zawsze ziarno w swoim gospodarstwie wyprodukowane a to jest najlepsza i najpewniejsza pasza. Zadawanie paszy punktualnie dużo się przyczynia do utrzymania bydła w dobrym stanie.

Cielęta poimy albo też pozwalamy im ssać. Przy pojeniu trzeba bardzo uważać na czystość naczyń, gdyż brak czystości psuje mleko i naraża cielęta na choroby. Poić powinniśmy bardzo punktualnie, gdyż to dużo przyczynia się do dobrego wyglądu cieląt. Czasem poimy cielęta mlekiem przegotowanem. Przeważnie praktykuje się to u ras bydła nizinnego bardzo gruźlicą dotkniętego. Wraz z wzrostem cielęcia zwiększa się dawka mleka pełnego, dochodzi do najwyższego punktu 8—10 l. potem spada po 2—3 tygodniach, gdyż wtedy zastępuje się mleko pełne mlekiem zbieranem i powoli przyzwyczaja się cielę do pobierania siana i ziarna. Na wytworzenie jednego kg. przyrostu potrzebuje cielę 10—12 kg. mleka pełnego a 15—20 kg. mleka zbieranego. Przejście od mleka do paszy mniej treściwej musi być bardzo powolne i długie. Musimy tu dawać pasze treściwe zdrowe, jak ziarno, otręby dobre itp. W 2—3 miesiącu dostaje już cielę samo siano i ziarno.

O ile zaś cielę ssie, to trzeba zważać na to, aby równocześnie, gdy krowa jest bardzo mleczna, zdajać ją, co uskutecznia się w ten sposób, że np. z 2 dojków się zdaja a z 2 cielęciu pozwala się ssać. W ten sposób unikniemy przessania się u cieląt a krowę zmusimy do wydawania mleka, czego nie da się uskutecznić niekiedy, gdy się doi bez cielęcia, bo krowa mleko dla niego zatrzymuje. Cielę powinno ssać $1^1/_2$—3 miesięcy. Odzwyczaja się cielę od ssania w ten sposób, że po 2 tygodniach dopuszcza się je 3 razy dziennie a resztę dnia jest zamknięte, potem znów przez 2 tygodnie 2 razy dziennie a znów przez następne 2 tygodnie raz dziennie; równocześnie zadaje się dobre, delikatne siano i ziarno, które cielę gryzie i przyzwyczaja się powoli do niego. Małe dawki siana przyczyniają się też do rozwoju żołądka u cieląt młodych.

Lepsze w wychowie cieląt jest jednak pojenie, bo wtedy wiemy, ile cielę pobiera mleka, unikamy chorób, które powstają przy ssaniu, zwłaszcza biegunek powodowanych nadmiernem pobieraniem naraz mleka a nadto nie narażamy się na trudne bardzo odzwyczajenie się cielęcia od matki, co przy ssaniu jest zawsze, a które to odłączenie źle wpływa na rozwój cieląt,

bo te w pierwszych dniach mało jedzą i bardzo zazwyczaj biedną.

Szczególnie silnie trzeba żywić w młodości zwierzęta na opas przeznaczone i samce. Młode zwierzęta trzeba obok żywienia starannie bardzo czyścić, poić tylko czystą i niezbyt zimną wodą, wypuszczać je jak najwięcej na świeże powietrze. Na wolnem powietrzu młodzież rozwija silnie mięśnie i wykształca płuca, co potem bardzo sprzyja zdrowiu zwierząt. Zwierzęta takie nie zapasają się prędko, natomiast wykształcają silne kości, mięśnie i są odporniejsze na różne choroby, zwłaszcza gruźlicę, co dzisiaj jest bardzo ważnem, gdy gruźlica tak silnie się rozszerzyła wśród naszego bydła.

Młodzież wychowana w stajniach ciemnych, dusznych, nie pobiera dużo pokarmów, jest zwykle zabiedzona i z takiego cielęcia nigdy nie będzie dobrej dójki; natomiast cielę wychowane na wolnem powietrzu jest silnie rozrośnięte, pełne, żywe i rokuje piękną i zdrową krowę na przyszłość.

Tuczenie zwierząt.

Tuczenie zwierząt przybiera dzisiaj, wobec wielkiego zapotrzebowania zarówno mięsa jak i tłuszczu, wielkie rozmiary. Szczególniej tuczenie świń młodszych i starszych jest bardzo u włościan rozpowszechnione i stanowi ważną gałąź dochodu z gospodarstwa.

Przeznaczone na tucz zwierzęta powinny być od najpierwszych dni silnie żywione, aby rozwinęły żołądek a tem samem mogły później lepiej wykorzystać paszę, zwłaszcza trudniej strawną. Przeznaczone na tucz zwierzęta karmi się znacznie dłużej mlekiem i daje się go więcej, gdyż mleko zawiera wszystkie składniki i przyczynia się bardzo do rozwoju mięśni u młodych zwierząt oraz do szybkiego dojrzewania. Mięso zwierząt tuczonych jest znacznie lepsze, gdyż zawiera mniej wody a więcej tłuszczu, niż u zwierząt nietuczonych, jest zatem pożywniejsze. Przy tuczeniu zwierząt nie zwiększa się przyrost mięsa — ale głównie tłuszczu. Silne dawki pasz obfitych w tłuszcz zwiększają co prawda przybytek tłuszczu u zwierząt, ale osłabiają narządy trawienia i zwierzę traci apetyt, dlatego takich pasz nie można w większych ilościach dawać.

Prosięta do tuczu przeznaczone powinny ssać 4—6 tygodni, potem trzeba im dawać mleko krowie w małych ilościach, gdyż ma ono inny trochę skład jak mleko matki i może zaburzenia powodować, tymczasem powoli przyzwyczajać do pasz takich jak otręby, makuchy, ziemniaki, serwatka itp. Prosięta pobierają chętnie wodniste pasze i te można im dawać w dosyć dużej ilości. Ponieważ rosną one bardzo szybko, trzeba im już w 2—3 tygodniu zadawać ziarno, otręby, aby się przyzwyczajały do tych pasz a odzwyczajały równocześnie od mleka. Nie zapominać trzeba o dodatku wapna u trzody młodej. Do pasz, które głównie mają służyć do opasu, jak ziemniaki, otręby, siano, koniczyna itd. należy trzodę przyzwyczajać powoli i stopniowo. Przy skarmianiu pasz mdłych, mniej smacznych a pożywnych, których zwierzęta nie chcą dużo zjadać, dobrze jest używać soli, która poprawia smak i zwierzęta chętniej spożywają już taką paszę. Zwierzęta na opas postawione trzeba jak najprędzej opasać, a zatem żywić o ile możności jak najobficiej, gdyż wtedy opas jest najtańszy, zwierzęta bowiem mniej tracą karmy na ogrzanie ciała, ruch itp. a przeciwnie przy długim bardzo opasie dużo paszy marnuje się na potrzeby życiowe zwierząt a nie zostaje dla nas w postaci tłuszczu. Świniom trzeba dawać łatwo strawne pasze, gdyż żołądek ich jest mały i gdy go zapchamy mało strawnemi paszami, to już strawnych pasz zwierzę nie wykorzysta tak, jakby mogło.

Pasze trudniej strawne lepiej opasać zwierzętami o żołądku złożonem a więc bydłem, które lepiej wykorzysta i opłaci

taką paszę. Niektóre pasze wpływają ujemnie na jakość słoniny, która staje się bardzo oleista; tu należy kukurudza, makuchy oleiste ale w małych dawkach nie robią tego.

Opasanie zwierząt może być uskuteczniane na pastwiskach, co znacznie taniej wychodzi, jednak dokończyć trzeba tuczu w domu, gdyż na pastwisku zwierzę jest ciągle w ruchu i nie tuczy się zupełnie. Tuczenie jest w gospodarstwie z tego względu niekiedy bardzo pożądanem, że jest tu dużo odpadków w pewnych porach roku np. nać buraczana w jesieni, w latach urodzajnych dużo traw, ziemniaków itp., które w ten sposób możemy zużytkować i przemienić na produkty więcej wartościowe, bo na mięso. Szczególniej opasanie jest konieczne w okolicach odległych od miast, kolei, o złych drogach, gdzie zatem sprzedaż ciężkich produktów jak ziemniaki, słoma, koniczyna itp. jest trudna a nieraz nawet wprost niemożliwa.

Do pasz najwięcej używanych do opasu należą ziemniaki, nać buraczana, obok małych dawek koniczu, nadto otręby, makuchy, oraz odpadki z przemysłu rolniczego, jak melassa, wywar ziemniaczany, słodziny itd. Przy opasie powinna być ściółka obfita, aby zwierzęta mogły jak najwięcej leżeć, brak bowiem ruchu sprzyja opasowi; powietrze powinno być czyste, stajnia niezbyt gorąca, bo to zmniejsza apetyt i tamuje opas (najlepiej 10 — 12°C.), gdy jest zaś zimno, to zwierzęta dużo karmy tracą na ogrzanie ciała, dla nas więc jest ta część karmy stracona. Ciemna stajnia także sprzyja opasowi, jednak nie trzeba zbytnio tego przestrzegać, bo choroby mogą łatwo atakować zwierzę.

Opasanie zwierząt wyniszczonych i starych musi być długie i powolne, aby mogły mięśnie najpierw rozwinąć, na których dopiero zaczną gromadzić tłuszcz. Opasać zaś możemy wszystkie zwierzęta, o ile te już nie nadają się do innych celów, tylko opasanie sztuk starych jest mniej rentownem i dlatego rzadziej się praktykuje.





DZIAŁ KOBIECY.

Opracowała

Marya Ruszczyńska.



Znakomite polskie niewiasty.

Aby zyskać przymiotnik »znakomity«, »sławny« lub »wielki« trzeba nań zasłużyć, a zasługi mogą być różne: świętość, bohaterstwo na polu walki, życie ofiar pełne poświęceń, nauka wielka lub talent jakiś (pisarski, malarski i inne), to wszystko może stać się służbą Bogu i ludziom, za co świat chwali, a późniejsze czasy przyznają wielkość i sławę. Tutaj chcemy powiedzieć słów parę o polskich znakomitych niewiastach, żyjących w różnych czasach i sławnych jużto jako królowe, jużto cnotą słynnych, już to bohaterkach cichych, czy talentem wielkich.

Królowe.

Niechże ich szereg otworzy ***Jadwiga,*** królowa Polski i Litwy, młodziutkie dziewczę, zaręczone Wilhelmowi austryackiemu, potem żona Władysława Jagiełły. — Wszyscy znamy jej historyę, jak to zrazu siostra Jadwigi, Marya, królową Polską być miała; jak nie życzono sobie w Polsce jej męża, Luxemburczyka; jak wreszcie przybywa Jadwiga, jak każą się jej wyrzec ukochanego narzeczonego a poślubić dzikiego Władysława. Zwykle tę historyę kończymy zdaniem, że »Jadwiga poświęciła swoje szczęście dla wiary i ofiarą swą, dla nawrócenia Litwy koronę niebieską wyprosiła sobie«. Zapominamy tylko zwykle, jak cierpieć musiało to młodziutkie serce! boć wszystko zmienia się na świecie, ale serca i cierpienia zostają te same!

Jako żona Jagiełły zawsze jest uległą, cichą, ale myliłby się ktoby sądził, że wpływu niema na męża: ona zażegnywa burzę z Krzyżakami, ona godzi męża z bratem Witołdem, ona nagradza krzywdy, wyrządzone poddanym przez wojny. — Szczęście niosąc drugim, niewiele zaznała go sama; oczerniono ją przed mężem iż schadzki miewa z Wilhelmem, upragnione dziecię śmierć jej wydziera, aż wreszcie sama odchodzi do lepszej krainy (13 lipca 1399 r.).

Może doczekamy chwili, w której cały świat katolicki odda hołd należny cnotom Jadwigi i uzna ją świętą, tak jak świętą jest dla polskiego narodu.

Barbara Radziwiłłówna była żoną Zygmunta Augusta, króla pol., ostatniego z rodziny Jagiellonów. Panowała krótko, działać nie mogła wcale, a zatem cóż uczyniła dobrego? Cierpiała bardzo, bo panowie polscy nie chcieli jej uznać królową, jako że nie z królewskiego pochodziła rodu. Sprzeciwiała się też związkowi temu i matka Zygmunta, królowa Bona, a gdy Zygmunt mimo wszystko sakramentu małżeńskiego naruszyć nie pozwolił i Barbarę koronował, Bona, jak mówią stare kroniki, otruć kazała synową. Czy to prawda, nie wiadomo, ale to pewna, że biedna Barbara umiera młodziutką, na samym początku swego szczęścia 3 maja 1551 r. Ostatnie jej słowa, to: »Dobranoc, królu Auguście« i »módlcie się, królu Auguście«, Dobranoc — więc rozstanie nie jest wieczne, ale na połączenie się w niebie, trzeba zapracować. I modlić się trzeba, a król modlić się powinien nietylko słowami pacierza, ale dobremi czynami około chwały swego narodu. Zrozumiał Zygmunt August ostatnie słowa Barbary i stał się królem wielkim i bohaterskim. Takim uczyniła go żona.

Ostatnią Jagiellonką była Anna, w późnym już wieku zaślubiona królowi polskiemu Stefanowi Batoremu. Kobieta to była mądra, głęboko religijna, prosta a czynna. Zajmowała się troskliwie losem klasztorów i kościołów; w własnym domu w Warszawie, miała szkołę dla młodych dziewcząt, by je wychować na dzielne niewiasty; wspierała Akademię krak.; dbała o podnoszenie handlu w miastach np. most na Wiśle w Warszawie jej staraniem ukończony został. Zajęta więcej myślą o śmierci niż o długiem życiu, mówiła często: »Nie boję się śmierci, ale boję się sądu Bożego«. Na pogrzebie jej przemawiał sławny ks. Piotr Skarga, a kazanie zaczął od słów: »Próżną jest piękność; niewiasta bojąca się Boga, ta wychwalaną będzie« (9 września 1596).

Królową nie polską, ale córą ziemi polskiej, była ***Marya Leszczyńska***, córka krótko panującego w Polsce króla Stanisława, a żoną Ludwika XV, króla francuskiego. Wszystko, co Polska kiedykolwiek dała Francyi, było zawsze jej szczęściem: w czasach zepsucia i niemoralności dała dała dworowi francuskiemu księżniczkę rzadkiej cnoty i prawdziwej bogobojności chrześciańskiej. Sześć lat miała dzieweczka, gdy Polskę na zawsze opuścić jej przyszło wśród wojennych zamieszek; rodzice mieszkali kolejno w Bawaryi, w Szwecyi, wreszcie w Alzacyi. Tutaj młoda panna zasłynęła urodą i dobremi uczynkami, nie brakło też starających się o jej rękę. Serce jej wybrało pewnego młodego hrabiego, gdy król francuski Ludwik XV, zasłyszawszy o jej losie, charakterze, czynach, posłał na dwór króla Leszczyńskiego swego posła i oświadczył chęć poślubienia Maryi. Była ona wtedy o 7 lat starszą od swego oblubieńca, choć liczyła dopiero lat 22. Była uczona, posiadała wiele wiadomości, co wtedy było rzadkością. Ślub odbył się 15 sierpnia 1725 r. Naród francuski nigdy nie miał powodu żalić się na swą królową, bo była mu matką. »Wyposażała ubogie dziewczęta, wspierała rannych żołnierzy, każdy kaleka lub uczący się młodzieniec mogł liczyć na jej pomocną rękę. Zakładała domy dla sierót, przytułki dla bezdomnych, nie zbytkowała, nie stroiła się, uważając pieniądze za krwawą pracę ludu«. Tak pisze o niej historyk Francuz, a my dodajmy, że w innych czasach z pewnością Rzym ogłosiłby ją świętą. — Jedynak syn i 4 córki podobni byli do matki. 24 czerwca 1768 r. wielkie serce bić przestało. — Jest to jedna z najczystszych kobiet w historyi.

Wielkie cnotą Polki.

Anna Mazowiecka. Było to bardzo dawno. Mazowsze, t. j. ta część Polski gdzie leży Warszawa, miało osobnych swych książąt, a dopiero po ich wygaśnięciu bezpotomnem

przejść miało na własność polskiego króla. Stanisław i Janusz Mazowieccy byli dobrymi panami owej ziemi, lecz lekkomyślnemu i wesołemu oddawali się życiu. Na życie to patrzyła siostra, Anna, radzić pragnęła, lecz któżby słuchał rady kobiecej! Aż stało się, że jej brata przywieziono do domu nieżywego i dotąd nie wie nikt, jaką zginął śmiercią; wkrótce poszedł za nim i drugi Janusz — i Anna została księżną na Mazowszu.

Jak rządziła? niech na to pytanie odpowie następująca historya: Król Zygmunt Stary nie spodziewając się oporu ze strony kobiety, postanowił wcielić Mazowsze do Korony, a Annie odpowiedni wyznaczył posag. Posłowi królewskiemu odpowiedziała Anna:

— Tylko poddani moi władzę mi mogą odebrać, ich spytajcie.

Gdy Sobocki zgromadziwszy lud oznajmił mu, że odtąd panem ma króla polskiego, rozległy się płacze, aż jeden z kmieci schylił się do nóg posła:

— Proście króla, panie, aby nas woli księżnej nie odbierał: Matką nam jest, powiedział.

Mimo to Zygmunt postanowił zbrojnie zająć Mazowsze. Wtedy Anna podążyła do Warszawy i bramy miasta poleciła otorzyć hufcom polskim.

— Lękasz się walki, księżno? pytali dworzanie.

— Lękam się przelać krew bratnią, odrzekła i złożyła władzę.

Długo żyła jej pamięć na Mazowszu a choć łagodne były rządy Zygmuntowe, ona naprawdę pozostała władczynią Mazowsza. Bo władała sercami swych poddanych.

Regina Żółkiewska, młodziutka żona starego hetmana Stan. Żółkiewskiego, wzięła sobie za wzór życie królowej Jadwigi. Cicho, skromnie, spełniała trudne obowiązki, zastępuje męża wojownika w gospodarstwie, wychowując dzieci w miłości Boga i kraju, w czasach wojennych niosąc ratunek i pomoc krzywdzonym i osieroconym. Długi czas, mimo tej pracy nad siły — była szczęśliwą. Aż nadszedł rok 1620. Turcy napadli kraj. Poszedł hetman sędziwy, poszedł syn, ledwo dorosły. Sciskało się serce matki, ale wiedziała, że dać go musi i powinna. — Nie wrócił żaden.

Była to zima. Drogą do dworu w Żółkwi ciągnął orszak długi. Regina Żółkiewska córki przywołała i wraz z niemi stanęła przed dworem. Prędko dojrzała wóz całunem okryty i rycerzami otoczony. Aż zbliżył się jeden z nich i list oddał z królewską pieczęcią żałobną. Zbladła, lecz mocnym głosem do córek odezwała się zaraz:

— Ojciec wasz zginął chlubną śmiercią na polu bitwy?

Gdy one płakały, zwróciła się do rycerza:

— Gdzie syn mój? czemu nie odwiózł mi ojca?

— Syn twój, pani, w niewoli — odrzekł poseł.

Zachwiała się matka, zbliżyła do zwłok męża i uchyliła całunu, by jemu się poskarżyć — gdy nagle padła na ziemię z przerażenia i bólu. Głowa hetmana odciętą była i zabrali ją z sobą zwycięzcy!

Dźwignęła się nierychło, lecz zapanowawszy nad bólem, zwróciła się do córek:

— Nie łzami, lecz czynem dowiedziemy ojcu, jakeśmy go kochały.

I czyniła, ciągle, nieprzerwanie, z modlitwą na ustach, z myślą o mężu w sercu i cnotami słynie aż po dziś dzień.

Gorące wspomnienie należy się od nas dwom Polkom czasów niezbyt odległych, ***Klaudyna Potocka*** i ***Emilia Szczaniecka*** mogą być przykładem, jak żyć należy, jak w każdej potrzebie czynić i pracować. Młode obiedwie, w chwili wybuchu polskiego powstania w r. 1830 spieszą do Warszawy, tam przez Siostry miłosierdzia zostają przyjęte i wysłane na plac boju, by opatrywały rany, koiły cierpienia śmierci, pocieszały lub ostatnie słowa ojców, mężów, braci, odnosiły

rodzinie. Zdarzyło się raz że konający żołnierz, w braku księdza przed p. Emilią Szczaniecką głośne wyznanie grzechów uczynił — a gdy ona chciała ową spowiedź przed kapłanem powtórzyć, ten odrzekł:

— Wiara jego uczyniła cię zastępcą Chrystusa, nie masz prawa jej nie przyjąć.

Po skończeniu się powstania, p. Klaudyna Potocka wyjechała z konieczności za granicę, a p. Szczaniecka wróciła do rodzinnego Pakosławia pod Poznaniem i tam żywota dokonała »dobrze czyniąc«. Cześć ich pamięci.

Polskie zasłużone pisarki.

Klementyna Tańska rosła w ciężkich materyalnych warunkach. Ojciec umarł wcześnie, zostawiając 4 córki i matka zmuszoną była przyjąć pomoc ks. Czartoryskiej z Puław, co jednak nie mogło być przyjemnem. Wykształcenie córek zrazu pćowadzone było w języku francuskim, to też, gdy rozeszła się wiadomość że 15 letnia Klemunia pisze swój dziennik (t. zn. spisuje przeżyte zdarzenia) i skoro ten dziennik został pokazany poecie Brodzińskiemu, ten orzekł, że dziewczyna przedewszystkiem po polsku nauczyć się musi.

I nauczyła się! Jej śliczna książka p. t. »Pamiątka po dobrej matce«, zjednała jej odrazu sławę i szacunek; późniejsze »Wiązanie Helenki« dla małych dzieci jest dotąd najlepszą książeczką dziecinną, choć już tyle innych osób odtąd pisało, »Święte Niewiasty«, »Jan Kochanowski«, »Karolina«, »Krystyna«, to są książki, na których można się nauczyć żyć dobrze. W r. 1829 wyszła za mąż za Karola Hoffmana, z nim przeniosła się do Francyi i umarła w Paryżu w r. 1845.

Narcyza Żmichowska która umarła w r. 1876 w wieku podeszłym, była nauczycielką i poetką; umiała uczyć i pisać, uczennice uwielbiały ją, bo niejednej drogę wskazała, niejednej ziarno dobre posiała w duszę. Kochała bardzo młodzież, młode dziewczęta i pragnęła dać im to wszystko, co Bóg jej dał: wiarę i miłość, ukochanie piękna i mądrość, dobrą wolę i siłę woli. Pisała wierszem i prozą pod nazwą »Gabryeli«, a dziś niestety za mało jest czytana przez nasze dziewczęta.

Pamiętacie wszystkie rok 1910. Otóż rok ten zabrał nam wielką pisarkę polską ***Elizę Orzeszkową.*** Żyła nie tutaj, wśród nas, lecz na Litwie, w ojczyźnie Adama Mickiewicza, w mieście Grodnie. Życie miała w młodości trudne i burzliwe: trudne, bo rozstać się musiała z mężem; burzliwe, bo pamiętała czasy powstania, rok 1863. Ale równocześnie życie miała czynne, oddane w całości pracy.

Obdarzona wielkim pisarskim talentem sprawiła, że dziś polskie kobiety uczą się porządnie, pracują umiejętnie, że każdy dom, matka, starają się przygotować je do życia tak, aby zawsze umiały sobie dać radę.

Orzeszkowa pokazała w swej powieści »Marta« do czego prowadzi złe wychowanie. Orzeszkowa swą inną powieścią »Nad Niemnem« nauczyła szanować dolę i pracę wieśniaka; Orzeszkowa w swćj powieści »Australczyk«, albo »Bracia« albo »Dwa bieguny« dowiodła, jak można obcym się stać, zcudzoziemczeć, jeżeli myśli się tylko o używaniu a zapomina o ziemi rodzinnej. Orzeszkowa całe legiony ludzi nauczyła kraj kochać i jak go kochać trzeba. Służbą ojczyźnie była każda jej książka i całe jej życie.

W tym samym roku co Orzeszkową, śmierć zabrała nam także ***Maryę Konopnicką.***

Ta pisała wierszem, miłowała naturę polską, a w kraju polskim przedewszystkiem kochała lud. I dla niego i o nim śpiewała swe piosenki, które brzmią, jakbyś na fujarce grał wierzbowej prosto a rzewnie:

A kto ciebie ty wierzbino wychował
A kto twoje fujareczki czarował?

Wychował ci mnie mój rodzic ciemny las
Kędy stoję w chłodnej rosie aż po pas.
Płakiwała za mną brzoza sąsiadka,
Wykarmiła mnie ta ziemia, jak matka.
Czarna rola podawała chleb i sól,
Wykołysał wiatr szumiący z łąk i pól.

Albo ten inny, taki tęskniący do swej ziemi, gdy poetka daleko przebywać musi:

O poranku szumią drzewa
Gdzie jest twoja wioska, gdzie?
Jaki ptak tam teraz śpiewa
Jaki kwiat swe wonie tchnie?
Jaka bieda w oczy kole —
Jaką troskę przyniósł czas —
Czy już koszą nasze pole
Czy po drzewo jadą w las?

— Jak się dymy z chaty wiją
Jak w ognisku trzeszczą skry,
Jak tam ludzie czują, żyją
Czy już oschły rosy — łzy?

Prawda, że to bardzo proste i bardzo piękne i pragniemy zostawić nasze czytelniczki pod tem wrażeniem.

I tak oto zapoznałyśmy się kolejno z szeregiem postaci kobiet polskich pięknych, rozumnych, nieszczęśliwych, dobrych. Nadewszystko dobrych. Bo tamte inne przymioty posiąść nie zawsze leży w naszej mocy, ale dobrą być każda z nas może i powinna. I to jest najwyższym rozumem, najpewniejszem bogactwem, najtrwalszą pięknością.

Rady dla gospodyń.

O zadaniu matki i gospodyni.

Być matką i gospodynią, to wielkie i ważne zadanie. Wielkie ona spełnia obowiązki i wielkie owoce zebrać może i powinna. Tylko trzeba pojąć dobrze ogrom swych obowiązków, ich się nie lękać, lecz starać się ze wszystkich sił, by im zadosyć uczynić.

Matka i gospodyni starać się więc przedewszystkiem powinna o utrzymanie całej rodziny przy rodzinnem ognisku. To znaczy: aby mąż, dzieci, słudzy nawet gromadzili się chętnie w domu, dom ten musi być porządny, przyjemny, spokojny i zajmujący; niech nic nie odstręcza odeń, a wszystko przyciąga. — Wiele gospodyń potrafi tego dokonać. Wtedy ani mąż, ani dzieci nic po za domem nie stracą, w karczmach wysiadywać nie będą, ani po jarmarkach się włóczyć, ani z przyjaciółmi hulać, lecz z kościoła, z miasta, z zabawy, do domu pospieszą, bo tam najbezpieczniej, najciszej. Dla nich prawdą będzie przysłowie: »Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej«.

Mąż i gospodarz ma całe gospodarstwo do obrobienia, interesów wiele, czasem i polityką się zajmie: musi więc mieć kąt jakiś cichy, gdzieby sił mógł nabrać, odpocząć, zastanowić się.

Tem musi mu być dom, a w domu tym przecież żona i gospodyni jest panią. Do niej też należy staranie o wszystko, czego mąż w domu szukać ma prawo i co znaleźć powinien: spokój i przyjemność.

A co się na to składa?

Przedewszystkiem czystość. Ściany nie osnute pajęczyną, podłoga wyszorowana, ławki i stoły z kurzu otarte, obrazy niepopstrzone, blacha kuchenna błyszcząca, łóżka zawsze pościelone i okryte, oto co zaraz na pierwszy rzut oka świadczy o porządku gospodyni.

A dalej mieszkańcy: gospodyni powinna dbać i uważać, aby mąż,

dzieci, sługa, mieli bieliznę i odzienie naprawione i czyste, aby czesali się często i dokładnie, myli mydłem i nie żałowali wody. Dzieci umorusane i brudno ubrane, sługa rozczochrana lub obdarta żona często męża i gospodarza z domu pędzi — do karczmy.

Nie jest też wszystko jedno, o której godzinie domownicy jeść dostaną. Gdy wracają z roboty, powinni zastać pożywienie gotowe, bo na głodno i pracować trudno — i głód humor psuje. A jeszcze gdy gospodyni z gotowaniem spieszyć się musi, bo czekają, gdy jej z rąk wtedy wszystko wypada, nieporządek powstaje wkoło, kartofle się przypaliły, mleko wykipiało, kasza dla prędkości bez omasty, to już koniec świata i za tydzień lub dwa ona czekać będzie męża napróżno.

To są warunki konieczne, aby dom był spokojny. Czegóż potrzeba, aby był przyjemny?

Nie zrzędzić, nie dokuczać dzień cały, choćby i nie powodziło się, gryzła choroba, były kłopoty i braki. Zrzędzenie nie pomoże a obrzydnie wszystkim.

Starać się zawsze o jakieś pożyteczne zajęcie dla wszystkich na wolne godziny: niech drą pierze, groch łuskają, przędą. Pozwolić się młodym pośmiać i pobawić, nie bronić godziwej rozrywki, tańca, muzyki, bo tego potrzebuje każda młoda dusza. Zachęcić do czytania, opowiedzieć coś wszystkim, zaśpiewać chórem, bo to myśl odrywa od trosk codziennych, uczy, rozszerza nasze myśli.

Matki i gospodynie, które tak zadanie swoje pojmują i wypełniają, mogą być pewne że ich dom jest domem rodzinnym naprawdę i że zasługują się rodzinie i społeczenstwu.

O oszczędności.

Wiemy wszystkie, jak z latami rosną potrzeby, wymagania, jaka we wszystkiem drożyzna.

I wiemy także, że tylko niewiele z pośród nas może bez kłopotu wszystkim potrzebom nastarczyć. Większość musi dobrze nałamać sobie głowy, aby koniec z końcem związać, biedą ludziom w oczy nie świecić, przed długami się ustrzedz.

Otóż środkiem jedynym może tu być oszczędność. To znaczy umiejętność obrachowania się, obliczenia w czasach dostatku, aby czarna godzina nie zastała nas nieprzygotowanemi. Jak często zdarza się, że póki zapasy są, kartofli w kopcu kopami, kaszy narobionej świeżo cały wór, mąki przywiózł mąż z młyna na całą zimę, to warzy się bez upamiętania, jadło zostaje całemi miskami, trzoda lub kury rozdeptują kartofle czy ziarno, bo je dojeść nie mogą, dzieci co chwila pojadają kromki chleba większe od nich samych. To samo z pieniądzmi: niechno sprzedać się uda to i owo, dalejże okazuje się zaraz potrzeba a to kaftana nowego, a to fartucha, a spódnicy. Ta miała ostatniej niedzieli piękniejszą niż moja, a tamta więcej wstążek, a owa korale.

Niech jeszcze żyd na »borg« dać zechce gospodyni, niech jeden lub drugi jarmark się w okolicy nadarzy, a tu już dno widać w sakiewce i później, wśród zimy, lekarstwa kupić dziecku niema za co, albo i sprawić zeszytu, czy butów.

Otóż zaraz z jesieni obliczyć trzeba, ile się zebrało korcy kartofli i wyrachować ile sprzedać można a ile spotrzebować na dom.

Jeżeli ktoś zmiarkuje, że mu na przednówek nie starczy, niech nie sprzedaje, albo gotowego grosza oszczędza na chrzcinach, weselach, czy jarmarkach. Oszędność w przyodziewie — to nie ilość wielka spódnic, czy fartuszków, a choćby i bielizny: ale to utrzymanie tego, co się ma w należytym porządku. Wyprać, zcerować, zeszyć, guziki podobierać, załatać — a zaraz znać będzie dbałość i staranność. A oszczędzać się przytem i grosz duży i czasu najwięcej.

Oj! ten czas! niektóra gosposia to ma go tyle, że aż innym sprze-

daje — w plotkach i gadaniu po próżnicy? Jeszcze od śniadania nie zmyła, a już o obiedzie myśleć pora! i tak ciągle — do wieczora.

Tylko — że czasu dogonić nie sposób. Więc oszczędność i w tem potrzebna, a może w tem właśnie najważniejsza.

Poprawa w gotowaniu.

Przy ciężkiej pracy marny, źle przyrządzony posiłek, słusznie gniewa męża-gospodarza. Niejeden to i garnek rozbije, zwymyśla i naklnie, potem do karczmy pociągnie raz, drugi, aż wreszcie ani go ujrzysz w domu.

Mówicie, gosposiu, że grymasy? że każdy jeść ma, co Bóg dał?

Zapewne. Dawniej ludzie nie znali kawy, ani cukru — a też jakoś żyli. Ale czas idzie; a z czasem uczą się ludzie coraz nowych rzeczy i pragną je dla swego pożytku wyzyskać. Razem z tem odmienia się też i kształci smak ludzki i trzeba się z tem liczyć.

Nie trzeba zresztą żadnych wymyślnych potraw ani przypraw, tylko proste, codzienne pożywienie należy umieć tak przygotować, aby smakowały. Toż i sama okrasa lub pierogi codzień dawane sprzykrzą się człowiekowi, jak ta sama pasza przykrzy się zwierzęciu. Przypalone mleko, stęchła kasza, nieświeże mięso obrzydną raz na zawsze, a ile to sporów i kłótni poczyna się nad złem, zmarnowanem pożywieniem! Ach gdyby kobiety nasze chciały, mogłyby nauczyć się, jak gotować należy! można się poradzić sąsiadki, można do książki zajrzeć, a jest ich tyle i takich, które właśnie zastosowane są do potrzeb swoich i waszych, gosposiu.

Gotowanie.

»Jemy, ażeby żyć, ale nie żyjemy, aby jeść«. To też chociaż nie należy grymasić ani przebierać, to jednak ważną jest rzeczą co jeść i jak to zrobionem być powinno, abyśmy byli zdrowi i mieli potrzebne do pracy siły.

Do odżywienia naszego ciała potrzebne są różne materyały: woda, sól, białko, tłuszcze, żelazo, fosfor, cukier. Tego wszystkiego dostarcza mu pożywienie, które znów zastępuje nowemi cząstkami to co zużyte przez pracę, chodzenie itd.

Do gospodyni należy wiedzieć, które z tych materyi i w jakiej ilości znajdują się w różnych pokarmach, aby wszystkich potrzebnych składników naszym kościom, tkankom mięsnym, czy nerwom dostarczyć.

1) Mięso odżywia krew i daje siłę muskułom.

2) Chleb, mączne potrawy i cukier wytwarzają w ciele ciepło.

3) Jarzyny służą do trawienia.

Koniecznem też jest wiedzieć, jak pożywienie przyrządzać, aby było strawne i pożyteczne.

Najpierw więc: jak jeść należy? Jeść wolno, pokarmy żuć dobrze, bo inaczej zużywa się dużo siły żołądka na ich przerobienie, lub też kawałków dużych lub twardych żołądek wcale nie przyjmie. Im jaki pokarm jest płynniejszy, tem do strawienia łatwiejszy i tem więcej cząstek wejdzie do naszego organizmu. Natomiast każde pożywienie łykane prędko nie idzie nam na pożytek, a np. takie najzdrowsze nawet, jak mleko, pite naraz w dużej ilości, zamienia się w żołądku na twaróg, bardzo do strawienia trudny.

Same jarzyny nie mogą nas odżywić, zwłaszcza przy ciężkiej pracy, bo nie zawierają białka ni tłuszczu, a gdybyśmy znów samym chlebem chcieli zastąpić wszystkie inne potrawy, musielibyśmy mieć przewód pokarmowy 36 razy dłuższy niż go mamy obecnie, to znaczy musielibyśmy zjeść dziennie tyle chleba, ileby się w 36 razy dłuższe kiszki zmieściło! Wszelkie łupiny, skorki, tłuszcze płynne są bardzo niestrawne.

Jeszcze parę słów o naczyniach, używanych do gotowania:

1) Koniecznie muszą być czyste, t. j. codzień wymyte, czy wyparowane lub wyszorowane.

2) Dalej: powinny w czasie gotowania być pod ręką, aby gospodyni na odbieganie nie traciła czasu.

3) Najlepiej gotuje się w garnkach o szerokich dnach, żeby jak największa ilość jadła grzała się odrazu.

4) Nie należy wpuszczać garnków głęboko na ogień, bo niszczą się i obtłukują.

5) Należy garnki z gotującą się strawą nakrywać, bo w ten sposób oszczędza się paliwa, nie naraża się na gotowanie potrawy z muchami, para nie napełnia izby.

6) Zaraz po zjedzeniu garnki umyć i na swojem miejscu ustawić a uniknie się nieporządku i straty czasu wtedy, gdy go jest najmniej.

Pranie.

Powiedział jeden uczony Niemiec, że o tem jaki jest naród, świadczy ilość mydła, przez ten naród rocznie spotrzebowywana. I miał racyę. Czystość — to dowód rozwoju tak u każdego człowieka jak i u całego narodu. Brud i nieporządek to zbliżenie człowieka do bydlęcia; gdzie czystość — tam i zdrowie, gdzie zdrowie — tam i piękność.

A skąd brud się bierze? Najpierw ciało nasze wydziela tłuszcz; kurz przylega nam do rąk i twarzy; noszone suknie zostawiają coś z zabranych cząstek na naszej skórze, przedmioty, których się dotykamy — brudzą, dość, że myć trzeba się jak najczęściej, odzienie czyścić starannie, a bieliznę, dotykającą naszego ciała, prać.

Im prędzej bielizna po zbrudzeniu do prania jest daną, tem lepiej; gdy brud długo na niej leży, wgryza się i doprać trudno. A potem także gwałtowne tarcie niszczy bieliznę, przedziera włókna, albo co gorsza zmusza do użycia środków z apteki, które poprostu wypalą całą dziurę.

Za granicą wszędzie prawie używane są maszyny do prania i wyżymania; nie każdego u nas jednak stać na nie — i dlatego powiemy tutaj, jak prać starym sposobem: oto trzeć bieliznę w obu rękąch, ale nigdy o balię jedną, przytrzymując drugą; potem wygotować, bo to przywraca bieliźnie pierwotną białość; wreszcie spłukać choćby i w zimnej wodzie. (Farbkowanie zależy od gustu gospodyni).

Ale prócz tego, jak prać należy, wiele gospodyń wiedzieć pragnie, jak prać oszczędnie: otóż tutaj ważną rzeczą jest miękkość wody, bo przy twardej dużo bardzo mydła wychodzi, gdy i brud rozpuszcza się trudno. A wodę zmiękczyć można przez dodanie sody lub ługu, otrzymanego z drzewnego popiołu. Tego ostatniego używać jednak radzimy tylko przy praniu bielizny grubej, gdyż dla cienkiej mógłby być szkodliwy.

Bieliznę wyreperować należy przed praniem, bo dziury małe przez tarcie powiększą się trzy razy.

Wodę podczas prania należy odmieniać, gdy tylko robi się brudna: pranie ciągle w tej samej wodzie do żadnego celu nie prowadzi, bo brud tylko z jednej sztuki na drugą przechodzi, ale nie spływa.

Do bielizny gotowanej w kotle nieustannie zaglądać trzeba i kopystką mieszać, bo inaczej może się przypalić. Rozumie się, że wody z mydłem rozpuszczonem powinno w nim być do pełna.

Wygotowana i spłukana bielizna może jak najdłużej leżeć w wodzie czystej choćby całą noc, będzie tem bielsza. Kto chce mieć bieliznę szeleszczącą, niech rano jeszcze raz spłucze u studni lub w rzece. Dopiero po tem ostatecznem płukaniu bielizna się farbkuje. Farbki potrzeba używać mało dla sztuk bardzo białych, więcej dla bielizny starszej lub zżółkłej.

Wreszcie niektóre sztuki krochmalimy, np. krysy, spódnice, czepeczki. Krochmal robi się z pszenicy, z ziem-

niaków, lub ryżu. Najlepszy jest pszenny. Garniec wody na funt krochmalu i $1/4$ funta boraksu, to zwykła miara. Nakrochmaloną bieliznę należy układać równo, aby się nie gniotła, wieszać starannie i składać, jakby już była prasowaną.

Trzeba jeszcze dodać, że bielenie bielizny na trawie, na słońcu i suszenie na wolnem powietrzu, jest wielką wygodą dla gospodyni a dla bielizny prawdziwem zdrowiem. Powietrze i słońce, to najlepsze środki naturalne i nic ich nie zastąpi.

Prasować nie zagorącem żelazem, bo się przypali i krochmal będzie przylegał. Za mocno nie przyciskać, gdyż to nic nie pomoże, jeżeli bielizna źle była złożona i zmaglowana.

Praktyczne Niemki mówią: »dobrze powieszona — w połowie złożona; dobrze złożona — w połowie zmaglowana; dobrze zmaglowana — w połowie wyprasowana«.

O szkołach gospodarstwa.

Coraz to więcej wiedzieć potrzeba każdemu; coraz to mnożą się obowiązki; coraz inne są środki i sposoby pracy. W każdym zawodzie dzisiaj nauka i postęp są konieczne, a tylko gospodarstwo domowe miałoby obywać się bez nich?

Są szkoły krawieckie, handlowe, rolnicze; a gdzież przyszła gospodyni nauczy się wszystkiego, co potrzebnem jej będzie?

Odpowiemy pytaniem: a gdzie uczyła się dawniej? Ot — nigdzie, gdzieś, przypadkiem, od babki, matki, sąsiadki — i tak jakoś szło.

Tak, ale dziś to nie wystarcza. Bo zobaczmy tylko, co to ona wszystko umieć powinna:

1) Zasady wiary św., aby dzieci w niej wychować.

2) Pielęgnowanie zdrowia dzieci, odżywianie, doglądanie w chorobie.

3) Zasady wychowania, by wady dziecinne poprawić, czynami jego kierować.

4) Czytać i pisać, by dziecko do niej o pomoc pierwszą zwrócić się mogło.

5) Gotować.

6) Utrzymywać porządek.

7) Szyć.

8) Zarządzić, albo i spełnić samej gospodarskie około domu roboty.

9) Znać się na nabiale i ogrodzie.

10) Umieć dobrze rachować, żeby rozchodami mądrze rozporządzić.

Otóż tego wszystkiego nikt się przypadkiem nie nauczy. Powinniśmy więc dążyć do tego, aby każda okolica, choćby każdy powiat, miał szkołę dla dziewcząt, gdzieby nauczyć się mogły w niedługim czasie (np. 1 roku) praktycznie, zdrowo, myśląco żyć i pracować w przyszłości dla pomnożenia dobra w rodzinie i w kraju.

Praca dzielnej kobiety.

Oprócz tego, że każdy dom dostarcza matce i gospodyni dosyć trudu i zachodu, potrafi ona jeszcze pomagać mężowi. Jakże często pracuje z nim razem przy sadzeniu kartofli, sianożęciu czy zwózce. A gdy on w południe spoczywa, to ona krząta się koło obiadu. A gdy on wieczorem przed domem siedzi, to ona mu bieliznę naprawia. A gdy on w nocy śpi spokojnie, ona dziesięć razy do dzieci wstać musi.

To też można powiedzieć, że gospodyni - włościanka jest pracowitsza i zręczniejsza od mężczyzny. Pracowitsza, bo robi bez wytchnienia; zręczniejsza — bo i w robocie męskiej radę sobie dać potrafi.

Nieraz sama zorze, zasieje, zwiezie, do miasta pojedzie, podczas gdyś chyba nigdy nie widział chłopa, coby domownikom ugotował, dzieci obszył, albo cierpliwie chore pielęgnował.

Praca kobieca to niezastąpiona w gospodarstwie pomoc i zupełnie pewny dochód:

Gdy żona umie zużytkować wszystko, co daje gospodarstwo, aby się nic nie zmarnowało — zmniejsza wydatki.

Gdy starannie reperuje odzież i bieliznę — zapobiega szybkiemu zniszczeniu i kupowaniu nowej.

Gdy umiejętnie uprawia ogród, hoduje trzodę, ma zapewniony grosz na konieczne wydatki.

Gdy dobrze zużywa swój czas, a umie rozporządzić czasem domowników, potrafi go znaleźć na zbieranie jagód, grzybów, jarzębiny, rumianku a to jej niezły dochód przyniesie.

»Niech każdy zamiecie koło własnego komina, a w kraju będzie porządek«. Niech każdy spełni swoje obowiązki, jak najsumienniej, niech je pojmuje jak najpoważniej i najszerzej a będzie dobrze i w rodzinie i w społeczeństwie. Nie lekceważmy pracy naszej, my kobiety; przeciwnie, pamiętajmy ciągle, że dużo dobra teraz i w przyszłości od nas właśnie zależy.

Jak dbać o zdrowie?

O zdrowiu wogóle.

Niepotrzebnem byłoby chyba powtarzanie tego, co wiemy wszyscy, t. j. jak cenić należy zdrowie.

Każdy z nas chorował choć raz w życiu i pamięta, jak to przykro cierpieć fizycznie, jak wtedy świat brzydnie, jak życie staje się ciężkiem, jak smutno nie módz spełnić swoich obowiązków, jak niszczeje majątek, jak wszystko wydaje się smutnem i niemiłem.

Naodwrót doświadczył z nas każdy z pewnością co to za dobrodziejstwo zdrowie: zdrowemu nic trudnego, zdrowemu ani praca ciężką, ani droga uciążliwą; zdrowy do uciechy sposobniejszy, to tańca i śpiewki, słonko mu jaśniej świeci a zima nie nudną się wydaje i biedę każdą znieść potrafi i zaradzić jej podoła.

Mężczyzna, kobieta, młody czy dziecko zarówno znają utrapienie choroby a szczęście zdrowia. Ale jeżeli jedno i drugie wszystkim równo służy i dokucza, jeżeli wszyscy obowiązani są czuwać nad zdrowiem, nie narażać go lekkomyślnie i kiedy trzeba rozumnie się leczyć, to któż więcej pod tym względem zrobić może i powinien jak kobieta-żona, kobieta-matka, kobieta-gospodyni domu?

Zastanówmy się tylko nad jej obowiązkami i życiem. Przeznaczona na to, aby była towarzyszką mężczyzny, dzieliła z nim trudy i prace, może nie wnieść mu posagu innego, ale wnieść musi zdrowie i siłę. Cóż z żony, która ciągle narzeka, słabuje, niczego imać się nie może, nic przyrobić nie jest w możności? Ani obowiązków swych względem męża spełnić, ani około domu należnych starań przedsięwziąć nie może i tak powoli rozprzęga się wszystko: mąż szuka wytchnienia od skarg i nieładu domowego w karczmie albo w miasteczku; brak dozoru, konieczne koszta na doktora i aptekę niszczą dobytek i wiodą za sobą powolny upadek gospodarstwa.

Idźmy dalej: kobieta, stworzona i przeznaczona na matkę, jakież zdrowie da swym dzieciom, jeżeli sama chorować będzie bezustannie, albo o pomnożenie sił swych się nie starać? naturalnie, że trudno ustrzedz się przed tyfusem, rakiem albo suchotami — ale też nie o tem mówimy. Zależy nam na obudzeniu w kobiecie tego poczucia, że winna jest swemu dziecku dać to wszystko, co mu kiedyś w życiu walkę z losem ułatwić może. Nie zawsze w jej mocy jest dać mu majątek: ale w mocy jej leży dbać i starać się o zdrowie swoje, tem samem

o zdrowie noworodka a potem o zachowanie w zdrowiu dziecka.

Wreszcie: Kto ma serce wrażliwsze? Kto rękę lżejszą? Kto delikatniejsze obejście? mężczyzna czy kobieta?

Wszakże tego żądamy przedewszystkiem od kobiety! Ona też zajmuje się dziećmi, gdy małe, ona pielęgnuje chorych, ona czuwa nad staruszkami.

Więc ona musi znać warunki utrzymywania zdrowia ciała; ona powinna wiedzieć, jak radzić w nagłych wypadkach, jak pielęgnować dzieci i chorych.

Wskazówki, które podajemy poniżej, czerpiemy z porad lekarza i zapewniamy nasze czytelniczki, że najsumienniej im radzimy, opierając się na nauce i doświadczeniu.

Konieczne warunki zdrowia.

Koniecznie do życia potrzebne są: powietrze, woda, pożywienie, odzież, mieszkanie, światło i ciepło. Wpływ na życie i zdrowie mają nadto: praca i odpoczynek, wychowanie i klimat. Od przestrzegania należytego różnych wskazówek zależy zdrowie i długość życia człowieka.

Powietrze otacza całą ziemię na 10 mil grubą warstwą. Oddychają niem ludzie, zwierzęta, rośliny. Składa się z 4 pierwiastków, czyli rodzajów materyi, potrzebnych organizmom ludzkim, lub roślinnym. Prócz nich są jeszcze w powietrzu para wodna i pył. Im powietrze jest cieplejszem tem jest rzadszem i lżejszem, ponieważ na kuli ziemskiej nie wszędzie ciepłota jest równa, więc ciągle powietrze jest w ruchu, który nazywamy ***wiatrem***. Wiatr ma bardzo dobry wpływ na nasze ciało: ułatwia parowanie potu, który ciało nasze wydziela, sprowadza łagodną ciepłotę i świeże warstwy powietrza. Zimne wiatry jednak odbierają za prędko ciału naszemu ciepło — i są często powodem ***przeziębienia***.

Oprócz gazów, wody i pyłu są jeszcze w powietrzu drobniutkie żyjątka, zwane bakteryami. Te bakterye często sprowadzają choroby różne i noszą nazwy od tych właśnie chorób: mamy bakterye tyfusowe, suchotnicze i inne. Gołem okiem widzieć ich niepodobna.

Najczystszem jest powietrze w lasach i nad brzegami mórz; dlatego to często lekarze tam chorych wysyłają. Ponieważ powietrze tam, gdzie dużo osób przebywa, wskutek wyziewów płuc i skóry staje się zepsutem i zdrowiu ***szkodzi***, przeto należy je wydalić i zastąpić świeżem, czyli jak mówimy pospolicie, trzeba izbę czysto przewietrzać, zwłaszcza przed udaniem się na spoczynek, bo w tem samem powietrzu mamy już noc całą pozostać.

Woda. Im głębiej leży źródło, im głębszą jest studnia, tem lepiej. Woda z płytkich studzien jest nieczystą, bo zawiera różne cząstki gnilne i bakterye chorobowe, które się do niej łatwo z powierzchni ziemi dostają. Zwłaszcza jeżeli cembrowina nie bywa przykrytą a koło studni odbywa się pranie, pojenie zwierząt, albo blisko znajduje się gnojówka. Także nigdy nie należy czerpać wody ze studni różnemi przyniesionemi naczyniami, bo się ją zanieczyszcza.

Ważnym czynnikiem jest woda jako środek oczyszczania ciała z brudu. Kąpieli nigdy dosyć i nigdy dosyć mycia! Krótkie kąpiele letnie są lepsze od wszelkich innych środków wzmacniających, a małe dzieci (1—4 lat) kąpane codzień rosną i rozwijają się w oczach. Dobrem jest moczenie nóg krótką chwilę w zimnej wodzie.

Pożywienie. Ilość pożywienia zależy od zdrowia, żołądka, pracy, wieku i pory roku. Ludzie ciężko pracujący a zdrowi potrzebują jeść więcej, niż słabowici i próżnujący. Dopóki człowiek rośnie, albo gdy po ciężkiej chorobie do siebie przychodzi, musi otrzymywać większą ilość pokarmu, niż starzec. Przedewszystkiem nie należy przeładowywać żołądka z rana i wie-

czorem: rano żołądek bowiem jest czczy; wieczorem, po całodziennej pracy niema siły trawić. Wogóle należy jeść w pewnych oznaczonych porach, nigdy podczas pracy, a po jedzeniu południowem przynajmniej godzinę wypocząć. Pokarmy muszą być dobrze przeżute, jedzone wolno, bez pospiechu, nie za gorące, gdyż to psuje zęby.

Odzież. Znaczenie odzieży dla zdrowia polega na tem, że ona nas chroni przed zimnem a potem, iż wciąga w siebie pot, przez co osusza skórę. Naprzykład spocona koszula płócienna bardzo prędko wysycha, lecz razem zabiera naszemu ciału ciepło i dlatego czujemy nagłe zimno. Koszule perkalowe, szyrtyngowe, schną wolno i dlatego w nich chodząc nie przeziębiamy się tak łatwo. Dlatego robotnicy przy pracy ciężkiej, nie powinni nosić koszul płóciennych, lecz wełniane lub perkalowe.

Farby używane do barwienia odzieży, zawierają nieraz truciznę. Zwłaszcza koszule czerwone i brunatne i sztuczne liście zielone zawierają arszenik i wywołują objawy zatrucia. Trucizna bowiem dostaje się do organizmu porami.

Nie należy nigdy nosić odzieży po osobach chorych lub zmarłych na tyfus, dyfteryę, szkarlatynę, suchoty, świerzb, parchy, liszaje, dopóki nie zostały wygotowane we wrzącej wodzie. Nie należy nigdy owijać szyi grubemi chustkami, gdyż tym sposobem gardło najłatwiej zaziębić. Natomiast dbać o dobre okrycie głowy i nóg. Wogóle stary polski przepis mówi: szyję chłodno, tułów i nogi ciepło a będziesz zdrowy.

Mieszkanie, jest wtedy dobrem, gdy jest jasne, suche i ciepłe. Skoro wybierasz grunt na mieszkanie to szukaj piasczystego a wzniesionego, okna zwróć ku południowi lub wschodowi, zostaw wkoło jak najwięcej przestrzeni. Wilgoć jest bardzo szkodliwa, to też drzewo dobierane na budowę należycie suche być powinno. Jeżeli to tylko możliwe starać się należy dom tak urządzić, aby gdzieindziej odbywała się praca, gdzieindziej gotowanie i gdzieindziej spanie. A zawsze pamiętać o dokładnem przewietrzaniu: najlepiej otwierając drzwi i okna na przestrzał na 10 minut, przyczem w przeciągu pozostawać nie należy.

Praca. Jak długo może człowiek bez szkody dla zdrowia pracować, określić trudno. Jednak więcej niż 10—11 godz. dziennie niepodobna bez uszczerbku dla zdrowia: zresztą wtedy już i praca sama męczy i wykonywaną bywa gorzej.

Odpoczywać można rozmaicie. Jeżeli po długiem siedzeniu przy maszynie, przejdziemy się — będzie to odpoczynkiem tak samo, jak np. położenie się na chwilę po dalekiej drodze. Również ktoś pracujący dużo głową odpocznie przy robocie ręcznej, lub inny po całotygodniowej pracy na roli — przy książce lub gazecie.

Jak jest ważnem dla człowieka pożywienie w oznaczonej porze, tak samo ważnym jest sen. Najlepiej kłaść się około 9-tej wieczorem a wstawać około 5-tej rano. W godzinach porannych najżywiej człowiek myśli, czuje, pracuje i szkodzą zdrowiu ci, co z dnia robią noc, a z nocy dzień i dobrowolnie skracają sobie życie. Dzieci od 1—8 roku życia spać powinny 12 godzin na dobę; starsze, wogóle ludzie dorośli 7—8, starcy znowu więcej snu potrzebują.

Zdrowe wychowywanie dzieci.

Ogólnie wiadomem jest, że najwięcej ofiar porywa śmierć z pośród niemowląt: na 100 dzieci umiera jednorocznych 30. To znaczy, że albo dzieci przychodzą na świat wątłe i słabe, albo źle są wychowywane. Że złe stosunki materyalne, t. j. bieda rodziców źle wpływa na zdrowie dzieci, jest pewnem; a cóż dopiero choroby dziedziczne, pijaństwo, lub niemoralne życie! Temu zaradzić może tylko od-

powiednie wychowanie. Niewiasta brzemienna powinna już nie o sobie myśleć, ale o dziecku: odżywiać się jak należy, choćby czegoś nie lubiła, nie pić, nie dźwigać, nie ściskać się spódnicą czy gorsetem, nie siadywać po karczmach czy weselach do późna. Powinna przygotować się w duszy do ciężkiej chwili, która ją czeka, a wkoło siebie przysposobić, co potrzebnem bywa: bieliznę, pieluszki itd.

Po urodzeniu dziecka należy je ukąpać, co do 2 tygodni dobrze jest czynić 2 razy dziennie, następnie do 3 miesięcy codzień, później już tylko co drugi. Woda może być przegotowana i ciepła. Jeżeli niema w domu ciepłomierza, to zanurzyć łokieć własny: o ile uczucie przyjemne, woda jest dobra.

Najlepszym pokarmem dla dziecka jest mleko matki, o czem dobrze wiemy. Przy karmieniu należy przestrzegać wielkiej czystości. Przy odstawianiu od piersi uważać, by się to nie działo podczas ząbkowania, lecz wtedy, gdy dziecko ma już 2 górne i 2 dolne zęby, co zwykle dzieje się w 9-tym miesiącu. Używanie alkoholu przez karmiącą — jest dla dziecka zabójcze i później na całe jego usposobienie oddziała! Wspomnicie je gorzko nierozsądne matki!

Mowa do najmniejszego nawet dziecka powinna być łagodna: serdeczny głos matki najlepiej wzrusza istotę dziecka. Jeżeli płacze, nigdy nie uspokajać go kołysaniem lub noszeniem: jeżeli mu tego kiedyś odmówicie, będzie krnąbrnem i zuchwałem. Nie pozwalać nigdy na kładzenie paluszka do ust, na lizanie zabawek, ani pokazywanie języka: jeżeli czyni to mimo zakazu, uderzyć lekko w rączkę.

Od 3-go roku życia dzieci jadać już mogą wszystko; należy tylko dawać im prócz tego jak najwięcej mleka. Mowę dziecka wyrabiać należy wyraźnem wymawianiem i pokazywaniem różnych przedmiotów. Nie należy nigdy straszyć dzieci, ani opowiadać im o zbójach czy czarownicach, gdyż to je uczy tchórzostwa. W 7-mym roku życia dziecko zazwyczaj zaczyna chodzić do szkoły a rzeczą władzy i nauczyciela jest, aby tam dziecko nabywało kolejno różnych wiadomości, nie zaniedbując równocześnie rozwoju swego ciała.

Jeszcze w latach szkolnych chłopiec wchodzi w wiek młodzieńczy, a dziewczynka w okres dziewiczości. Czyli chłopiec z dziecka staje się mężczyzną, dziewczynka kobietą. Czas ten jest ważny, bo jedno i drugie dowiaduje się nowych dla siebie rzeczy, budzą się zmysły i czasem mogą się spaczyć. Dla chłopca jak i dla dziewczęcia należy unikać wtedy niestosownego towarzystwa, rozmów nieprzyzwoitych, zabaw po karczmach i weselach, ubierania się i rozbierania przy osobach innej płci. Matki! jak zdrowie ciała waszych dzieci, tak zdrowie ich dusz do was należy i od was zależy! Czuwajcie!

Najważniejsze choroby.

Ułożone są tutaj w porządku alfabetycznym najważniejsze choroby, aby ułatwić czytelniczkom znalezienie odpowiedniej rady:

Biegunka. Jeżeli chory niema gorączki a liczba stolców nie przechodzi 4 na dobę, niebezpieczeństwa niema. Trzeba tylko pamiętać, aby chory nie jadł kwasów, tłuszczu ani mleka. Dawać kaszę, ryż, grysik, herbatę. Jeżeli chory gorączkuje i skarży się na ból, wezwać lekarza.

Choleryna, to ostra biegunka, zwykle objawiająca się latem. Nie jest zaraźliwa jak cholera ani zabójcza.

Cholera objawia się strasznemi boleściami, puls ustaje, chory sinieje, głos chrypi. Wezwać lekarza i ściśle przepisy jego wykonywać. Wogóle z rozwolnieniem nigdy nie żartować.

Dyfterya (błonica) jest chorobą bardzo zaraźliwą. Bakterye te czepiają się ścian, odzieży, nawet listów posyłanych bardzo daleko. Zatem chorego nigdy nie całować, nigdy nie

narażać się na jego kaszel! Chorują na dyfteryę najczęściej dzieci w wieku 2—7 lat, choć nie oszczędza i starszych. Gdy dziecko skarży się na ból gardła, zaraz zajrzeć, przytrzymując język łyżeczką. O ile widać plamki białe, zaraz wezwać lekarza. Choroba to bardzo niebezpieczna, wywołuje czasem paraliż podniebienia, krtani, oka a czasem nawet serca w 6 tygodni po zachorowaniu i dziecko umiera. Póki lekarz nie nadjedzie dać płukanie ciepłą wodą z solą, lub zadmuchiwać w gardło miałki cukier. Po wyzdrowieniu jak i po śmierci chorego pościel i mieszkanie szorować, prać, bielić. Pierze trzeba spalić, bo go się wyczyścić nie da, albo dać dezynfekować w mieście, w zakładzie odpowiednim.

Gorączka może mieć różne powody. Zwykle jest początkiem jakiejś choroby. Nim nastąpi porada lekarza, można gorączkującemu wiele pomódz: skórę obmywać octem z wodą, ciało owijać w mokre ale wyżęte prześcieradło, dawać do picia barszcz burakowy, wodę z cytryną lub serwatką. Ani na wymioty, ani na przeczyszczenie nie dawać.

Gruźlica pospolicie suchotami zwana objawia się kaszlem, pluciem, potami w nocy, chory blednie, chudnie, miewa gorączkę. Zaraz zwrócić się po radę do lekarza, bo później może być zapóźno a na suchoty rozwinięte niema dotąd lekarstwa.

Krwotoki są różne: z rany zewnętrznej, z płuc, z żołądka, z kiszek, maciczne. W każdym wypadku wzywać lekarza i nigdy chorego na krwotok do lekarza nie wozić. Osoba bowiem tak chora powinna:

1) zachowywać się jak najspokojniej,

2) nie jeść ani nie pić nic ciepłego,

3) nie używać żadnego alkoholu,

4) popijać zimne i kwaśne napoje.

Kurcze mogą objawiać się drganiem powiek, ruchami rąk i nóg i są chwilowe. Bywają takie, gdzie chory pada na ziemię, traci przytomność, zgrzyta zębami: to padaczka, wielka choroba, czyli choroba św. Walentego. W tym wypadku nigdy nie skrapiać choremu twarzy wodą, ani nie wiązać rąk i nóg, tylko uważać, aby się nie skaleczył rzucając głową i dlatego podłożyć pod głowę coś miękkiego. Nie gapić się, nie otaczać chorego gęstym tłumem, lecz odosobnić i zostawić w spokoju.

Nowotwory, albo guzy jakieś objawiają się np. u kobiet starszych krwawiem, czasem bólami. Zapowiedzią raka może być wrzód niegojący się, albo jakieś uparte wyrzuty na wardze, na powiece. Poradzić się zaraz lekarza, bo potem może być zapóźno: nowotwór zatruje całą krew i nawet operacya nie pomoże.

Odleżyna. Gdy się pielęgnuje chorego czas dłuższy, uważać trzeba, aby chory często zmieniał położenie: inaczej skóra w delikatniejszych miejscach zacznie się ranić, czyli odleży się. Dobrze też zmywać ciało octem lub spirytusem kamforowym, a pod miejsca zaczerwienione podkładać watę.

Odmrożenie nacierać śniegiem lub zimną wodą, nigdy ciepłą.

Oparzenie. Uważaj, by się dzieci nie bawiły blisko światła, nie kręciły się koło pieca, gdy gotujesz, lub pierzesz; schowaj zapałki i zgaś ogień, gdy z domu wychodzisz a dzieci same zostawiasz, a uchronisz je od nieszczęścia. Na miejsce oparzone przyłóż kawałek płótna, umoczonego w oliwie. Poparzenie wielkie, na całem ciele, może grozić i śmiercią, więc tylko lekarz radzić tu może.

Otrucia różnemi rzeczami różnie leczyć trzeba: tu podajemy środek leczenia na zatrucie grzybami, co na wsi jest najczęstsze. Objawy: boleści, wymioty, pragnienie, brak oddechu, siność, drgawki; ratunek: na wymioty, na przeczyszczenie olej rycynowy, czarną kawę z arakiem.

Połknięcie ciał obcych. Nie pozwalaj dzieciom bawić się igłą, szkłem, kartkami, pieniędzmi! Gdy wypadek się zdarzył, a lekarza niema, wzbudzić

należy wymioty przez łechtanie piórkiem, przyczem uderzaj lekko między łopatki. Gdy przedmiot zeszedł już do żołądka, daj dziecku zjeść chleba, ziemniaków lub kaszy, aby razem z gęstą materyą mógł odejść.

Poronienia nigdy nie pozostawiaj własnemu pomysłowi, lecz zawsze wzywaj lekarza. Sama pamiętaj tylko zachować wkoło siebie wielką czystość, spokój i w razie silnego krwotoku używaj zimnych okładów.

Poród, o ile odbywa się prawidłowo nie jest chorobą, bo kobieta jest przez Boga na matkę stworzona. Jednak czasem zachodzą takie okoliczności, że trzeba pomocy doktora. Niestety wtedy wzywają nasze wieśniaczki t. zw. babki, która więcej szkodzi niż pomaga, a czasem wprost śmierć sprowadza. Pamiętajcie, matki, że do tego trzeba umiejętności i zwracajcie się do egzaminowanych akuszerek a przytem sumiennych kobiet. W oczekiwaniu lekarza przygotować czyste, świeże prześcieradło i wodę ciepłą, która posłuży również do obmycia dziecka.

O ile matka nie ma pokarmu, trzeba dawać mleko, najlepiej ośle; gdy niema takiego, krowie z wodą, z trochą śmietanki; dobrze osłodzone i przegotowane. (Surowe zawiera zarazki chorobowe!)

Usta dziecka myj wodą ciepłą raz poraz!

Gospodarzu! Jeżeli ci miłe życie żony, jeżeli pragniesz mieć dziecko, podporę starości, to nie obawiaj się lekarza! bacz na czystość otoczenia! Nie daj wykonywać babce żadnych okadzeń, wstrząsań, ugniatań! Zostaw żonę twą w spokoju, a sam nie żałuj konia, czasu i grosza. Cóż będzie, gdy dzieci twe matkę utracą a dom gospodynię?

Rany mogą powstać w różny sposób, ale wszystkie goją się wtedy, gdy są czyste, a jątrzą gdy dostało się do nich coś szkodliwego. Czystość rany utrzymać, to najważniejsza. Niech więc nikt nie waży się opatrywać jej szmatami, liśćmi, pajęczyną, chlebem, lecz czystym kawałkiem płótna, lub co lepiej gazą, kupioną w aptece.

Robaki u dzieci leczyć zdrowem jedzeniem. Więc nie dawać ziemniaków, ani cukru Najlepiej dawać rosół, trochę kawy lub herbaty, jarzyny, barszcz, ogórek kiszony.

Ukąszenie przez psa wściekłego obmyć ciepłą wodą; im krew dłużej płynie tem lepiej. Potem zalać ranę jodyną, albo wypalić rozżarzonem żelazem. Poczem należy chorego odwieźć do zakładu w Krakowie (ulica Lubicz 28).

Wrzód może być objawem ogólnej schorzałości ciała, albo powstaje przez zdrapanie, oparzenie, odmrożenie. Należy go utrzymywać czysto, przemywając raz na dzień, pozostawiać zresztą w największym spokoju, okryć watą lub gazą czy czystem płótnem i owiązać opaską.

Żadne plastry ani tłuszcze wrzodów nie goją i nie narażajcie się na śmiech, żądając w aptece n. p. prawdziwego komarowego sadła.

Wysypki znamionują trzy różne choroby: odrę, szkarlatynę lub ospę. Każdy z tych rodzajów wygląda inaczej: drobniutkie, czerwone ziarnka maku na skórze to z pewnością odra; duże plamy jasno czerwone — charakteryzują szkarlatynę, krosty ropne, duże, zapowiadają ospę. Przy wszystkich tych chorobach występuje gorączka, ból gardła i oczu. Odra jest najlżejszą i żadnych złych skutków nie zostawia; nie trzeba dziecka ziębić, światło w pokoju łagodzić, dawać pożywienie łatwo strawne. Szkarlatyna jest chorobą ciężką, często śmiertelną, zawsze w skutkach przykrą: zostawia bowiem wielkie osłabienie i często chorobę nerkową. — Ospa (prawdziwa) jest straszna; chroni przed nią t. zw. szczepienie u dzieci, którego nigdy zaniedbywać nie trzeba. Wietrzna ospa mija bez zostawiania śladów. Jeżeli jedno z dzieci zapadło na wysypkę, to zaraz oddzielić inne, aby nie zapadły, oddając do innej

chałupy. Do szkoły nie posyłać żadnego!!

Zaczadzenie. Jeżeli palisz węglami, nie zasuwaj zasuwki w piecu! Skoro już masz ratować zaczadzonego, jak najprędzej przebiegnij izbę i otwórz okno. Nieszczęśliwego wynieś na świeże powietrze i głowę okładaj mu zimną wodą, do wąchania dając ocet. Jeżeli to nie pomoże, staraj się wzbudzić oddech uciskając i puszczając prędko żebra z obu stron.

Złamania ręki lub nogi, żebra lub obojczyka, zgruchotania kości głowy nie można leczyć bez lekarza. Można tylko zalecić jak największy spokój aż do chwili przybycia tegoż, lub powolną jazdę na miękiem podesłaniu, jeżeli chorego wieźć trzeba do doktora.

Pielęgnowanie chorych.

Zdarzyło mi się być u chorej wieśniaczki: zastałam tam 7 kumoszek, 2 sąsiadów, dzieci kłóciły się w jednym kącie, służebna dziewka szatkowała kapustę w drugim, a wszyscy mówili że pewno już nic z chorej nie będzie... Czy to było dla chorej zdrowe, odpowiednie otoczenie? czy jej mogło pomódz? Chyba prędzej na tamten świat dopomagało. Przedewszystkiem baczyć trzeba, żeby chory miał ciszę, aby izba miała dobre powietrze i światło i aby przepisy lekarza były spełniane akuratnie.

Łóżko musi być czysto i równo zasłane; pierze w pierzynie poruszane często, aby się nie zbijało; prześcielać należy codzień, bo fałdy na prześcieradle mogą wywołać odleżyny.

Każdemu choremu, choćby nie chciał należy codzień umyć twarz i ręce; bieliznę zmieniać choćby codzień. Nie rozmawiać przy nim głośno, nie okazywać niepokoju, gdy ma się gorzej. Światła nie wpuszczać ostrego, zwłaszcza przy bólu głowy.

Lekastwa dawać regularnie; jedzenia bez zezwolenia lekarza, mimo ochoty chorego nie dawać.

Gorączkę mierzyć; jeżeli zalecone okłady zimne, to robić je starannie, bo inaczej więcej zaszkodzą, niż pomogą.

Dezinfekcya: po skończonej zaraźliwej chorobie, należy podłogę w izbie zlać wapnem, ściany wybielić, sprzęty drewniane gorącą wodą, sodą i mydłem wyszorować, pościel spalić lub przynajmniej nie używać tej samej czas dłuższy, skropić dobrze karbolem i trzymać na strychu w przeciągu, aby wywietrzała.

Tak kończymy tem, czem zaczęliśmy uwagi nasze: do kobiet należy dbałość o zdrowie własne, o zdrowie dzieci; od kobiet zależy zatem w znacznej mierze zdrowie społeczeństwa i narodu. Spełniając i w tym względzie swoje obowiązki najlepiej służą ojczyźnie, bo jak mówi starożytna prawda: zdrowa dusza w zdrowem ciele.

Aptekarza A. Thierry'ego BALSAM **jedynie prawdziwy, z zieloną zakonnicą jako marką ochronną. PRAWNIE ZASTRZEŻONE! Każde fałszerstwo, naśladownictwo i sprzedaż innych balsamów z podobną marką, będzie sądownie poszukiwane i podlega surowej karze.** Balsam ten służy do zewnętrznego i wewnętrznego użycia. Jest on: 1. **Niedoścignionym w skuteczności środkiem leczniczym w wszelkich chorobach płuc i piersi, łagodzi katar i zmniejsza odpluwanie, ogranicza bolesny kaszel i leczy nawet zadawnione cierpienia tego rodzaju.** 2. Działa doskonale przy zapaleniach gardła, chrypce i innych cierpieniach szyi. 3. Usuwa gruntownie każdą gorączkę. 4. Leczy w sposób zadziwiający wszelkie choroby wątroby, żołądka i kiszek, szczególnie kurcze żołądka, kolki i darcie w ciele. 5. Usuwa ból i leczy krwawnicę i hemoroidy. 6. Działa łagodnie odprowadzająco i czyści krew, oczyszcza również nerki, usuwa hypohondrye i melancholię, oraz wzmacnia apetyt i trawienie. 7. Służy znakomicie w bolach zębów, przy zębach spróchniałych, gniciu ust, tudzież wszelkich cierpieniach zębów i ust, dalej usuwa odbijanie, jakoteż cuchnienie z ust i żołądka. 8. Jest dobrym środkiem na robaki, tasiemca i w epilepsyi, czyli padaczce. 9. Służy zewnętrznie jako środek cudowny na wszelkie rany, świeże i stare, blizny, czerwonkę, opryszczenie, fistułę, brodawki, **oparzeliny, odmrożenia,** świerzb, parchy i wyrzuty, spryskane, szorstkie ręce, usuwa ból głowy, szum, darcie, gościec, ból uszu, etc., o czem szczegółowy opis jasno poucza. 10. Jest wogóle środkiem niewątpliwej skuteczności w używaniu wewnętrznem i zewnętrznem, rzetelnym, tanim i całkiem nieszkodliwym, którego nie powinno braknąć w żadnej rodzinie, szczególniej jako środka pierwszej pomocy w influency, cholerze i innych epidemiach. Jedna jedyna próba więcej nauczy i przekona, niżeli niniejsze ogłoszenie.



Prawdziwym i niesfałszowanym jest ten balsam tylko wtenczas, kiedy każda flaszeczka zaopatrzona jest powyższą zieloną marką ochronną i przepisem użycia z takąż samą marką ochronną. **Należy przeto zawsze baczną zwracać uwagę na powyższą zieloną markę ochronną.** — Proszę adresować: **Do apteki pod Aniołem Stróżem A. Thierry'ego w Pregrada obok Rohitsch.** 12 małych flaszeczek lub 6 dużych podwójnych, albo jedna wielka do podróży kosztuje **5 K. 60 h.** Mniej, niż 12 małych lub 6 dużych flaszek nie wysyła się. Wysyłka tylko za pobraniem lub przesłaniem z góry należytości.

Zagórzański syrop na piersi. Bardzo przyjemne lekarstwo zarówno dla dorosłych jak i dla dzieci każdego wieku przeciw kaszlowi i kokluszowi, katarowi piersiowemu i płucnemu zaflegmieniu, na ból piersi i t. d. Uspokaja i łagodzi ból i działa skutecznie we wszystkich nawet zadawnionych cierpieniach piersi i płuc. Cena flaszki **3 K. 30 h.** Każda flaszka musi być zaopatrzona kapslą metalową. **Sprowadzić można z apteki pod Aniołem Stróżem Adolfa Thierry'ego w Pregrada koło Rohitsch.**

Prawdziwa angielska pomada na porost włosów Tannochinin. Przeszkadza wypadaniu włosów, ewentualnie siwieniu ich, jest nieszkodliwą i przewyższa inne podobne pomady. Słoik kosztuje **4 K.**

PAIN-EXPELLER **tylko do zewnętrznego użycia.** Zdumiewająco działające wcieranie przy gośćcu, rwaniu w członkach, ostrym i stawowym reumatyźmie, bólu w plecach i krzyżach, postrzałach, paraliżach, przemrożeniu, wywichnięciu, puchnięciu członków i zapaleniu, również jako zewnętrzny środek wzmacniający po wszystkich znużeniach i zapobiegający przed powyższemi dolegliwościami. Mniej niż 2 flaszki nie wysyła się, a kosztują za zaliczką **3 K. 60 h.**

Balsam i maść centyfoliowa **aptekarza Thierry'ego** są tak dalece uznanym i rozpowszechnionym najlepszym środkiem domowym, że dalszych poleceń nie potrzeba.

Siła i działanie prawdziwej centyfoliowej maści ciągnącej

(przedtem nazwana **cudowną maścią). Maścią tą zostało całkowicie wyleczone od lat 4 istniejące, uważane za nieuleczalne próchnienie kości, świeżo zaś nawet po 22-letnie cierpienie natury. — Zapobiega zatruciu krwi i usuwa je. Czyni prawie zawsze zbyteczną wszelką bolesną operacyę, a nawet amputacyę.** Prawdziwa centyfoliowa maść ciągnąca ma zastosowanie przy osłabieniu piersi u położnic, utrudnieniach w odpływie pokarmu, w stwardnieniu piersi, w czerwonce, przy wszelkiego rodzaju zranieniach zadawnionych, przy odparzonych nogach lub stopach, przy ranach, przy ropieniu, obrzmieniu stóp, nawet przy nekrozie kości, przy ranach tłuczonych, kłutych, postrzałowych, ciętych i oparzelinach, do wyciągania wszelkich ciał obcych, jak szkła, drzazg, piasku, śrutu, cierni i t. p., przy wszelkich wrzodach, naroślach, karbunkułach, nowotworach, nawet przy skórze, przy strzale, obieraniu paznokci, pęcherzach, przy bolesnych obtarciach stóp i wszelkiego rodzaju ranach zaognionych, przy odmrożeniu członków odleżeniu się u chorych, przy ocieklinach na szyi, wrzodach krwawiących, przy sączeniu się z uszu i ranach u dzieci i t. d. Mniej niż 2 puszki nie wysyła się. Wysyłka tylko za pobraniem lub przesłaniem z góry należytości. 2 słoiki kosztują **3 korony 60 halerzy. Jedyne źródło nabycia: Apteka pod Aniołem Stróżem A. Thierry'ego w Pregrada koło Rohitsch.**

Schutzengel-Apotheke



des A. THIERRY in PREGRADA

Pastylki hematynowe

są najskuteczniejszym środkiem przeciw blednicy, niedokrewności i wynikającym stąd cierpieniom. Również dobry środek na wytwarzanie krwi i odżywiający. Przy wszelkich objawach rozpoczynającej się niedokrewności i blednicy, które poznać po szybkiem zmęczeniu i słabości muskułów, biciu serca i trudności oddechania, złem trawieniu, kurczach żołądkowych, zawrocie i bólu głowy itp.; należy zaraz zapobiedz wzmaganiu się tej choroby i z całem zaufaniem sprowadzić **Pastylki hematynowe,** które są jedynym skutecznym i na pewno działającym środkiem przeciw blednicy i niedokrewnosai. **Pastylki hematynowe** sporządza się na każde zamówienie w aptece pod **Aniołem Stróżem A. Thierry'ego w Pregrada koło Rohitsch.** Pudełko kosztuje franko **4 kor.** Każde pudełko musi być własnoręcznym podpisem wydawcy zaopatrzone.

Prawdziwa angielska pomada ochronna na skórę.

Nie zawiera żadnych szkodliwych lub zakaźnych substancyj, działa szybko i skutecznie na wszelkie choroby skórne. Usuwa cudownie wszelkie nieczystości skóry na twarzy i ciele, jak piegi, plamy wątrobiane, wągry i t. d., zmarszczki i chropowatość skóry, wydelikaca i wygładza czerwone i szorstkie ręce i dłuższy czas używania nadaje twarzy młodzieńczą świeżość i delikatność, a wogóle skórze na ciele różowy kolor. Co wieczora przed udaniem się na spoczynek należy lekko posmarować twarz i te części ciała, które się chce odświeżyć i zachować delikatnemi, włożyć rękawiczki i zostawić przez noc skórę na działanie tej pomady. Rano obmyć się świeżą, zimną wodą i dobrem naturalnem mydłem (najlepiej mojem mydłem boraksowem).





Każdy słoik musi mieć na pokrywce wyciśniętą firmę: **Apteka pod Aniołem Stróżem A. Thierry'ego w Pregrada koło Rohitsch. Jeden słoik prawdziwej angielskiej pomady ochronnej na skórę i mydło boraksowe kosztuje 4 korony.**



Dla damskiego świata bardzo ważnem jest wiedzieć,

że jedynie i wyłącznie tylko „KREM GROLICHA“ przeznaczony jest do utrzymania piękności, a gdzie jej brak, do osiągnięcia, już po 2—3 dniowem użyciu przekonały się panie o jego zadziwiającym skutku; używany jest przez najlepszy świat z zadziwiającym wynikiem, gdyż jest jedynym środkiem, czyniącym twarz piękną, kwitnącą i świeżą, wygładzającym zmarszczki na twarzy i szyi, czyni skórę twarzy delikatną i czerstwą, nadaje olśniewającego wyglądu; nawet Panie w starszym wieku zyskują po użyciu „KREMU GROLICHA“ tak dziwnie piękną płeć, że niemożliwe rozróżnić ich wieku. Piegi, plamy wątrobiane i ogorzałość, znikają po kilku dniach. Cena słoika kor. 1·20. „SAVON GROLICHA“ do użycia na przemian z „KREMEM GROLICHA“ należące mydło 80 h. (Porto osobno).

Adres dla zamówień:

JAN GROLICH, drogerya „pod Aniołem“, w Bernie mor.

C. k. uprzyw. Akcyjne Towarzystwo Bankowe i Kantorów Wymiany

„MERCUR“

Filia w Krakowie „MERCUR“ ul. Floryańska 28.

przyjmuje wkładki na książeczki i rachunek bieżący

Eskontuje weksle i dewizy. — **Inkasuje** weksle we wszystkich krajowych i zagranicznych miejscach.

Kupuje i sprzedaje **papiery wartościowe, ruble, marki, dolary** oraz **wszelkie inne waluty, monety i przekazy.**

Wystawia listy kredytowe na wszystkie kraje. — Ubezpiecza losy przed stratami przez wylosowanie. — Przyjmuje zlecenia giełdowe. — Udziela zaliczki na papiery wartościowe.

ODDZIAŁ LOSOWY poleca do najbliższych losowań

Losy Tureckie, gł. wygrana 400.000 Fr.

oraz wszelkie inne losy na dowolne raty miesięczne.

KOŚCIOŁY, PLEBANIE, SZKOŁY!

PLANY i KOSZTORYSY wykonywa architekt budowniczy

FRANCISZEK MĄCZYŃSKI

KRAKÓW, ULICA WIŚLNA L. 9/2.

WYKONANE DOTYCHCZAS: kościół i klasztor SS. Karmelitanek w Krakowie, rozszerzenie kościoła w Suchej. W BUDOWIE: kościół OO. Jezuitów na Wesołej w Krakowie, rozszerzenie Katedry Ormiańskiej we Lwowie, kościoły parafialne: Grębów, Zemrzyce, Jasło, Żabie, Bieńkówka, Białka i t. d.

Cudze kupujecie, a sami nie wiecie, że posiadacie w kraju lepsze i tańsze, dlatego nas wspierajcie!



Męski Ankr. Remontoir „System Roskopf Patent“ z najlepsz. prawdziwie szwajcarskim werkiem na minutę wyregulowany kor. 5·—. „Roskopf & Cie Patent“ najlepszy istniejący zegarek K 12. „Męski srebrny Syst. Roskopf Patent“ K. 7·—, lepszy K. 9·—. Z 3-ma kopertami srebrnemi bardzo silny K. 11·—, lepszy K. 12·—.



Klarnet z 5-ciu klapami bardzo dobrego gatunku K. 7, lepsze K. 7·80, z 8-ma klapami K. 9·60, lepsze K. 11·40, z 10-ma klapami K. 15·—, z 12-ma klapami K. 20·—.



Męski anker remontoar z portr. Kościuszki, Mickiewicza lub z godłem i orłem polskim, pięknie wykonany, K. 3·90, lepsze bardzo dobrze idące K. 4·70.



Zegar z biciem na dzwon lub sprężynę z piękn. malowan. drewn. cyferblat., regulow., bardzo dobrze idący z 2 ciężarkami K. 3.40.



Dywan imitacya Smyrny na ścianę lub podłogę w różnych pięknych deseniach od K. 2·45 do 7·—.



Skrzypce ze smyczkiem, pięknie wykonane K. 5·90, w lepszym gatunku K. 7·80, najlepsze K. 9·60. Misternie i przecudnie wykonane z zakładkami z perłowej macicy K. 20·—.



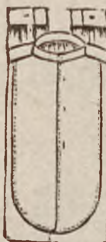
Harmonika z 8 klawiszami pięknie wykonana K. 2·90, z 10 klawiszami K. 4·90, w dużym formacie z 10 klawiszami i 2 rejestrami K. 7, z 3 rejestrami i klawisze z perłowej masy K. 9·60.



Garnitur na stół z dobrej i trwałej materyi w pięknem i modnem wykonaniu, cały garnitur tylko K. 7·—.



Koszule à la Jägerowskie, trwałe, zdrowotne, i pięknie wykonane K. 2·90.



Koszule męskie z trwałej materyi sztywne K. 2·25, tesame miękkie **K. 2.10.**



Najlepszy aparat bezpieczeństwa do golenia, pokaleczenie wykluczone z najtrwalszem ostrzem z pięknym futerałem K. 2·50, 3 sztuki K. 7·—.



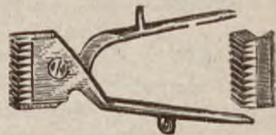
Kołnierze z trwałej materyi modnego fasonu 6 sztuk K. 1·45.



Koszule damskie z dobrej i trwałej materyi K. 2·50.



Lornetka piękn. formy w pudełku K. 2·20, lepsza K. 2·50.



Maszynka do strzyżenia włosów z sprężyną i 2 grzebien., pięknie nikl. 3 i 7 milim. K. 5·—.

Przy zamówieniu należy podać cenę. **Za towar, który się nie podoba, zwracam pieniądze.** Na żądanie wysyłam darmo i opłatnie katalog ilustrowany zegarów, zegarków, wyrobów jubilerskich, chińskiego srebra i towarów muzycznych i t. d.

SINA PELZ – Kraków, ul. św. Gertrudy L. 29–526.

SPIS RZECZY W KALENDARZU „ROLI“.

Część kalendarzowa.

Legendy i opowiadania religijne.

Opowiadania naukowe.

Wiersze.

Opowiadania i powiastki historyczne.

Powiastki.

Humoreski.

Ilustracye: 26 obrazków.

Rozmaitości.

Poradnik gospodarski.

Dział kobiecy.



TRZY KONKURSY „ROLI“.

Redakcya „ROLI“ ogłasza na rok 1912 następujące konkursy dla swoich prenumeratorów:

I. KONKURS WESOŁYCH LUDZI

na opowiadanie treści zabawnej, koniecznie **przyzwoitej,** w rozmiarach 100 do 140 wierszy druku (1 strona »ROLI«). Treść dowolna, z życia wzięta, można gwarą ludową.

II. KONKURS NA POWIASTKĘ

W tych samych rozmiarach co poprzednio. Mają to być legendy i podania, opowiadane przez starszych ludzi, opowiadania z życia wiejskiego, przygody na emigracyi (w Ameryce i na Saksach), spisane językiem książkowym lub gwarą ludową.

III. KONKURS KORESPONDENTÓW

na opisy jak najdokładniejsze i jak najprawdziwsze w listach tego, co się na miejscu nadzwyczajnego stało. Muszą to być rzeczy, posiadające znaczenie szersze i zaciekawiające **wszystkich** Czytelników »ROLI«, zatem: uroczystości religijne: przyjazd biskupa, poświęcenie kościoła; uroczystości narodowe: obchody, rocznice, otwarcia szkół, czytelń, stowarzyszeń; nadzwyczajne lub nieszczęśliwe wypadki we wsi: pożary, nagłe zgony, wielkie kradzieże i t. p. Korespondencya musi być pisana **jak najprędzej,** a więc tegoż dnia, lub nazajutrz. Nagrody otrzymają ci, którzy w ciągu roku **najwięcej i najlepiej** do druku nadających się listów nadesłali. **Termin wszystkich konkursów 15 grudnia 1912 roku.**

WARUNKI KONKURSÓW:

Pisać należy bezwarunkowo tylko **na jednej stronie papieru. Utwory już drukowane bezwarunkowo w konkursach udziału brać nie mogą.** Do III konkursu muszą być nadesłane przynajmniej dwie korespondencye. Wszystkie prace nadające się do druku, drukowane będą w »ROLI« lub KALENDARZU »ROLI«.

NAGRODY:

Pierwszą nagrodę każdego konkursu stanowić będzie wielka książka oprawna wartości od 10 do 15 koron.

Drugą nagrodę każdego konkursu stanowić będzie książka oprawna wartości 3 do 5 koron.

Trzecie nagrody, mianowicie **po dwie lub trzy do każdego konkursu:** oprawne pięknie w płótno dawniejsze roczniki »ROLI«.

Redakcya „Roli“.

